

Neal Stephenson

ŻYWE
SREBRO

Tom II.

Cykl Barokowy

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH SZYPUŁA

2005

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Quicksilver

Data wydania:

2003

Wydanie polskie

Data wydania:

2005

Ilustracja na okładce:

Piotr Wyskok

Projekt okładki:

Jarosław Musiał

Przełożył:

Wojciech Szypuła

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax(0-22)813 47 43

e-mail: kurz@mag.com.pl

<http://www.mag.com.pl>

ISBN 83-7480-000-3

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

KSIĘGA DRUGA

KRÓL

WAGABUNDÓW

Przedstawienie góry gnoju wymaga bez wątpienia równie wielkich umiejętności jak opisanie najpiękniejszego pałacu, albowiem wszelka rzeczy doskonałość leży w wykonaniu. Dzieło sztuki, podobnie jak twór natury, musi mieć niezwykle kształty lub przymioty, aby sięgnąć wyżyn ludzkiej imaginacji, zwłaszcza w tych zmiennych, niepewnych czasach.

Pamiętniki prawego złoczyńcy Johna Halla, 1708

Londyńskie błota

1665

Matka Shaftoe odliczała wiek synów na palcach, których miała w sumie sześć. Kiedy zabrakło jej palców – czyli gdy Dick, najstarszy i najsprytniejszy z rodzeństwa, kończył siedem wiosen – zebrała wszystkich przyrodnych braci w baraku na Psiej Wyspie, kazała im iść precz i nie wracać, dopóki nie zdobędą chleba albo pieniędzy.

Była to metoda wychowawcza powszechnie stosowana we wschodniej części Londynu, toteż Dick, Bob i Jack zastali na brzegach Tamizy całe mnóstwo innych chłopców, szukających – tak jak oni – chleba i pieniędzy, za które mogliby odkupić matczyną miłość.

Od centrum Londynu dzieliło ich zaledwie kilka mil, ale miasto było dla nich równie odległe i nierzeczywiste jak dwór Wielkiego Mogoła w Szachdżahanabadzie. Na królestwo braci Shaftoe składał się nieskończony labirynt ceglanych domów, ruder i chlewików zamieszkałych czasem przez Anglików, a czasem przez Irlandczyków, którzy gnieździli się po dziesięcioro i dwanaścioro w jednym pomieszczeniu ze świniami, kurami i gęsiami.

Irlandczycy zimą najmowali się za tragarzy, robotników i węglarzy, latem zaś, w sezonie koszenia łąk, rozjeżdżali się po kraju. Kiedy tylko mogli, chodzili do swoich papistowskich kościołów i przepuszczali wypłacaną w srebrze zapłatę na wynagrodzenie dla skrybów, przetwarzających ich uczucia w magiczny szyfr, słany następnie przez lądy i morza do Limerick, gdzie starej, kochanej matuli odczytywał go ksiądz albo inny gryzipiórek.

W okolicy, w której mieszkała matka Shaftoe, skłonność do harowania po całych dniach dla chleba i pieniędzy uchodziła za dowód na to, że Irlandczykom zbywa na sprycie i godności osobistej. Ich przekonania religijne i wynikające z nich konsekwencje – między innymi bezkompromisowa cnotliwość kobiet oraz pokora, z jaką mężczyźni godzili się z tym faktem – nie miały tu nic do rzeczy. Prawdziwy niebieski ptak (a przewijający się przez łóżko matki Shaftoe mężczyźni lubili za takich uchodzić) wyruszał po zmroku na wody Tamizy, zakradał się na pokład zacumowanych statków i zabierał wszystko, co na suchym lądzie dawało się wymienić na strawę, gotówkę albo usługi natury miłosnej.

Techniki stosowano różne. Najbardziej oczywista sprowadzała się do wysłania na statek kogoś, kto wspiałby się po linie kotwicznej na pokład, a potem rzucił drugą linę kompanom – to było zadanie wprost stworzone dla małego chłopca. Dick, najstarszy z braci Shaftoe, opanował podstawy tego fachu, kiedy zakradał się po rynnach do burdeli, by przeszukiwać kieszenie porzuconych przez klientów ubrań. Wraz z braćmi wszedł w spółkę z grupą robotników portowych, którzy mieli możliwość transportu zdobyczy ze statków na brzeg, dokonali bowiem zdumiewającej sztuki, jaką była kradzież szalupy.

W oparciu o ten zgrubny plan zwiedzili kilka zakotwiczonych w porcie jednostek i przekonali się, że majtkowie na ich pokładach (którzy powinni strzec statków przed najściem niebieskich ptaków) oczekiwali zapłaty za niezauważenie Dicka Shaftoe, wspinającego się po linie kotwicznej z drugą linką przywiązaną do kostki. Marynarze mogli być pewni, że kiedy kapitan zauważy brak towarów, które padły łupem złodziei, każe ich wychłostać, żądali zatem z góry zapłaty za straconą krew i skórę. Dlatego też Dick powinien wdrapywać się na pokład z sakiewką umocowaną do nadgarstka: kiedy marynarz świeciłby mu latarnią w twarz i celował do niego z garłacza, chłopak mógłby potrząsnąć mieszkciem, a ten wydałby miły dla ucha dźwięk. Do takiej muzyki chętnie tańczyli żeglarze wszelkich nacji.

Naturalnie, niebieskie ptaki nie miały nadmiaru brzęczącej monety, a realizacja takiego planu wymagała posiadania pewnego kapitału wstępnego. John Cole, najsilniejszy i najodważniejszy z bandy, która ukradła szalupę, wpadł więc na kolejny świetny pomysł: postanowiono, że będą kraść jedyne elementy statków, po które nie trzeba gramolić się aż na pokład, czyli ich kotwice, a następnie sprzedawać je kapitanom, których jednostki zaczęły niespodziewanie dryfować. Koncept ten miał dodatkową zaletę: pozbawiony kotwicy statek mógł zostać zniesiony nurtem rzeki na, powiedzmy, Psią Wyspę, gdzie osiadłby na mieliźnie, a jego ładunek całkiem legalnie padłby łupem pauprów.

Pewnej mglistej nocy (nad Tamizą zresztą wszystkie noce były mgliste) wyruszyli szalupą w górę rzeki. W gwarze niebieskich ptaków wiosła określano mianem „pary skrzydeł”. Machając więc skrzydłami, frunęli wśród stojących w porcie statków, zwróconych w górę rzeki; kotwicę rzucało się bowiem z dziobu, a rzeczny prąd spychał jednostkę w dół. Zbliżywszy się do rufy pękatego holenderskiego galiota – jednomasztowego stateczku, dwakroć dłuższego od szalupy i mającego dziesięć razy większą wyporność – jak zwykle wyrzucili Dicka za burtę z nożem w zębach i linką, zawiązaną na kostce. Miał popłynąć wzdłuż kadłuba galiota w górę rzeki, przy dziobie odszukać zrzucaną ze sterburty kotwicę, przywiązać do liny sznurek, który miał ze sobą, a następnie przeciąć ją nożem powyżej węzła. W ten sposób galiot zostałby uwolniony z uwięzi, szalupa solidnie by zakotwiczyła, a kotwica szybko i bezszelestnie zmieniła właściciela. Dokonawszy tej sztuki, Dick miał trzykrotnie pociągnąć za linkę, którą reszta niebieskich ptaków zaczęłaby pospiesznie zwijać, przemieszczając się dzięki temu pod prąd. Znalazłszy się dokładnie nad kotwicą, wspólnymi siłami wyrwaliby ją z dna rzeki.

Dick zniknął z pluskiem we mgle. Przez kilka minut patrzyli, jak linka rozwija się w nierównych szarpnięciach: Dick płynął. Potem na dłuższą chwilę znieruchomiała, co oznaczało, że znalazł linę kotwiczną i wziął się do pracy. Niebieskie ptaki miarowo zanurzały w wodzie owinięte w szmaty wiosła, żeby nurt nie zniósł szalupy. Jack siedział z linką w rękach i czekał na trzy szarpnięcia, ale na próżno. Linka zwiotczała. Z pomocą Boba zaczął wciągać nadmiar luźnego sznura do łodzi: zebrali go dobre dziesięć jardów, zanim znów się naprężył, po czym zamiast trzech szarpnięć poczuli jakąś dziwną wibrację na drugim końcu.

Było oczywiste, że coś poszło nie po ich myśli, ale Cole nie zamierzał rezygnować z porządnego kawałka linki. Zaczęli więc podciągać się po niej w górę rzeki. W połowie długości galiota natrafili na pętlę zaciśniętą na sznurze, w której uwięzła zimna, blada stopa, i wciągnęli do łodzi biednego Dicka. Do tej samej pętli była przywiązana lina kotwiczna. Jack i Bob zajęli się cuceniem brata, niebieskie ptaki usiłowały zaś w tym samym czasie wyciągnąć kotwicę, ale ani jednym, ani drugim się nie powiodło: kotwica była równie ciężka, jak Dick martwy. Chwilę później rozwścieczeni Holendrzy zaczęli strzelać z garłaczy we mgłę i trzeba było zwijać manatki.

Bob i Jack, pełniący przy Dicku role – odpowiednio – czeladnika i terminatora, stracili mistrza, którego mogliby naśladować, nabawili się natomiast wyjątkowo paskudnych koszmarów sennych. Zrozumieli bowiem – może nie od razu, ale z czasem na pewno – że najprawdopodobniej sami doprowadzili do śmierci brata, napiąwszy linkę, i ta wciągnęła Dicka pod wodę. Nikt więcej nie chciał się z nimi zadawać. John Cole znalazł na miejsce Dicka następcę, któremu wydał ponoć bardziej precyzyjne instrukcje: przykazał mu mianowicie wypłatywać się ze sznura przed przecięciem liny kotwicznej.

Niespełna dwa tygodnie później John Cole z kompanami zostali złapani w szalupie w biały dzień. Po tym, jak udało im się zrealizować jeden z pomysłów szefa, spili się kradzionym grogiem, przespali świt – i trafili wprost do Newgate.

Mimo że wszyscy mieli na sumieniu mniejsze i większe grzeszki, dla części z nich był to pierwszy kontakt z wymiarem sprawiedliwości. Ci właśnie nowicjusze podzielili się łupem z przymierającym głodem pastorem, który odwiedził ich w więzieniu i spotkał się z nimi w karczerze. Karczer znajdował się na dolnym poziomie więziennych lochów. Więźniowie mogli w nim – przyciskając usta do żelaznego rusztu w murze i krzycząc donośnie – porozumieć się z odwiedzającymi, oddzielonymi od nich dosłownie kilkoma calami cegieł. Pastor udzielił swoim owieczkom improwizowanej nauki biblijnej, której celem było wpojenie im słów Psalmu pięćdziesiątego pierwszego – a gdyby to się nie udało, przynajmniej jego początku:

Zmiłuj się nademną, Boże! Według miłosierdzia twego; według wielkich litości twoich zglądź nieprawości moje.

Omyj mię doskonale od nieprawości mojej, a od grzechu mego oczyść mię.

Albowiem ja znam nieprawość moją, a grzech mój przede mną jest zawždy.

Tobie, tobiem samemu zgrzeszył, i złem przed oczyma twemi uczynił, abys był sprawiedliwy w mowie twojej, i czystym w sądzie twoim.

Oto w nieprawości poczęty jestem, a w grzechu poczęła mię matka moja¹.

Dla zwykłych uliczników był to nie lada kawał tekstu, ale też okazali się uczniami pilniejszymi niż niejeden skryba z Oxenfordu. Kiedy przeprowadzono ich prostym, wąskim

¹ Cytaty z Biblii za Biblią Gdańską (przyp. tłum.).

przejściem do Old Bailey, ustawiono pod balkonem, na którym urzęduje sędzia, i położono przed nimi otwartą Biblię, wyrecytowali powyższe wersy, co, w myśl standardów postępowania obowiązujących w ówczesnych sądach angielskich, oznaczało, że umieją czytać. To zaś dowodziło, że są duchownymi, a to z kolei wyłączało ich spod jurysdykcji sądu kryminalnego. Zgodnie z wieloletnią tradycją słudzy boży podlegali bowiem wyłącznie sądom kościelnym, a ponieważ te dawno zniesiono, niebieskie ptaki odzyskały wolność.

Inaczej rzecz się miała z Johnem Cole'em, najstarszym z całej grupy, który był już kiedyś w Newgate i stawał przed trybunałem w Old Bailey. Na tym właśnie dziedzińcu, pod tym samym balkonem i na oczach tego samego sędziego ściśnięto mu wówczas dłoń w imadle i rozżarzonym żelazem na wieki napiętnowano go jako złodzieja, wypalając u nasady kciuka literę T. To zaś w myśl standardów postępowania obowiązujących – itd., itp. – raczej nie przydawało wiarygodności jego twierdzeniom, że jest osobą stanu duchownego. Został więc, naturalnie, skazany na śmierć przez powieszenie w Tyburn.

Bob i Jack nie byli świadkami tych wydarzeń. Znali je tylko z opowieści tych, którzy wymamrotawszy parę słów psalmu, zostali zwolnieni z więzienia i wrócili na Psią Wyspę. W całej tej relacji nie było właściwie niczego niezwykłego; podobne historie słyszeli wielokrotnie z ust przyjaciół, znajomych i sąsiadów. Jednakże tym razem zakończenie brzmiało zupełnie inaczej: oto bowiem John Cole prosił braci Shaftoe o spotkanie u stóp Drzewa Śmierci w dniu egzekucji, o świcie.

Poszli do Tyburn bardziej wiedzeni ciekawością niż z innych powodów. Kiedy przedarli się przez gęstą ciżbę dzięki opanowanej do perfekcji sztuce kopania w pieszczele, deptania po stopach i szturchania dorosłych łokciami w krocza, znaleźli Johna Cole'a i pozostałych na wozie pod szafotem. Skazańcy mieli związane za plecami ręce i zarzucone na szyje pętle, od których sznury ciągnęły się po ziemi. Towarzyszył im ksiądz, więzienny kapelan z Newgate, pracowicie starający się im uświadomić naturę Królestwa Niebieskiego i pewnych zawilosci związanych z przejściem tamże. Niestety, pijani w sztok przyszli wisielcy ledwie trzymali się na nogach, złorzeczyli mu i natrzęsali się z niego z takim upodobaniem, że nie nadażał z ripostami.

Cole, poważniejszy od kompanów, wyjaśnił Jackowi i Bobowi, że będzie im niezmiernie wdzięczny, jeżeli po „spuszczeniu” go, czyli zepchnięciu przez oprawcę z wozu, kiedy zawisnie swobodnie na sznurze, Jack uczepi się jego lewej nogi, a Bob prawej (lub na odwrót, jeśli akurat tak by woleli), i uwieszą się na nim całym ciężarem, dzięki czemu szybciej umrze. W zamian za obietnicę takiej przysługi obiecał im zdradzić sekret skrytki umieszczonej pod podłogą pewnej chałupy na Psiej Wyspie, gdzie mieli znaleźć ukryty skarb. Przedłożył im warunki tej transakcji z podziwu godnym opanowaniem, jakby wieszano go regularnie w każdy piątek.

Przystali na jego propozycję i nie pozostało im nic innego, jak bacznie obserwować kata. Miejsce pracy oprawcy – czyli szubienica – wyróżniało się prostym, wręcz spartańskim

urządzeniem: na trzech wysokich słupach wspierały się trzy tworzące poziomy trójkąt belki, dostatecznie długie, by na każdej powiesić z pół tuzina ludzi jednocześnie – lub nawet więcej, gdyby nieco zagęścić tłumek wisielców.

Praca kata polegała zatem na podjechaniu pod wolny segment szubienicy, wybraniu jednej z wlokących się po ziemi końcówek sznura, przerzuceniu jej przez poprzeczną belkę i umocowaniu za pomocą paru sprytnych węzłów, oraz spuszczeniu człowieka znajdującego się na drugim końcu sznura. Lżejszy o jednego pasażera wóz przemieszczał się następnie pod kolejne wolne miejsce i cała procedura powtarzała się od początku.

John Cole był ósmy w kolejce dziewięciu mężczyzn, których tego dnia zamierzano stracić, co oznaczało, że Jack i Bob mieli okazję obejrzeć uśmiercenie siedmiu innych skazańców, zanim przyszła pora na wywiązanie się z danej mu obietnicy. Przy wykonywaniu pierwszych dwóch czy trzech wyroków rzuciły im się w oczy tylko rzeczy najbardziej oczywiste, kiedy jednak zaznajomili się w ogólnym zarysie z przebiegiem ceremonii, zaczęli dostrzegać subtelne różnice między kolejnymi egzekucjami. Inaczej mówiąc, powoli stawali się koneserami sztuki wieszania, upodabniając się tym samym do mniej więcej dziesięciu tysięcy stłoczonych dookoła nich gapiów.

Jack szybko się zorientował, że ludzie dobrze ubrani umierają szybciej, a obserwując bacznie kata, wkrótce odkrył, dlaczego tak się dzieje. Kiedy oprawca szykował się do spuszczenia jakiegoś eleganta, zaciskał mu pętlę na szyi za lewym uchem i zostawiał nieco luzu na sznurze, dzięki czemu klient spadłszy z wozu rozpędzał się w powietrzu przez krótką chwilę, nim zatrzymywało go w locie gwałtowne szarpnięcie, któremu towarzyszył donośny trzask. Obszarpańcom przypadał w udziale napięty sznur i luźna – przynajmniej początkowo – pętla.

Cóż... John Cole zawsze wyglądał nędznie, a leniwie upływające miesiące w lochach Newgate nie wpłynęły korzystnie ani na jego wygląd, ani na higienę. W efekcie prezentował się najgorzej z całej dziewiątki i nie wszystko wskazywało na to, że czeka go mozolna, poprzedzona długim wierzganiem śmierć. Przewidując to, poprosił braci Shaftoe o przysługę. Ale bracia nadal mieli wątpliwości.

– Posłuchaj no – powiedział Jack. Odepchnął kapelana. Stanąwszy przy wozie, zadarł głowę i spojrzał na kata, który jednym zgrabnym ruchem wyprostowanej ręki przerzucił przez belkę drugi koniec sznura przywiązanego do szyi Cole'a. – Skoro masz ukryty skarb, to dlaczego mu go nie dałeś?

Skinieniem głowy wskazał oprawcę, przyglądającego mu się ciekawie przez wycięte w kapturze szparki na oczy.

– No... Przecież nie miałem go przy sobie, kiedy mnie capnęli, prawda? – odparł ponuro John Cole, który nawet w szczęśliwszych czasach bywał cokolwiek zgryźliwy.

Jack jednak nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Cole kręci.

– Mogłeś kazać komuś go przynieść!

– A jakby ten ktoś mi go podprowadził?

– Zostaw go, Jack – mruknął Bob. Po śmierci Dicka stał się, oficjalnie rzecz biorąc, głową rodziny. Z początku niezbyt przejął się tą rolą, ale ostatnio z dnia na dzień był coraz bardziej arogancki. – Niech się pomodli.

– Będzie się modlił, jak zawiśnie i zacznie wierzgać!

– Nie będzie wierzgał, bo złapiemy go za nogi.

– Przecież on łże! Nie ma żadnego skarbu!

– Wiem o tym. Co ty, masz mnie za durnia? Ale skoro już tu jesteśmy, zrobmy, co do nas należy.

Podczas tej wymiany zdań Cole został spuszczonej z wozu i zatrzepotał nad ich głowami. Odruchowo uskoczyli, ale on, rzecz jasna, nie poleciał daleko. Wrócili więc, złapali go za stopy i podciągnęli się wyżej po jego nogach.

Po krótkiej chwili swobodnego zwisu zaczął się gwałtownie szarpać. Jack miał ochotę puścić nogę, ale jej dygot do złudzenia przypominał mu drzenie liny, która wciągnęła pod wodę biednego Dicka. Ścisnął ją więc kurczowo, jakby w ten sposób mógł pomścić śmierć brata. Bob musiał mieć podobne skojarzenia, bo obaj opletli kończyny wisielca jak para węży dusicieli i trzymali je mocno, dopóki nie zwiotczał. Kiedy zorientowali się, że posikał się przed śmiercią, puścili go jednocześnie i spadli na zapaskudzoną ziemię pod szubienicą. Tłum skwitował ich wyczyn oklaskami. Zanim jeszcze zdążyli się otrzepać, podeszła do nich siostra ostatniego ze skazańców – którego, sądząc z powierzchowności, również czekało dłuższe wieszanie – i zaproponowała im zapłatę za wyświadczenie mu podobnej przysługi. Monety, jakie zaoferowała, były wytarte, poczerńiałe i oberżnięte – ale prawdziwe.

Oczywiście John Cole nie miał żadnego schowka na Psiej Wyspie. Rzekomo luźna deska w podłodze wcale nie była luźna, a po jej wyłamaniu okazało się, że dziura ziele pustką. Bracia nawet specjalnie się nie zdziwili. Nie miało to zresztą wielkiego znaczenia, z powodzeniem bowiem prowadzili już własny interes. W przeddzień każdej egzekucji można było ich znaleźć w nowym miejscu pracy – w więzieniu Newgate.

Z początku mieli trudności z ogarnięciem natury tego miejsca. Do tej pory słowo „gate”² kojarzyło im się głównie z furtką, która pozwalała wyjść z zagrody wokół chlewa bez konieczności przeskakiwania płotu (samo przeskoczenie go nie było wcale takie trudne, ale próby dokonywane po pijanemu wiązały się z niebezpieczeństwem upadku i pożarcia przez wieprze). Myśleli więc, że wiedzą, czego się spodziewać.

Mieli również świadomość, że w różnych miejscach w Londynie znajdują się okazałe budowle mające w nazwie słowo „gate”: Ludgate, Moorgate, Bishopsgate. Kilka razy przechodzili nawet przez Aldgate, tamtędy bowiem prowadziła najkrótsza – z ich punktu widzenia – droga do miasta. Jednakże związek między tymi „bramami” i furtkami przy chlewikach stanowił dla braci Shaftoe nieprzeniknącą tajemnicę. Furtka w sensie

² Gate (ang.) - w tym kontekście „furtka” lub „brama” (przyp. tłum.).

chlewiakom miała rację bytu jedynie wówczas, gdy wbudowano ją w mur, płot lub inne ogrodzenie, a jej rolą było umożliwienie przejścia na drugą stronę tegoż. Tymczasem żadna z londyńskich bram nie miała podobnego kontekstu. Wznosiły się okrakiem ponad głównymi ulicami wiodącymi do centrum miasta, a jeśli ktoś nie chciał przez nie przechodzić, zwykle bez trudu mógł sobie znaleźć okrężną drogę.

To samo dotyczyło Newgate, złożonej z dwóch potężnych wież obronnych, stojących po obu stronach drogi, która przeciąwszy krętą linię pola i przekroczywszy kanał Fleet Ditch, przybierała nazwę Holborn. Między wieżycami szeroki trakt zwężał się gwałtownie i wpadał w sklepione przejście, w którym z trudem zmieściłby się czterokonny powóz. Powyżej przejazdu wieże spinała przypominająca zamek budowla. W zamku kryła się żelazna krata wykuta z prętów grubych jak udo Jacka; można ją było w każdej chwili opuścić, by zagrozić przejazd i zablokować drogę, ale nikt nie traktował jej poważnie, skoro Jack – a na dobrą sprawę właściwie każdy przechodzień – mógł w pół minuty obejść bramę dookoła, klucząc po sąsiednich zaułkach. Newgate nie stanowiła elementu murów obronnych ani innych fortyfikacji. Otaczały ją zupełnie zwyczajne zabudowania, czyli jedno – i dwupiętrowe domy o szachulcowych ścianach, które w Anglii wyrastały szybko i gęsto jak grzyby po deszczu. Iście gotycka forteca Newgate lokowała się w ich sąsiedztwie jak koścista miednica w miękkim podbrzuszu.

Człowiek trafiający do Londynu przedłużeniem Holborn, schyliwszy głowę, przechodził pod kratą i zagłębiał się w tunel Newgate, skąd dostrzegał po prawej stronie drzwi prowadzące do strażnicy, w której nowych więźniów zakuwano w łańcuchy. Idąc dalej prosto, po kilku metrach wychodził z nisko sklepionego przejścia na otwartą przestrzeń Newgate Street. Z prawej majaczyło stare, ponure gmaszysko, wznoszące się na wysokość dwóch lub trzech pięter, zaopatrzone w nieliczne – ale za to okratowane – okna. Budynek ten, choć przylegał do Newgate, wzniesiono całkowicie niezależnie od niej. Chodziły słuchy, że w dawnych czasach mieściła się w nim gospoda, gdzie zatrzymywali się podróżni przybywający do miasta od strony Holborn. Później jednak więzienie rozpełzło się w górę Newgate Street niczym gangrena po nodze chorego i pochłonęło kilka sąsiednich domów. Drzwi, przez które dawniej przechodzili strudzeni wędrowcy, zamurowano – wszystkie z wyjątkiem jednych, ulokowanych w punkcie styku gospody i zamku. Zaraz za nimi można było skrócić ostro w prawo i znaleźć się w karczerze. Odważniejsi i zaopatrzeni w świece goście (w głębi budynku było ciemno choć oko wykol) mogli zamiast tego zaryzykować wejście na schody, wiodące – w górę lub w dół – do tej czy innej celi lub lochu; wybór dalszej drogi zależał od tego, kogo zamierzało się odwiedzić.

Podczas pierwszej wizyty w więzieniu Jack i Bob nie zabrali ze sobą ani źródła światła, ani nawet pieniędzy, za które mogliby takowe nabyć. Przez przypadek i po omacku zeszli po schodach i znaleźli się w pomieszczeniu z kamienną posadzką, na której coś chrzęściło im głośno pod nogami. Powietrze w dusznej norze właściwie nie nadawało się do oddychania,

toteż po chwili ślepej paniki bracia z ulgą trafili z powrotem do schodów i wybiegli na górę, na Newgate Street. W świetle dziennym Jack zauważył, że stopy ma od spodu całe unurzone we krwi, i doszedł do wniosku, że w ciemnicy musieli stąpać po tłuczonym szkle. Podobnie rzecz się miała z Bobem – podobnie, ale jednak inaczej, ponieważ Bob miał na nogach buty, toteż krew na podeszwach nie mogła być jego krwią. Dokładne zbadanie obuwia Boba doprowadziło do rozwikłania zagadki. Krew nie była rozmazana, lecz pozoczyła podeszwy serią okrągłych plam. W środku każdej z nich tkwiła mała, mięsista grudka szarej barwy – truchło obżartej do rozpuku i rozdeptanej przez Boba wszy. To tłumaczyło tajemniczy chrzęst, jaki słyszeli, błakając się po ciemnym pomieszczeniu. Wkrótce dowiedzieli się, że odwiedzili Kamienną Celę, jeden z najgłębszych i najpaskudniejszych lochów w całym Newgate, do którego trafiali tylko najędźniejsi kryminaliści bez grosza przy duszy, tacy jak świętej pamięci John Cole. Nigdy więcej tam nie wrócili.

Podczas kilku następnych więziennych eskapad zapoznali się bliżej z rozkładem Newgate. Znaleźli kuchnię; odkryli tak zwaną Celę Cwela (której starali się unikać), Kaplicę (jak wyżej), Dziedziniec, gdzie co zamożniejsi osadzeni popijali portwajn i bordo w towarzystwie przybranych w peruki gości, oraz tawernę „Pod Czarnym Psem”, w której kanafarze (elita skazańców z powodzeniem handlująca świecami i alkoholem) okazywali coś na kształt gościnności więźniom mającym jakieś pieniądze. Tawerna tym tylko różniła się od innych angielskich gospód, że wszyscy – zarówno obsługa, jak i goście – nosili w niej kajdany.

Krótko mówiąc, nie brakowało tam cudownych zakamarków, o których później można było rozprawiać godzinami, ale Jack i Bob nie po to odbywali nużące wędrówki z Wyspy Psów do Newgate i z powrotem, aby zachwycać się widokami. Szykowali się do rozkręcenia interesu, badali rynek, aż wreszcie znaleźli swoją klientelę: w zamku, po północnej stronie ulicy, w podziemiach wieży odkryli rozległy loch, nazywany Celą Skazańców.

Najważniejsze było wycucie czasu. Egzekucje odbywały się tylko osiem razy w roku; wyroki skazujące zapadały z jedno-, najwyżej dwutygodniowym wyprzedzeniem. Z tego też powodu w Celi Skazańców zazwyczaj nie było ani jednego skazanego. Wykorzystywano ją natomiast jako przechowalnię dla nowych więźniów wszelkiej maści. Aresztanci z rękoma związanymi za plecami trafiali najpierw do strażnicy po drugiej stronie Newgate Street, gdzie krępujące ich tymczasowo sznury zamieniano na żelaza, których mieli się pozbyć dopiero wychodząc na wolność. Po okuciu (bo tak nazywano tę procedurę) więźniów – obciążonych taką ilością żelastwa, że nie byli w stanie chodzić o własnych siłach – wleczono na przeciwległą stronę ulicy i zrzucono w mrok Celi Skazańców, gdzie spędzali następne kilka dni lub tygodni. Przetrzywanie ich w ciemnicy służyło sprawdzeniu, ile tak naprawdę mają pieniędzy, bo jeśli tylko mieli jakieś fundusze, wkrótce oferowali je strażnikom w zamian za lżejsze okowy albo nawet przyjemny apartament przy Dziedzińcu. Ci, którzy nie mieli ani pensa, kończyli na przykład w Kamiennej Celi.

Ktoś, kto odwiedziłby Celę Skazańców w przypadkowo wybranym dniu, zastałby w niej najprawdopodobniej tylko gromadę ciężko okutych nowo przybyłych, nie interesujących Jacka i Boba – przynajmniej jeszcze nie teraz. Dlatego też bracia Shaftoe zjawiali się w Newgate w dni poprzedzające procesje do Tyburn, kiedy to Cella Skazańców wypełniała się przyszlými wisielcami. I tam dawali przedstawienie.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy przyszli na świat, król wrócił do Anglii i zezwolił na ponowne otwarcie teatrów, które od czasów Cromwella pozostawały zamknięte na głucho. Bracia Shaftoe nieraz zakradali się do nich, wykorzystując swój nieprzeciętny talent do wspinaczki; z czasem podsłuchali i podejrzeli dostatecznie wielu aktorów, żeby nauczyć się naśladować zarówno ich sposób mówienia, jak i gry.

Przedstawienia w Newgate rozpoczynały się od małej pantomimy: Jack udawał, że próbuje okraść Boba. Bob obracał się na pięcie i uderzał go otwartą dłonią w twarz, na co Jack odpowiadał pchnięciem drewnianego sztyletu. Bob ginął na miejscu. Następnie (w akcie II) Bob zrywał się z ziemi, przeobrażał w Karzące Ramię Sprawiedliwości i wykrczał Jackowi rękę na plecy. W akcie III zakładał perukę (którą – nie bacząc na ogromne ryzyko – ukradli z burdelu znajdującego się nieopodal sądu) i skazywał mordercę na śmierć przez powieszenie. Później następował akt IV, wtedy Bob zdejmował perukę, zakładał czarny kaptur i zarzucał Jackowi na szyję pętlę ze sznura. Stawał za plecami brata, który gestem uciszał publikę (w Celi Skazańców napięcie sięgało w takich chwilach zenitu) i składał ręce jak przyjmujące pierwszą komunię świętą irlandzkie dziecko. W akcie V Jack wygłaszała zaś następujący monolog:

Katowski sznur szyję mą ozdabia.
Szorstki i okrutny to wieniec, lecz nie rani mnie,
Bowiern niczym Naszyjnik Harmonii
Daje temu, kto go dźwiga, życie wieczne.
Kat jest tuż-tuż. Powiesi mnie
I oddzieli mą duszę od słabnącego ciała.
Pojednałem się z Bogiem Wszechmocnym
I niebawem duch mój zakołacze do bram niebios,
Gdzie po krótkim przesłuchaniu Chrystus...

Bob robi krok naprzód, szturcha Jacka i szarpie za sznur.

Ach! Na rany Chrystusa! Pętla całkiem dławi mnie!
Cóż za niegodziwiec kaźń taką obmyślił?
Trzeba mi było przekupić kata. Szybciej by ze mną skończył.
Lecz po tylu szlachetnych królobójcach,

Których ostatnio w Tyburn ukarano,
Wartość szybkiej, bezbolesnej śmierci gwałtownie
Wzrosła, całkiem ponad skromną miarę
Zwykłych skazańców. Ci więc giną w mękach równie okrutnych
Jak te, których doświadczyli za życia. Niech to lichy porwie!
Przeklęty niech będzie kat; przeklęty John Turner
I sędziowie, którzy tylu bogaczy wysłali na szubienicę.
To przez nich cena usługi urosła niebotycznie.
I niech będzie przeklęta moja rozrzutność. Za sumę,
Którą co wieczór wydawałem w karczmie,
Mógłbym wynająć znakomitych braci Shaftoe,
Młodego Jacka, i Boba – starszego z tej pary.
Ci uczepiliby się mych nóg, które – pozbawione obciążenia –
Po próżnicy młóćą powietrze, ku uciechu
Gawiedzi.

Bob zdejmuje Jackowi pętlę z szyi.

Lecz sza! Koniec już bliski,
Ziemia znika w oddali, a oczom mym nowe światy się ukazują.
Azaliż to niebo? Gorąco tu, jakby
Ktoś pod ziemią w piecu napalił.
Może otula mnie żar miłości Bożej?

Bob, w przebraniu diabła, unosi zaostrzony kij.

A cóż to znowu? Co to za anioł,
Któremu rogi z czaszki kielkują?
Gdzie harfa twoja, mroczny serafinie?
Miast niej w szponach zakrzywionych
Dzierżysz włócznie! Lub rożen.

DIABEŁ: Jestem kuchcikiem szatana. Witaj w domu, grzeszniku!

JACK: Myślałem, że pojednał się z Bogiem.
W rzeczy samej, tak uczyniłem, wszedłszy na szafot.
Gdybym wtedy, u bram Niebios, ducha oddał,
Byłbym zbawiony. Lecz w przedśmiertnym cierpieniu

Wezwałem imienia Pana Boga swego nadaremno i innym
Śmiertelne grzechy popełnił. I sam skazałem się
Na ten los!

DIABEL: Nie ruszaj się!

Wbija rożen Jackowi w tyłek.

JACK: Ach, ból! Ból okrutny, lecz to i tak
Namiastka nędzna tego, co mnie czeka.
Czemuż nie opłaciłem Jacka i Boba?!

Dzięki magicznej sztuczce zakrwawiony czubek rożna wychodzi Jackowi ustami. Diabeł zabiera Jacka ze sceny, czemu towarzyszą głośnie wiwaty i tupanie widzów.

Po ucichnięciu oklasków Jack rozpoczynał negocjowanie warunków umowy, Bob zaś, starszy i większy, pilnował, żeby nie stała mu się krzywda, i zbierał pieniądze.

Europa kontynentalna

Koniec lata 1683

Niewiasta osamotniona i pozbawiona przyjaciół jest niczym sakiewka pełna złota lub klejnotów, którą ktoś zgubił na gościńcu i która pada łupem pierwszego przechodnia.

Daniel Defoe, *Fortunne i niefortunne przypadki sławetnej Moll Flanders*³

Przez całą wiosnę i lato Jack bacznie obserwował pogodę. Była wyśmienita. Mieszkał w niezwykłych luksusach w Strasburgu, mieście na brzegu Renu, kiedyś należącym do Niemiec, a od niedawna do Francji. Strasburg znajdował się na południu kraju zwanego Palatynatem Reńskim, który – na ile Jack był w stanie się zorientować – był zapomnianym przez Boga skrawkiem lądu posadowionym okrakiem na Renie. Żołnierze króla Ludwika regularnie najeżdżali Palatynat od zachodu, a wojacy cesarza łupili go od wschodu za każdym razem, kiedy nie mieli nic lepszego do roboty. Władcę Palatynatu nazywano elektorem, które to słowo w tamtych okolicach oznaczało arystokratę wielkiej godności, człowieka zajmującego

³ Przeł. K. Tarnowska (przyp. tłum.).

pozycję w pół drogi między księciem i królem. Do niedawna elektorzy pochodzili z wielce dystyngowanego i szlacheckiego rodu, który jednak tak się rozplecił, że wszyscy stracili rachubę jego rozlicznych dostojnych członków. Ponieważ jednak tylko jeden z rodzeństwa – najstarszy – mógł być elektorem, pozostali opuścili kraj i albo znaleźli sobie ciekawsze zajęcia, albo dali się zabić w mniej lub bardziej niezwykłych okolicznościach. Koniec końców elektor zmarł i przekazał władzę synowi, obłąkanemu impotentowi imieniem Karol, który lubował się w inscenizowaniu bitew i oblężeń starego zamku nad Renem (zamek ten zresztą do niczego innego się nie nadawał). Walka była pozorowana, ale okopy, umocnienia, dyzenteria i gangrena jak najbardziej prawdziwe.

Jack przez parę ładnych lat żył sobie całkiem znośnie, udając francuskiego żołnierza. Jednak w ostatnich czasach niejaki Martinet serią bezsensownych reform rozłożył francuską armię na łopatki, toteż gdy tylko Jack usłyszał o szurniętym elektorze, natychmiast udał się do Palatynatu i znalazł całkiem popłatne zajęcie: zaczął grać muszkietera.

Wkrótce potem król Ludwik XIV zaatakował i zajął pobliski Strasburg, w którym przy okazji wybuchła mała epidemia Czarnej Śmierci, co w owych czasach nie było niczym niezwykłym. Gdy tylko u pierwszych biedaków zaobserwowano nabrzmiewanie węzłów chłonnych pod pachami i w pachwinach, co zamożniejsi mieszkańcy miasta zabili domy deskami na głucho i wynieśli się na wieś. Wielu wskoczyło po prostu do łodzi i spłynęło w dół rzeki, naturalną koleją rzeczy trafiając w okolice zamku, przy którym Jack i inni bawili się w wojnę ku uciesze pomyłonego elektora. Jeden z majątnych *strasbourgeois* zszedł na ląd i wdał się w rozmowę nie z kim innym, jak właśnie z Jackiem Shaftoe we własnej osobie. Bogacze rzadko rozmawiali z ludźmi pokroju młodego Shaftoe, toteż cała sytuacja wyglądała cokolwiek tajemniczo, dopóki Jack nie zwrócił uwagi na fakt, że jakkolwiek próbowałby się ustawiać, jego rozmówca zawsze zajmuje pozycję po nawietrznej.

Zapłacił Jackowi i załatwił mu tak zwaną przepustkę od zarazy: okazałszy rozmiarów dokument, spisany w gotyckim alfabecie niemieckim i upstrzony cytatami już to z łaciny (kiedy należało odwołać się do łaski i miłosierdzia Bożego), już to z francuskiego (gdy chodziło o podlizanie się królowi Ludwikowi, który w hierarchii władzy znajdował się wówczas dosłownie jedno oczko niżej od Boga)⁴. Wymachując nim w odpowiednich momentach, Jack mógł wypełnić misję, jaką mu powierzono – czyli udać się do Strasburga, odszukać dom zleceniodawcy, zmyć wyrysowane czerwoną kredą krzyże piętnujące go jako siedlisko choroby, zerwać deski, którymi właściciel pozabijał drzwi i okna, wygonić ewentualnych niepożądanych lokatorów, przepłoszyć złodziei i trochę tam pomieszkać. Gdyby w ciągu kilku tygodni nie zmarł na dżumę, miał zawiadomić rezydującego na wsi bogacza, że ten może bezpiecznie wracać do siebie.

Pierwszą część zadania Jack wykonał jeszcze w maju, z początkiem czerwca jakoś zapomniał jednak o drugiej. Mniej więcej w połowie czerwca zjawił się u niego inny

⁴ Jack nie umiał czytać, ale z rodzaju użytej czcionki mógł wywnioskować to i owo.

wagabunda, którego bogacz wynajął, aby usunął ciało Jacka (by przestało przyciągać szczury i robactwo), pomieszkał trochę w domu, po czym – gdyby w ciągu kilku tygodni nie zmarł na dżumę – wysłał mu wiadomość. Jack, rezydujący na co dzień w głównej sypialni, przygarnął wędrowca i oddał mu do dyspozycji jeden z pokoiów dzieciennych. Oprowadził go po kuchni, pokazał mu piwniczkę z winem i poprosił, żeby się rozgościł. Pod koniec lipca przybył kolejny wagabunda i wyjaśnił, że zapłacono mu za usunięcie z domu zwłok dwójki poprzedników *et caetera, et caetera*.

Przez całą wiosnę i lato pogoda była przecudna: deszcz i słońce łączyły się w proporcjach idealnych dla wzrostu zbóż. Włóczędzy swobodnie błąkali się po Strasburgu i okolicach, omijając szerokim łukiem sterty rozkładających się zwłok ofiar zarazy. Jack wyszukiwał wśród nich takich, którzy przybyli ze wschodu, częstował ich brandy z zapasów bogacza i, choć z trudem się z nimi dogadywał, udało mu się ustalić dwa istotne fakty. Po pierwsze, pogoda była równie piękna, jeśli nie piękniejsza, w Austrii i Polsce. Po drugie, wielki wezyr Kara Mustafa, stojący na czele dwustutysięcznej armii tureckiej, w dalszym ciągu oblegał Wiedeń.

Miało się ku wrześniowi, gdy zarówno sam Jack, jak i jego współlokatorzy musieli wyprowadzić się z pięknej strasburskiej rezydencji. Jack specjalnie się tym nie zmartwił; udawanie nieżywych przychodziło wagabundom z niejaką trudnością. Populacja domu zwiększyła się do półtora tuzina ludzi, w większości nieznośnych nudziarzy, którzy w dodatku prawie do cna osuszyli piwniczkę. Któregoś wieczoru Jack kazał pootwierać okiennice na oścież, zapalił wszystkie świece i wyprawił wielki bal dla wagabundów. Włóczędzy-muzykanci przygrywali na chrypiących szalamajach, włóczędzy-aktorzy wystawiali komedijkę w wagabundzkiej gwarze, bezpańskie psy kopulowały w przydomowej kaplicy, a Jack, odziany w jedwabie pana domu, zajął miejsce u szczytu stołu i przysypiał na siedząco. Z ogólnego rozgardiaszu wyłowił jednak w porę tętent kopyt, zgrzyt dobywanych szabli i szczęk naciąganych kurków. Wbiegł na schody prowadzące na piętro w tej samej chwili, gdy ludzie bogacza wyważyli drzwi wejściowe. Zsunąwszy się po linie, którą zapobiegliwie przywiązał był do balustrady balkonu, znalazł się w siodle konia należącego do właściciela domu, ciepłym jeszcze od ugniatającego je niedawno opasłego tyłka. Pogalopował na położony na obrzeżach miasta cmentarz dla biedoty, gdzie zawczasu – przewidując taki właśnie rozwój sytuacji – ukrył jedzenie na podróż, i ruszył w drogę ze sporym zapasem sztokfisa i sucharów. Przez całą noc jechał na południe. Zajeździwszy konia, zdjął z niego ozdobne siodło i cisnął je do rowu, a samego wierzchowca oddał zachwyconemu przewoźnikowi w zamian za przeprawę na drugi brzeg Renu. Tam odszukał trakt monachijski i ruszył na wschód.

Trwały żniwa. Jack co rusz natrafiał na wypełnione jęczmieniem wozy, zmierzające w tym samym co i on kierunku, których woźnice często zgadzali się go podwieźć. Sforsował

Neckar i Dunaj, wmawiając przewoźnikom, że zamierza zaciągnąć się do legionów broniących świata chrześcijańskiego przed turecką nawałą.

Właściwie nawet nie kłamał. Razem z Bobem nie raz i nie dwa wyprawiali się do Niderlandów, by tam służyć pod rozkazami Johna Churchilla, zażyłego przyjaciela księcia Yorku. York spędzał dużo czasu za granicą, ponieważ był katolikiem i w Anglii prawie wszyscy serdecznie go nienawidzili, ale koniec końców wrócił jednak do ojczyzny. John Churchill popłynął razem z nim, Bob zaś, jak na wiernego żołnierza przystało, postanowił mu towarzyszyć. Tylko Jack został na kontynencie, gdzie było więcej państw, więcej królów i więcej wojen.

Wkrótce daleko po prawej stronie zamajaczyły mu olbrzymie, ciemne kopce. Ponieważ ich widok towarzyszył mu przez kilka ładnych dni, uzmysłowił sobie, że widzi góry. Słyszał już wcześniej o górach. Dołączył do karawany wozów z jęczmieniem należących do kupca z Augsburga, który, zde gustowany niską ceną zboża na targu w Monachium, postanowił przewieźć towar w okolice, gdzie naprawdę będzie na niego popyt. Przez kilka dni jechali wśród wzgórz, których zieleń mąciły tylko sylwetki wieśniaków uginających się pod ciężarem worków z ziarnem. Kościoły były tu, rzecz jasna, papistowskie i miały dziwaczny kształt: każdy wieńczyła pękata, cebulasta kopuła, osadzona na smukłym trzonie.

Góry wznosiły się coraz wyżej, jakby wychodziły im na spotkanie, aż znaleźli się nad brzegiem rzeki zwanej Salz, która przebijała ten górski mur na wylot. Pobudowane na skalnych urwiskach zamki i kościoły strzegły doliny. Niekończące się sznury wyładowanych zbożem wozów łączyły się w tym miejscu, zderzały i mieszały z przybyłym z Rzymu papieskim wojskiem, Bawarczykami i Saksończykami. Całymi milami ciągnęły się pochody ochotników, ubranych jak rycerze sprzed wieków i wznoszących – na wzór uczestników krucjat – proporce z czerwonym krzyżem. Jechali z nimi biskupi i arcybiskupi, uzbrojeni w wysadzane klejnotami pastorały. Towarzyszyły im także oddziały kawalerii; ziemia dudniła pod kopytami jak bęben. Każdy jeździec miał swojego *cheval de bataille*, świeżego *cheval de marche* (albo dwa), *cheval de poursuite* do polowania na jelenie i Turków, *cheval de parade* na uroczyste okazje, oraz gromadę opiekujących się nimi koniuszych. Dalej ciągnęła armia muszkietierów, a na końcu snuła się wzburzona, bezładna fala bosonogich pikinierów z dwudziestostopowymi pikami zarzuconymi na ramiona, co upodabniało ich oddziały do pogodnych, pokojowo nastawionych jeźdźców, które kładą kolce po sobie.

Augsburski handlarz znalazł tu wreszcie swój rynek, na którym mógłby sprzedać jęczmień z godziwym zyskiem. Kiedy jednak zobaczył, jak cały świat chrześcijański idzie na wojnę, pobożność owładnęła nim w stopniu nie mniejszym od chciwości. Nagle zapragnął pojechać dalej i na własne oczy ujrzeć cuda wschodu. Jack również doszedł do wniosku – widząc bosych i obdartych pikinierów i porównując ich do siebie samego, w kradzionym stroju podróżnym i doskonałych skórzanych butach – że w okolicach Wiednia będzie mu się wiodło lepiej. Wtopili się więc w ludzkie morze i krótkimi, szarpanymi pochodami osiągnęli

Linz, gdzie – jak twierdził kupiec z Augsburga – czekała na nich wielka *Messe*. Jack, który wiedział, że *Messe* oznacza po niemiecku mszę świętą, doszedł do wniosku, że Herr Augsburg zamierza odwiedzić w Linzu jakąś ważną katedrę.

W mieście skierowali się na południowy brzeg Dunaju, gdzie na nadrzecznej równinie rozłożył się wspaniały targ, teraz niemal całkowicie wchłonięty przez rozrastający się obóz wojskowy. Nigdzie jednak nie było widać katedry.

– *Die Messe!* – oznajmił triumfalnie Herr Augsburg.

W tej samej chwili Jack uświadomił sobie pewną niezwykłą właściwość języka niemieckiego: ze względu na raczej skromną liczbę słów występujących w niemczyźnie, często używano jednego wyrazu na określenie kilku różnych rzeczy. I *Messe* oznaczało nie tylko mszę, lecz także targowisko.

Przez Dunaj przeprowiała się właśnie inna armia, która przybyła do miasta z północy i teraz wąską stróżką sączyła się przez linzowskie mosty. Miejscowi przewoźnicy pracowali bez wytchnienia: płaskodennymi puchówkami przewozili na drugi brzeg armaty, beczki z prochem, paszę dla koni, żywność dla ludzi, bagaże, wierzchowce i żołnierzy. Jack znał kilka niemieckich słów, mówił trochę po francusku, poza tym znał, naturalnie, angielski oraz gwargę wagabundów. Ludzie, którzy przyjechali z północy, nie mówili żadnym z tych języków; nie miał pojęcia, czy są Szwedami, Rosjanami, czy przedstawicielami jeszcze jakiejś innej nacji.

Pewnego dnia z mostów i w puchówek dobiegła wrzawa i wiwaty, które szybko utonęły w łoskocie tysięcy końskich kopyt, gdy z lasów na północnym brzegu Dunaju wynurzyła się najwspanialsza kawaleria, jaką Jack widział w czasie swoich wojaży, a zjeździł przecież Anglię, Holandię i Francję. Na czele wojska jechał człowiek z całą pewnością będący królem. Nie był to pierwszy król w życiu Jacka, bo przecież służąc we Francji nieraz widywał na defiladach króla Ludwiczka – ale Ludwiczek tylko udawał; był jak aktorzyzna z teatru w Southwark, jak syn londyńskiej kurwy, który odziany w jarmarczne szatki zgrywa prawdziwego króla-wojownika.

Ten gość z północy nie był żadnym aktorem. Ponury wyraz jego twarzy zdawał się zapowiadać nadejście srogich czasów dla wielkiego wezyra. Jack, ogromnie zaintrygowany, kogo też ma przed sobą, znalazł wreszcie człowieka, który łamaną francuszczyzną wyjaśnił mu, że ogląda przemarsz armii polsko-litewskiej pod dowództwem groźnego Jana Sobieskiego, który zawarł przymierze z władcą Świętego Cesarstwa Rzymskiego i przysiągł odeprzeć Turków i przegnać ich aż do Azji. Jego wspaniała jazda w błyszczących pancerzach nosiła zaś miano skrzydlatej husarii.

Kiedy już król Jan Sobieski i jego husaria przekroczyli Dunaj, rozbili obóz i stawili się na *Messe* (w sensie religijnym), a podniecenie tłumu trochę opadło, Herr Augsburg – kupiec zbożowy – i Jack Shaftoe – żołnierz-wagabunda – zaczęli (każdy na własną rękę) rozważać, jaki wpływ może mieć aktualna sytuacja w Linzu na ich dalsze losy. W okolicach miasta obozowały teraz dwa (lub nawet trzy, jeśli wierzyć plotkom) spore oddziały jezdnych,

stanowiące awangardę znacznie liczniejszych armii muszkieterów i pikinierów – i wszyscy ci żołnierze musieli jeść. Zapasy dla nich znajdowały się na wozach, a wozy były ciągnięte przez konie. Sami żołnierze na nic by się zdali, gdyby nie wsparcie artylerii, a do dział również zaprzężono konie. Połączenie tych czynników stworzyło najlepszy na świecie zbożowy *Messe*; ceny w Linzu były trzykrotnie wyższe niż przy przeprawie przez Salz i dziesięciokrotnie wyższe od tych w Monachium. Herr Augsburg, który długo czekał na właściwy moment, teraz zaatakował, wygrywając intendentów Sobieskiego przeciw kupcom bawarskim, saskim i austriackim.

Jack z kolei zdawał sobie sprawę, że kawaleria tak wspaniała i dostojna jak skrzydlata husaria nie mogłaby istnieć bez olbrzymiej rzeszy wieśniaków wiodących wyjątkowo nędzny żywot, oraz że podobnej czeredy chłopstwa nie dałoby się długo utrzymać w biedzie, chyba że władcy Polski i Litwy byłiby wyjątkowo okrutni. Po widowiskowym przejściu Sobieskiego przez Dunaj z lasów wypłynęła niczym szara mgła armia żalonych nędzarzy, która szybko zaczęła gęstnieć na północnym brzegu rzeki. Nie chcąc do nich dołączyć, Jack wrócił na targ i odszukał Herr Augsburga, siedzącego na pustym wozie w otoczeniu dowodów krociowego zysku – obciążone kamieniami weksle, wystawione przez spółki handlowe z Genui, Wenecji, Lyonu, Amsterdamu, Sewilli i Londynu, piętrzyły się wszędzie na deskach wozu. Jack-żołnierz wdrapał się na wóz i na kwadrans przeistoczył w Jacka-aktora. W swojej nędznej francuszczyźnie, którą Herr Augsburg jako tako rozumiał, zaczął opowiadać o nieuchronnej Apokalipsie pod bramami Wiednia, o swojej gotowości, a właściwie gorącym pragnieniu oddania życia w owej batalii, a także o szczerzej nadziei, że uda mu się przed śmiercią powalić choć jednego Turka, lub, gdyby nie miał aż tyle szczęścia, że zdoła owego Turka choćby zranić, na przykład dźgnąwszy go zaostrzonym kijem czy uderzywszy innym przedmiotem, który akurat wpadnie mu w rękę. To pozwoli zdekoncentrować wyżej wzmiankowanego poganina i spowolnić jego ruchy, dzięki czemu inny chrześcijański żołnierz, uzbrojony w prawdziwy oręż, na ten przykład w muszkiet, zdąży wycelować, strzelić i ubić bezbożnika. Swoją wypowiedź gęsto przeplatał niby-papistowskim pseudoewangelicznym bełkotem i rzekomymi cytatami z Biblii, które, jak twierdził, pochodziły z Księgi Objawienia.

Udało mu się osiągnąć zamierzony cel: Herr Augsburg, chcąc mieć swój wkład w Apokalipsę, udał się z nim na targ wojskowy w centrum Linzu, gdzie kupił mu muszkiet i kilka użytecznych drobiazgów. Tak wyposażony Jack odmaszerował i zaoferował swoje usługi kapitanowi austriackiego regimentu. Kapitanowi w równym stopniu spodobały się jego buty i muszkiet (bo też prezentowały się imponująco), kiedy zaś rekrut udowodnił, że naprawdę umie się obchodzić z bronią, natychmiast dostał przydział. I tak oto Jack został muszkieterem.

Przez następne dwa tygodnie maszerował drogami, po których przeszły tysiące ludzi i koni, i wpatrywał się w plecy poprzedników, ledwie widoczne w tumanach kurzu. W uszach rozbrzmiewało mu dudnienie bosych stóp, butów i kopyt, skrzypienie wyładowanych po

brzegi wozów z jęczmieniem, niezrozumiałe okrzyki woźniców, marszowe pieśni śpiewane w obcych językach, oraz dźwięk trąbek i bębnow, za pomocą których sygnaliści rozpaczliwie usiłowali nie dopuścić do przemieszania się ich tłumu z obcym tłumem.

Na głowie miał szarobury filcowy kapelusz z wielkim okrągłym rondem, które musiał podpinać do góry – z jednej lub nawet z obu stron – jeśli chciał coś widzieć. Muszkietery z dłuższym stażem używali do tego celu ozdobnych broszy z piórami; Jack musiał się zadowolić szpilką. Tak jak wszyscy angielscy muszkietery, swoją broń nazwał pieszczotliwie Burą Bess. Miał najnowszy model muszkietu, z niderlandzkim zamkiem, którego elementem był mały zacisk z umieszczoną w nim krzemienną drzazgą. Kiedy pociągnęło się za spust, zacisk obracał się wokół poziomej osi i ze zgrzytem uderzał w umieszczoną nad panewką stalową płytkę. Snop iskier tryskał na panewkę, powodując – zazwyczaj – zapłon podsypki. Dobra połowa żołnierzy zmagala się jednak z muszkietami starszego typu, zaopatrzonymi w zamki lontowe. Strzelcy nie rozstawali się tam z przeplecionym przez palce kawałkiem wystrzępionego sznurka, którego jeden koniec cały czas się tlił – przynajmniej dopóki nie zamókł, a właściciel pamiętał, żeby od czasu do czasu nań dmuchnąć. Mechanizm sprężynowy podobny do tego, który w muszkiecie Jacka przytrzymywał krzemień, powodował bezpośredni kontakt lontu z podsypką i – najczęściej – jej zapłon.

Podobnie jak wszyscy muszkietery, Jack niósł przerzucony przez ramię skórzany pas, z którego zwieszało się kilkanaście drewnianych flakoników, wielkością i kształtem przypominających kciuk. Pojemniki były zamknięte zatyczkami, a każdy z nich mieścił jeden gotowy do użycia ładunek prochowy; podczas marszu postukiwały o siebie melodyjnie. Jack miał również prochownicę; podczas przerw w walce mógł z niej uzupełniać zawartość flakoników. W najniższym punkcie bandolieru zwieszała mu się sakiewka z tuzinem ołowianych kul.

W skład kompanii wchodziło około dwustu podobnych do Jacka żołnierzy. Oddział walczył zbity w ciasny czworobok – nie dlatego że wojacy lubili ścisk, ale po to, by utrudnić przeciwnikowi doskoczenie do nich i obcięcie im kawałka ciała za pomocą broni siecznej. Źródłem owego utrudnienia był zaś fakt, że w środku czworoboku strzelców mieścił się mniejszy czworokąt ludzi uzbrojonych w niewiarygodnie długie, zastrzone drągi zwane pikami. Rozmiary czworoboków i długość drągów dobierano w taki sposób, aby po opuszczeniu pik do poziomu i wycelowaniu ich we wroga (pomiędzy stłoczonymi dookoła muszkietarami), ich groty wystawały nieco poza obręb formacji. W ten sposób – dopóki żołnierze nie rozluźnili szyków – piki odbierały nieprzyjacielskiej jeździe ochotę do rozjechania strzelców zajętych czyszczeniem i przeladowywaniem broni, które to rytuały

nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach zdawały się trwać niewiele krócej od mszy świętej⁵.

Tak w każdym razie wyglądała teoria, bo nikt im nie powiedział, co dokładnie się stanie, kiedy Turcy napną swoje cudzoziemskie łuki refleksyjne i zasypią muszkietersko-pikinierskie formacje deszczem strzał o żelaznych grotach. Tak czy inaczej, z Linzu Jack wymaszerował w takim właśnie oddziale, wydającym rozliczne przedziwne odgłosy, których źródłem były – między innymi – drewniane pojemniczki z prochem. Jednakże w przeciwieństwie do zastępów lontowych jego kompania nie dymiała, nie posapywała ani nie dmuchała w lonty.

Zostawili Dunaj za sobą, po lewej, ale ledwie zdążyli się oddalić od jego brzegu, gdy oddziały zaczęły się doganiać i zbijać w większe grupy – maszerowali teraz pod górę, atakując od strony ogona towarzyszące im pasmo wzgórz. Dźwięki bębnów i trąbek, nieco stłumione w lesie, niosły się echem po dolinach, kiedy kompanie dzieliły się i rozpraszały, wyszukując przełęcze pomiędzy pagórkami. Jack najczęściej nie miał pojęcia, gdzie jest i dokąd maszeruje, ale w tych rzadkich chwilach, kiedy odzyskiwał orientację, zdawał sobie sprawę, że Polacy znajdują się gdzieś na prawo od niego, a Saksończycy i Bawarczycy – na lewo.

W porównaniu z angielskimi wzgórzami te, przez które teraz szli, były wysokie, strome i gęsto zalesione. Rozdzielały je jednak szerokie doliny, którymi maszerowało się łatwo i przyjemnie. Poza tym, nawet kiedy żołnierze musieli brnąć przez góry, a nie przeciskać się pomiędzy nimi, przeprawa okazywała się łatwiejsza, niż się spodziewali. Wysokie, smukłe drzewa miały białą korę, a poszycie – jeśli w ogóle jakieś było – przed przybyciem Jacka zostało dokumentnie stratowane pod stopami tych, którzy przeszli tym szlakiem wcześniej.

Zorientował się, że dotarli w okolice Wiednia, kiedy przestali maszerować i zaczęli biwakować. Rozbili obóz w wąskiej dolinie o stromych zboczach, gdzie słońce późno wstawało i wcześniej zachodziło. Część towarzyszy broni Jacka rwała się do walki, on jednak myślał przede wszystkim o tym, że reprezentująca świat chrześcijański armia jest w gruncie rzeczy gigantyczną machiną do przetwarzania jęczmienia w koński nawóz i że jęczmienia wkrótce zabraknie. A wtedy coś będzie musiało się wydarzyć.

Po drugiej nocy spędzonej w dolince wymknął się przed świtem z obozu i wspiął na jedno ze zboczy, aż znalazł się na płaskim terenie – po części po to, by odetchnąć świeżym powietrzem, po części zaś w celu obejrzenia miasta z odpowiedniej wysokości. Czerwone promienie słońca przeciskały się przez gęstwinę białych pni, kiedy dotarł nad urwisko, z którego rozpościerał się doskonały widok na leżący kilka mil dalej Wiedeń.

⁵ Powód, dla którego pikinierzy walczyli w otoczeniu muszkietarów, zamiast sami otoczyć ich ochronnym pierścieniem, był prosty: nawet gdyby strzelcy mierzyli do nieprzyjaciela ponad lub pomiędzy ich głowami, zbłąkane kule zbierałyby wśród pikinierów okrutne żniwo. Często się bowiem zdarzało, że pocisk miał mniejszą średnicę od przekroju lufy muszkietu i przed opuszczeniem lufy obijał się o jej ścianki. Mógł wówczas wylecieć z niej pod dowolnym, całkowicie nieprzewidywalnym kątem.

Rozległe fortyfikacje przytłaczały miasto swymi rozmiarami, same jednak ginęły w o wiele większym, chociaż liczącym sobie zaledwie kilka miesięcy mieście tureckim. Wiedeń był zatem najmniejszym elementem obrazu, jaki roztaczał się przed oczami Jacka, ale w porównaniu z resztą przyciągał wzrok jak liturgiczny kielich w katedrze. Niestety, nawet z daleka prezentował się niezbyt atrakcyjnie. Nie było widać ulic, ponieważ wszędzie ciągnęły się czerwone dachy długich, chudych domów, mierzących po pięć i sześć pięter. Tylko kręte czarne szczeliny między nimi zdradzały przebieg dróg – ciemnych wąwozów, w których po dnie wartkim strumieniem płynęły ścieki, a głosy mieszkańców nosły się zwielokrotnionym echem. Jack patrzył, jak spieniony ślad miasta rozlewa się po przylegającym do niego kanale, a w oddali sięga nurtu Dunaju. Po samym kolorze wody poznał, że w mieście szykuje się epidemia biegunki. Nawiasem mówiąc, w tureckim obozie choroba już się rozplenila.

W centrum Wiednia, nieco w bok od jego geometrycznego środka, stał najwyższy budynek, jaki Jack w życiu widział. Była to katedra z wieżą przykrytą stożkowatym dachem ozdobionym niezwykłym symbolem: gwiazdą tkwiącą w rozwartym dziobie półksiężyca jak kij w paszczy rekina. Znak ten wydawał się być proroczym odwzorowaniem obecnego położenia miasta. Dostępu do Wiednia od północy bronił kanał, który odłączał się od Dunaju, biegł niczym fosa wzdłuż północnych murów, po czym zwracał znów ku rzece. Przerzucone przez niego mosty zburzono, żeby nikt nie mógł z tej strony dostać się za mury – ani się zza nich wydostać. Poza tym odcinkiem miasto szczelnie otaczał turecki obóz, najwyższy w punktach styku murów z kanałem, w środkowej zaś części szeroki jak sam Wiedeń, a przez to przypominający półksiężyc, który między rogami więzi miasto. Z tego roztrzepotanego świata pogańsko wielobarwnych namiotów, sztandarów i proporców tu i ówdzie sterczały zgliszczą wiedeńskich przedmieść, niczym wręgi rozbitego statku z fal przyboju.

Pomiędzy obozowiskiem Turków i miastem chrześcijan ciągnął się pas ziemi. Naiwnemu obserwatorowi wydałby się pusty i niewinny, choć w intrygujący sposób porzeźbiony i uformowany. Jackowi, który był przecież zawodowcem, wystarczyło zmrużyć oczy i pokręcić trochę głową, aby zrozumieć, że cały ten obszar jest poprzecinany liniami strzału, trajektoriami kul armatnich i innymi geometrycznymi wytworami saperskiej fantazji równie gęsto, jak przestrzeń nad pokładem statku elementami takielunku. Korytarzem między obozem i miastem władała bowiem niepodzielnie inżynieria, o czym przekonałby się każdy, kto by się w nim znalazł, i to w ułamku sekundy, potrzebnym kuli muszkietowej, żeby go doścignąć. Nie pierwszy raz Jack doszedł do wniosku, że Imperium Inżynierskie rośnie w siłę – w przeciwieństwie do innych, starszych i podupadających już cesarstw. Podobnie jak Turcy mieli swój styl budowania, a Frankowie swój, saperzy również do znudzenia przetwarzali te same motywy: pochyłe ściany podsypane ziemią, mające odbijać lub połykać kule armatnie, wiły się gęstym zygzakiem, a w narożnikach jeżyły bastionami, skąd ostrzeliwano przyległe odcinki umocnień. Wiedeń miał, naturalnie, tradycyjny mur obronny z epoki preinżynierskiej

– cienki, kamienny, zwieńczony blankami – ale w obecnych czasach pełnił on rolę co najwyżej zabytkowej ciekawostki. Nowoczesne fortyfikacje wchłonęły go i stłamsiły.

Oprócz katedry miasto mogło się pochwalić tylko jednym budynkiem, wartym zatrzymania na nim wzroku. Olbrzymi gmach – wysoki na cztery piętra i długi na strzał z kuszy – miał kolor śmietanki i mnóstwo okien. Stał na skraju Wiednia, wznosząc się wysoko ponad mury; odchodzące od niego w tył boczne skrzydła skrywały dziedzińce, o których Jack wiedział, że nigdy nie będzie dane mu ich zobaczyć. Bez wątpienia był to pałac władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Miał wysoki, stromy dach (a zatem i obszerne poddasze), opatrzony rzędem lukarn zwieńczonych śmiesznymi, miedzianymi kopułkami, kształtem przypominającymi spiczaste hełmy. W jednej z lukarn Jack zobaczył (a w każdym razie wmówił sobie, że widzi, choć odległość była spora) wyzierającą na zewnątrz postać w białym stroju. Kusilo go, żeby naprędce obmyślić – i zrealizować – jakiś plan, w którym za brawurowe odbicie uwięzionej księżniczki odebrałby sowitą nagrodę, ale od osoby w oknie dzieliły go całkiem konkretne przeszkody, a główną stanowił zbudowany u samych stóp pałacu olbrzymi bastion, wrzynający się w stok bojowy niczym lemiesz olbrzymiego pługa w puste pole. Poza tym wielki wezyr postanowił akurat w tym miejscu przypuścić szturm na miasto.

Turcy najwyraźniej maszerowali zbyt pośpiesznie, aby wlec ze sobą działa oblężnicze przez całe Węgry, i teraz byli skazani na rozkopywanie arcydzieła sztuki inżynierskiej łopata po łopacie. Fortyfikacje miały równe, regularne kształty, toteż ślady tureckiej roboty rysowały się wśród nich wyraźnie jak kretowiska w książęcym ogrodzie. Wyrte w idealnie płaskim stoku rowy tworzyły istny labirynt. Na ich brzegach usypano wały z wydobytej z nich ziemi, co upodabniało je do obrzmiałych, zakażonych ran. Kilka rowów prowadziło z serca tureckiego obozowiska wprost pod pałac cesarski – były to szerokie okopy-aleje, od nich odchodziły na boki niezliczone węższe okopy-ulice, biegnące w przybliżeniu równolegle do murów miejskich i wykopane najgłębiej, jak się tylko dało, a przy tym w dostatecznie dużych odstępach, aby nie groziło im zawalenie. Przywodziły na myśl szczeble leżącej na ziemi drabiny, po której Turcy wspięli się aż do podnóży pierwszych rawelinów – dzieł fortyfikacyjnych w kształcie grotu strzały, sterczących pomiędzy bastionami. W tej okolicy zeszli pod ziemię, zaminowali raweliny ładunkami z czarnego prochu i wysadzili je w powietrze. Umocnienia osypały się lawinami gruzu, tak jak stopiony воск ze świecy przelewa się przez jej górną krawędź i psuje perfekcyjny kształt gruzłowatym wodospadem. W nieregularnych lawiniskach wyrto nowe okopy, które pozwoliły Turkom podejść do murów na odległość strzału z muszketu, aby osłaniać saperów i minerów, a ci pomału, kopiąc nowe rowy, pokonali suchą fosę. W końcu przypuścili atak na ogromny bastion pod pałacem, był to jednak powolny sposób prowadzenia wojny i w tej akurat chwili pod murami nie działo się nic ciekawego. Z równym napięciem można by śledzić wysiłki rozrastającego się drzewa, próbującego pochłonąć kamienne ogrodzenie.

Myśli Jacka zaprzętał jednak zupełnie inny problem. Zastanawiał się mianowicie, gdzie można się było spodziewać najcenniejszych łupów? Wybrał parę obiecujących miejsc, zarówno w obozie tureckim, jak i w samym mieście, i zanotował w pamięci kilka punktów orientacyjnych, żeby w tumanach dymu i bitewnym rozgardiaszu nie zgubić drogi.

Zawróciwszy w stronę obozu, stwierdził, że na wzgórzu, dosłownie rzut kamieniem od niego, znajduje się jeszcze jeden człowiek. Wyglądał na mnicha albo pustelnika, miał bowiem na sobie prosty, workowaty płaszcz bez żadnych ozdób. W pewnym momencie wyjął spod niego miecz – nie jeden z tych cienkich jak igły rapierów, którymi dandysi dźgali się na londyńskich i paryskich ulicach, lecz raczej zabytek z czasów wypraw krzyżowych: dwuręczną broń z prostym jelcem zamiast koszowej gardy. Takim mieczem Ryszard Lwie Serce mógłby mordować wielbłądy na ulicach Jerozolimy. Pustelnik przyklęknął na jedno kolano, czyniąc to z niezwykle werwą i zapałem. Czasem widzi się, jak arystokrata klęka w kościele: zajmuje mu to dobre dwie, trzy minuty, skrzywienie ścięgien i trzeszczenie stawów niesie się echem po całej nawie, a delikwent kiwa się na boki, wywołując panikę wśród podtrzymującej go służby. Ten surowy człowiek jednak uklęknął bez wysiłku, wręcz z pasją, o ile to w ogóle możliwe. Zwrócony twarzą w stronę Wiednia, wbił miecz w ziemię na podobieństwo stalowego krzyża. Poranny brzask kładł się na jego obliczu, lśnił na kłindze broni i budził barwne refleksy w klejnotach osadzonych w jelcu i rękojeści. Mężczyzna pochylił głowę i zaczął coś mamrotać po łacinie. Oparłszy jedną rękę na mieczu, w drugiej przesuwiał paciorki różańca, co Jack odebrał jako sygnał do zejścia ze sceny. Zanim się jednak ulotnił, rozpoznał w modlącym się pustelniku króla Jana Sobieskiego.

* * *

Tego samego ranka wydano żołnierzom racje brandy, w myśl wojskowego dogmatu, że pijany żołnierz to skuteczny żołnierz. Alkohol z całą pewnością był znakomitym przedmiotem hazardu, więc natychmiast w ruch poszły kości i karty. Wkrótce Jack miał w żołądku z pół tuzina porcji trunku, kamraci zaś spoglądali na niego spode łba i mamrotali pod nosem najgorsze wyzwiska w swoich barbarzyńskich językach. Wtedy jednak dźwięk sygnalówek i łoskot bębnow poderwały wszystkich na nogi (Jacka z trudem), a potem nastąpiło kilka godzin dreptania ze wzrokiem utkwionym w plecy idących przodem kompanów, gdy cały widnokrąg jeżył się szczecina pik i bagnetów.

Niczym ulewny deszcz, który spadł na stoki gór, kompanie i regimenty przesączały się przez las w głąb wąwozów, ich dnem spływały z kolei do dolin i wydostały się na równinę, gdzie rozlały się ciemną, wezbraną rzeką i runęły na Wiedeń.

Zagrały działa, najpierw z jednej strony, potem z drugiej, ale jeśli nawet tureckie kartacze żęły wroga jak zboże, Jack niczego takiego nie widział. Poruszając się forsownym marszem, pograżyli się najpierw w tumanach kurzu, a później w gęstych kłębach prochowego dymu.

Potem ziemia zadrżała im pod nogami, cały oddział znieruchomiał i odruchowo próbował się cofnąć. Stłoczeni ludzie powpadali na siebie nawzajem, dym skłębił się i rozwiął i w litej chmurze błysnęły pancerze, okucia, zaślniło złoto i polerowany mosiądz. Jack zdał sobie sprawę, że tuż obok nich król Jan Sobieski prowadzi husarię do natarcia.

Jeszcze przez dłuższą chwilę po ich przejeździe grudy ziemi sypały się jak grad na głowy piechurów. Szarża Polaków wycięła w polu bitwy pusty korytarz i nagle Jack stwierdził, że nikogo przed nim nie ma; jard wolnej przestrzeni wydał mu się bardziej atrakcyjny niż kufel zimnego piwa. Nie mógł się powstrzymać. Skoczył naprzód. Jego towarzysze zrobili to samo. Szyk został złamany i członkowie różnych formacji przemieszali się na ziemi niczyjej za plecami polskiej jazdy. Jack pędził razem ze wszystkimi, kierowany dwojaką motywacją: bał się, że biegnący z tyłu mogą go stratować, a poza tym chciał jak najszybciej dopaść spodziewanych łupów. Wyteżył słuch, chcąc w porę usłyszeć kanonadę tureckich dział lub tętent kopyt cofającej się w panice kawalerii, ale niczego takiego nie słyszał. Owszem, muszkiety nie milkły ani na chwilę, lecz w ich palbie nie było rytmu właściwego regularnej wymianie ognia.

Omal się nie przewrócił, zahaczywszy nogą o leżące na ziemi odcięte ramię, obleczone w egzotyczną, orientalną materię. Natknął się jeszcze na kilka kończyn, a potem już miał kompletne zwłoki, głównie tureckie, często ubrane w kamizelki z kolczugi o drobnych okach, ozdobione złotymi gwiazdami i wysadzanych klejnotami odznakami. Nie on jeden zwrócił na nie uwagę: z gardeł otaczających go żołnierzy dobył się ryk radości. Wszyscy biegli na złamanie karku, coraz bardziej oddalając się od siebie i gubiąc w labiryncie, który w tumanach dymu i kurzu wydał się Jackowi prawdziwym miastem, nie tak może dużym jak Londyn, lecz z pewnością znacznie większym od Strasburga albo Monachium. Miastem namiotów. Ze stożków z tkaniny, wspartych na pojedynczych centralnie ustawionych masztach i przymocowanych do ziemi rozchodzącymi się promieniście odciągami, zwieszały się płachty materiału tworzące ściany. Namioty wykonano nie ze zwykłego płótna, lecz z ozdobnej materii, haftowanej w gwiazdy, półksiężycy i wypisane pająkowatym alfabetem słowa.

Jack wpadł do pierwszego z brzegu namiotu. Przeszedł po grubym dywanie, ozdobionym motywem przeplatających się kwiatów, i stanął oko w oko z kotem wielkości wilka, o złocistej, cętkowanej sierści, w wysadzanej klejnotami obroży. Przewleczony przez ucho w obroży łańcuch przykuwał go do masztu. Ponieważ Jack nigdy wcześniej nie widział kota, który mógłby go zjeść, wycofał się ostrożnie z namiotu i ruszył dalej. Na skrzyżowaniu dwóch szerszych traktów natknął się na wykładany ceramicznymi płytkami stawek z fontanną, w którym pływała olbrzymia złota rybka. Nadmiar wody przelewał się do rowu i trafiał prosto do ogródka, gdzie kwitły prześliczne białe kwiaty. W umieszczonej na kołach donicy rosło drzewo obwieszane niezwykłymi owocami. W jego gałęziach mieszkwały rubinowoczerwone i szmaragdowozielone ptaki o haczykowatych dziobach. Wrzeszczały

ogłuszająco, obrzucając Jacka wyrafinowanymi obelgami w nie znanych mu językach. Martwy Turek o sumiastych, wywoskowanych wąsiskach, w jedwabnym, morelowym turbanie na głowie, leżał w marmurowej wannie do połowy wypełnionej krwią. Wszędzie kręcili się zwycięscy pikinierzy i muszkietrzy, zbyt oszołomieni, żeby zająć się zbieraniem łupów.

Jack potknął się i runął jak długi na płachtę czerwonego materiału. Kiedy się pozbierał, ze zdumieniem stwierdził, że wylądował na sztandarze o boku długości dobrych pięciu metrów, haftowanym złotą nicią w miecze i pogańskie napisy. Chorągiew była zbyt duża, żeby ją wynieść, więc zostawił ją tam, gdzie znalazł, i zaczął się błąkać po alejach, ulicach i zaułkach między namiotami, na każdym kroku napotykając ozdobne latarenki; kadzielnice z kutego srebra; muszkiety o kolbach inkrustowanych macicą perłową, lazurytem i złotem; ręczne granaty wielkości grejpfrutów; turbany z zapinkami wysadzanych szlachetnymi kamieniami; bębny; podobne do olbrzymich kadzi mózdzierze obłożnicze i leżące obok nich sterty pocisków, oplecione lontem jak pajęczyną; proporce i buńczuki zwieńczone pękami końskiego włosia i miedzianymi półksiężycami, wyglądającymi jak rozwarte usta trupów; wyszywane kołczany; oraz porzucone wyciory (drewniane i żelazne). Bawarczycy z lontowymi muszkietami biegali po obozie bez ładu i składu. Nadal trzymali przeplecione przez palce lonty, które żarzyły się intensywnie, podsycane wywołanymi ruchem podmuchami powietrza. Tylko te czerwone punkciki, podrygujące we wszechobecnej ćmie, i wlokące się za nimi długie, jaśniejsze smugi dymu zdradzały obecność muszkietarów.

Nagle rozległ się błyskawicznie narastający tętent kopyt. Jack odwrócił się w samą porę, by stanąć twarzą w pysk z koniem zakutym w błyszczący pancerz. Nad końskim łbem dostrzegł pancernego jeźdźca w skrzydlatym hełmie, podającego mu uzdę i krzyżącego coś w języku, który – jak Jack się domyślił – musiał być językiem polskim. Uzda stanowiła część uprzęży drugiego wierzchowca, *cheval de bataille*, również ozdobnie opancerzonego, ale zarówno zbroja, jak i kosztowne siodło – zdobione półksiężycami i zaopatrzone w pudełkowate strzemiona – były wykonane w zupełnie innym stylu niż husarski rynsztunek. Wyglądało na to, że koń należał wcześniej do jakiegoś wodza Turków. Husarz znów wyciągnął do Jacka dłoń z uzdą i krzyknął coś rozkazującym tonem w swojej niezrozumiałej mowie. Jack zacisnął pięść na uździe.

Co dalej? Czyżby polski rycerz spodziewał się, że Jack dosiądzie rumaka i razem przejadą się po obozowisku? Raczej nie. Wskazywał uparcie na ziemię, powtarzając w kółko te same parę słów, dopóki Jack nie skinął głową, udając, że go rozumie. W końcu husarz dobył szabli, przytknął ją Jackowi do piersi, powiedział coś bardzo ważnego i oddalił się galopem.

Nagle wszystko stało się jasne. Husarz miał poważne plany, jeśli idzie o plądrowanie obozu nieprzyjaciela, a turecki wierzchowiec wpadł mu w ręce z samego rana. Chciał go zatrzymać, ale zawadzałby mu podczas pracowitego dnia. Gdyby uwiązał konia do drzewa,

ktoś na pewno by go ukradł. Znalazł więc uzbrojonego chłopca (w jego przekonaniu każdy piechur musiał być chłopem) i zrobił z niego żywy palik – Jack miał stać nieruchomo i trzymać konia za uzdę, dopóki nowy właściciel po niego nie wróci, nawet do wieczora, gdyby okazało się to konieczne.

Ledwie Jack zdążył sobie to poukładać w głowie i dostrzec podstawową lukę w takim rozumowaniu, kiedy z tumanów kurzu i dymu wynurzył się potwór. Z początku pędził wprost na Jacka, dopiero w ostatniej chwili skręcił i wyminął człowieka z koniem. Czegoś takiego jeszcze Jack nie widział; bestia musiała pochodzić wprost z kart Księgi Objawienia. Miała pióra i dwie nogi, była zatem – najprawdopodobniej – ptakiem, ale ptakiem wyższym od dorosłego mężczyzny i najwyraźniej nie umiejącym latać. Biegła jak kurczak, kolebiąc się na boki dla zachowania równowagi. Szyję miała długą i bezwłosą jak męskie ramię, a przy tym pomarszczoną jak przyrodzenie Jacka.

Ścigała ją wataha pieszych żołnierzy.

Trzeba w tym miejscu podkreślić, że Jack nie miał zielonego pojęcia, co to za gigantyczne ptaszysko (o ile w ogóle było to ptaszysko) minęło go przed chwilą; nie przysłoby mu do głowy, żeby je gonić, chyba że z czystej ciekawości. Kiedy jednak zobaczył, że inni ludzie je ścigają, kiedy dostrzegł malujący się na ich twarzach rozpaczliwy wysiłek, poczuł nagle nieodpartą chęć przyłączenia się do pościgu. Z pewnością nie biegł tak bez powodu. Ptak albo był sporo wart, albo – przynajmniej – miał smaczne mięso.

Skrzydlatemu husarzowi pewnie nawet przez myśl nie przeszło, że Jack mógłby dosiąść konia. W jego rodzinnych stronach chłop nie umiał jeździć konno, tak samo jak nie mówił po łacinie ani nie tańczył menuetów. A możliwość, że sprzeciwi się rozkazowi uzbrojonego feudała, była jeszcze mniej prawdopodobna niż to, że uda mu się wskoczyć na siodło.

Jack nie był jednak polskim chłopem, bosonogim i przykutym do ziemi; nie był nawet francuskim chłopem w drewniakach, niewolnikiem księdza i poborcy podatków. Jack był chłopem angielskim – miał porządne buty, nadane od Boga prawa (zapisane ponoć gdzieś w jakiejś Karcie), oraz naładowany muszkiet. Dosiadł rumaka niczym prawdziwy lord, zręcznie zawrócił w miejscu, klepnął go po zadzie i ruszył z kopyta. Chwilę później przemknął przez środek goniącej ptaka grupy, która całą nadzieję na jego schwytanie pokładała w możliwości, że ofiara zapomni o pościgu i przestanie biec. Jack nie zamierzał do tego dopuścić. Dźgnął konia obcasami i śmignął za ptaszyskiem, starając się je spłoszyć i zmusić do jeszcze szybszego biegu – co też w pełni mu się udało, dzięki czemu zostawił konkurentów daleko w tyle. Tylko że ptak rozwijał wręcz niewiarygodną szybkość. W biegu trzepotał skrzydłami, posługując się nimi jak linoskoczek balanssem. Patrząc od tyłu na rozpościerane od czasu do czasu skrzydła, Jack przypomniał sobie francuskich elegantów w towarzystwie dam, których widywał na defiladach. Wszyscy nosili przy kapeluszach pióra tego... no... jakżeż on się nazywał... strusia!

I nagle powód wesołej gonitwy stał się oczywisty: strusia można było po schwytaniu oskubać, zabrać pióra na targ, na którym handlowano egzotycznymi ozdobami, i tam wymienić je na srebro.

No dobrze, pomyślał Jack, dokonując w myślach szybkich rachunków. Mógł, przeszukawszy cały turecki obóz, znaleźć w nim cenniejsze łupy – ale legiony żołnierzy Chrystusa przeczesywały go już rzetelnie i prawdopodobnie uprzedzą w tym Jacka. Najpiękniejsze skarby i tak zgarną konni rycerze, a muszkieterom i pikinierom zostanie bijatyka o drobiazgi. Ptasie pióra nie były najcenniejszym łupem, ale lepszy struś w garści niż kanarek na dachu, zwłaszcza że strusiowi Jack deptał już po piętach. Pióra były małe i lekkie; bez problemu ukryje je przed wścibskim wzrokiem i łapami celników, a gdyby przyszło mu wieźć je przez pół Europy na handel, nie będą mu bardzo ciężkie. Pościg tymczasem trwał i nadzieje Jacka rosły, struś oddalał się bowiem od źródła zgiełku i zamieszania, zmierzając ku takim częściom obozu, gdzie nic się nie działo. Gdyby jeszcze przystanął, chociaż na chwilę, żeby Jack mógł go ustrzelić z muszkietu...

Struś zagdakał, zamachał skrzydłami i zniknął. Jack ściągnął wodze i ostrożnie zajechał na skraj okopu. Nie wiedział, gdzie się znajduje, ale transeja była spora. Popędził konia, spodziewając się instynktownego oporu, lecz zwierzę z ochotą zaczęło wyszukiwać sobie drogę na pochyłej ziemnej ścianie i zsuwać się w głąb rowu. W błocie na dnie widniały świeże odciski strusich łap. Jack ruszył ich śladem.

Co kilka jardów transeję przecinały wąskie okopy, odchodzące od niej pod kątem prostym i pozbawione palisad z zastrzonych kołków, jakimi Turcy zbroili okopy narażone na nieprzyjacielski atak. Jack doszedł więc do wniosku, że nie znajduje się w zewnętrznym pierścieniu umocnień obronnych, który miał chronić obozowisko przed natarciem chrześcijan, lecz w okopach stanowiących część fortyfikacji oblężniczych. Dym i unoszący się w powietrzu kurz uniemożliwiały orientację w terenie; Jack nie miał pojęcia, czy podąża w stronę Wiednia, czy może w przeciwną. Dopiero gdy zwrócił uwagę na to, od której strony spiętrzone nad okopami wybraną z nich ziemię, aby chroniła tureckich żołnierzy przed kulami z muszkietów, zorientował się, że obaj – i struś, i on – zmierzają prosto do miasta.

Ściany transei stawały się coraz wyższe i coraz bardziej strome; od pewnego miejsca wymagały wzmocnienia palami i szalunkiem z rozszczepionych kłód drewna, a później nieoczekiwanie połączyły się nad głową Jacka, tworząc łukowate sklepienie tunelu. Jack wstrzymał konia. Ciemny korytarz był wystarczająco szeroki, żeby dwóch lub nawet trzech konnych mogło nim jechać obok siebie. Wydrążono go w trzewiach stromego wzgórza, które znienacka wyrastało na gładkiej poza tym równinie. Kiedy dym na chwilę się rozwiął, Jack zadarł głowę i dostrzegł majaczącą w górze okaleczoną ścianę olbrzymiego bastionu, oraz – jeszcze wyżej – dach cesarskiego pałacu.

Domyślił się, że ma przed sobą podkop, gigantyczną minę, wykopaną przez Turków w nadziei wysadzenia bastionu w powietrze. Tunel miał podłogę z drewnianych bali,

wprasowanych w błoto pod ciężarem zaprzęzonych w woły wozów, którymi wywożono urobek i dostarczano proch. W miękkim bloku odcisnęły się ślady strusia: po co miał się ograniczać do chowania głowy w piasek, skoro mógł się w całości schować pod ziemią, i to nawet nie musząc się schylać? Jack nie był zachwycony tym, że musi zagłębić się w tunel, ale kości zostały rzucone. Z łupieżczego punktu widzenia miał mały wybór: albo struś, albo nic.

Zgodnie z zasadami rzetelnej sztuki sapersko-górnicznej, przy wjeździe do tunelu zgromadzono zapas pochodni, które spokojnie namakały w wiadrze z olejem. Jack wziął jedną z nich, wsadził w dogasający koksownik, odczekał, aż zajmie się ogniem, po czym ruszył w głąb przejścia, prowadząc konia za uzdę.

Tunel, starannie podstemplowany i oszalowany, przez pewien czas opadał łagodnie, dopóki nie osiągnął poziomu wód gruntowych. Tam na krótkim odcinku zmieniał się w paskudne grzęzawisko, po czym zaczynał się wznosić. Jack dostrzegł w oddali światło i zwrócił uwagę, że na drewnianej posadzce ciągnie się lśniąca smuga świeżej krwi. Ten widok obudził w nim resztki zdrowego rozsądku i ostrożności: cisnął pochodnię do wody i zwolnił kroku.

Blask, który zwrócił jego uwagę, rozświetlał pustą przestrzeń znacznie rozleglejszą od samego tunelu: komorę wybraną w ziemi u stóp... U stóp czego? Cofnąwszy się nieco pamięcią, Jack zdał sobie sprawę, że pokonał już ładny szmat drogi pod ziemią; z pewnością przejechał pod całym bastionem i dotarł co najmniej do wewnętrznych murów miasta. Zbliżywszy się zaś do źródeł światła (kilku sporych latarni), zorientował się, że podkop wraz z podporami i szalunkiem wpasował się w strukturę tkwiącą w ziemi od setek lat: wszędzie widział smołowane pale, white jeden przy drugim w grunt, oraz murowane cokoły z cegły i kamienia. Turcy dokopali się do fundamentów jakiejś olbrzymiej budowli.

Podążając śladem strużki krwi, zobaczył kilka malutkich, jaskrawych namiocików, ustawionych – z niepojętych, istic tureckich przyczyn – na samym środku podziemnej komory. Niektóre jeszcze stały, inne oklapły bezwładnie. Dwóch ludzi cięło namioty na odlew, wymierzając im krótkie ciosy szabli. Struś stał z boku i obserwował ich, przekrzywiwszy z zaciekawieniem głowę. Kiedy namioty osuwały się na ziemię, wypływała z nich krew.

W namiocikach byli ludzie! A ci dwaj metodycznie ich mordowali, jednego po drugim.

Jack mógłby bez trudu zastrzelić strusia, ale z pewnością zwróciłoby to uwagę tureckich siepaczy, ci zaś wyglądali naprawdę przerażająco. Byli przy tym jedynymi żywymi Turkami, jakich Jack widział tego dnia, i jedynymi, którzy mogliby wyrządzić chrześcijaninowi krzywdę. Wolał ich nie prowokować.

Szabla odcięła czubek jednego z namiotów. Rozległ się krzyk kobiety, szybko uciszony następnym ciosem.

Czyli egzekutorzy mordowali kobiety, zapewne należące do jednego ze słynnych haremów. Jackowi przeszło przez myśl, że londyńskie niebieskie ptaki mogłyby mu nie uwierzyć, gdyby wróciwszy do domu utrzymywał, że widział żywego strusia i turecki harem.

Refleksja ta jednak szybko ustąpiła miejsca rozmyśleniom innej natury. Oto bowiem nastąpiła jedna z tych wiekopomnych chwil, kiedy Jack miał sposobność zachować się głupio w sposób, który był znacznie bardziej interesujący niż to, co podpowiadał mu jego nudny zdrowy rozsądek. Miał wrażenie, że życie dosłownie co kilka dni stawia go przed podobnym wyborem. Bob był zupełnie inny; nie mógł się nadziwić, że choć prowadzą podobny żywot, to jednak tak bardzo się różnią, że jeden z nich co rusz ma okazję popisania się swoją bezmyślnością, drugiemu zaś to się nigdy nie zdarza. Jack spodziewał się nadejścia takiej chwili, i to właśnie tego dnia. Jeszcze niedawno wydawało mu się, że już ją ma za sobą, że dokonał wyboru w momencie, kiedy dosiadł konia i ruszył w pogoń za strusiem. Teraz jednak stanął przed życiową szansą: mógł wyjść na idiotę w sposób niezwykle wręcz widowiskowy i niepospolity.

Bob, od lat bacznie śledzący poczynania brata, zauważył, że w takich momentach Jack jest zwykle opętany przez istotę, którą – jak słyszał w kościele – nazywano duchem przekory. Był święcie przekonany, że duch siedzi na ramieniu Jacka i sączy mu do ucha złe rady, i że jedynym lekarstwem na te podszepty jest on sam, starszy brat, który musi stać u boku Jacka i doradzać mu zdrowy rozsądek, powściągliwość, rozwagę i inne purytańskie cnoty⁶.

Tylko że Bob wrócił do Anglii.

– Najlepiej będzie od razu to załatwić – mruknął pod nosem Jack i mocno dźgnął konia obcasami.

Jeden z Turków właśnie wznosił szablę do ciosu, zamierzając się na ostatnią z odzianych w namioty kobiet, i pewnie byłby ją zgładził, gdyby nie rzuciła się do ucieczki (o ile, naturalnie, kobieta w takim stroju może się gdzieś rzucić). Egzekucja chwilowo się odwlekła, Turek zaś leniwie ruszył za ofiarą – i znalazł się na drodze Jacka i jego konia. Stratowali go bez mrugnięcia okiem. Jack natychmiast zorientował się, że rumak był szkolony do takiego manewru, i zanotował sobie w pamięci, że lepiej będzie się łagodnie obchodzić z tym zwierzęciem.

Jedną ręką mocno szarpnął wodze, drugą zaś ściągnął przewieszony przez plecy muszkiet. Koń obrócił się w miejscu i oczom Jacka ukazał się teren, który przed chwilą przemierzali. Jeden Turek leżał na ziemi (kopyta trafiły go w dwóch lub trzech miejscach i pogruchotały mu kości), drugi zaś zbliżał się do Jacka, wywijając swobodnie szablą w sposób, w jaki wytrawny szermierz mógłby rozgrzewać nadgarstek przed pokazem fechtunku. Ale Jack nie miał ochoty na podobne pokazy: wycelował starannie muszkiet w przeciwnika i pociągnął za spust. Turek patrzył mu prosto w oczy, prawie zaglądał w głąb lufy. Miał

⁶ Nie chodzi o to, że Bob był purytaninem, wprost przeciwnie, ale często wypowiadał się w podobnym stylu, by zademonstrować swoją wyższość nad Jackiem.

brązowe włosy, zielone oczy i krzaczaste wąsy ze złotymi plamkami – ale wszystko to zniknęło w obłoku dymu, kiedy zapalił się proch na panewce. Tyle że muszkiet nie wypalił. Dało się słyszeć *puf!* z panewki, ale nie było *bum!* z lufy.

To był klasyczny niewypał: płomień z panewki nie przeniósł się do komory dennej; być może jakiś paproch zatkał zapał. Jack, nie zastanawiając się nad przyczynami takiego stanu rzeczy, dalej trzymał broń wycelowaną w okolice Turka (co nie było łatwe, ponieważ kłęb dymu z panewki skutecznie owego Turka przesłonił). Istniała możliwość, że żar przesączy się jednak przez zapał i spowoduje odpalenie ładunku. W ciągu najbliższych paru minut muszkiet mógł wypalić w każdej chwili.

Zanim dym się rozwiął, Turek zdążył jedną ręką chwycić konia za uzdę, a drugą unieść do ciosu. Jack zmrużył powieki – dym gryzł go wściekle w oczy – i, zerkając z ukosa, obrócił muszkiet w dłoniach, by zasłonić się przed cięciem. Poczul wstrząs, kiedy klinga uderzyła w lufę, zaraz potem usłyszał huk i gorący podmuch powietrza roztrącił mu ręce na boki. Rozpalony metal bryznął mu w twarz. Koń stanął dęba. W innych okolicznościach Jack pewnie nie dałby się zaskoczyć, ale teraz – oślepiiony, ogłuszony i poparzony – wykręcił na masywnym końskim zadzie fikołka w tył, spadł na ziemię i na oślep odturlał się w bok, aby uniknąć trafienia tylnymi kopytami.

Podczas tych wszystkich akrobacji cały czas ścisnął w prawej ręce kolbę muszkietu. Dźwignął się na nogi, stwierdził, że zaciska kurczowo powieki, i ukrył twarz w zgięciu lewego łokcia, próbując za jednym zamachem zetrzeć ból i żar. Rękaw boleśnie przeszorował mu po powiekach, z czego Jack wywnioskował, że są poparzone, ale niezbyt poważnie. Opuścił rękę, otworzył oczy i zatoczył się jak pijany, rozglądając się za przeciwnikiem. Odruchowo chciał się zasłonić muszkietem, ale jakoś za łatwo mu to poszło: broń miała znikomą bezwładność, bo kończyła się teraz dosłownie kilka cali poniżej zamka. Dobry jard lufy po prostu zniknął.

Kobieta w namiocie dopadła tymczasem do konia, złapała go za uzdę i przemawiała doń kojącym głosem. Jeszcze przez chwilę Jack miotał się w panice, nie widząc nigdzie drugiego Turka, ale w końcu go zauważył: tarzał się po ziemi z dłońmi przyciśniętymi do twarzy i wydawał stłumione jęki. Była to okoliczność sprzyjająca, ale sytuacja nie przedstawiała się najlepiej: skutek wypadku Jack pozbył się broni i stracił konia na rzecz jakiejś poganki, a nie zdobył jeszcze żadnych łupów.

Rzucił się w stronę konia, gdy błysk metalu na ziemi zwrócił jego uwagę. To była szabla Turka. Podniósł ją, odepchnął kobietę, dosiadł wierzchowca i rozejrzał się po okolicy. Gdzie się podział ten przekłety struś? Jest! Stał w kącie, zapędzony w kozi róg. Jack ruszył ku niemu, wykonując parę próbnych cięć szablą, żeby poczuć, jak leży w dłoni. Na dobrą sprawę ścinanie głów, kiedy siedzi się na grzbiecie jadącego konia, wymaga specjalistycznych kwalifikacji, ale tylko dlatego że ludzka szyja stanowi tak mały cel. Obcięcie głowy strusiowi, który w przeważającej mierze składał się z szyi, było dziecinnie łatwe. Jack załatwił sprawę

jednym szybkim ciosem. Łeb spadł na ziemię z otwartymi oczami, szyja drgała, jakby struś próbował jeszcze coś przełknąć; pod resztą ciała najpierw ugięły się nogi, ale potem korpus zaczął chwiejnym krokiem błąkać się po komorze, bryzgając posoką z odciętej szyi. Co chwila potykał się i upadał. Jack, który nie miał ochoty pławic się we krwi, cofnął konia, lecz w tej samej chwili martwy ptak skręcił i zaczął biec prosto na niego. Jack ruszył ostro z miejsca, ale struś w mgnieniu oka zawrócił i znów obrał kolizyjny kurs.

Kobieta parsknęła śmiechem. Jack spiorunował ją wzrokiem, ucichła więc i powiedziała coś spod namiotu w jakimś barbarzyńskim narzeczu. Jack zrobił unik przed następną strusią szarżą, manewrując zręcznie wierzchowcem.

– Szlachetny panie rycerzu! Z języków chrześcijańskich znam tylko francuski, angielski, qwghlmiański i parę słów po węgiersku.

Pierwszy raz zdarzyło się, żeby ktoś powiedział do Jacka „szlachetny panie” albo wziął go za rycerza. Patrzył spode łba na strusia, który dreptał w kółko i z wolna tracił resztki sił. Kobieta przeszła tymczasem na inny dziwny język.

– Słabo znam qwghlmiański – przerwał jej. – Kiedyś, jeszcze jako dzieciak, wybrałem się z chłopakami do Gttr Mnhrbgh, bo ktoś nam powiedział, że rozbił się tam hiszpański galeon i na plaży można garściami zbierać złote peso. Ale na miejscu zastaliśmy tylko paru zapijaczonych Francuzów, którzy kradli kury i palili domy.

Zamierzał szczegółowo zrelacjonować resztę dramatycznych wydarzeń, ale zawahał się, widząc gwałtowne poruszenie we wnętrzu namiotu, które doprowadziło do odsłonięcia u jego wierzchołka złożonej konstrukcji z jedwabnych chusteczek: jedna była zawiązana w poprzek nosa pod oczami i skrywała wszystko, co znajdowało się poniżej, druga przecinała czoło w poprzek i zasłaniała to, co powyżej. Ze znajdującej się pomiędzy nimi szczeliny spojrziała na Jacka para oczu. Błękitnych.

– Jesteś Anglikiem!

Uwagi Jacka nie uszło, że tych słów nie poprzedził już ani „szlachetny pan”, ani „rycerz”. Przede wszystkim Anglikom nie należał się naturalny szacunek, z jakim traktowano obywateli dużych państw, takich jak Francja czy Królestwo Polsko-Litewskie. Jeśli zaś chodzi o Anglików, styl wysławiania się Jacka zdradzał, oczywiście, że żaden z niego dżentelmen. Jednakże, nawet gdyby przemawiał jak arcybiskup, charakter łupieżczej wyprawy do Qwghlm, o której właśnie wspomniał, zdradzał, że w przeszłości musiał być wagabundą. Do diaska! Nie pierwszy raz przyszło mu do głowy, że powinien dać sobie wyciąć język. Język ów stanowił wprawdzie obiekt zachwyty garstki osobników rodzaju ludzkiego, którzy – najpewniej z braku rozumu lub godności osobistej – gotowi byli przyznać, że w ogóle zachwycają się Jackiem, ale gdyby zawczasu był się w niego ugryzł, gdyby w porę zamknął jadaczkę, niebieskooka kobieta nadal mogłaby tytułować go „szlachetnym panem rycerzem”.

Ta cząstka Jacka Shaftoe, której niejednokrotnie zawdzięczał przetrwanie, podszeptowała mu, żeby czym prędzej szarpnął wodze konia, obrócił go w miejscu w jedną albo w drugą stronę i oddalił się galopem od Tarapatki. Spojrzał na swoje dłonie, zaciśnięte na wodzach, i stwierdził, że nawet nie drgnęły. Wyglądało na to, że na razie jego losem rządzi inna cząstka Jacka – woląca życie krótkie i radosne.

Do obozów wagabundów często zapuszczali się purytanie, którzy twierdzili, że przy stworzeniu świata – czyli tysiące lat temu! – Bóg przeznaczył niektórym ludziom zbawienie, reszcie zaś wieczne męki w ogniu piekielnym. Te rewelacje purytanie nazywali Dobrą Nowiną. Jeszcze przez długi czas po przepędzeniu purytanów zdarzało się, że gdy któryś z chłopców pierdnął, twierdził, że Wszechmocny przewidział to jego zachowanie i zapisał je w Księdze. I wszyscy zaśmiewali się do rozpuku. Kiedy jednak Jack Shaftoe, siedząc na grzbiecie tureckiego rumaka, bezskutecznie próbował zmusić się do szarpnięcia wodzy i wbicia pięt w boki zwierzęcia, dochodził do wniosku, że Dobra Nowina faktycznie zawładnęła jego losem.

Kobieta spuściła wzrok.

– Z początku wzięłam cię za rycerza.

– Za rycerza? W tych łaachach?

– Koń jest piękny. I trochę mi cię zasłaniał – odparła Tarapatka. – A kiedy walczyłeś z janczarami... Wyglądałeś jak Galahad!

– Galahad... To ten, co sobie nie podupczył?

Znów ten niewyparzony ozór. I znów poczucie, że jego zachowanie jest z góry określone, tak jakby jego ciało było w rzeczywistości zamkniętym powozem, pędzącym na złamanie karku wprost ku bramie piekła.

– To akurat łączy mnie z tym legendarnym rycerzem.

– Nie może być!

– Byłam *gozde*, co oznacza, że wpadłam sułtanowi w oko, ale zanim stałam się *ikbal*, czyli trafiłam do jego łoża, oddał mnie wielkiemu wezyrowi.

– Żaden ze mnie uczony – przyznał Jack Shaftoe. – Ale z tego, co wiem o zwyczajach tureckich wezyrów, nawet jeśli nie wiem zbyt wiele, wynika jasno, że rzadko zdarza im się trzymać w obozie śliczne i młode blond dziewczęta.

– Nie trzymają ich bez końca. Zdarza się jednak, że zachowują je na specjalne okazje. Takie jak zdobycie Wiednia.

– Czy wielkiemu wezyrowi nie wystarczyłyby dziewczęta wiedeńskie?

– Sadząc z raportów szpiegów, których wazir wysyłał do miasta, mógłby nie znaleźć tam ani jednej.

Jackowi wydało się to mało prawdopodobne, ale skoro wezyr – czy też wazir, jak nazywała go Błękitnooka – miał w obozie strusie, koty w ozdobnych obrożach i drzewka owocowe w donicach, czemu nie miałyby mieć także angielskiej dziewczęcy?

– Żołnierze się do ciebie nie dobrali?

Machnięciem szabli wskazał martwych Turków. Krew z ostrza bryznęła w powietrze.

– To janczarzy.

– Słyszałem już o nich. Myślałem nawet o tym, żeby pojechać do Konstantynopola, czy jak go się tam teraz nazywa, i wstąpić do nich.

– Oni składają śluby czystości.

– Dla mnie to bez znaczenia, Błękitnooka. Spójrz.

Jack zaczął się mocować z saszkiem.

– Turek szybciej by to załatwił – zauważyła spokojnie, obserwując jego wysiłki. – Mają w spodniach taką furteczkę, która ułatwia im sikanie i gwałcenie.

– Nie jestem Turkiem.

Udało mu się w końcu dźwignąć w strzemionach i odsłonić.

– Na pewno powinien tak wyglądać?

– Jakaś ty bystra...

– Co mu się stało?

– Pewien felczer z Dunkierki chełpił się, że wędrowny alchemik zdradził mu sekret lekarstwa na francuską chorobę. Poszliśmy do niego z kamratami pewnej nocy, po powrocie z Jamajki...

– Miałeś francuską chorobę?

– Ja chciałem sobie tylko przystrzyc brodę. Mój kompan, Tom Flinch, miał złamany palec, który wymagał amputacji. Złamał go w walce z francuskimi korsarzami. Potem palec tak się zaśmierdział, że nikt nie chciał się z Tomem zadawać i chłopak musiał jadać na pokładzie. Dlatego poszliśmy do felczera i dlatego byliśmy pijani w dym.

– Że co, proszę?

– Musieliśmy spać Toma, żeby nie rozrabiał, kiedy mu oderzną paluch. A etykieta wymagała, żebyśmy nawalili się nie gorzej od niego.

– Mów dalej, z łaski swojej.

– Kiedy się dowiedzieliśmy, że ten konował leczy francę, saszki zaczęły śmigać po całej pracowni jak kule armatnie.

– Czyli jednak ją złapałeś.

– Felczerowi oczy się zaświeciły jak dublony, rozgrzebał żar w palenisku i zaczął grać narzędzia. Jeszcze zanim obciął palec Tomowi, rozpały się najpierw do czerwoności, a potem do białości. Młody czeladnik zgodnie z zaleceniem alchemika szykował w tym czasie okłady z ziół. Żeby nie przeciągać, powiem tylko, że byłem ostatni w kolejce do przyżegania przyrodzenia. Reszta towarzystwa, już wyleczona, wiała się na podłodze, przykładając okłady do ptaszków i wyjąc z bólu. Felczer z czeladnikiem przywiązali mnie do krzesła całym mnóstwem grubych sznurów i pasków, wetknęli mi szmatę w gębę...

– I okradli cię?

– Ależ nie, panienko, skądże znowu. To wszystko było częścią kuracji. Chory kawałek, ten który wymagał przypalenia, znajdował się na górnej powierzchni, mniej więcej w połowie długości. Ale mój wąż tak się skurczył ze strachu, że prawie całkiem się schował. No więc czeladnik złapał go szczypcami za czubek i naciągnął. Jedną ręką, bo w drugiej trzymał świeczkę, którą musiał oświetlić miejsce operacji. Felczer wyciągnął z paleniska odpowiednie żelastwo – dla mnie wszystkie wyglądały tak samo, ale on chciał chyba, żebyśmy wiedzieli, za co płacimy, więc trochę się popisował – i właśnie opuszczał je nad moim interesem, kiedy co się stało? Ludzie poborcy podatków w jednej chwili wyważyli frontowe i tylne drzwi. To było niezapowiedziane najście. Felczer wypuścił żelazo z ręki.

– To bardzo przykre, że taki ktoś jak ty, silny, dobrze zbudowany, nawet, można by rzec, przystojny, nie będzie miał dzieci. Pośladki masz kształtne jak łupiny orzecha, łydki niczego sobie...

– Z tym to akurat konował się spóźnił. Dorobiłem się dwóch synków. To dlatego ganiam strusie i morduję janczarów; mam rodzinę na utrzymaniu. A ponieważ mam również – w dalszym ciągu – panią francę, zostało mi najwyżej parę lat, zanim zwariuję i umrę. Najwyższy czas zatroszczyć się o spadek dla dzieciaków.

– Twoja żona ma szczęście.

– Moja żona nie żyje.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. I tak jej nie kochałem – odparł beztrósco Jack. – A po tym, jak felczer upuścił żelastwo, nie była mi już do niczego potrzebna. Tak jak i ty, Tarapatko.

– Co masz na myśli?

– Sama zobacz. Nie mogę.

– Może nie tak jak Anglicy. Ale z indyjskich ksiąg nauczyłam się różnych sztuczek.

Zapadła cisza.

– Nie mam najlepszego mniemania o książkowej wiedzy – odparł Jack nieco zdławionym głosem, jakby ktoś właśnie zaciskał mu pętlę na szyi. – Praktyka to co innego.

– Praktyki również mi nie brakuje.

– Mówiłaś przecież, że jesteś dziewicą?

– Ćwiczyłam na kobietach.

– Co takiego?!

– Chyba nie sądzisz, że cały harem siedzi cicho i czeka potulnie, aż panu i władcy stanie?

– Ale jaki to ma sens... Jak to można... Tak bez penisa?

– Pewnie nieraz się nad tym zastanawiałaś, co?

Jack odniósł nagle nieodparte wrażenie – nie pierwszy raz zresztą – że przydałoby się pilnie zmienić temat.

– Wiem, że kłamałaś, nazywając mnie przystojnym – powiedział. – Jestem poobijany, posiniaczony, dziobaty, ogorzały i w ogóle.

– Niektóre kobiety to lubią – odparła Błękitnooka.

Zatrzepotała – naprawdę zatrzepotała! – rzęsami. Jack widział tylko jej oczy i fragmenty twarzy wokół nich, co dodatkowo spotęgowało niezwykle efekt. Musiał na serio pomyśleć o jakiejś taktyce obrony.

– Jesteś jeszcze młoda. Gadasz jak mała dziewczynka, której należałoby przetrzepać skórę.

– Indyjskie księgi poświęcają temu całe rozdziały – stwierdziła beznamiętnie.

Jack popędził konia i ruszył po obwodzie komory, przyglądając się z bliska ścianom. Odgarnął ręką trochę zbitej ziemi i odsłonił klepki beczki opisane tureckimi literami. Kiedy pogrzebał wokół niej z większym animuszem, odkrył następne, upchnięte w ściennej niszy. Luki między nimi uszczelniono ziemią, którą także zamaskowano cały składzik. Na środku pomieszczenia walające się pale i deski wskazywały na pozostałości warsztatu, gdzie tureccy cieśle przycinali stemple i przygotowywali szalunek. Nie brakowało też narzędzi, porzuconych przez robotników podczas ucieczki.

– No, dziewczyno, wreszcie się na coś przydasz. Daj mi tę siekiere.

Błękitnooka przyniosła siekiere, a podając ją, spojrzała mu prosto w oczy. Jack stanął w strzemionach, zamachnął się i wbił ostrze w jedną z tureckich beczek. Trzasnęła klepka. Po następnym ciosie drewno się poddało i z otworu posypał się z cichym sykiem czarny proch.

– Jesteśmy w podziemiach pałacu – stwierdził Jack. – Nad naszymi głowami wznosi się dwór cesarza Świętego Imperium, a my znajdujemy się w samym środku jego przepastnego skarbcza. Masz pojęcie, co by nas czekało, gdybyśmy wysadzili te beczki w powietrze?

– Przedwczesna głuchota?

– Ja tam bym zatkał uszy.

– Śmierć pod tonami ziemi i gruzu?

– Moglibyśmy usypać dukt z prochu prowadzący w głąb tunelu, zapalić go i obserwować wybuch z bezpiecznej odległości.

– A nie obawiasz się, że taka eksplozja i zawalenie się pałacu cesarza Świętego Imperium Rzymskiego zwróciłoby powszechną uwagę?

– To tylko luźny pomysł...

– Jeśli chcesz go wcielić w czyn, to na mnie nie licz, bracie... Poza tym nie tak się zostaje arystokratą; nie można wyłupać dziury w pałacowej posadzce i jak szczur wśliznąć się do środka, w dymiących ciuchach...

– Mam słuchać rad na temat szlachectwa, których udziela mi niewolnica?

– Tej niewolnicy zdarzało się już bywać na salonach.

– No to co proponujesz? Jeśli jesteś taka cwana, chętnie posłucham, jaki masz plan.

Błękitnooka wywróciła oczami.

– Kto należy do arystokracji?

Jack wzruszył ramionami.

– Arystokraci.

– Skąd się biorą?

– Z arystokratycznych rodziców.

– Co ty powiesz...

– Poważnie. U Turków jest inaczej?

– Nie. Ale kiedy cię słuchałam, pomyślałam, że może na chrześcijańskich dworach przynależność do arystokracji ma coś wspólnego z zaletami umysłu. Z mądrością.

– Wątpię, żeby tak było – odparł Jack, szykując się do przytoczenia historii Karola, elektora Palatynatu Reńskiego. Zanim jednak zdążył przejść do rzeczy, Błękitnooka zapytała:

– W takim razie nie jest nam potrzebny żaden mądry plan, prawda?

– To gadanie po próżnicy, kotku, ale jako że z natury jestem próżniakiem, nie mam nic przeciwko temu. Twierdzisz, że nie potrzebujemy mądrego planu, żeby zostać arystokratami. Na razie brakuje nam jednak szlachetnego urodzenia. Co proponujesz?

– To proste. Wkupimy się.

– Do tego potrzeba pieniędzy.

– No to wyleźmy z tej nory i ich poszukajmy.

– Niby jak?

– Będzie mi potrzebna eskorta. Masz konia i szablę.

– Posłuchaj, Błękitnooka: jesteśmy na polu bitwy. Tu prawie każdy ma konia i szablę. Znajdź sobie jakiegoś rycerza.

– Jestem niewolnicą. Rycerz weźmie to, na co będzie miał ochotę, a potem mnie zostawi.

– Proponujesz małżeństwo?

– Partnerstwo. Może być bez ślubu.

– Czyli mam jechać przodem, wyrzynać janczarów, smoki i rycerzy, a ty będziesz się pałętać z tyłu i... Co właściwie zamierzasz robić? Tylko nie opowiadaj mi już o indyjskich księgach.

– Zajmę się pieniędzmi.

– Nie mam pieniędzy!

– Właśnie dlatego jest ci potrzebny ktoś, kto się nimi zajmie.

Jack trochę się pogubił, ale te słowa zabrzmiały bardzo cwanie, więc z powagą skinął głową, udając, że rozumie.

– Jak ci na imię?

– Eliza.

Stanął w strzemionach, zdjął kapelusz i skłonił się lekko.

– Jack Półkuśka, do usług.

– Znajdź mi jakieś chrześcijańskie ubranie. Męskie. Im bardziej zakrwawione, tym lepsze. A ja oskubię tego ptaka.

Dawny obóz wielkiego wezyra Kara Mustafy

Wrzesień 1683

– I jeszcze jedno... – powiedział Jack.

– Jeszcze? – jęknęła Eliza. Siedziała w siodle, okutana w podarte koszule i zakrwawiony oficerski płaszcz, skulona i na wpół bezwładna, dzięki czemu jej głowa znajdowała się niemal na poziomie głowy Jacka, który prowadził konia za uzdę.

– Jeżeli uda nam się dotrzeć aż do Paryża, co na pewno nie będzie łatwe, i jeżeli po drodze sprawisz mi choćby cień kłopotów... Nie życzę sobie krzywych spojrzeń, żoninego załamania rąk, kąśliwych uwag kierowanych do niewidzialnej publiczności...

– Dużo miałeś kobiet, Jack?

– ...udawanego zdziwienia zwyczajnymi sprawami, fumów, fochów, opieszałości, mętnych skarg na kobiece problemy...

– Skoro już o tym mowa, chciałam cię poinformować, Jack, że mam właśnie swój miesięczny czas i muszę natychmiast się zatrzymać, tu, na środku pobojowiska, na jakieś... no, pół godzinki powinno wystarczyć...

– Nie śmiesz mnie to. Wyglądam na rozbawionego?

– Wyglądasz jak zasmarkana chusteczka.

– To znaczy, że nie jestem rozbawiony. Przemykamy po obrzeżach dawnego obozu Kara Mustafy. Po prawej mijamy tureckich jeńców, których zapędzono do okopu. Stoją gęsiego i żegnają się... To dziwne...

– Słyszę, jak modlą się w jakimś słowiańskim języku. To chrześcijańscy janczarzy, najpewniej Serbowie. Tacy sami jak ci, przed którymi mnie ocaliłeś.

– Słyszysz świst szabli? To husarzy ścinają im głowy.

– Więc to jest ten dźwięk?

– A myślałaś, że dlaczego się modlą? Polacy dokonują egzekucji.

– Ale dlaczego?

– Widziałaś może kiedyś zadawnioną rodziną waśń? Tak to właśnie wygląda. Ktoś żywi do kogoś wiekową urazę. Pewnie sto lat temu janczarzy skrzywdzili jakichś Polaków.

Konni przemykali wśród pozostałości tureckiego obozu jak zmarszczki po naciągniętym prześcieradle. Chociaż skojarzenie z łóżkiem nie było chyba akurat najszcześniejsze.

– O czym to ja mówiłem?

– Dodawałeś właśnie następny kodycył do naszej umowy o partnerstwie. Zachowujesz się jak jakiś wagabundzki prawnik.

– O właśnie, jeszcze jedna sprawa...

– Jeszcze jedna?!

– Nie nazywaj mnie wagabundą. Ja czasem mogę tak o sobie powiedzieć, w żartach, kiedy chcę przełamać lody w towarzystwie albo oczarować panie. Tak dla śmiechu. Ale nie

życzę sobie, żebyś ty używała tego haniebnego epitetu w odniesieniu do mojej osoby. – Jack złapał się na tym, że machinalnie pociera nasadę kciuka, do której przytknięto kiedyś rozpalony kawałek żelaza w kształcie litery V i przytrzymano go przez chwilę, przez co pozostał po nim ślad, który do dziś potrafił go niespodziewanie zaswędzić. – A wracając do naszej rozmowy: zanim przerwałaś mi swoimi nieobyczajnymi uwagami, zmierzałem do tego, że jeśli będziesz mi sprawiać kłopoty, porzucę cię w Paryżu.

– Och, tylko nie to! Ty potworze!

– Jesteś naiwna jak dziewczynka z dobrego domu. Zdajesz sobie chyba sprawę, że samotna kobieta w Paryżu zostanie natychmiast aresztowana, ostrzyżona, wychłostana i tak dalej przez porucznika policji, tego możnego adherenta króla Ludwiczka, którego władza nie zna granic. To okrutny gnębiciel żebraków i wagabundów.

– Skąd tyle wiesz o wagabundach, szlachetny panie?

– Już lepiej. Ale ciągle nie dość dobrze.

– I skąd wzięłaś takie słowa jak „możny adherent” i „okrutny gnębiciel”?

– Z teatru, moja droga. Z teatru.

– Jesteś aktorem?

– Aktorem? Ja?! Aktorem?! – Groźba wymierzenia Elizie klapsa zadrgała mu na końcu języka jak piłka na nosie foki, ale szybko ją przełknął. Tego mu jeszcze brakowało, żeby speszyła go ciętą ripostą. – Gdzie twoje maniery, dziecko? Wagabundy mogą czasem, w przypływie chrześcijańskiej łaskawości, zgodzić się na to, by aktorzy im towarzyszyli. Pod warunkiem, że zachowują pełen szacunku dystans.

– Proszę o wybaczenie.

– Czyżbyś właśnie wywracała oczami? Masz obandażowaną głowę, ale ja swoje wiem... Cicho! Widzę jakiegoś oficera. Sądząc po herbie, to neapolitański hrabia z co najmniej trzema bękartami w rodowodzie.

Na te słowa Eliza – na całe szczęście obdarzona niskim, niepokojąco chrapliwym altem – jęknęła przeciągle.

– Ależ monsieur, monsieur – odezwał się Jack w swojej niezręcznej francuszczyźnie. – Wiem, że siodło sprawia panu ból. To przez te czarne purchle, które wyskoczyły panu w pachwinach przez ostatnie dwa dni, po tym, jak wbrew mojej radzie przespał się pan z tymi dwiema paskudnymi Cygankami... Musimy znaleźć jakiegoś chirurga albo przynajmniej felczera. Ktoś musi wyjąć panu z głowy tę turecką kulę, bo inaczej nigdy nie wyzbędzie się pan dreszczy i drgawek...

I tak to szło, dopóki neapolitańczyk nie oddalił się na bezpieczną odległość.

Wtedy zapadła dłuższa cisza. Jack błędził myślami gdzieś daleko, Eliza zaś – sądząc z jej dalszych słów – niekoniecznie.

– Możemy rozmawiać, Jack? Już jest bezpiecznie?

– Szczerze mówiąc, mężczyzna nigdy nie może się czuć bezpiecznie, kiedy rozmawia z kobietą. Ale wyszliśmy już poza obręb obozu, przestałem się potykać o rozwleczone na ziemi kawałki ciał, po prawej stronie płynie Dunaj, dalej wznoszą się mury Wiednia; żołnierze się rozproszyli, szykują się do rozbicia obozu, ustawiają w kolejkach do silnie strzeżonych wozów, gdzie otrzymają zapłatę za dzisiejszy dzień... Tak, jest bezpiecznie. Bezpieczniej nie będzie.

– Zaraz! A kiedy tobie zapłacą, Jack?

– Przed bitwą wydali nam racje brandy i bezwartościowe skrawki papieru, zagryzmołone czymś, co uznałem za litery. Kapitan twierdził, że wieczorem będziemy je mogli wymienić na srebro. Ale Jack Shaftoe nie dał się wyrolować: sprzedałem swój karteluszek pewnemu przedsiębiorczemu Żydowi.

– Za ile?

– Zrobiłem interes życia. Lepszy wróbel w garści niż...

– Za połowę?

– To chyba nie najgorzej, co? Za strusie pióra też dostanę tylko połowę. Przez ciebie.

– Och, Jack... Jak myślisz, jak ja się czuję, kiedy mówisz takie rzeczy?

– Co, za głośno? Uszy cię bolą?

– Nie o to...

– Niewygodnie ci się siedzi?

– Nie, Jack, nie chodzi mi o moje doznania cielesne.

– A o jakie, do diabła?

– Pomyśl, co czuję, słysząc „Jedno krzywe spojrzenie i zostawię cię Polakom, którzy piętnują zbiegłych chłopów, wypalając im znak na czole”. Albo „Czekaj, czekaj, niech no ten porucznik policji dostanie cię w swoje ręce...”

– Wybrałaś te najgorsze – poskarżył się Jack. – Zwykle grozę tylko, że cię odeślę do klasztoru.

– Więc przyznajesz, że straszenie mnie piętnowaniem jest okrutniejsze niż straszenie klasztorem?

– To chyba oczywiste. Ale...

– Po co w ogóle to okrucieństwo, Jack?

– Piękna sztuczka... Będę ją musiał zapamiętać. Tylko kto tu teraz zgrywa wagabundzkiego prawnika?

– Czyżbyś wyrzucił sobie, że uratowałeś mnie z rąk janczarów?

– Co to w ogóle za dyskusja? Nie wiem, skąd pochodzisz, ale czy tam ludzie naprawdę tak się przejmują tym, co czują inni? Niby jaki wpływ mogą mieć czyjeś odczucia na rzeczywistość?

– W haremie czas się dłuży. Jedyne rozrywki to ćwiczenie się w kobiecych rzemiosłach, takich jak haftowanie i szycie jedwabnej koronkowej bielizny...

– Przestań!

– ...oraz pogwarki w najróżniejszych językach, z których nic nie wyjdzie, jeśli nie będziemy zwracać bacznej uwagi na odczucia rozmówców. Można trochę poknuć, pointrygować, potargować się na bazarach...

– Tym się już chwaliłaś.

– ...

– Chciałaś coś jeszcze powiedzieć?

– Właściwie...

– No dalej, mówże!

– Wspominałam już o tym. Zajmowałyśmy się także wykorzystaniem prastarych, niezwykle wyrafinowanych technik orientalnych do wprowadzania się nawzajem w stan szalonej, zziajanej, spoconej, zmysłowej...

– Dość!

– Pytałaś.

– Bo mnie podpuściłaś. Intrygantka!

– To moja druga natura. Nic na to nie poradzę.

– A pierwsza? Wyglądasz jak Angielka z krwi i kości.

– Całe szczęście, że moja mama tego nie słyszy. Była niezwykle dumna z naszego czysto qwghlmiańskiego rodowodu.

– Czyli jesteś kundlem czystej krwi.

– W moich żyłach nie płynie nawet kropla krwi angielskiej, celtyckiej, nordyckiej ani innej.

– Tej innej to akurat płynie sto procent. Ile miałaś lat, kiedy cię porwano?

– Pięć.

– Skąd tak dokładnie wiesz? – Jack był pod wrażeniem. – Pochodzisz ze szlachetnego rodu?

– Mama twierdzi, że wszyscy Qwghlmianie...

– Daj spokój. Czuję, że już znam twoją staruszkę lepiej niż swoją własną. Jakie masz wspomnienia z Qwghlm?

– Pamiętam drzwi naszego domu, podświetlone blaskiem ognia podsycanego ptasim guanem. Wszędzie wisiały takie śmieszne czekaniki i siekiery, żeby tato mógł przerąbać się przez lód i wyjść z domu po jednej z tych czerwcowych burz śnieżnych. Wioska stała na szczycie urwiska. W bezksiężycowe noce jej mieszkańcy, prości, dobrzy ludzie, rozpalali na klifie ogniska, żeby wskazać marynarzom bezpieczny szlak... Czemu tak chrząkasz, Jack? Gardło cię boli?

– Zapalają ogniska, żeby zwabić marynarzy.

– Po co? Handlują z nimi?

– Nie. Kierujące się światłem statki rozbijają się na Cesarskiej Rafie, Żalu Wikinga, Zgubie Saracena, Kościach Francuzika, Pożeraczu Galeonów, Holenderskim Młocie albo jakimś innym postrachu żeglarzy, z których słynie twoja ojczyzna.

– Aha... – mruknęła Eliza. Niewiele brakowało, żeby Jack padł jak rażony gromem na dźwięk jej melodyjnego, zadumanego głosu. – To rzuca zupełnie inne światło na inne ich praktyki.

– Jakie na przykład?

– Takie jak wychodzenie w nocy z długimi nożami w rękach, żeby „pomóc uwięzionym na mieliźnie żeglarzom...”.

– Na ich własną prośbę, jak mniemam?

– Naturalnie. Mieszkańcy wracali potem do wioski objuczeni skrzyniami i workami pełnymi towarów, jakie w zamian otrzymali. Ale przyznam, Jack, że twoje wytłumaczenie brzmi bardziej wiarygodnie. Jak to miło ze strony mojej kochanej mamusi, że oszczędziła dziecku tej okrutnej prawdy.

– W takim razie rozumiesz już chyba, dlaczego angielscy królowie cierpliwie znosili... więcej, popierali, a nawet, być może, finansowali najazdy berberyjskich piratów na Qwghlm?

– To było w drugim tygodniu sierpnia. Szliśmy z mamą po plażę...

– Zaraz, zaraz, to wy tam macie plażę?

– Wspomnienia zawsze są piękniejsze od rzeczywistości, więc mogło to być zwykłe błotniste wybrzeże. Szliśmy do Śnieżnej Skąły, która lśniła oślepiającą bielą...

– No proszę! W środku lata?

– Nie od śniegu, lecz od daru mew, którego te ptaki nie skąpią Qwghlm. Miałyśmy ze sobą slxy i sktle...

– Co miałyście?

– Slx to narzędzie do rozbijania, rąbania, drapania i kopania, wykonane z muszli ostrzygi przymocowanej do kości udowej.

– Nie wystarczyłby zwykły kij?

– Anglicy zabrali nam wszystkie drzewa. Sktl to kosz albo wiadro. Byłyśmy w połowie drogi, kiedy usłyszałyśmy jakiś dziwny rytm. Nie przypominał łoskotu olbrzymich fal o ostre skały, do jakiego przywykłyśmy; był szybszy, ostrzejszy, bardziej przenikliwy, niczym dudnienie afrykańskich bębnow. Takich z północy, nie subsaharyjskich, ale z pewnością afrykańskich, a więc niespotykanych w naszych okolicach. W ogóle we qwghlmiańskiej muzyce rzadko wykorzystuje się instrumenty perkusyjne...

– Bo trudno zrobić bęben ze szczurzych skórek.

– Spojrzałyśmy w stronę zachodzącego słońca. Cień kładł się na wodzie zatoki jak na pomarszczonym arkuszu cienko kutego złota, cień w kształcie stonogi, która poruszała odnóżami w rytm bicia bębna...

– Jak to? Wielki robał pełzał po wodzie?

– To była piracka galera Berberów. Zawróciliśmy i zaczęliśmy uciekać w głąb łądu, ale błoto czepiało się naszych bosych stóp z taką siłą, że potem przez tydzień miałyśmy skwshe...

– Skwshe?

– Bąble na piętach. Piraci spuścili na wodę szalupę, wylądowali i odcięli nam drogę ucieczki. Z szalupy wyskoczyło kilku mężczyzn w turbanach; w moich dziecinnych oczach wyglądali dziwnie i barbarzyńsko. Zaczęli biec w naszą stronę. Jeden od razu wpadł w ruchome piaski...

– No proszę! To ci dopiero rozrywka, jak byśmy powiedzieli w Wapping!

– Tylko rodowici Qwghlmianie wiedzą, jak bezpiecznie pokonać tę błotnistą równinę. Berber w mgnieniu oka zapadł się po szyję i zaczął się miotać rozpaczliwie, dokładnie tak, jak nie powinien. Wywrzaskiwał przy tym jakieś ważne wersety z Koranu.

– A twoja matka stwierdziła wtedy: „Mogłybyśmy uciec, ale jak na prawdziwe chrześcijanki przystało, musimy pomóc temu nieszczęśnikowi. Poświęcimy naszą wolność, aby ocalić mu życie”. I spróbowaliście go wyciągnąć.

– Nie. Mama powiedziała mniej więcej coś takiego: „Mogłybyśmy przebrnąć przez to blocko, ale te brudasy mają muszkiety. Dlatego będę udawała, że chcę pomóc temu durniowi. Może w ten sposób trochę się im podlizę”.

– Co za kobieta!

– Kazała sobie podać wiosło i wyciągnęła je w stronę tonącego marynarza. Widząc, że ona się nie zapada, reszta Berberów nabrała odwagi, wylazła z szalupy i wciągnęła tamtego na pokład. Potem poddali nas z mamą dziwnemu sprawdzianowi powonienia, zarządzonemu przez oficera, który wprawdzie nie mówił po angielsku, ale było po nim widać – z gestów i zachowania – że jest całą sytuacją skrepowany i zakłopotany. Zabrali nas do szalupy, a z niej na galere, która powiosłowała na spotkanie z czterdziestodziałowym pirackim galeonem, płynącym nieco dalej od brzegu. To nie była byle jaka krypa, tylko okręt z prawdziwego zdarzenia, porwany, wykupiony lub wypożyczony z którejś z europejskich marynarek.

– A tam niewyżyci mahometanie niecznie wykorzystali twoją matkę.

– Bynajmniej. Ci na statku należeli do ludzi, którzy szukają w kobietach tylko tego, co łączy je z mężczyznami.

– To znaczy? Podniecały ich brwi?

– Nie! Skądże!

– To co, paznokcie? Przecież...

– Przestań!

– W każdym razie żeglarz odplacił twojej mamie za okazane mu miłosierdzie, tak? W trudnej chwili nieoczekiwanie przyszedł jej z pomocą, odmienił jej los. Mam rację?

– Umarł parę dni później. Od nieświeżej ryby. Wyrzucili go za burtę.

– Nieświeża ryba na statku? Na środku oceanu?! Wydawało mi się, że te muzułmany przykładają sporą wagę do przyrządzania jedzenia.

– Nie zjadł jej. Po prostu jej dotknął podczas przygotowywania posiłku.

– Po co ktoś miałby...

– Mnie o to nie pytaj. Powinieneś zapytać tajemniczego Jegomościa, który zniewolił mamę.

– Mówiłaś przecież...

– Pytałeś o mahometan. Jegomość nie był mahometaninem. Ani Żydem. Nie należał do żadnego z narodów praktykujących obrzezanie.

– Że co?

– Chcesz się zatrzymać? Narysuję ci.

– Nie trzeba. Kim w takim razie był?

– Tajemniczym człowiekiem. Nie wychodził z kabiny w kasztelu z wysokimi oknami, na rufie. Chyba się bał słońca. Albo opalenizny. Kiedy zabrali do środka mamusię, zamknęli dokładnie okiennice i zasłonili całą tę zakrzywioną taflę szkła takimi grubymi kotarami, ciemnozielonymi jak skóra *aguacate*, owocu z Nowej Hiszpanii, ale przetykanymi złotą nicią, która mieniła się w słońcu. Zanim mama się zorientowała, co się dzieje, pchnął ją i oparł o dywan...

– Chyba przewrócił na dywan.

– Wcale nie. Bo widzisz, wszystkie ściany, a nawet sufit kabiny były wyłożone dywanami. Ręcznie tkanymi, z wełny o długim, gęstym włosiu (tak się przynajmniej wydawało mamie, która nigdy przedtem nie widziała ani nie dotykała dywanu). Były całe złote, miały odcień pół gotowych do zżęcia...

– Przecież w środku było ciemno.

– Po powrocie z tej schadzki była cała w takich kłaczkach. Poza tym nawet po ciemku czuła na skórze, z tyłu, że wprawni rzemieślnicy utkali dywan w zawile, wypukłe wzory.

– Na razie nie brzmi to najgorzej. Przynajmniej jeśli weźmie się pod uwagę, co zwykle dzieje się z białymi kobietami wprowadzonymi przez Berberów.

– Nie doszłam jeszcze do zapachu.

– Cały świat śmierdzi, dziecinko. Trzeba zatkać nos i żyć dalej.

– Nie masz pojęcia o smrodzie, jeśli...

– O, przepraszam. Byłaś w Newgate? Albo w Paryżu w sierpniu? Albo w Strasburgu po przejściu zarazy?

– Pomyśl przez chwilę o rybie.

– Ty znów o tych rybach...

– Jegomość jadał wyłącznie zepsute ryby. Zepsute od dawna.

– Wystarczy. Nie chcę tego więcej słuchać. Nie dam z siebie robić durnia.

Jack zatkał uszy i zaczął nucić wesołe madrygały, obficie okraszone bezsensownym „la, la, la”.

* * *

Droga na zachód była długa, mogło więc minąć kilka dni, ale w końcu Eliza podjęła przerwana opowieść.

– Berberom też się to w głowach nie mieściło, Jack. Ale nie mieli wątpliwości, że Jegomość ma olbrzymią władzę i lepiej spełniać jego kaprysy. Codziennie ten z żeglarzy, który dopuścił się jakiegoś uchybienia, musiał przyrządzać zgniłą rybę na stół Jegomościa. Błagał na kolanach, żeby go wychłostać albo przeciągnąć pod kilem, ale zawsze w końcu musiał zejść po drabince za burtę...

– Jak to?

– Ryby gniły sobie w odkrytej szalupie, którą holowało się na linie daleko, daleko za galeonem. Raz dziennie ściągano ją bliżej i pechowy marynarz pod lufami pistoletów schodził po drabince sznurowej, trzymając w zębach kartkę papieru, na której Jegomość spisał wybrany na ten dzień przepis. Następnie dławiący się od smrodu kompani kuchcika pospiesznie wypuszczali linę, a on brał się do pracy i przyrządzał posiłek na ustawionym w szalupie żelaznym piecyku. Kiedy skończył, machał w powietrzu piracką banderą. Na ten sygnał marynarze przyciągali szalupę pod rufę. Z okien tego jarmarcznego kasztelu spuszczano linę, do której kuchcik przywiązywał kosz z gotowym posiłkiem. Po jedzeniu Jegomość dawał znak dzwonkiem, a wtedy chłopiec okrętowy – wychłostany, bo inaczej żadna siła nie mogła go zmusić, żeby wszedł do jego kajuty – wynosił nakrycie i wyrzucał je za burtę.

– Rozumiem. Kajuta cuchnęła jak nieszczęście.

– Jegomość próbował maskować tę woń przeróżnymi przyprawami i aromatycznymi korzeniami przywiezionymi ze Wschodu. Wszędzie w kabinie wisiały breloczki w kształcie małych drzewek, sprytnie nasączone rzadkimi perfumami; w egzotycznych, ażurowych koszach z kutego złota tliły się kadzidelka; z napełnionych wonnościami kryształowych fiolek, farbowanych w barwy tropikalnych kwiatów, zwieszały się grube, nasączone knoty, rozsiewając w powietrzu cudne wonie. Ale oczywiście na próżno, bo...

– Kajuta cuchnęła jak nieszczęście.

– No tak. My z mamusią poczułyśmy ten odór już dobrą milę od statku, jeszcze na galerze, ale złożyłyśmy go na karb barbarzyństwa i rozbuchanej męskości piratów. Dwa razy obserwowałyśmy proces przygotowywania obiadu, nic z niego nie rozumiejąc. Za drugim razem kuchcik, którym był uratowany przez mamę marynarz, zamiast zamachać Jolly Rogerem, zwyczajnie zasnął w szalupie. Tak to przynajmniej wyglądało. Kompani próbowali go obudzić graniem na rogach i salwami z dział. Nic z tego. W końcu ściągnęli go z

powrotem. Lekarz okrętowy opuścił się po linie do szalupy, oddychając przez kompres nasączony mieszanką olejku cytrusowego i bergamotowego, mirry, mięty, opium, wody różanej, kamfory i anyżu, i stwierdził zgon kuchcika. Nieszczęśnik skaleczył się podczas krojenia gnijącej od tygodnia kałamarnicy. Jakieś nieznanne paskudztwo przedostało się do jego krwi i zabiło go błyskawicznie, jakby bek z kuszy trafił go prosto między oczy.

– Twój opis kajuty Jegomościa jest podejrzanie szczegółowy i precyzyjny – zauważył Jack.

– Bo ja też w niej byłam. Po tym, jak mamusia nie zdała sprawdzianu węchowego, Jegomość wpadł w szal, więc zdesperowani marynarze złożyli mu mnie w ofierze. Nic mu z tego nie przyszło, ponieważ, dzieckiem jeszcze będąc, nie zaczęłam wydzielać kobiecych...

– Przestań. Wystarczy. Odkąd zapuściłem się w okolice Wiednia, moje życie niepokojąco zaczęło przypominać makabryczne popisy pomyleńców na targu w dniu świętego Bartłomieja.

* * *

Minęło parę godzin. Albo cały dzień. Może nawet dwa.

– Czyli mam uwierzyć, że piraci zabrali was z mamą z błotnistej plaży tylko dlatego, że mieli nadzieję, iż zdołacie przejść próbę smrodu?

– Wszyscy myśleli, że mamusi nawet się udało. Tylko że oficer, który zarządził ten sprawdzian, dał się zwieść. Jego zmysły zostały przytępione...

– Wyziewami qwghlmiańskich mokradel i gór guana. Mój Boże, w życiu nie słyszałem okropniejszej historii. I pomyśleć, że bałem się przerazić cię moją opowieścią. – Jack zamachał rękami, czym zwrócił na siebie uwagę idącego w ich stronę zakonnika. – Którędy do Massachusetts? – zawołał. – Chcę zostać purytaninem!

– Dopiero pod koniec rejsu Jegomość wyżył się na mamusi raz i drugi, ale tylko dlatego że nie miał wyboru. Nie przepływalismy w pobliżu osiedli, z których dałoby się łatwo porwać kobietę.

– No dobrze, przejdźmy do rzeczy. Co takiego wyczyniał Jegomość w tym wyłożonym dywanami kasztelu?

Nagle Eliza zrobiła się dziwnie małowówna. Byli już ładne kilka dni od Wiednia. Dawno rzuciła przebranie rannego oficera i siedziała na koniu otulona kocem zasłaniającym namiot, w którym Jack zobaczył ją po raz pierwszy. Od czasu do czasu proponowała, że zsiądzie i pójdzie pieszo, ale nie miała butów, a Jackowi zależało na pośpiechu. Dzięki temu, że jej głowa wystawała już z kłębow tkaniny, mógł w każdej chwili obejrzeć się przez ramię i na nią spojrzeć. Rzadko to robił, bo zdawał sobie sprawę, że z nadmiaru uwagi poświęconej takiej twarzy – jej gładkości, symetrii, idealnie równym zębkom i malującym się na niej grymasom, wyrazistym, płochliwym i hipnotyzującym jak poświata ogniska – mogą wynikać tylko same

kłopoty. W tym jednak momencie postanowił się odwrócić; jej milczenie było tak niespodziewane, że przez chwilę pomyślał, że zbłąkana armatnia kula strąciła ją z siodła. Ale nie: siedziała na swoim miejscu, wpatrując się w kolejnych podróżnych na trakcie. Tym razem były to cztery siostry zakonne.

Dość szybko je wyprzedzili i zostawili z tyłu.

– Teraz możesz powiedzieć – upomniał się Jack, ale Eliza tylko zacisnęła mocniej szczęki i utkwiała wzrok w dali.

Kwadrans później minęli klasztor, a po następnym kwadransie Eliza nagle się otrząsnęła i z detalami zaczęła relacjonować wydarzenia, do których doszło za zielonymi kotarami, wśród dywanów koloru zboża. Opisała szereg niezwykłych praktyk; Jack przypuszczał, że zaczerpnięto je wprost z indyjskich ksiąg.

Kulminacyjne sceny w opowieści Elizy w zdumiewający sposób zbiegały się w czasie z mijaniem przez nich kolejnych klasztorów i miast. W którymś momencie Jack usłyszał już wszystko, o co mu chodziło – rubaszna historia opowiadana z takimi detalami szybko stała się monotonna, później zaś zaczęła sprawiać wrażenie obliczonej na wzbudzenie wyrzutów sumienia i pogardy do samych siebie w słuchaczach płci męskiej, którzy przypadkiem znaleźli się w pobliżu.

Przeglądając w pamięci obrazy z kilkudniowej podróży z Wiednia, Jack zauważył, że ilekroć znajdowali się w lesie lub na otwartym terenie, Eliza stawała się dziwnie milkliwa. Kiedy jednak zbliżali się do osad, miast, a zwłaszcza klasztorów (których w tych papistowskich krajach było jak pcheł na psie), jej język zaczynał pracować ze zdwojoną energią, a opowieść osiągała niezwykle interesujące stadium dokładnie w tej samej chwili, gdy mijali bramę klasztoru lub wjazd do miasta. Potem Eliza milkła i nie odzywała się, dopóki nie oddalili się od ośrodka cywilizacji.

– Następny przystanek: Berberia. Ponieważ Jegomość nie był z nas zadowolony, zostałyśmy dołączone do puli przebywających tam europejskich niewolnic. Było ich łącznie kilkadziesiąt tysięcy.

– Kurczę, nie miałem pojęcia...

– Cała Europa jest ślepa na ich los! – stwierdziła Eliza.

Jack nagle zdał sobie sprawę, że niechcący sprowokował ją do bombastycznej przemowy. Żałował, że odwinął jej z głowy rzekome bandaże: wystarczyłoby je teraz trochę mocniej zacisnąć, zasupłać i byłoby po kłopotcie. A tak nie pozostało mu nic innego, jak wypuścić wodze na całą długość i prowadzić pięknego rumaka, którego nazwał Turkiem, w bezpiecznej odległości, podobnie jak korsarski galeon w nedorzeczej opowiadce Elizy holował ohydną szalupę z rybami. Od czasu do czasu dolatywały go urywki tyrady. Dowiedział się, że w algierskiej kasbie mamusia została sprzedana do haremu otomańskiego oficera, gdzie w wolnym czasie (a miała go pod dostatkiem) założyła Stowarzyszenie Branek Brytyjskich, które z biegiem lat doczekało się oddziałów w Maroku, Trypolisie, Bizercie i Fezie.

Członkinie stowarzyszenia spotykały się co dwa tygodnie, z wyłączeniem okresu ramadanu. Jego statut liczył setki stron, a Eliza musiała przepisywać go ręcznie na kradzionym otomańskim papierze listowym za każdym razem, gdy otwierano nową filię...

Zbliżali się do Linzu. Mijali coraz liczniejsze klasztory, rezydencje i małe miasteczka. W samym środku kazania Elizy na temat losu białych niewolnic w Afryce Północnej Jack zwolnił kroku (z czystej ciekawości) i zatrzymał się przed bramą pewnego wyjątkowo ponurego i przerażającego gotyckiego klasztoru. Ze środka dobiegały tajemnicze papistowskie pienia.

I nagle Eliza zmieniła temat.

– Kiedy zaczynałaś to zdanie, mówiłaś o procedurze wprowadzania poprawek do statutu Stowarzyszenia Branek Brytyjskich – zauważył Jack. – Pod koniec przeszłaś jednak do tego, co się stało, kiedy statek wylądowany po nadburcia hinduskimi tancerkami wpadł na mieliznę nieopodal zamku kawalerów Maltańskich. Chyba nie martwisz się tym, że mógłbym się ciebie pozbyć, co? Albo sprzedać jakiemuś wieśniakowi?

– A cóż cię obchodzą moje uczucia?

– Nie przyszło ci do głowy, że w klasztorze mogłoby ci się żyć lepiej niż przy mnie?

Do tej pory nie, teraz zaś – najwyraźniej – tak. Na twarzy Elizy odmalowała się precudna konsternacja, kiedy lekko odwróciwszy głowę, spojrzała w stronę klasztoru.

– Spokojnie, ja dotrzymam umowy. Lata zwieszania się z nóg trupów na szubienicy nauczyły mnie cenić uczciwe układy. – Jack zawiesił głos i stłumił wybuch śmiechu. – Owszem, podróż w towarzystwie Jacka Półkuśki ma rozliczne zalety. Nie mam pana. Mam za to buty. Tudzież szablę, siekiere i konia. Z konieczności jestem cnotliwy. Znam wszystkie tajemne szlaki przemytnicze. Znam gwarę i język migowy wagabundów, tworzących wspólnie – jeśli wolno mi się tak poetycko wyrazić – rodzaj siatki informacyjnej, rozciągniętej po całym świecie, która nawet po uszkodzeniu funkcjonuje bez zarzutu, dzięki czemu wiem, w których *pays* możemy bezpiecznie wędrować i szukać schronienia, a w których wędrowcy spotykają się z prześladowaniami. Zgodzę się, że mogłabyś trafić gorzej.

– Dlaczego zatem powiedziałaś, że tam czekałby mnie lepszy los?

Eliza skinieniem głowy wskazała ogromny klasztorny gmach, którego boczne skrzydła zakrzywiały się ku traktowi niczym szczypce olbrzymiego żuka.

– Być może powinienem był wcześniej cię o tym uprzedzić, ale zbratałaś się z człowiekiem, na którego w większości hrabstw czeka szubienica.

– Cieszysz się aż tak złą sławą?

– Gdzieniedzie tak. Ale nie w tym rzecz.

– A w czym?

– Należę do pewnego określonego typu złoczyńców. Jestem diabelskim nędzarzem.

– Aha.

– Przykro mi to mówić, ale po tym, jak po pijanemu i w bitewnym zapale zdradziłem ci mój drugi sekret, jestem przekonany, że niżej już w twojej opinii spaść bym nie mógł.

– Kto to jest diabelski nędzarz? Jesteś czcicielem szatana?

– Tylko kiedy znajdę się wśród jego wyznawców. Hmm... To takie angielskie wyrażenie. Widzisz, są dwa rodzaje biedaków: boży i diabelscy. Do bożych zaliczają się wdowy, sieroty i zbiegłe białe niewolnice o zgrabnych pupciach. Im można – wręcz należy – pomagać. A diabelskim biedakom nic już nie pomoże; byłoby to marnotrawstwo chrześcijańskiego miłosierdzia. Wszystkie cywilizowane kraje znają to rozróżnienie.

– Myślisz, że tam też będą chcieli cię powiesić?

Stanęli na szczycie wzgórza wznoszącego się nad doliną Dunaju. W dole rozpościerał się Linz, który po wymarszu wojsk skurczył się dziesięciokrotnie. Po żołnierzach została tylko blizna na powierzchni ziemi, jak placek jaśniejszej skóry w miejscu, z którego odpadł strup.

– W mieście panuje bałagan. Przechodzi tędy mnóstwo bezrobotnych wojaków. Nie można ich wszystkich powiesić, bo w całej Austrii nie byłoby dość sznura. Na drzewach przy bramie wisi z pół tuzina trupów, drugie tyle widać na murach, pozatykane na piki... Dla miasta tej wielkości to niska strefa stanów średnich.

– Chodźmy w takim razie na targ – zaproponowała Eliza. Kiedy, mrużąc powieki, patrzyła na targowisko, z jej oczu dosłownie sypały się skry.

– Chcesz tam tak po prostu wjechać, znaleźć zaułek kupców strusich piór i spróbować uzyskać jak najlepszą cenę, wygrywając jednych przeciw drugim?

Z Elizy jakby uszło powietrze.

– Na tym właśnie polega problem z dobrami luksusowymi – dodał Jack.

– No to jaki masz plan?

– Wszystko można sprzedać. W każdym mieście jest taka uliczka, na której znajdzie się kupca na dowolny towar. A w moim zawodzie po prostu się wie, gdzie takiej uliczki szukać.

– Jak sądzisz, Jack, ile dostaniemy za pióra u paserów? To chyba najgorsze rozwiązanie z możliwych.

– Ale przynajmniej wpadnie nam do sakiewki trochę srebra, dziewczyno.

– Może to dlatego jesteś diabelskim nędzarzem, że nawet kiedy już coś cennego wpadnie ci w ręce, zakradasz się do miasta, jakbyś z góry zakładał, że czeka cię wrogie przyjęcie? Włącznie z karą śmierci. Idziesz więc prosto do paserów i sprzedajesz towar pośrednikowi pośrednika.

– Zauważ jednak, że jestem żywy, wolny, mam buty, prawie nienaruszone ciało...

– I francę, która za parę lat cię zabije.

– Gdybym wszedł do takiego miasta jak to, udając kupca, nie pożyłbym nawet tyle.

– Zmierzałam do tego, że, jak sam powiedziałeś, musisz pilnie zadbać o spadek dla synów.

– Stąd też wzięła się moja propozycja. Masz lepszą?

– Musimy znaleźć targ, na którym sprzedamy pióra strusia bezpośrednio kupcowi, który handluje eleganckimi strojami. Ktoś taki zabierze je, powiedzmy, do Paryża, i tam sprzeda zamożnym damom i dżentelmenom.

– No tak. Tacy kupcy nadzwyczaj chętnie zadają się z wagabundami i niewolnicami.

– Wystarczy się przebrać, Jack, zamiast się odsłaniać.

– Wiesz o tym, że co wrażliwsi ludzie uznaliby twoją uwagę za uwłaczającą? Ja jednak...

– Nie zastanowiło cię nigdy, dlaczego tak szeleszczę przy każdym ruchu?

Eliza zilustrowała swoje słowa stosownym pokazem.

– Staram się być dżentelmenem, nie wnikałem więc w konstrukcję twojej odzieży spodniej, ale skoro już o tym mowa...

– To jedwab. Pod tą czarną szmatą mam nawiniętą na siebie chyba z milę jedwabiu, którą odwinęłam z beli ukradzonej w obozie wezyra.

– Jedwab! Słyszałem o nim.

– Wystarczy tylko igła z nitką, a nikt nie odróżni mnie od najprawdziwszej damy.

– A ja kim będę? Przygłupim fircykiem?

– Moim służącym. Albo strażnikiem.

– O, nie...

– Tylko na czas wizyty na targu! Poza tym będę twoją posłuszną niewolnicą, Jack.

– Ponieważ wiem, że uwielbiasz opowiadać bajki, pobawię się z tobą w aktora. Ale, za pozwoleniem, uszycie kostiumów z tureckiego jedwabiu zajmie ci chyba sporo czasu, nieprawdaż?

– Wiele rzeczy zajmuje nam czas, Jack. A na to wystarczy mi kilka tygodni.

– Kilka tygodni. Zdajesz sobie sprawę, że w tych okolicach zdarzają się zimy? I że mamy październik?

– Jack?

– Elizo?

– Co twoja siatka informacyjna ma do powiedzenia o targach?

– Że najczęściej urząda się je wiosną i jesienią. I że dla nas najlepszy byłby ten w Lipsku.

– Naprawdę?

Chyba zaimponował Elizie, co sprawiło mu przyjemność. To był zły znak. Nie ma mężczyzny bardziej nieodwołalnie zgubionego niż ten, dla którego głównym źródłem przyjemności jest wywieranie korzystnego wrażenia na jakiejś konkretnej kobiecie.

– Tak, ponieważ właśnie tam towary ze wschodu, czyli z Rosji i Turcji, wymienia się na towary przywożone z zachodu.

– Chyba głównie na srebro. Po co komu zachodnie towary?

– Istotnie, masz rację. Starsze wagabundy wiedzą, że paryskich kupców lepiej jest rabować po drodze do Lipska, kiedy mają jeszcze srebro, niż w drodze powrotnej, kiedy to

przewożą towary wymagające mozolnego transportu i trudno się sprzedające. Młodszy by się ze mną nie zgodził; powiedzieliby, że nikt już nie wozi ze sobą srebra, bo interesy załatwia się za pomocą weksli.

– W każdym razie Lipsk to dla nas idealne miejsce.

– Pozostaje tylko mały problem: jesienny targ już się skończył, a do wiosennego musimy jakoś przeżyć zimę.

– Pomóż mi ją przetrwać, Jack, a wiosną w Lipsku zarobię dla ciebie dziesięć razy więcej niż dostalibyśmy tutaj.

Planowanie na sześć miesięcy naprzód było u wagabundy zachowaniem raczej nietypowym, a perspektywa spędzenia tak długiego czasu z jedną kobietą dodatkowo potęgowała ryzyko. Jack sam jednak zastawił na siebie pułapkę, kiedy wspomniał o synach.

– Jeszcze się namyślasz? – zapytała jakiś czas później Eliza.

– Dawno się namyśliłem. Teraz próbuję sobie przypomnieć, co wiem o kraju, który rozciąga się stąd do Lipska.

– Coś sobie już przypomniałeś?

– Tylko tyle że nie spotkamy po drodze niczego, co byłoby żywe i miało więcej niż pięćdziesiąt lat.

Jack ruszył w stronę przeprawy na Dunaju. Turek szedł za nim. Eliza jechała w milczeniu.

Czechy

Jesień 1683

Trzy dni na północ od Dunaju trakt skurczył się do brukowanej pręgi wijącej się wśród cherlawych drzew, które z trudem dźwigały się ponad gąszcz czepliwych chwastów. Poszycie roiło się od owadów i całe drgało od ruchów niewidocznych drobnych zwierząt. Brukowce powyłamywały się i poprzekrzywiały w ubitym gruncie, tworząc niepokojącą dla Turka fakturę. Koń uniósł głowę, zamrugał podejrzliwie i zwolnił. Jack wyjął janczarską szablę ze zrolowanego koca, w którym tkwiła od wyjazdu spod Wiednia i opłukał ją z krwi, znalazłszy głębsze miejsce w strumieniu. Stał przez chwilę po uda w brunatnej wodzie, ocierając nerwowo ostrze i wymachując nim w powietrzu.

– Co cię trapi, Jack?

– Po tym, jak papiści wymordowali tu wszystkich przyzwoitych ludzi, krajem rządzą bandyci, hajducy i wagabundy...

– Tego się domyśliłam. Pytałam o szablę.

– Nie chce obeschnąć. To znaczy, w dotyku jest już sucha, ale kiedy patrzę na nią pod słońce, mieni się jak woda.

W odpowiedzi Eliza wyrecytowała fragment wiersza:

*Miecz błyszczący – piękniejszej nie zna świat broni –
Trucizną ocieka, nieprzyjaciół gromi.
Krew gorącą spija i tnie bez litości,
Z marmurowych sal zbiera kosztowności.*

– Tak w każdym razie powiedział poeta.

– Cóż to za poeta, który wygaduje takie barbarzyńskie brednie? – Jack się wzdygnął.

– Na broni na pewno znał się lepiej od ciebie. To szabla wykuta zapewne z damasceńskiej stali. Może być warta więcej niż Turek i strusia pióra łącznie.

– Może i byłaby, gdyby nie ten feler. – Jack oparł klingę o drugą dłoń. W wyrwanej blisko czubka szczyrbie mieściła mu się nasada kciuka. Metal był poczerniały. – Nie pomyślałbym, że to możliwe.

– Czy to tym miejscem wcięła się w miękkie podbrzusze twojego muszkietu?

– Miękkie? No tak, ty widziałas tylko drewniane łoże lufy. Ale w środku znajdował się żelazny wycior, biegnący przez całą długość broni, od kolby prawie po koniuszek muszkietu. To, że szabla werżnęła się w drewno, nie jest jeszcze żadnym wyczynem. Za to później musiała przeciąć wycior i wgryźć się w samą lufę dość głęboko, by wyraźnie ją osłabić. Kiedy proch się zapalił, wypchnął kulę do miejsca przecięcia, a potem rozerwał lufę. Wtedy było już po janczarze, którego twarz znajdowała się dosłownie...

– Widziałam, jak to się stało. Powiedz mi, Jack, ćwiczysz opowiadanie tej historii, żeby zaimponować przyjaciołom?

– Nie mam przyjaciół. Ćwiczę, żeby nastraszyć wrogów.

Zdaniem Jacka zabrzmiało to bardzo efektownie, ale Eliza tylko westchnęła i zapatrzyła się na horyzont.

– Mógłbyś też pobudzić wyobraźnię kupca, który szuka jakiejś legendarnej broni...

– Wiem, że przychodzi ci to z trudem, ale przestań na razie myśleć o handlu. Wielki wezyr niedawno się przekonał, że wszystkie skarby świata są nic niewarte, jeśli nie można ich obronić. A szabla to skarb i sposób jego obrony w jednym. Istna doskonałość.

– Myślisz, że w tej okolicy jeden konny z szablą wystarczy za ochronę?

– Żaden szanujący się rozbójnik nie zasadziłby się na podróżnych w takiej głuszy.

– Czy w chrześcijańskim świecie wszystkie lasy tak wyglądają? Mamusia opowiadała mi o olbrzymich, majestatycznych drzewach.

– Dwa, trzy pokolenia temu było tu pole pszenicy – odparł Jack. Ściął garść dojrzałych kłosów rosnących w plamie słońca nad brzegiem strumienia, schował szablę do pochwy i

zaciągnął się wonią ziarna. – Poczciwi wieśniacy przychodzili tu w porze żniw, niosąc na obolałych grzbietach stępione kosy.

Przed wejściem do strumyka zzuł buty. Teraz brodził w rwącej wodzie, wymacując palcami stóp kamienie. Po chwili schylił się i wyciągnął z dna długie, zakrzywione ostrze. Wyglądało jak półksiężyc litej rdzy, było wyszczerbione na kamieniach, ale w uchu tkwił jeszcze poczerniały, oślizły kikut drzewca.

– Ostrzyli je osełkami wygładzonymi przez wodę. – Wziął do drugiej ręki taki właśnie kamień, potarł nim ostrze, po czym odrzucił go na brzeg. – A przy okazji wypoczywali.

Znów wymacał coś na dnie, pochylił się i wydobył gliniany kufel, z którego wylała się brunatnozielona, stęchła woda. Cisnął kufel na łąd. Nie rozstając się z zardzewiałym ostrzem kosy, wszedł głębiej w poszukiwaniu przedmiotu, który odkrył już wcześniej. Znalazłszy go, omal się nie przewrócił; silny nurt rozdzielał się na jego udzie i opływał je z obu stron, gdy Jack stanął na jednej nodze jak flaming, drugą stopą badając podłoże.

– I tak wiedli sobie prosty, szczęśliwy żywot, do czasu, aż coś nie zakłóciło im tej sielanki...

Powolnym i dramatycznym (taką miał przynajmniej nadzieję) gestem przeciągnął ostrzem kosy po wodzie, niczym kostucha w pantomimie.

– Zaraza? – spytała Eliza. – Głód?

– Konflikt religijny!

Jack podniósł z dna zbrązowiałą ludzką czaszkę, pozbawioną zuchwy i noszącą na skroni ślad po cięciu mieczem. Wydawało mu się, że Eliza jest pod wrażeniem jego występu – może nie z powodu samej czaszki (widywała już przecież gorsze rzeczy), ale z pewnością wskutek przemyślności całego przedstawienia. Z kosą w jednej i czaszką w drugiej ręce przybrał malowniczą pozę, chcąc przedłużyć tę pamiętną chwilę.

– Widziałaś kiedyś moralitet?

– Mamusia mi o nich opowiadała.

– Docelowa publiczność: wagabundy. Cel przedstawienia: wbić do ich tępych, zdegenerowanych mózgów jakiś bzdurny morał.

– A jaki był morał twojej sztuki, Jack?

– Można ją odczytywać na różne sposoby. Na przykład: wara od Europy! Albo: kiedy przyjdą ludzie z szablami, uciekajcie! Zwłaszcza jeśli w drugiej ręce niosą Biblię.

– Rozsądna rada.

– Nawet jeśli oznacza porzucenie tego czy owego.

Eliza zaniósła się śmiechem.

– Oj, widzę, że i my zbliżamy się do morału.

– Tak, śmiej się, śmiej z tego biedaka. – Jack zważył czaszkę w dłoni. – Gdyby odpuścił sobie żniwa i wyruszył w drogę, zamiast trzymać się kurczowo ziemi i chaty, jak jakiś skapiec, kto wie, może by jeszcze żył.

- Zdarzają się osiemdziesięcioletnie wagabundy?
- Chyba nie. Wagabundy po prostu wyglądają na dwa razy więcej lat niż mają.

* * *

Jechali na północ przez martwą czeską krainę, po leśnych duktach, starych traktach i ścieżkach wydeptanych przez zwierzynę, która wskutek braku myśliwych obficie się rozmnożyła. Jack nie mógł odżałować straty Burej Bess. Ustrzeliłby z niej tyle saren i jeleni, ile tylko by zechcieli – albo przynajmniej raz na zawsze by je przepłoszył.

Czasem wynurzali się z lasu i zjeżdżali ze wzgórz na równiny, zapewne dawne pastwiska, teraz gęsto zarośnięte młodnikami. Jack sadzał wtedy Elizę na konia, żeby ciernie, pokrzywy i robactwo nie popsuky jej wizerunku – i nie chodziło o to, że mu naprawdę na nim zależało, ale głównym celem jej istnienia było sprawianie mu przyjemności swoim widokiem. Czasem używał damasceńskiego ostrza w całkiem niegodnym go celu, mianowicie do przebiccia się przez gąszcz.

– Co tam z Turkiem widzicie? – pytał, gdy stare zielsko, zbrązowiałe w oczekiwaniu na przyjście zimy, całkowicie przesłaniało mu widok.

– Z prawej strony teren się wznosi na taką jakby półeczkę. Dalej ciągną się wysokie, ciemne wzgórza. Na półeczce widać mury zamku, grube i toporne w porównaniu z eleganckimi budowlami Maurów, ale i tak najwidoczniej za cienkie, żeby oprzeć się temu, co je zniszczyło...

– To artyleria, dziewczyno. Zguba wszystkich prastarych zamczysk.

– Niech ci będzie. Papieska artyleria w kilku miejscach zburzyła mur; gruz osypał się do fosy. Na tle ciemnych kamieni resztki białej zaprawy wyglądają jak odłamki zbielełych kości. Po ostrzale wybuchł pożar. Wypalił wnętrze zamku, tak że z dachu zostało tylko kilka osmalonych dźwigarów. Nad oknami i otworami strzelniczymi widać ogromne plamy sadzy, jakby całymi godzinami buchały z nich płomienie. Można by pomyśleć, że całe miasto oczyszczono z herezji w gigantycznym alchemicznym piecu.

– To Berberowie mają jakichś alchemików?

– A chrześcijanie?

– Opis był niezwykle poetycki, podobnie jak opisy poprzednich zrujnowanych zamków w twoim wykonaniu, ale interesowały mnie raczej sprawy bardziej praktycznej natury. Widzisz gdzieś dym z ognisk?

– Powiedziałabym ci. Podobnie jak powiedziałabym o ścieżkach przez krzaki, wydeptanych przez ludzi lub zwierzęta.

– Coś jeszcze?

– Po lewej stronie mamy staw. Wygląda na dość płytki.

– Chodźmy tam.

– Turek sam nas tam zaciągnie. Chce mu się pić.

W pobliżu ruin znaleźli kilka takich stawków, aż po trzecim lub czwartym z kolei Jack zorientował się, że wykopały je – lub przynajmniej pogłębiły – tysiące (co najmniej) nieszczęśników uzbrojonych w szpadle i kilofy. Przywiodło mu to na myśl słowa pewnej paryskiej Cyganki, która opowiadała o położonych daleko na wschodzie jeziorach (daleko, ale bliżej niż w Rumunii), gdzie hoduje się ogromne ryby, tak samo jak krowy na pastwiskach. Sądząc po rozrzuconych na brzegu szkielecikach, sporo ryb musiało się tu wykarmić resztkami martwych protestantów. Jackowi pocięła ślinka.

– Dlaczego papiści mieliby tak nienawidzić tego kraju? – zdziwiła się Eliza. – Mamusia mówiła mi, że państw protestanckich jest całe mnóstwo.

– Właściwie nie powinienem się tym interesować – zastrzegł się Jack – ale tak się składa, że przebywałem ostatnio w innym nędznym kraiku, gdzie każdy wieśniak zna tę historię i najchętniej w kółko by ją opowiadał. Ten kraik to Palatynat Reński. Jego możnowładcy od kilku pokoleń należeli do grona protestanckich bohaterów wojennych. Jeden z nich ożenił się z angielską dziewczyną, Elżbietą, siostrą Lolka I.

– Karol I... Czy to nie on wszedł w paradę Cromwellowi i został ścięty przy Charing Cross?

– Tak, to był on. Jego siostruni powiodło się niewiele lepiej, jak zaraz usłyszysz. Tutaj, w Czechach, protestantom znudziły się w pewnym momencie rządy papistów, więc wyrzucili ich przez okno na kupę gnoju i ogłosili Czechy krajem wolnym od władzy papieskiej. W przeciwieństwie jednak do Holendrów, którzy niespecjalnie szanują królów, Czesi nie wyobrażali sobie życia bez koronowanej głowy państwa. A ponieważ w tych okolicach brakowało monarchów protestanckich, poprosili Elżbietę i jej palatyńskiego małżonka, żeby przyjechali tu i nimi porządzili. Ci spełnili ich prośbę i elektor zasiadł na czeskim tronie, ale posiedział na nim tylko przez zimę, bo wiosną papieskie legiony wkroczyły do Czech i zmieniły je w pustkowie, które teraz oglądamy.

– A co się stało z Elżbietą i jej małżonkiem?

– Król i Królowa Zimy, bo tak ich od tej pory nazywano, uciekli. Nie mogli wrócić do Palatynatu, który również został najechany (z czym jego mieszkańcy do dziś nie mogą się pogodzić i dlatego tyle o tym mówią), więc tułali się po Europie jak para wagabundów, aż trafili do Hagi, gdzie przeczekali wojnę.

– Mieli dzieci?

– Bez przerwy. Boże, jeśli wierzyć temu, co ludzie gadają, Elżbieta produkowała je regularnie, co dziewięć i pół miesiąca, przez calusieńką wojnę. Nawet nie pamiętam, ile ich było.

– Jak to nie pamiętasz? To ile trwała ta wojna?

– Trzydzieści lat.

– Aha...

– Dzieciaków był co najmniej tuzin. Po wojnie najstarszy syn został elektorem Palatynatu, a reszta, o ile mi wiadomo, rozjechała się po całej Europie.

– Bardzo nieżyczliwie się o nich wypowiadasz – prychnęła Eliza. – Ale przecież każdy nosi w sercu wspomnienie tego, o co uczyniono jego rodzicom.

– Wybacz, skarbie, ale się pogubiłem. Mówisz o tych palatyńskich bachorach, czy o sobie?

– Jedno i drugie – przyznała Eliza.

Jakiś czas temu wpadli na pomysł, jak odmienić swoje nawyki jedzeniowe i przestawić się na konsumpcję – głównie – pszenicy. Jack przy każdej okazji podkreślał, że nie należy do ludzi, którzy przywiązują przesadną wagę do własności materialnej, ale miał oko do wyszukiwania wszelkich potencjalnie użytecznych przedmiotów – dlatego kiedy kucharze z wojskowego taboru udali się na szaber, wykradł z ich bagaży ręczny młynek. Wystarczyło pokręcić rączką kilka tysięcy razy, aby z ziarna, które wsypywało się od góry, uzyskać mąkę. Teraz potrzebowali już tylko pieca – tak w każdym razie przypuszczał Jack, dopóki pewnego wieczoru, po drodze z Wiednia do Linzu, Eliza nie wzięła do ręki dwóch patyków i nie wygrzebała z popiołów ogniska czarnego, płaskiego krążka. Po otrzepaniu okazało się, że krążek ma miły dla oka, brunatny odcień, a po przełamaniu buchnęła z niego para i zapachniało – w przybliżeniu – chlebem. Był to, jak wyjaśniła Eliza, chleb pieczony na modłę mahometan, całkiem smaczny, jeżeli komuś nie przeszkadzało zgryzienie paru kawałków węgla. I tak oto żywili się nim już od ponad miesiąca. Nie był to żaden delikates, ale przynajmniej nie głodowali.

– Chleb i woda, chleb i woda... Czuję się, jakbym znowu trafił za kratki – żalił się Jack. – Dajcie mi rybę!

– Kiedy ostatnio byłeś w areszcie?

– Spodziewałem się, że o to zapytasz. Posadzili mnie po wypłynięciu z Jamajki, a przed atakiem piratów.

– Co robiłeś na Jamajce? – spytała podejrzliwie Eliza.

– Użyłem moich rozległych koneksji w kręgach wojskowych, aby przemycić się na okręt wiozący proch i kule dla jamajskich fortów Jego Wysokości.

– Ale po co?

– Port Royal. Chciałem zobaczyć Port Royal, który dla piratów jest tym, czym dla Żydów Amsterdam.

– Chciałeś przystać do piratów?

– Pragnąłem wolności. Jako wagabunda jestem panem samego siebie, wystarczy tylko mieć trochę oleju w głowie. A pirat to taki wagabunda mórz i oceanów. Tak sobie w każdym razie myślałem. Podobno wszystkie morza razem są większe niż wszystkie lądy, więc wydawało mi się, że piraci muszą być bardziej wolni od wagabundów. A na pewno o wiele

bogatsi. Wszyscy przecież wiedzą, że w Port Royal ulice są wybrukowane hiszpańskim srebrem.

– Naprawdę?

– Prawie. Całe srebro na świecie bierze się z Peru i Meksyku...

– Wiem. W Konstantynopolu też używaliśmy peso.

– ...i musi po drodze przepłynąć w pobliżu Jamajki, jeśli ma dotrzeć do Hiszpanii. Piraci z Port Royal sporo go zgarnęli. Ja się tam zjawiłem w siedemdziesiątym szóstym, dosłownie kilka lat po tym, jak kapitan Morgan osobiście złupił Portobelo i Panamę i zwiózł łupy do Port Royal. Miasto opływało w dostatki.

– Cieszę się, że chciałeś zostać piratem... Bałam się, że może plantatorem trzciny cukrowej.

– Jesteś chyba jedyną osobą na świecie, która piratów ceni wyżej niż plantatorów.

– Na Maderze i Wyspach Zielonego Przylądka trzcinę uprawiają niewolnicy. Czy na Jamajce jest tak samo?

– Oczywiście! Indianie powymierali albo uciekli.

– W takim razie lepiej być piratem.

– Nieważne. Po miesiącu spędzonym na statku wiedziałem już, że na morzach nie ma co szukać wolności. Owszem, statek się porusza, ale woda cały czas wygląda tak samo i pozostaje tylko czekać, aż jakiś skrawek lądu wypełźnie na horyzont. A przez ten czas człowiek jest zamknięty jak w pudle z całym tłumem nieznośnych głupców. Statki pirackie niczym się nie różnią od państwowych. Długaśne kodeksy rządzą gromadzeniem, wycenianiem i dzieleniem łupów pomiędzy piratów, w zależności od ich klasy i rangi. Spędziłem w Port Royal cały miesiąc, próbując ustrzec własny tyłek przed zakusami napalonych bukanierów, a potem wsiadłem na statek z cukrem i ruszyłem w drogę powrotną.

Eliza się uśmiechnęła – rzadko to robiła, ale kiedy już jej się zdarzyło, Jack nie był zachwycony wpływem, jaki na niego wywierała.

– Wiele w życiu widziałeś.

– Mam ponad dwadzieścia lat, kotku. Jako człowiek wiekowy, u schyłku swoich dni, przyznam, że żyłem intensywnie i rzeczywiście trochę się na świat napatrzyłem, na Port Royal i inne cuda. Ty jesteś jeszcze dzieckiem; zostało ci dobre dziesięć, a jak Bóg da, to nawet ze dwadzieścia lat żywota.

– To na tym statku z cukrem wsadzili cię do aresztu?

– Za jakieś wymaginowane wykroczenie. A później piraci napadli nas i przestrelili nam kadłub. Kapitan, widząc, jak jego fortuna rozpuszcza się w wodzie, wezwał wszystkich na pokład. Grzechy poszły w zapomnienie.

* * *

Eliza próbowała kontynuować to przesłuchanie. Jack jej nie słuchał, zajęty obserwowaniem stawu i przycupniętej na jego brzegu niemal opuszczonej wioski. Jego uwagę przyciągnęła delikatna jak babie lato smużka dymu, snująca się do góry i rozplywająca poziomo pod jakąś niewidzialną przeszkodą w atmosferze. Dym dobywał się z szałasu opartego o ścianę starej, walącej się chaty. Gdzieś zaskomlał pies. Zarośla między stawem i pobliskim lasem były poprzecinane gęstą siatką ścieżynek schodzących na skraj wody. Drzewa tonęły w gęstych oparach dymu i mgły. Ości chrupotały Jackowi pod nogami, kiedy idąc brzegiem stawu zbliżał się do wioski. Jakiś człowiek dreptał drogą w stronę szałasu, wlokąc za sobą wiązkę chrustu większą niż on sam.

– Nie mają tu siekier – mruknął Jack do Elizy i poklepał siekierę wyniesioną z komory pod murami Wiednia. – Przez całą zimę muszą palić chrustem.

Mężczyzna miał na nogach drewniane chodaki, a na grzbiecie łachmany barwy popiołu. W powietrzu wokół niego unosiła się oleista chmura much. Spoglądał pożądliwie na buty Jacka; czasem zerkał smutno na szablę i konia, które jednoznacznie wskazywały, że o butach może tylko pomarzyć.

– *J'ai besoin d'une cruche* – zaproponował Jack.

– Jack! – Eliza parsknęła śmiechem. – To są Czechy! Dlaczego mówisz po francusku?

– *Il y a quelques dans la cave de ça – là-bas, monsieur* – odparł wieśniak.

– *Merci.*

– *De rien, monsieur.*

– Widziałaś jego buty? – spytał beztrąsko Jack, odczekawszy dłuższą chwilę, żeby Eliza zdążyła się solidnie zarumienić ze wstydu. – Tylko Francuzi noszą takie saboty.

– Ale skąd...

– Francja jest dla wieśniaków fatalnym miejscem do życia. Zwłaszcza niektóre z jej *pays*. Ale chłopci wiedzą, że na wschodzie jest pod dostatkiem bezpiecznej ziemi. Goście, których będziemy mieli na kolacji, również zdają sobie z tego sprawę.

– Jacy goście?

Jack znalazł w piwniczce gliniany dzbanek i kazał Elizie wrzucić do niego tyle kamyków, żeby nie unosił się na wodzie. Sam tymczasem zaczął grzebać w prochnicy, która od czasu utraty Burej Bess stała się dla niego zbędnym ciężarem. Oddarł z koszuli długi, wąski pas materiału i obtoczył go w prochu, aż płótno szerniało. Następnie skrzesał iskrę i z satysfakcją obserwował dymiący płomyk, który zaczął powoli, ale systematycznie pochłaniać tkaninę. Dzieci Francuza przyglądały mu się ciekawie. Były tak zapchłone, że oblażące je insekty wydawały słyszalny z pewnej odległości szelest, Jack kazał im więc zatrzymać się w bezpiecznej odległości. Płonący lont był największym cudem, jaki widziały w życiu. Eliza skończyła obciążać dzbanek. Dalej poszło już łatwo: Jack włożył do środka świeży kawałek natartego prochem płótna i wsypał resztę prochu. Podpałił lont, wepchnął go do dzbanka, a wylot zatkał kawałkiem rozmięklej świecy, żeby woda nie dostała się do środka. Cisnął

naczynie na środek stawu, najdalej jak mógł. Po chwili jezioro beknęło: woda wzburzyła się, spieniła i buchnęła chmurą dymu. To był najprawdziwszy cud. Po minucie na powierzchni zaroilo się od martwych i ogłuszonych ryb.

– Podano do stołu! – zawołał Jack.

Spowity mgłą i dymem las ożył już wcześniej: strużki ludzi pędziły po ścieżkach nad staw jak płomień po loncie.

– Na koń! – zakomenderował Jack.

– Mogą być niebezpieczni?

– To zależy, czym się można od nich zarazić. Mam to szczęście, że od urodzenia jestem odporny na dżumę, trąd, liszajec...

Ale Eliza już dosiadła Turka, dokonując tej sztuki w pośpiechu, jaki zachwyciłby chyba tylko sodomitę. Z braku lepszych zajęć Jack nauczył ją wszystkiego, co sam wiedział o jeździe konnej, toteż z wprawą obróciła wierzchowca w miejscu i skierowała się na porośnięty mchem pagórek, starając się jak najszybciej oddalić od osady.

– W roku pańskim tysiąc sześćset sześćdziesiątym piątym rysowała się przede mną świetlana przyszłość – mówił tymczasem Jack. – Z moim bratem Bobem prowadziliśmy kwitnący interes, świadcząc specjalistyczne usługi dla skazańców. Pierwszym niepokojącym objawem był zapach siarki: nad ulicami snuł się ciężki, żółtawy dym, gęstszy i bardziej cuchnący niż przeciętna londyńska mgła. Ludzie palili siarkę, żeby oczyścić powietrze.

– Z czego?

– Potem na ulice wyjechały wozy wypełnione truchłami szczurów, później kotów, psów, a na końcu ciałami ludzi. Na niektórych domach pojawiły się wyrysowane czerwoną kredą krzyże; uzbrojeni strażnicy stali przed zabitymi na głucho drzwiami, żeby uniemożliwić zamkniętym w środku nieszczęśnikom wydostanie się na zewnątrz. Miałem wtedy najwyżej siedem lat. Ludzie pławiący się w siarkowych oparach, przypominający posągi bohaterów z pikami w rękach i muszkietami gotowymi do strzału, żałobne bicie kościelnych dzwonów... To było prawie tak, jakbyśmy przenieśli się z Bobem do innego świata, na krok nie ruszając się z Londynu! Władze wydały zakaz organizowania rozrywek; nawet Irlandczycy zrezygnowali z obchodzenia swoich papistowskich świąt. Mnóstwo ludzi czmychnęło z miasta. Skończyły się egzekucje w Tyburn, teatry zamknięto po raz pierwszy od czasów Cromwella... Za jednym zamachem straciliśmy z Bobem źródło pieniędzy i możliwość ich wydawania. Wyjechaliśmy z Londynu, jak wszyscy. Do lasu. Ludzi było tyle, że rozbójnicy musieli się przenieść w inne okolice. Zanim w lasach zjawili się uciekający przed zarazą londyńczycy, wszędzie stały miasteczka szałasów, zamieszkane przez wdowy, sieroty, kaleki, głupków, szaleńców, czeladników wąpiących w sens swoich kontraktów, wyrzutków, bezdomnych kapłanów, ofiary pożarów i powodzi, dezertów, bezrobotnych żołnierzy, aktorów, panny w ciąży, druciarzy, domokrażców, Cyganów, zbiegłych niewolników, muzyków, żeglarzy bez pracy, przemytników, wypłoszonych Irlandczyków, ranterów,

diggerów, levellerów, kwakrów, feministki, położne... Zwykła populacja wagabundzkich osad nagle rozrosła się o chyzonogich londyńczyków, którym udało się prześcignąć Czarną Śmierć. Rok później pożar Londynu spowodował następny eksodus. A potem w skarbcu królewskiej marynarki wojennej pokazało się dno i dołączył do nas tłum wyrzuconych na ląd marynarzy. Włóczyliśmy się po całej południowej Anglii niczym banda kolędników z piekła rodem. Ponad połowa z nas spodziewała się, że najdalej za parę tygodni doczekamy Apokalipsy, więc nie zawracaliśmy sobie głowy snuciem planów na przyszłość. Burzyliśmy mury, wyłamywaliśmy płoty, rozbieraliśmy ogrodzenia, kłusowaliśmy w lasach pobożnych wielmożów i biskupów. Nie byli tym zachwyceni.

Podczas tej przemowy prawie cały tłumek wagabundów wynurzył się z lasu. Jack nie oglądał się na nich (wiedział, jakiego widoku się spodziewać), lecz obserwował coraz bardziej podenerwowaną Elizę. Turek, wyczuwając jej niepokój, zerkał na niego z ukosa, łyskając muzułmańskim półksiężycem białka oka. Nagle Jack zrozumiał, że tak samo będą się zachowywali wszyscy napotkani po drodze ludzie i zwierzęta: chętnie wezmą Elizę na swój grzbiet, pozwolą się jej wykorzystać, zrozumieją jej odczucia, jakby była aktorką na scenie w Southwark, i będą spoglądać z ukosa na Jacka. Teraz pozostało mu tylko wymyślić, jak mógłby to wykorzystać.

Eliza odetchnęła z ulgą, widząc, że wagabundy to w gruncie rzeczy zwykli ludzie, nawet ciut czystszy i bardziej cywilizowani od zamieszkujących wioskę chłopów; na pewno pomogło im to, że chcąc wyłowić ryby, musieli po nie popłynąć. Dwóch małych Cyganów przyciągnęło tłum gapiów, próbując wywlec na brzeg olbrzymiego karpia.

– Niektóre z tych ryb chyba pamiętają wojnę – mruknął Jack.

Kilka osób podeszło bliżej (choć nie za blisko), żeby złożyć uszanowanie Jackowi i – zwłaszcza – Elizie. Jednym z nich był wychudzony człowieczek o bladezielonych oczach, osadzonych w konstrukcji anatomicznej, która w niczym nie przypominała ludzkiej twarzy. Nie miał nosa – zostały z niego tylko dwa pionowe otwory; brakowało mu górnej wargi; jego uszy przypominały podziurawione dziecięce piąstki przyciśnięte do boków czaszki; na czole miał wypalone gniewne słowa. Zatrzymał się i uklonił nisko. Towarzyszył mu orszak osób mniej zdekompletowanych, za to bez wątplenia darzących go szczerą miłością. Wszyscy uśmiechali się promiennie do Elizy, jakby chcieli ją przekonać, że nie musi ani wymiotować, ani rzucać się z wrzaskiem do ucieczki.

Eliza była uprzejmie wstrząśnięta.

– Trędowaty? – zdziwiła się. – To skąd ta popularność?

– To recydywista. Kiedy polski wieśniak ucieknie, feudał poluje na niego do skutku, a potem piętnuje go albo ucina mu to i owo, naturalnie oszczędzając te części ciała, które mogą być potrzebne do pracy. Dzięki temu potem każdy od razu wie, że ma do czynienia ze zbiegłym wieśniakiem. To są właśnie diabelscy nędzarze: żaden pan ich nie złamie, żaden Kościół nie nawróci. Jak widzisz, upór tego jegomościa zyskał mu liczne grono wielbicieli.

Jack przeniósł wzrok na brzeg stawu, gdzie wagabundy garściami wygarniały wnętrzności z brzuchów karpi, hipnotyzując tym sferę skołtunionych psów. Spojrzał na Elizę, która akurat bacznie mu się przyglądała.

– Próbujesz sobie wyobrazić, jak bym wyglądał bez nosa?

Spuściła wzrok. Nigdy przedtem jej się to nie zdarzyło. Jack był poruszony – i zły na siebie za to, że jest poruszony.

– Nie życzę sobie takich podejrzliwych spojrzeń. Ostatnim człowiekiem, który patrzył na mnie w ten sposób, z grzbietu pięknego konia, był sir Winston Churchill.

– Kto to jest? Jakiś Anglik?

– Dżentelmen z Dorsetshire. Rojalista. Kiedy ludzie Cromwella spalili mu rodzinną posiadłość, przez dziesięć albo piętnaście lat mieszkał w zgliszczach, wychowując dzieci, opędzając się przed wagabundami i czekając na powrót króla. Kiedy do tego doszło, stał się bywalcem londyńskich salonów towarzyskich.

– Czemu w takim razie spoglądał na ciebie z siodła?

– Miał dość oleju w głowie, żeby w czasach zarazy i pożaru załatwić sobie królewską delegację do Dublina. Od czasu do czasu wracał do Anglii, podlizywał się królowi i przeprowadzał inspekcję resztek swoich majątków. Za którymś razem wpadł z synem z wizytą do Dorset i zwołał miejscową milicję.

– Ty też tam akurat byłeś, tak?

– No właśnie.

– Pewnie nie przez przypadek?

– Postanowiliśmy z Bobem i paroma kumplami wziąć udział w kultywowaniu pewnej uroczej miejscowej tradycji.

– Masz na myśli taniec w drewniakach?

– Nie. Pałowanie. Kiedyś w okolicach Dorset grasowały armie uzbrojonych w pałki chłopów. Cromwell urządził im rzeź, ale nie wyrznął wszystkich. Mieliśmy nadzieję, że uda się odnowić zamierający obyczaj. Potulnym wagabundom żyło się w tych mrocznych czasach coraz trudniej. Wiadomo, konkurencja.

– Co sir Winston na to?

– Nie chciał, żeby znów ktoś mu spalił dom, nie po tym, jak po dwudziestu latach udało mu się wreszcie położyć nowy dach. Dzięki statusowi lorda porucznika – król nadaje go tym, którzy najgłębiej wchodzą mu w tyłek – miał prawo dowodzić lokalną milicją. Większość lordów poruczników nie wyściubia nosa z Londynu, ale po zarazie i pożarze w kraju, jak mówiłem, zapanował chaos, więc nadano im specjalne uprawnienia: mogli przeprowadzać rewizje w poszukiwaniu broni, aresztować awanturników i tak dalej.

– Ciebie też aresztowali?

– Mnie? Skądże. Byliśmy dziećmi, a ponieważ regularnie nie dojadaliśmy, wyglądaliśmy na jeszcze młodszych niż byliśmy. Sir Winston zarządził kilka pokazowych egzekucji; to był

normalny środek perswazji, który miał przekonać wagabundów, by przenieśli się do sąsiedniego hrabstwa. Wybrał trzech ludzi i powiesił ich na drzewie. W ramach ostatniej posługi uwiesiliśmy się z Bobem ich nóg, żeby szybciej umarli, i w ten sposób wpadliśmy sir Winstonowi w oko. Byliśmy do siebie dość podobni, chociaż, o ile nam wiadomo, mamy różnych ojców. Widok dwójki niemal identycznych urwisów, którzy wykonują swoją robotę ze spokojem płynącym z doświadczenia, rozbawił sir Winstona. Wezwał nas do siebie i właśnie wtedy spojrzał na mnie tak jak ty teraz.

– I jakie wyciągnął wnioski?

– Nie czekałem, aż je wyciągnie. Zapytałem „Czy to pan tu dowodzi?” albo jakoś podobnie. Bob zdążył się już ulotnić. Sir Winston zaśmiał się z takim raczej przesadnym zapalem i odparł, że tak. „Chciałbym złożyć skargę”, powiedziałem. „Zapowiedział pan wykonanie paru egzekucji, żeby dać wszystkim przykład. Ale czy tak wygląda przykładowe wieszanie? Sznur jest zbyt cienki, pętla krzywo zawiązana, gałąź mało się nie złamie... A poza tym widowisku brakowało pompy i emocji. Tłum w Tyburn rozdarłby na sztuki kata, który zachowałby się z podobną nonszalancją”.

– Czyżbyś nie zrozumiał, Jack, że sir Winston Churchill chciał, żeby śmierć tych trzech była przykładowym ostrzeżeniem dla pozostałych?

– Zrozumiałem to, rzecz jasna. Sir Winston zaczął mi udzielać podobnie nużących wyjaśnień jak ty przed chwilą. Przerywałem mu jeszcze parokrotnie głupkowatymi uwagami, gdy nagle młody John Churchill, dosiadający drugiego konia, odwrócił się i rzekł: „Ojciec, spójrz tylko. Ten drugi właśnie grzebie nam w taborze”.

– Jak to?! Bob...

– Moje przedstawienie miało odwrócić ich uwagę. Skupili się na mnie, a Bob tymczasem przeszukiwał ich bagaże. Tylko John Churchill był dostatecznie bystry, żeby przejrzeć nasz podstęp.

– I co? Sir Winston zmienił zdanie na wasz temat?

– Najpierw wyjął szpicrutę, ale John powiedział coś do niego *sotto voce* i chyba go przekonał, bo sir Winston stwierdził, że bracia Shaftoe mogą mu się przydać w kontekście militarnym. Od tej pory pucowaliśmy buty, czyściliśmy muszkiety, biegaliśmy po piwo i w ogóle byliśmy chłopcami na posyłki w podległym mu oddziale milicji. Dostaliśmy szansę udowodnienia, że jesteśmy nędzaczami Boga, nie szatana.

– Więc to stał się wzięła twoja wiedza wojskowa.

– Tak zaczynałem, ale to było dobre szesnaście lat temu.

– Przypuszczam, że z tego samego okresu bierze się twoje współczucie dla takich jak oni.

– Eliza zerknęła przelotnie na wagabundów.

– Słucham? Naprawdę sądzisz, że wyprawilem tę rybną ucztę z dobroci serca?

– Jeśli tak się nad tym zastanowić...

– Potrzebuję... Potrzebujemy informacji.

– Od nich?!

– Podobno w niektórych miastach są takie domy, które nazywa się bibliotekami. Pełne książek. Tak słyszałem. I w każdej książce jest jakaś historia. Powinnaś wiedzieć, że nie ma chyba biblioteki, która zawierałaby tyle historii, ile zna ich obóz wagabundów. I tak jak uczonego w piśmie człowieka idzie do takiej biblioteki i szuka interesującej go opowieści, tak ja chcę usłyszeć jedną konkretną historię od któregoś z tych ludzi. A ponieważ nie wiem od którego, wysłucham wszystkich.

– Co to za historia?

– O zalesionym, pagórkowatym kraju, który leży gdzieś na północ stąd. Niezbyt daleko. Przez okrągły rok tryska tam z ziemi gorąca woda, dzięki czemu bezdomni wędrowcy nie zamarzają na śmierć. Bo widzisz, kotku, gdybyśmy chcieli przetrwać zimę na północy, powinniśmy już od miesięcy zbierać drewno.

Jack zagłębił się w tłum i w zgrzytliwej mieszance gwary i francuszczyzny, uzupełnionej językiem migowym, zaczął się rozpytywać o interesujące go sprawy. Wkrótce dowiedział się wszystkiego, czego chciał. Wśród wagabundów znajdowało się sporo hajduków – zbiegłych chłopów, którzy utrzymywali się z napadania na Turków. Dobrze rozumieli, co oznacza koń i szabla Jacka, i namawiali go, żeby do nich przystał, ale uznał, że najlepiej będzie zejść im z oczu, zanim uprzejme nagabywanie zmieni się w twarde żądania. Gdyby pominąć ten incydent, scena patroszenia i okaleczania pięćdziesięcioletnich karpi przez zbieraninę wagabundów była niemal równie niezwykła – i równie apokaliptyczna – jak widoki, które zapamiętali z tureckiego obozu. Chcieli o niej jak najszybciej zapomnieć, toteż jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu ruszyli na północ. Pierwszy raz noc okazała się na tyle zimna, że musieli położyć się przy ognisku, przytuleni, pod jednym kocem – dzięki czemu Eliza spała jak kamień, a Jack prawie nie zmrzął oka.

Czechy

Zima 1683-1684

Przez dwa tygodnie po tym, jak Jack uczynił niemal chrystusowy cud i z jednej prochownicy nakarmił tysiąc wagabundów, prawie nie odzywali się do siebie z Elizą, poza omawianiem kwestii bezpośrednio związanych z przetrwaniem. Pagórkowaty kraj wypalonych zamków, stawów rybnych i szerokich dolin przeszedł w górzystą krainę, która albo mniej ucierpiała w czasie wojny, albo szybciej zaleczyła rany. Ze szczytów i przełęczy spoglądali na brunatne pola, na rozproszone stogi siana, przypominające bańki na gładkiej powierzchni wody, na schludne miasteczka, zjeżone kominami niczym pikami i muszkietami wymierzonymi w serce zimy. Jack bez skutku przyrównywał te widoki do obrazów z

opowiadań wagabundów. Zdarzały się wieczory, kiedy byli święcie przekonani, że tym razem na pewno zamarzną, ale zawsze znalazł się jakiś szałas, pieczara czy rozpadlina skalna, gdzie mogli ułożyć sobie poślanie z suchych liści i rozpalic ogień. Aż w końcu przyszedł dzień, gdy całkiem niespodziewanie – jakby wpadli w zasadzkę – znaleźli się w dolinie, w której drzewa były obrosnięte szadzią, a środkiem płynęła cuchnąca strużka wody o dziwnym kolorze. Para unosiła się nad korytem rzeczulki.

– Jesteśmy na miejscu – stwierdził Jack.

Zostawiwszy Elizę w lesie, wyjechał pomiędzy drzew i zagadnął dwójkę górników grzebiących w strumieniu kilofami i szpadlami. Wydobywali kruche kamienie, które śmierdziały jak Londyn w czasach zarazy. Siarka!

Jack słabo mówił po niemiecku, oni zaś nie znali ani słowa po angielsku, ale szabla, koń i buty zrobiły na nich należyte wrażenie. Za pomocą chrząknięć, wzruszeń ramionami i gestów dali mu do zrozumienia, że nie widzą przeszkód, aby zatrzymał się na zimę przy gorącym źródle, półtorej mili w głąb doliny.

Jack z Elizą udali się więc w górę strumienia, wypływającego z maleńkiej jaskini, w której zawsze było ciepło. Powietrze w środku nie nadawało się do oddychania, przez co nie dało się tam długo przebywać, ale przynajmniej mieli gdzie się chronić przed zimnem na czas niezbędny do odbudowy zrujnowanej chałupiny, stojącej nad brzegiem parującego potoku. Jack przycinał drewno i przynosił je Elizie, która składała chatynkę w całość. Dach przeciekłby przy pierwszym deszczu, ale skutecznie chronił przed śniegiem. Za resztki srebra Jack kupił trochę sarniego i króliczego mięsa od górników zastawiających w lesie przemysłne sidła.

Pierwszy miesiąc Jacka i Elizy spędzony u wód był zatem nieprzerwanym ciągiem zmagania z naturą, o których zapominało się następnego dnia po zwycięskim rozstrzygnięciu. Plany przetrwania i zwykłe wagabundzkie problemy pochłaniały ich bez reszty. W końcu jednak osiągnęli etap, gdy ciężka praca nie zajmowała im całych dni. Jack nie zauważył różnicy, ale Eliza dała mu jasno do zrozumienia, że pewne sprawy od dawna nie dają jej spokoju.

– Coś ty taka zasepiona? – wykrztusił Jack pewnego dnia, mniej więcej w grudniu.

– To nic takiego. – Eliza pociągnęła nosem. – Pogoda jest smętna.

– Jeśli pogoda jest smętna, to co powiedzieć o tobie?

– Tak sobie myślę... O różnych rzeczach.

– No to przestań myśleć! Miejże litość! W tej szopie i tak ledwie można się wygodnie wyciągnąć, a środkiem już płynie strumyk łez. Zapomniałaś, jak rozmawialiśmy o kobiecych humorach?

– Twoja troska jest doprawdy rozczulająca. Jak ja ci się odwdzięczę?

– Nie becz!

Ściany chałupki zatrzęsły się od szlochu, a po chwili Eliza posłała Jackowi fałszywy uśmiech.

– Więc trafiliście do wojska...

– A to co ma znaczyć? Nie wystarczy, że pomagam ci przeżyć? Mam jeszcze dostarczać rozrywki?

– Widzę, że nie masz ochoty o tym mówić. Jesteś przygnębiony?

– A ty cały czas coś tam sobie kombinujesz w tym twoim mózdzku. Chcesz wykorzystać moją opowieść w jakimś zdroznym celu. Niektóre szczegóły, w gruncie rzeczy nieistotne, na pewno wzbudziłyby twoją niezdrową ciekawość.

– Jack! Mieszkamy w głuszy, jak dzikusy. Po co mi historia, która wydarzyła się przed moim narodzeniem? Poza tym, na litość boską, czym się mam zająć, jeśli nie mam nawet igły z nitką?

– Znów się zaczyna. A niby skąd dzikus żyjący w głuszy ma wziąć igłę z nitką?

– Mógłbyś poprosić tych górników, żeby następnym razem przywieźli je z miasta. Przecież kupują owies dla Turka. Nie mogliby kupić igieł i nici?

– Jeśli ich o to poproszę, domyślą się, że mieszkam z kobietą.

– Nie pomieszkasz długo, jeśli mi czegoś nie opowiesz. Albo nie przyniesiesz igły i nici.

– No dobrze. Fragment mojej opowieści, który prawie na pewno wywoła twoją przesadną reakcję, wiąże się z faktem, że chociaż sam sir Winston Churchill był właściwie nikim, jego syn, John, przez krótki czas był kimś. Był, ale już nie jest i nie będzie, chyba że w świecie dworzan.

– Mówiłeś przecież, że jego ojciec plasował się zaledwie jeden szczebelek wyżej od wagabundy.

– Owszem. Dlatego też John nigdy nie zająłby stanowiska, które udało mu się osiągnąć, gdyby nie był sprytny, przystojny, odważny, buńczuczny i dobry w łóżku.

– Kiedy mógłbyś nas sobie przedstawić?

– Wiem, że to tylko prowokacja z twojej strony.

– A jakież to „stanowisko” udało mu się zająć?

– Miejsce w łóżku ulubionej kochanki Karola II, króla Anglii.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, w sam raz, żeby napięcie trochę wzrosło, a potem Eliza zaniósł się śmiechem. Nagle nastał kwiecień.

– Chcesz mi wmówić, że Jack Półkuśka, który w żadnym razie nie jest wagabundą, osobiście zna kochanka królewskiej faworyty?

– Uspokój się. Jeszcze ci jakaś żyłka pęknie, a w okolicy nie ma żadnego felczera. Gdybyś wiedziała cokolwiek o świecie, który rozciąga się poza azjatyckimi haremami, nie byłabyś taka zdziwiona. Drugą faworytą króla jest Nell Gwyn. To aktorka.

– Od początku wiedziałam, że ważna z ciebie persona, Jack. Powiedz mi jednak, z łaski swojej, skoro wreszcie udało mi się pociągnąć cię za język, jakim cudem John Churchill z ojcowskiej milicji w Dorset trafił do królewskiej sypialni?

– Nie zapominaj, że John nie był formalnie przypisany do naszego regimentu. Po prostu przyjechał z ojcem na wizytację. Mieszkali w Londynie i mały Johnny chodził tam do jakiejś szkoły dla fircyków. Sir Winston pociągnął za te parę sznurków, których mógł dosięgnąć, zapewne skamłając o swojej nieugiętej lojalności w okresie bezkrólewia, i ulokował Johna w roli giermka u boku Jakuba, księcia Yorku, królewskiego brata i papisty. Kiedy ostatnio słyszałem o Jakubie, siedział w Edynburgu, tracił rozum i torturował Szkotów, ale w tamtych czasach, w okolicach tysiąc sześćset siedemdziesiątego, mieszkał w Londynie. John Churchill również. Mijały lata. Na resztkach z żołnierskich stołów utuczyliliśmy się z Bobem jak cielaki na sprzedaż.

– Nie żartuj!

– Nie udawaj, że mnie podziwiasz. Znasz prawdę. Robota w regimencie była zmusna i ciężka. John Churchill popłynął tymczasem do Tangeru, walczyć z berberyjskimi piratami.

– Ach, czemuż nie mógł mnie uratować?

– Może jeszcze nie wszystko stracone. Ale zmierzałem do czegoś innego, a mianowicie do oblężenia Maastricht. To takie miasto w Holandii.

– To daleko od Tangeru.

– Skup się. John wrócił z Tangeru opromieniony sławą. Tymczasem Karol II porozumiał się nie z kim innym, jak z samym Ludwiczkiem francuskim, arcybiskupem, w dodatku tak bogatym, że przekupił nie tylko angielską opozycję, lecz także drugą stronę, żeby w parlamencie nie było nudno. I tak oto Anglia z Francją wystąpiły wspólnie, na lądzie i morzu, przeciw Holandii. Ludwiczek w asyście całego ruchomego miasteczka zaludnionego przez dworaków, faworyty, generałów, biskupów, kronikarzy, poetów, portrecistów, kucharzy, muzyków, towarzyszącą im wszystkim świtę, orszak tejeże, *et caetera* przybył do Maastricht i zaczął oblegać miasto z takim samym rozmachem, z jakim inni królowie wydają przyjęcia. Obóz Ludwiczka nie był może tak pięknie urządzonej jak obozowisko wielkiego wezyra pod Wiedniem, ale za to zamieszkiwali go ludzie lepszego pokroju. Wszystkie europejskie osoby musiały się tam zjawić, a ponieważ John Churchill również się do takowych zaliczał, udał się do Maastricht. A my z Bobem pojechaliśmy wraz z nim.

– Zaraz, tu się zgubiłam. Po co ciągnął ze sobą dwóch niesfornych chłopaków?

– Po pierwsze, od jakiegoś czasu nie byliśmy już niesforni. Po drugie, nawet w najszlachetniejszym towarzystwie potrzebny jest ktoś, kto będzie opróżniał nocniki, oraz (w wypadku ewentualnej bitwy) własnym ciałem zatrzymywał kule muszkietowe, zanim dosięgną tych lepiej urodzonych.

– A po trzecie?

– Nie ma żadnego „po trzecie”.

- Kłamiesz. Widziałam, jak otwierasz usta i prostujesz trzeci palec, ale się rozmyśliłeś.
- Niech ci będzie. Po trzecie, John Churchill, dworzanin, dawny żigolak, awanturnik i bywalec, jest najlepszym dowódcą wojskowym, jakiego w życiu widziałem.
- O rety...
- Chociaż ten Jan Sobieski też jest niczego sobie. Niełatwo mi tak mówić o Johnie...
- To zrozumiałe.
- Ale to prawda. Jako doskonały dowódca, mający stoczyć bitwę z prawdziwego zdarzenia, miał dość oleju w głowie, by zabrać ze sobą ludzi, którzy odwałą za niego czarną robotę. Trudno ci w to pewnie będzie uwierzyć, ale zapamiętaj moje słowa: kiedy poważni, kompetentni ludzie chcą coś załatwić w prawdziwym świecie, tradycja i protokół zostają za drzwiami.
- A co, jego zdaniem, mogliście z Bobem działać w prawdziwym świecie?
- Przenosić rozkazy na polu bitwy.
- I co? Miał rację?
- Połowicznie.
- Czyli jeden z was się sprawdził, a drugi...
- Bynajmniej nie zaniedbałem swoich obowiązków. Po prostu znalazłem sobie inteligentniejsze zajęcie.
- John Churchill wydał ci rozkaz, a ty odmówiłeś jego wykonania?
- Ależ nie! W żadnym razie! Po kolei... Śledziłaś przebieg oblężenia Wiednia?
- Z ogromną uwagą. Nie zapominaj, że od jego wyniku zależało moje dziewictwo.
- Opowiedz mi, jak wielki wezyr zabrał się do rzeczy.
- Kazał kopać jeden okop po drugim, każdy następny o kilka metrów bliżej murów niż poprzedni. Z tego najbardziej wysuniętego do przodu kazał ryc tunele pod taką trójkątną fortecą, która wystawała poza obris miasta...
- Czyli pod rawelinem. Tak to się nazywa. Wszystkie nowoczesne umocnienia mają raweliny. W Maastricht też.
- Podłożył ładunek, wysadzić i do przodu. I tak to szło.
- Wszystkie oblężenia wyglądają podobnie. Także oblężenie Maastricht.
- Do czego zmierzasz?
- Etap rycia w ziemi za pomocą kilofów i łopat zakończył się przed przybyciem ważnych person. Żołnierze wykopali wszystkie transzeje, okopy i miny. Nadeszła chwila szturmowania pewne wysunięte w pole dzieło forteczne, które inżynier nazwałby redutą, a które jest trochę podobne do wiedeńskich rawelinów.
- Taka osobna forteczka pod samymi murami tej głównej.
- No właśnie. Ludwiczek bardzo chciał, żeby po zakończeniu oblężenia angielscy wojownicy-dżentelmeni albo mieli u niego dług wdzięczności, albo byli martwi, więc przypadł im w udziale zaszczyt szturmowania reduty. Natarcie poprowadzili John Churchill i

książę Monmouth, bękart króla Karola. I wygrali. Churchill osobiście zatknął francuską flagę (na samą myśl o niej robi mi się niedobrze) na parapecie zdobytego fortu.

– To wspaniale!

– Mówiłem przecież, że przez chwilę był kimś. Wrócili przez zryty okopami stok bojowy do naszego obozowiska w transzei na całonocną popijawę.

– I nikt nie kazał ci biegać z rozkazami?

– Następnego dnia ziemia zadrżała i pięćdziesięciu rozlokowanych na reducie francuskich żołnierzy wyleciało w powietrze: to obrońcy Maastricht zdetonowali potężną kontrminę. Potem wpadli w powstałą po wybuchu lukę i wdali się w walkę na szable i bagnety. Wyglądało na to, że zaraz odbiją fort i zdewaluują bohaterski wyczyn Churchilla i Monmoutha. Byłem wtedy nie dalej niż dziesięć stóp od Johna Churchilla. Bez namysłu porwał szablę do ręki i rzucił się biegiem w tamtą stronę. Było oczywiste, że muszkiety nie będą potrzebne. Żeby było szybciej, biegł górą, nie okopami, wystawiając się na ostrzał obrońców, na oczach wszystkich kronikarzy i poetów, śledzących rozwój wydarzeń przez ozdobne teatralne lornetki z okien powozów, ustawionych tuż poza zasięgiem armat. Patrzyłem oniemiały, dziwiąc się niezwiemy głupocie Churchilla, dopóki nie zorientowałem się, że Bob pędzi za nim krok w krok.

– Co wtedy zrobiłeś?

– Głupota Boba też mnie zdumiała i, czego chyba nie muszę dodawać, postawiła w niezręcznej sytuacji.

– Zawsze myślisz o sobie.

– Na szczęście w tej samej chwili jak spod ziemi wyrósł przede mną książę Monmouth i kazał mi zanieść wiadomość do stacjonującej w pobliżu kompanii francuskich muszkietierów. Pobiegnę więc okopem, znalazłem monsieur D'Artagnana, dowó...

– Zaczekaj!

– Co się stało?

– Nawet ja słyszałam o D'Artagnanie! Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

– Mogę mówić dalej?

Westchnienie.

– Tak.

– Monsieur D'Artagnan, który, wbrew temu, co najwyraźniej sobie wyobrażasz, był człowiekiem z krwi i kości, a nie bohaterem romantycznej legendy, wydał muszkietierom rozkaz do natarcia. I wszyscy, jak jeden mąż, ruszyliśmy na redutę z niezwykłą wręcz brawurą.

– Niesamowite! – W głosie Elizy brzmiała tylko odrobinka sarkazmu. Z początku nie chciała uwierzyć, że Jack naprawdę spotkał słynnego D'Artagnana, ale kiedy dała mu się przekonać, opowieść wciągnęła ją bez reszty.

– Ponieważ biegliśmy po stoku, zamiast kryć się po okopach jak jacyś pospolici tchórze, dopadliśmy do reduty w miejscu, w którym Holendrom nie chciało się nawet wystawić porządnych posterunków. Wszyscy razem – francuscy muszkietrzy, angielskie bękarty i żigolaki oraz wagabundzcy gońcy – dobiegliśmy do reduty w tej samej chwili, ale dalej dało się wejść tylko pojedynczo. D’Artagnan, który pierwszy znalazł się przy wejściu, zagroził drogę Monmouthowi, prosząc go szarmancko i uprzejmie, prawdziwie po francusku, aby nie wchodził do środka. Księżę jednak się uparł i muszkietier w końcu przystał na jego nalegania, ale pod warunkiem, że on sam, D’Artagnan, wejdzie pierwszy. Wszedł i dostał kulkę w łeb. Następnie przebiegli po nim i obok niego i odnieśli żalosne zwycięstwo, a ja zostałem, żeby mieć na niego oko.

– Żył jeszcze?!

– Nie, no bez przesady. Jego mózg obryzgał mi cały mundur.

– To po co zostałeś? Żeby pilnować ciała...

– Prawdę powiedziawszy, interesowały mnie przede wszystkim wysadzone klejnotami pierścienie, które miał na palcach.

Na dobre pół minuty Eliza zamarła w pozie człowieka, który właśnie otrzymał postrzał w głowę i odniósł obrażenia, których skutki trudno na razie określić. Jack uznał, że czas przejść do piękniejszych fragmentów opowieści, ale dziewczyna się zaparła.

– Twój brat ryzykował własne życie, a ty w tym czasie ograbiałeś trupa D’Artagnana?! Ty potworze!

– Dlaczego tak mówisz?

– To takie... takie nikczemne.

– Ale nie musisz w podtekście zarzucać mi tchórzostwa. Znalazłem się w gorszym niż Bob niebezpieczeństwie: kule z muszkietów ze świstem dziurawiły mi kapelusz.

– Mimo wszystko...

– Walka się skończyła. Te pierścienie były wielkie jak ucha kołatek. Sławny muszkietier zostałby pochowany razem z nimi, gdyby ktoś ich wcześniej nie gwizdnał.

– Wziąłeś je, Jack?

– Założył je, kiedy był młodszy i szczuplejszy. Nie mogłem ich ruszyć. Wyobraź to sobie: stoję nad nim, zapieram się butem o jego pachę (nie było to może najgorsze miejsce, w jakie musiałem w życiu pchać nogę, ale niewiele brakowało), zdieram sobie paznokcie, próbując przecisnąć pierścień przez zwały tłuszczu, którymi palec obrósł podczas długich lat przeżytych przez D’Artagnana za pan brat z winem i kobietami, i cały czas zadaję sobie pytanie, czy nie lepiej byłoby go po prostu odciąć. – Ponieważ Eliza zrobiła taką minę, jakby właśnie przelknęła zepsutą ostrygę, Jack postanowił czym prędzej przejść do dalszych wydarzeń. – I kto się pojawia? Braciszek Bob, z wyrazem obłudnej grozy na twarzy, niczym pastor, który przyłapał ministranta na masturbacji w zakrystii, czyli właśnie z taką miną, jaką masz w tej chwili; Bob w przebraniu dobosza, z wiadomością, oczywiście niezwykle pilną, od

Churchilla do jednego z generałów Ludwiczka. Zatrzymuje się w przelocie, by uraczyć mnie kazaniem o żołnierskim honorze. „Chyba w to nie wierzysz, co?” – pytam. „Do dziś nie wierzyłem, Jack, ale gdybyś widział to co ja widziałem, to czego dokonali tacy towarzysze broni, jak John Churchill, książę Monmouth i Louis Hector de Villars, też byś uwierzył”.

– I pobiegł doręczyć wiadomość – dokończyła Eliza ze wzrokiem utkwionym w dal, co drażniło Jacka, który wolałby, żeby ciałem i duchem została z nim w chacie. – A John Churchill wynagrodził go później za jego odwagę i wierność.

– Niby tak... Parę miesięcy później Bob pojechał za nim do Westfalii, gdzie jako najemnik służył pod francuskim dowództwem, mordował bezbronnych protestantów i po raz setny łupił Palatynat Reński. Jakoś nie rozumiem, co to miało wspólnego z żołnierskim honorem.

– Ty zaś tymczasem...

– Pociągnąłem łyk koniaku z manierki D'Artagnana i wróciłem do okopów.

Te słowa przywróciły wreszcie Elizę do teraźniejszości. Odnalazłszy się tu (w czeskiej chacie) i teraz (pod koniec roku pańskiego tysiąc sześćset osiemdziesiątego trzeciego), skierowała na Jacka całą moc swojego błękitnego spojrzenia.

– Zawsze robisz z siebie takiego nicponia, Jack. Odgrażasz się, że poucinałbyś palce D'Artagnanowi, wysadził w powietrze pałac cesarski... Ale mnie się wydaje, że nie jesteś wcale takim złym człowiekiem.

– Moje kalectwo poważnie ogranicza moje awanturnicze skłonności.

– Ciekawe, że akurat teraz o tym wspomniałeś. Gdybyś znalazł kawałek mocnej kiszki, sarniej albo owczej...

– To co?

– Znam pewną turecką sztuczkę. Łatwiej ją zademonstrować niż wyjaśnić. Gdybyś jeszcze zechciał spędzić chwilę w gorącym źródle i doprowadzić się trochę do porządku... Może mógłbyś trochę narozrabiać.

* * *

– No dobrze, powtórzmy to jeszcze raz. „Jack, pokaż panu belę tej złotej jedwabnej mory”. Teraz ty.

– Już się robi, moja pani.

– Jack? Przenieś mnie, proszę, przez tę kałużę.

– Z rozkoszą, moja pani.

– Nie mów „z rozkoszą”. To brzmi nieprzyzwoicie.

– Jak sobie życzysz, moja pani.

– Doskonale, Jack. Dostrzegam wyraźną poprawę.

– Nie myśl sobie tylko, że to dzięki temu, że wetknęłaś mi pięść w tyłek.

– Pięść? – Eliza roześmiała się radośnie. – Zaledwie dwa paluszki. Pięść czułbyś mniej więcej... tak.

Jack odniósł wrażenie, jakby wywrócono go na nice. Próbował się szarpać i krzyżeć, ale tylko przez chwilę, bo zaraz jego głowa przez przypadek znalazła się pod powierzchnią zasiarczonej wody. Wolną ręką Eliza złapała go za włosy i wyciągnęła.

– Jesteś pewna, że tak się to robi w Indiach?

– A co? Chciałbyś się... poskarżyć?

– Auć! Nie! Wcale nie!

– Pamiętaj, Jack: kiedy poważni, kompetentni ludzie chcą coś załatwić w prawdziwym świecie, tradycja i protokół zostają za drzwiami.

Nastąpiła długa, bardzo długa i tajemnicza procedura, zarazem nużąca i intrygująca.

– Co próbujesz wymacać? – wymamrotał półgłosem Jack. – Woreczek żółciowy jest bardziej na lewo.

– Szukam pewnej czakry, powinna gdzieś tu być...

– Co to jest czakra?

– Zorientujesz się, kiedy ją znajdę.

Wkrótce potem znalazła, a wówczas procedura – oględnie mówiąc – przybrała na intensywności. Jack, zawieszony między dwiema dłońmi Elizy jak szalkowa waga w sklepie, czuł, jak jego środek ciężkości przemieszcza się z wolna, w miarę przepływania płynów ustrojowych z jednych zbiorników do innych, w oczekiwaniu na jakieś wielkie wydarzenie. Aż wreszcie nastąpiła chwila prawdy – Jack zatrzepotał nogami, jak gdyby jego ciało próbowało rzucić się do ucieczki, ale tkwił w miejscu, nabity na pal. Zobaczył kulę boskiego światła, jakby słońce omyłkowo usiłowało wzejść w głębi jego czaszki. Był świadkiem jakiejś hinduskiej apokalipsy. Umarł, trafił do piekła, wstąpił na niebiosa, dostąpił reinkarnacji – i to wielokrotnie – w jakieś ryczące, skrzeczące i skowyczące zwierzęta, a na koniec odrodził się, choć z niemałym trudem, jako człowiek. Ledwie żywy człowiek.

– Tego właśnie chciałeś? – zapytała Eliza. Była gdzieś bardzo blisko.

Jack przez długą chwilę bezgłośnie śmiał się – albo szlochał.

– W tych dziwnych gotyckich miastach w Niemczech ludzie mają takie stare zegary – wykrztusił w końcu. – Wielkie jak domy, pozamykane na głucho i zaopatrzone tylko w takie maleńkie drzwiczki, z których co godzina wyskakuje kukułka. Ale raz dziennie taki zegar robi coś wyjątkowego, coś, przy czym otwierają się jeszcze jedne drzwi. Raz na tydzień zdarza się coś jeszcze bardziej niezwykłego, a potem – tak słyszałem – to samo dzieje się po każdym pełnym roku, dekadzie i stu latach: otwiera się kilkoro olbrzymich wrót, na co dzień zatrzaśniętych pod ciężarem kurzu i wieku. Skrzypią głośno, poruszane opadającymi na zardzewiałych łańcuchach ciężarkami, i odsłaniają cały mechanizm zegara. Niewidoczna dotąd maszyna zostaje z chrzęstem wprawiona w ruch, ze środka wychylają się niezwykle postaci, trzepoczą chorągiewki, śpiewają mechaniczne ptaki, stare pajęczyny i zeskorupiałe

gówny gołębi sypią się na głowy świadków, śmierć tańczy fandango, aniołowie dmą w trąby, Jezus wije się na krzyżu i oddaje ducha, na oczach widzów rozgrywa się bitwa morska, miniaturowe działa strzelają salwami... Mogłabyś mi już wyjąć rękę z tyłka?

– Dawno to zrobiłam. Omal mi jej nie złamałeś.

Z wdziękiem godnym damy ściągającej jedwabną rękawiczkę Eliza zdjęła z dłoni zakończony supłem kawałek owczego jelita.

– Czyli to trwały stan?

– Nie marudź. Jeśli mnie wzrok nie mylił, Jack, przed chwilą twoje ciało wydzieliło zdumiewającą ilość żółci. Spłynęła w dół strumienia.

– Co ty wygadujesz? Przecież się nie zrzygałem.

– Pomyśl chwilę, Jack.

– Aaa, takiej żółci... Powinna być raczej perłowobiała. Ale dawno już jej nie widziałem, więc może z czasem zżółkła. Jak ser. Mniejsza z tym. Powiedzmy, że faktycznie była żółta.

– Wiesz, co to za *humor*, Jack?

– A co to ja, medyk jestem?

– *Humor* gniewu i porywczosci. Nosileś go w sobie całe mnóstwo.

– Poważnie? No to cieszę się, że nie było tego widać po moim zachowaniu.

– Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że zmienisz zdanie na temat igły i nici.

– Nigdy nie miałem nic przeciwko nim. Załatwione, Elizo.

Lipsk

Kwiecień 1684

Z tego, co słyszałam o Leibnizu, jest podobno człowiekiem bardzo inteligentnym i miłym towarzyszem. Trudno dziś znaleźć uczonego, który byłby czysty, nie śmierdział i miał poczucie humoru.

Liselotte w liście do Zofii

30 lipca 1705

– Jacques, pokaż panu tę belę żółtej jedwabnej mory... Jacques? Jacques!

Eliza gładko przeszła do okrutnego żartu o tym, jak trudno w dzisiejszych czasach o pracowitą i godną zaufania służbę. Mówiła po francusku tak płynnie, że Jack przestał ją rozumieć. Mężczyzna, z którym rozmawiała, wyglądający na paryskiego handlarza szmat, na moment wyjął nos z zagłębienia między piersiami Elizy, spojrzał jej w oczy i zachichotał niepewnie. Wiedział, że wygłosiła jakiś *bon mot*, ale jej słowa do niego nie dotarły.

– Rany, ale się zdziwił – mruknął Jack. – Dopiero teraz się zorientował, że oprócz cycków masz jeszcze głowę.

– Zamknij się. W końcu spotkamy kogoś, kto mówi po angielsku. – Eliza skinieniem głowy wskazała belę jedwabiu. – Mógłbyś nie przysypiać?

– Od pół roku nie byłem tak czujny jak teraz. Na tym właśnie polega problem.

Jack schylił się, odwinął łokieć materiału i zatrzepotał nim jak flagą, próbując obudzić jakiś refleks świetlny na powierzchni jedwabiu. Promyk słońca byłby nieocenioną pomocą, ale jedyną gwiazdą rozświetlającą podwórko była Eliza, występująca w jednej z sukienek, nad którymi od miesięcy pracowała. Jack widział, jak powstawały (z czegoś, czego nie mógł nazwać inaczej niż ścinkami), więc nie robiły już na nim większego wrażenia, ale kiedy Eliza szła przez targ, ściągała takie spojrzenia, że miał ochotę przywiązać sobie prawą rękę do boku. Bał się, że w przeciwnym razie lada chwila wyszarpienie damasceńską szablę z pochwy i da lipskim kupcom lekcję dobrych manier.

Eliza wdała się w dłuższą dysputę z paryżaninem, który w końcu wręczył jej stary, wymiętoszony kawałek papieru, zagryzmołony wielokrotnie różnym charakterem pisma, w zamian zaś wziął od Jacka belę jedwabiu i poszedł sobie. Jack znów ledwie się powstrzymał od sięgnięcia po broń.

– Kiedyś nie wytrzymam.

– Wiem. Powtarzasz to za każdym razem.

– Jesteś przekonana, że te skrawki papieru są coś warte.

– Bo są! Tu jest to napisane. Przeczytać ci?

Minął ich karzeł sprzedający czekoladki.

– To na nic. Musiałbym poczuć srebro w kieszeni.

– Boisz się, że cię oszukam? Że wykorzystam to, że nie umiesz czytać weksli?

– Boję się, że coś im się stanie, zanim zdążymy je wymienić na realne pieniądze.

– A co to są realne pieniądze, Jack? Powiedz mi, proszę.

– No wiesz, peso. Albo te, jak im tam... dolary.

– Talary, Jack. Na początku jest T, ale z przydechem. Takie gardłowe. Powiedz: talar.

– D-d-d-dolar.

– Co za głupia nazwa dla pieniędzy. Jeśli będziesz tak mówił, nikt nie potraktuje cię poważnie.

– Bez przesady. Skrócili już „joachimsthalery” do talarów, więc czemu nie pójść jeszcze o krok dalej?

* * *

Po mniej więcej miesiącu spędzonym u wód zaczął ich ogarniać narastający z wolna obłąd. Jack podejrzewał, że to nieubłagana francuska choroba dociera wreszcie do

kluczowych rejonów jego mózgu, dopóki Eliza nie wytknęła mu, że od miesięcy żywią się tylko chlebem i wodą, z rzadka tylko urozmaicając dietę kawałkiem suszonej ryby. Żołd był skąpy, ale po uzupełnieniu o łupy z domu bogatego strasburczyka powinien wystarczyć nie tylko na owies dla Turka, lecz także na kapustę, ziemniaki, rzepę, soloną wieprzowinę, a nawet, od czasu do czasu, na jakieś jajka – ale tylko pod warunkiem, że Jack przestanie go skąpić.

Na pośredników handlowych wybrał parę górników z niższej części doliny, Hansa i Hansa. Hansowie nie pracowali na własną rękę, lecz na zlecenie niejakiego Herr Geidela z Joachimsthalu, pobliskiego miasteczka, w którym wykopywano spod ziemi srebro. Herr Geidel zatrudniał różnych takich Hansów po to, żeby wydobywali rudę i wytapiali z niej nieregularne sztabki, z których później w miejskiej mennicy bito joachimsthalery.

Dowiedziawszy się, że w okolicy jego siarczanej kopalni kręci się jakiś dziwny typ z bronią, Herr Geidel wziął sobie do towarzystwa paru muszkieterów i przyjechał osobiście zbadać sytuację. Zastał w obozowisku tylko zajętą szyciem Elizę. Kiedy kilka godzin później wrócił Jack, Eliza i Herr Geidel nie byli jeszcze może przyjaciółmi, ale rozpoznali w sobie nawzajem bratnie dusze i – co za tym idzie – potencjalnych współników, chociaż nie było jeszcze wcale jasne, jakiego rodzaju interesy wchodziłyby w grę. Herr Geidel wyrażał się o Elizie z najwyższym uznaniem i twierdził, że na lipskim targu zrobiłaby furorę. Jego opinia na temat towarzysza dziewczyny była już znacznie mniej pochlebna – właściwie na korzyść Jacka przemawiał tylko fakt, że Eliza w ogóle chciała się z nim zadawać. Jack zaś tolerował Herr Geidela wyłącznie ze względu na zdumiewający charakter jego profesji: ten człowiek robił pieniądze. Dosłownie. Z początku Jack nie wierzył własnym uszom i składał nieporozumienie na karb pomyłki w tłumaczeniu. To było po prostu niemożliwe.

– Tak po prostu? Bierzymy szufłę ziemi, wrzucamy ją do pieca, przetapiamy i stemplujemy czyjaś gębą i paroma słowami? To wszystko?

– Tak mówi – odparła Eliza, nie mniej od niego zaskoczona. – W Berberii mieliśmy tylko hiszpańskie peso. W życiu nie widziałam mennicy. Miałam nawet powiedzieć, że nie odróżniłabym jej od dziury w ziemi, ale wygląda na to, że mennica nie jest niczym innym, jak właśnie dziurą w ziemi.

Kiedy ociepliło się na tyle, żeby mogli bezpiecznie opuścić zimowe schronienie, zjechali do Joachimsthalu i przekonali się, że mennica faktycznie wygląda tak jak w opowieści Herr Geidela. Jej najważniejszym elementem był siłacz z młotem i sztancą. Dostawał gładki srebrny krążek, który jeszcze nie był pieniądzem, przykładając do niego sztancę, uderzał młotem i – wybijając na jego powierzchni twarz jakiejś ważnej jędzy oraz łańskie zakłęcia – czynił z niego monetę. Wokół mincerza z młotem kłębił się – jak zwykle – tłum urzędników, nadzorców, probierzy, skrybów, strażników i innych szlachetnie urodzonych pasożytów, ale tak jak wszy na wole, tak i oni nie byli w stanie ukryć prawdziwej natury bestii. Prostota wyrobu pieniędzy całkowicie oszołomiła Jacka.

– Nie wyjeżdżajmy stąd. Długo tułałem się po świecie, ale teraz wiem, że jestem w niebie.

– To nie takie proste. Herr Geidel jest niespokojny. Oprócz srebra zajął się też wydobywaniem innych rud i siarki. Podobno z produkcji pieniędzy nie da się żyć.

– Bzdura. Po prostu próbuje zniechęcić konkurencję.

– A widziałeś te wszystkie opuszczone kopalnie?

– Może tam wydobyli już całą rudę i nic nie zostało? – zasugerował Jack.

– No to po co te maszyny dalej stoją nad wylotami szybów? Przecież powinno się je przenieść tam, gdzie będą bardziej użyteczne.

Na to pytanie Jack nie znał odpowiedzi. Przy najbliższym spotkaniu Eliza poddała Herr Geidela bezceremonialnemu przesłuchaniu, które, gdyby prowadził je Jack, musiałyby się skończyć pojedynkiem, ale w wykonaniu kobiety tylko utwierdziło Niemca w wysokim mniemaniu na jej temat. Po francusku mówił równie słabo jak Jack, dzięki czemu rozmowa toczyła się powoli i Jack nie tracił wątku. Hiszpanie wydobywali w Meksyku rudę i wytapiali z niej srebro, a następnie rozsyłali je statkami po całym świecie (mimo starań angielskich, holenderskich, francuskich, maltańskich i berberyjskich piratów, którzy usiłowali im w tym przeszkadzać) i z powodów, których nikt w Joachimsthalu nie rozumiał, wychodziło im to taniej, niż Herr Geidelowi i jego kompanom od kieliszka produkcja srebra na miejscu i przewiezienie go rzeką w parę dni do Lipska. Dlatego tylko najbardziej zasobne europejskie kopalnie nadal funkcjonowały normalnie. Herr Geidel wpadł na pomysł, żeby zatrudnić bezrobotnych górników przy wydobywaniu siarki (przed upadkiem europejskich kopalń nic by z tego nie wyszło, ponieważ trzeba się było liczyć z żądaniami wpływowego cechu górniczego, ale teraz ich usługi potaniały), którą następnie transportował do Lipska i sprzedawał za bezcen producentom amunicji, aby obniżyć koszty prochu i, co za tym idzie, samej wojny⁷. Gdyby wojna staniała, rozpętałoby się piekło, może udałoby się zatopić parę hiszpańskich galeonów i cena srebra wzrosłaby do sensowniejszego poziomu.

– Ale czy nie ułatwicie w ten sposób także życia rozbójnikom grasującym na drodze do Lipska? – spytał Jack, jak zwykle analizując kryminalny punkt widzenia.

Eliza posłała mu spojrzenie, które zapowiadało istne katusze, gdy tylko uda jej się znów dorwać w ręce jego czakrę.

– Jack pyta, co się stanie, jeśli walki wybuchną w okolicach Joachimsthalu i Lipska – wyjaśniła.

⁷ Okazało się, że jeśli oszacować koszt przeciętnej wojny, najwięcej funduszy pochłaniała produkcja prochu. Herr Geidel twierdził na przykład, że wartość całego prochu zgromadzonego w weneckim arsenale przekracza wysokość rocznych dochodów miasta. Wyjaśniało to wiele niezrozumiałych dotąd scen, których Jack był świadkiem przy okazji różnych kampanii wojennych, i zmusiło go do (chwilowej przynajmniej) refleksji nad opinią, że wszyscy oficerowie to idioci.

Niewzruszony Herr Geidel odparł, że targ w Lipsku odbywa się regularnie i żadne okoliczne wojny nie mają na niego wpływu. Gdyby wszystko poszło po jego myśli, znów byłby bogatym człowiekiem. Od pięciuset lat targ w Lipsku działał na podstawie dekretu władców Świętego Cesarstwa Rzymskiego, który stanowił, że dopóki kupcy trzymają się określonych szlaków handlowych i płacą symboliczne myto miejscowym księżętom, po ziemiach których podróżują, mają zapewniony swobodny dostęp do Lipska i nie należy ich niepokoić nawet gdyby przemierzali pole bitwy. Wojny nie dotyczyły kupców.

– A gdyby któryś z nich przewoził proch, który chce sprzedać nieprzyjacielowi? – zainteresowała się Eliza.

Tym razem Herr Geidel zniecierpliwił się i zirytowany machnął ręką, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że wojny to rozrywka znudzonych księżątek i targi są od nich nieskończenie ważniejsze.

Okazało się, że wspominając o rozbójnikach, Jack trafił w dziesiątkę, ponieważ Herr Geidel poświęcał im ostatnio sporo czasu w swoich rozważaniach. Na joachimsthalskich placach z wolna formowała się jego karawana. Woźnice prowadzili ulicami powiązane w pary konie pociągowe w uprzężach i, szarpiąc z całej siły za lejce, zaprzęgali zwierzęta do wozów. Mulnicy z udawanym zdumieniem poskramiali swoich znarowionych podopiecznych, gdy ci odmawiali współpracy przy ciągnięciu zbyt ciężkich ładunków – tak wyglądała pierwsza odsłona odwiecznej gry, która musiała się skończyć inwektywami i przemocą. Herr Geidel nie był w tej chwili bogatym człowiekiem, a poza tym w początkowej fazie podróży i tak nie zamierzał poruszać się tymi traktami, na których można było wynająć płatną eskortę, toteż podróż na wielkanocny jarmark w Lipsku zapowiadała się ekscytująco. Dysponował kilkoma ludźmi, umiejącymi się z grubszą obchodzić z muszkietami, ale nie miał nic przeciwko temu, żeby Jack dołączył do strażników. Eliza, naturalnie, miała zapewnione miejsce na jednym z wozów.

Jack, który wykoncypował sobie, że gra toczy się o Elizę i potencjalny spadek dla jego synów, bardziej niż zwykle przejął się swoją nową rolą. Od czasu do czasu wysforowywał się do przodu i przepatrywał drogę przed konwojem w poszukiwaniu zasadzek. Dwukrotnie natknął się na grupy bezrobotnych górników, stłoczonych bojaźliwie w przewężeniach traktu i uzbrojonych w piki i pałki, ale w obu przypadkach udało mu się ich przekonać do ustąpienia z drogi, kiedy wyłożył im istotę planów Herr Geidela, zamierzającego uzdrowić górnictwo. Prawdę mówiąc, większą niż jego przemowy siłę przekonywania miały pistolety i muszkiety stanowiące uzbrojenie konwoju. Jack, który znał takich biedaków na wylot, widział, że nie są ani dostatecznie głodni, ani wystarczająco dobrze dowodzeni, żeby opłacić łup własnym życiem – zwłaszcza kiedy tym łupem była siarka, którą, czego nie omieszkął podkreślić, trudno byłoby wymienić na srebro; nie mieli w swoim gronie alchemika, musieliby więc przewieźć ją na targ i tam sprzedać. Nie wspominał o tym, że na jednym z wozów pod rozdrobioną siarką znajdowała się skrzynia pełna nowiutkich joachimsthalerów. Przyszło mu

wprawdzie do głowy, żeby zdradzić napastnikom ten sekret, a następnie osobiście poprowadzić atak na karawanę, ale wiedział, że straciłby wówczas Elizę – jedyną kobietę na świecie (a na pewno jedyną znaną Jackowi) potrafiącą mu dostarczyć cielesnej rozkoszy. Zrozumiał wtedy, dlaczego Herr Geidel z taką uwagą śledził jego rozmowy z Elizą – próbował wysondować, czy można mu zaufać. I najwyraźniej doszedł do wniosku, że dziewczyna ma go w garści, co wcale się Jackowi nie podobało. Pocieszał się myślą, że wkrótce z Herr Geidelem się rozstanie, a z Elizą nie.

Wyjechali na północ pomiędzy gór, które Herr Geidel w swoim języku nazywał po prostu Srebrnymi Górami, i znaleźli się w Saksonii. Nie dało się o niej powiedzieć właściwie nic konkretnego poza tym, że była całkiem płaska. Dotarli do starego, szerokiego traktu, biegnącego, jak utrzymywał Herr Geidel, z Werony aż do Hamburga. Jackowi zaimponowały szczególnie kamienie milowe: wysokie na dziesięć stóp słupy, ozdobione herbem jakiegoś nieżyjącego króla i podające w milach odległość do Lipska. Na tym szlaku tłoczyło się mnóstwo kupieckich wozów.

Na rozległej, podmokłej równinie, gęsto pociętej płynącymi donikąd rzekami, trakt krzyżował się z inną wielką drogą, prowadzącą ponoć z Frankfurtu do krajów Orientu. W miejscu skrzyżowania leżał Lipsk. Jack miał prawie cały dzień na to, żeby dobrze obejrzeć sobie miasto z zewnątrz, co też uczynił w myśl starej, dobrej zasady, że należy znać położenie wszystkich wyjść z zamkniętej przestrzeni przed zapuszczeniem się do środka. Przy południowej bramie kolejka wozów czekających na wpuszczenie do Lipska mierzyła pół mili. Samo miasto było mniejsze i niższe od Wiednia: zamiast jednej rozdzierającej chmury katedry strzelało w niebo kilka skromnych wież, co Jack wziął za oznakę luterńskiego charakteru Lipska. Całość okalały, rzecz jasna, obowiązkowe wały obronne i bastiony. Poza ich obrębem rozciągały się ogrody i rozległe majątki ziemskie, niejednokrotnie większe niż samo miasto, należące nie do arystokratów, lecz do kupców⁸. Pomędzy posiadłościami znajdowały się – tradycyjnie – żenujące, nieludzko zatłoczone przedmieścia, obwiedzione improwizowanymi barykadami, które bardziej przypominały wyplatane z wikliny kosze niż fortyfikacje. Kilka leniwie obracających się wiatraków wykorzystywało energię zgoła niewyczuwalnego zefirku, ale w mieście pełnym kupców młynarze cieszyli się szacunkiem tylko minimalnie większym niż chłopci.

Jack i Eliza zapłacili po dziesięć fenigów za wjazd do miasta, oddali swoje jedwabie do zważenia i opłacili za nie myto. Eliza wszyła strusie pióra między halki, więc nikt ich nie znalazł.

Szeroka ulica biegła prosto do leżącego na północy centrum miasta, odległego od bramy najdalej o strzał z muszkietu. Jack zsiadł z konia i ze zdumieniem poczuł pod stopami bruk – pierwszy raz od pół roku. Nagle zaczął stąpać po gruncie, który stawiał wyraźny opór, i poczuł, że buty wymagają pilnej wymiany podeszew. Z obu stron ulicy ciągnęły się wyloty

⁸ Jack poznał to po herbach wyrzeźbionych na bramach i wyszytych na flagach.

sklepionych przejść, atakujących go falami hałasu. Cały czas czuł się jak w pułapce, odruchowo kładł dłoń na rękojeści szabli, a potem beształ się w duchu, że zachowuje się jak głupi wieśniak, który pierwszy raz odwiedził Paryż. Eliza, nie mniej oszołomiona, co chwila zataczała się na niego, jakby chciała się upewnić, że Jack jest tuż za nią. Fronty domów były zdobione niezwykle sztyldami i podobiznami, często wykutymi ze złotej blachy: złoty wąż, głowa Turka, lew, złoty niedźwiedź; przypominały przez to angielskie gospody, które opisywano obrazkami, żeby ludzie nie umiejący czytać (czyli tacy jak Jack) wiedzieli, gdzie są. Nie były to jednak tawerny, lecz olbrzymie, wielookienne rezydencje. I każde miało sklepione przejście prowadzące na dziedziniec, gdzie panował chaos.

Jack i Eliza szli przed siebie. Bali się – choć żadne nie powiedziało tego na głos – że jeśli się zatrzymają, wyjdą na durniów, którymi w istocie byli. Po niedługim czasie znaleźli się na rynku, tuż obok szubienicy, ozdobionej, rzecz jasna, zwyczajową kolekcją wisielców. Dla Jacka było to miejsce kojąco znajome, Elizę natomiast złościły chmary ogłuszająco bzyczących much. Mimo obecności paru kołyszących się na wietrze zwłok Lipsk wcale nie śmierdział najgorzej; owszem, podobnie jak w każdym większym mieście, tu również unosił się dym i odór ścieków, ale tony szafranu, kardamonu, anyżku i pieprzu, rozlokowane po całej okolicy w workach i skrzyniach, w cudowny sposób odświeżały powietrze.

Całą jedną stronę ryneczku zajmował ratusz, opatrzony mansardowymi oknami w holenderskim stylu na piętrze i arkadami z brunatnego kamienia na parterze, gdzie cicho i z zapalem pracowała rzesza elegancko ubranych ludzi. Przecinające rynek wąskie rynsztoki nakryto deskami, aby wozy przetaczały się po placu bez przeszkód, a damy, grubasy i kaleki mogli się po nim poruszać, nie robiąc z siebie pośmiewiska. Jack kręcił głową na wszystkie strony. Lipskie prawo musiało ograniczać wysokość domów do trzech pięter, bo poza wieżami kościołów żaden budynek nie wyróżniał się wielkością, nie regulowało natomiast – najwidoczniej – kwestii dachów, które budowano strome i wysokie, niejednokrotnie równie wysokie jak same kamienice. Z poziomego gruntu rzędy dachów wyglądały jak górskie pasmo oglądane z dna doliny. Rozległa przestrzeń w górze była gęsto utkana oknami facjatek, wieżyczkami, kopolkami, tarasikami, nawet miniaturowymi zameczkami; nie brakowało roślin w skrzynkach i figurek, nie przedstawiających bynajmniej Jezusa czy świętych, lecz Merkurego w skrzydlatych pantoflach i kapeluszu. Czasem towarzyszyła mu Minerva z wężową tarczą, ale najczęściej występował solo i nie trzeba było być wybitnym uczonym, aby zrozumieć, że to właśnie on, a nie jakiś boleściwy męczennik jest patronem Lipska.

Wodząc wzrokiem po dachach, Jack próbował odpocząć od zamętu, jaki panował na ulicy. Przybysze ze wschodu, w filcowych kapeluszach z olbrzymimi rondami obszytymi lśniącem futrem, targowali się z brodatymi Żydami o wywieszane na stojakach skórki; martwe oczka w główkach małych zwierzątek bezradnie wpatrywały się w niebo; Chińczycy taszczyli skrzynie wypełnione, jak przypuszczał Jack, chińską porcelaną; bednarze naprawiali pęknięte antalki; piekarze zachwalali swój chleb; młode blondynki sprzedawały ułożone w

stosy pomarańcze; wszechobecni muzykanci jazgotali na lirach korbowych i szarpali struny zdeformowanych lutni, z szyjek których sterczały asymetrycznie rozmieszczone wsporniki dla buczących basowo najgrubszych strun; ormiańscy sprzedawcy kawy krążyli w tłumie objuczeni miedzianymi i mosiężnymi baniakami z wrzątkiem; znudzeni strażnicy podpierali się pikami i halabardami; Turcy w turbanach próbowali odkupić egzotyczne towary, które, jak ze zdumieniem skonstatował Jack, zostały zrabowane z obozu pod Wiedniem (fakt ten po trosze go rozbawił, po trosze zaś zirytował i zawstydził; nie podobało mu się, że inni wpadli na ten sam pomysł co on); minął palarnię fajek wodnych, gdzie mali Turkowie w butach z wywiniętymi do góry noskami biegali od stolika do stolika, roznosząc kute ze srebra, ozdobne kosze, z których srebrnymi szczypcami wybierali żarzące się węgle i wkładali je do umieszczonych na szczytach fajek miseczek z tytoniem. Wszędzie kwitł handel, ale tu, na rynku, towary były popakowane w beczki, skrzynie i bele, obwiązane sznurem lub siatką i oznakowane niezwykłymi monogramami, inicjałami i znakami kupieckimi.

Znaleźli stajnię dla Turka, skręcili w pierwszą z brzegu ulicę, zebrali się na odwagę i zagłębili w jedno ze sklepionych przejść, dość szerokie, żeby zmieścili się w nim trzej lub czterej konni jadący tyralierą, i znaleźli się na podwórku kamienicy. Mierzyło nie więcej niż dziesięć na dwadzieścia kroków i ze wszystkich stron okalały je wysokie na trzy piętra ściany domu, pomalowane na pogodny, żółty kolor, dzięki czemu nawet najmniejsza odrobina światła słonecznego docierająca na dziedziniec kładła się na wszystkim symbolicznie złotą poświatą. Na podwórku stali sprzedawcy przypraw, wyrobów metalowych, klejnotów, książek, tkanin, wina, wosku, suszonych ryb, czapek, butów, rękawiczek, broni oraz porcelany, często stłoczeni tak ciasno, że prawie się dotykali, a jeden mówił drugiemu prosto do ucha. Z jednej strony przez całą długość ściany ciągnęły się otwarte na dziedziniec kantory, tworzące arkady wyniesione kilka stóp ponad poziom gruntu, oddzielone od podwórza rzędem solidnych kolumn i wciśnięte pod właściwy dom. Pod każdym łukiem, przy olbrzymim biurku zwanym *banca*, siedział poważny człowiek w wartym majątek stroju. Na blacie leżało kilkanaście wielkich ksiąg; te z nich, z których akurat nie korzystano, były zamknięte, zapięte na paski i zamknięte na kłódki. Obok znajdował się kałamarz i kilka piór, a na podłodze czarna skrzynia z wykonanymi z brązu lub żelaza okuciami i zawiasami, opleciona łańcuchem i opatrzona kłódką takiej jakości i wagi, że można by nimi zamykać arsenały. Gdzieniedzie piętrzyły się bele materiałów i beczułki z towarem, ale najczęściej leżał on zwalony na stertę na dziedzińcu przed kantorem. Jakies sześćdziesiąt do osiemdziesięciu stóp wyżej ze szczytów mansardowych okienek sterczały masywne belki, na których nad powierzchnią dziedzińca wisiały wielokrążki. Za pomocą przeciągniętych przez nie lin robotnicy transportowali towar do znajdujących się na przestronnym poddaszu magazynów.

– Liczą na to, że ceny pójdą w górę – stwierdziła na ten widok Eliza.

Była to pierwsza uwaga, która naprowadziła Jacka na myśl, że jest świadkiem czegoś więcej niż zwykły wiejski handelek. Na targu w Lipsku w grę wchodziły wiedza i spryt dalece większe niż w wypadku chłopca, który ma rozeznanie, ile talarów warto dać za oselkę masła.

Napatrzył się w Lipsku na tyle niezwykłych scen i rejestrował je w tak szybkim tempie, że większość z nich musiał czym prędzej wypychać z pamięci, żeby robić miejsce dla nowych. Przypominały mu się dopiero później, kiedy szedł się wysikać albo próbował zasnąć, wtedy zaś wydawały mu się tak niezwykle, że sam nie wiedział, czy są snem, jawą czy też dowodem na to, że tunele, które – jak sądził – francuska choroba cierpliwie ryła w jego mózgu przez ostatnie kilka lat, w końcu zaczęły się zawalać.

Takim wydarzeniem było na przykład wspomnienie wizyty w jednej z faktorii⁹ w celu wymiany dziwnych monet, których trochę nabierał podczas swoich podróży i których za nic w świecie nie mógł się pozbyć, bo nikt ich nie znał i nie chciał przyjąć. W wydzielonym pomieszczeniu siedzieli ludzie pochyleni nad księgami z wyciętymi w stronach okrągłymi otworami, w których umieszczone były monety. Ponieważ na każdy rodzaj monety przypadają dwa otwory, wstawiało się w nie dwa egzemplarze i można było jednocześnie oglądać awers i rewers pieniądza. Każda moneta była opisana tajemniczymi liczbami i symbolami, nakreślonymi atramentami w różnych kolorach. Specjalista od wymiany wyszukał w swojej księdze takie same monety, jak przyniesione przez Jacka, tylko bardziej błyszczące i mniej wytarte. Sięgnął po miniaturową wagę wykonaną ze złota, której szalki (niewiele większe od jednodolarówki) podwieszono do ramienia na niebieskich, jedwabnych niciach. Na jednej szalce złożył monety Jacka, na drugą zaś za pomocą pincety zaczął kłaść lekkie jak piórka skrawki znakowanej złotej folii, aż zrównoważył ciężar pieniędzy. Następnie schował wagę do przeznaczonego na nią drewnianego pudełka, które było mniejsze od dłoni Elizy, wykonał kilka obliczeń i zaproponował Jackowi garść lipskich marek (Lipsk bił wtedy własną monetę). Eliza uparła się, żeby obeszli jeszcze kilka innych kantorów i powtórzyli całą ceremonię, ale wynik wszędzie był taki sam. Przyjęli więc w końcu bite w Lipsku monety, a człowiek, który im je wydał, wrzucił monety Jacka do stojącej w kącie skrzynki, na wpół wypełnionej pieniędzmi i biżuterią, w większości zaśniedziałą i poczerniałą ze starości.

– Przetopimy je – wyjaśnił, widząc pytające spojrzenie Jacka.

Uwagę Elizy przyciągnęła zawieszona na ścianie tablica kursów wymiany. Czytała na głos nazwy wypisanych na niej monet:

– Luidory, złote Maksymiliany, suwereny, randy, dukaty, franki, dukaty wrocławskie, grosze miśnieńskie, landsberskie i saksońskie, halerze, krajcary, grosze piekielne, fenigi, guldeny, półgrosze, grosze anielskie, reale, marki, 2/3 talara, angielskie szylingi, ruble, abbasydy, rupie...

⁹ Tak nazywano domy handlowe, ponieważ zamieszkiwali je i prowadzili ważni ludzie zwani faktorami.

– To chyba najlepiej dowodzi, że powinniśmy zająć się wymianą pieniędzy – stwierdził Jack, kiedy wyszli z kantoru.

– Moim zdaniem to dowodzi, że konkurencja jest ostra, a walka idzie na noże – odparła Eliza. – Lepiej będzie zająć się wydobywaniem srebra. Ci, którzy biją monety, muszą skądś brać surowiec.

– Herr Geidel prędzej da sobie wbić płonące drzazgi pod paznokcie, niż kupi następną kopalnię.

– Chyba lepiej kupić coś, póki jest tanie, i poczekać, aż zdrożeje. Przypomnij sobie te domy kupieckie z magazynami na poddaszach.

– Nie mamy poddasza.

– Mówiłam w przerośni.

– Ja też. Nie uda nam się kupić kopalni srebra, zaszyć w twoich sukniach i spokojnie czekać, aż jej cena wzrośnie.

Zdaniem Jacka taka kwestia powinna ze stuprocentową skutecznością raz na zawsze zakończyć podobne dywagacje, ale Eliza tylko się zamyśliła. Wkrótce trafili do gmachu giełdy, czyli małego, schludnego, kanciastego budynekczku z białego kamienia, gdzie elegancko odziani ludzie wydierali się na siebie we wszystkich chrześcijańskich językach, połączeni zielonoświątkową wiarą w ducha *Messe*, który z wielu języków czynił jeden. Nigdzie nie było widać towarów, tylko świstki papieru, co tak zdziwiło Jacka, że pewnie zastanawiałby się nad tym przez całą noc, przewracając się z boku na bok, gdyby w obliczu późniejszych wydarzeń nie zapomniał tego zdumiewającego widoku. Po krótkiej wymianie zdań z kupcem, który na skraju ciżby zażywał chwili wytchnienia, paląc glinianą fajkę i pociągając pyszne pilzneńskie piwo, Eliza wróciła do Jacka ze złowroźnie triumfalnym i zdeteminowanym wyrazem twarzy.

– *Kuxen* – powiedziała. – Chcemy kupić *Kuxen* w kopalni srebra.

– Serio?

– Przecież tak właśnie postanowiliśmy, prawda?

Najwyraźniej sobie z niego żartowała.

– Najpierw mi powiedz, co to są te *Kuxen*.

– Udziały. Kopalnię dzieli się na pół, każdą z połówek na dwie ćwiartki, ćwiartki na ósemki i tak dalej. Kiedy zrobi się tych kawałków sześćdziesiąt cztery albo sto dwadzieścia osiem, sprzedaje się tyle właśnie udziałów. Każda taka działka to jeden *kux*.

– Mówiąc „działka”, masz na myśli...

– To samo, co mają na myśli złodzieje, kiedy dzielą łup.

– Chciałem to porównać do podziału zdobyczy z rejsu pomiędzy marynarzy, ale widzę, że wolałaś bardziej się poniżyć.

– Ten mężczyzna omal nie parsknął na mnie piwem, kiedy wyjaśniłam, że chcę zainwestować w kopalnię srebra – oświadczyła z dumą Eliza.

– To dobry znak.

– Twierdzi, że jest tylko jeden człowiek, który w tej chwili sprzedaje kopalnie. Doktor. Musimy porozmawiać z doktorem.

W drodze żmudnego i pracochłonnego śledztwa, które nie poprawiło bynajmniej równowagi cielesnych *humorów* Jacka, ustalili, że doktor znajduje się na terenie *Jahrmarktu*, czyli (mniejsza o dosłowne znaczenie niemieckich słów) wesołego miasteczka na jarmarku odbywającym się przy okazji *Messe*.

– Nie cierpię takich miejsc i występów ohydnych dziwadł. Jakbym oglądał moralitet o swoim własnym życiu.

– Ale doktor ma gdzieś tam być – mruknęła smętnie Eliza.

– A może poczekamy, aż zdobędziemy jakieś pieniądze na te twoje *kuxen*?

– To wszystko jedno, Jack. Możemy pominąć ten pośredni etap. Zamiast sprzedawać jedwab i pióra, a potem robić zakupy, możemy od razu wymienić nasz towar na *kuxen*.

– Zaraz czuję się, jakbym dostał pałą między oczy. Chcesz powiedzieć...

– Chcę powiedzieć, że w Lipsku wszystkie dobra – jedwab, monety, udziały w kopalniach – tracą materialną, przyziemną postać, roztapiają się i uwalniają swoją prawdziwą naturę, tak jak ruda w alchemicznym piecu wydziela rtęć. Tutaj wszystko staje się żywym srebrem, którym można się swobodnie wymieniać.

– Pięknie powiedziane, ale CZY MY NAPRAWDĘ CHCEMY MIEĆ UDZIAŁY W KOPALNI SREBRA?

– Czy ja wiem? – Eliza machnęła lekceważąco ręką. – Ja po prostu lubię robić zakupy.

– A ja jestem skazany na noszenie za tobą portfela – mruknął Jack i przerzucił ciężące mu bele jedwabiu z jednego ramienia na drugie.

* * *

Poszli więc na jarmark, który – zdaniem Jacka – niczym się nie różnił od przytułku dla opętanych, obłąkanych i kalek: akrobatów pozbawionych kości, linoskoków, pożeraczy ognia, cudzoziemców i różnych tajemniczych postaci, z których kilka Jack poznał już w różnych wagabundzkich obozowiskach. Zgodnie z zapowiedziami poznali doktora po ubraniu i peruce. Próbował właśnie wdać się w filozoficzną dysputę z chińskim wróżbitą, przedmiotem której miał być narysowany na stronie książki diagram złożony z sześciu krótkich poziomych linii. Niektóre z nich były ciągłe (—), inne przerywane (– –). Doktor wypróbował na Chińczyku najróżniejsze języki, ten jednak z każdą chwilą sprawiał wrażenie coraz bardziej urażonego i obojętnego. Zresztą duma i godność osobista doskonale nadawały się na oręż w walce z doktorem, któremu w tej akurat chwili brakowało i jednej, i drugiej. Doktor miał na głowie największą perukę, jaką Jack widział w życiu; jego czaszka ginęła całkowicie w burzowej chmurze czarnych loków, przez co, patrząc nań od tyłu, można

było pomyśleć, że mały, roczny niedźwiadek spadł na niego z drzewa i właśnie próbuje ukrećić mu głowę. Strój miał zresztą nie mniej imponujący. Podczas zakończonej niedawno długiej zimy Jack przekonał się, że z ubiorem wiąże się więcej części składowych, technicznego żargonu i procedur operacyjnych niż z muszkietem. A ubranie doktora nie miało sobie równych; pomiędzy jego skórą i Lipskiem znajdowały się z pewnością dobre dwa tuziny warstw materiału, należących do Bóg jeden wie ilu odrębnych elementów garderoby – trykotów, koszul, kamizelek i rzeczy, o jakich Jack nigdy nie słyszał. Zdobiły je rzędy ciężkich, gęsto naszytych mosiężnych guzików, które w masie wystarczyłyby do załadowania kartaczownicy, oraz niezliczone paski, sprzączki i sznurówki. Koronkowe mankiety buchały z rękawów, także kreza okalała szyję właściciela. Koronki nie były jednak najczystsze, peruka dopominała się o profesjonalne czyszczenie, a i sam doktor nie był, w gruncie rzeczy, przesadnie przystojnym mężczyzną. Mimo przepychu, z jakim się obnosił, Jack doszedł również do wniosku, że doktor nie należy do ludzi próżnych, lecz ubiera się w taki sposób w określonym celu – być może po to, by wyglądać poważniej, bo kiedy odwrócił się na dźwięk głosu Elizy, stało się oczywiste, że ma najwyżej czterdzieści lat.

Natychmiast zerwał się na równe nogi, wyprostował na trzycalowych koturnach, złożył Elizie dworski ukłon i czym prędzej przeszedł do całowania jej po rękach. Przez chwilę rozmowa toczyła się po francusku i Jack był zdany wyłącznie na swoją intuicję. Eliza była dziwnie podenerwowana, choć brawurowo próbowała maskować swój niepokój, doktor zaś, rzeński i żwawy, obserwował ją z uprzejmym zainteresowaniem, nie śliniąc się jednak i nie gapiąc jej w dekolt. Jack uznał więc, że jest albo eunuchem, albo pederastą.

Nieoczekiwanie doktor przeszedł na angielski, stając się w ten sposób drugą po Elizie osobą, która w ciągu ostatnich dwóch lat w obecności Jacka przemówiła w języku mieszkańców tej odległej wyspy:

– Wybacz pani, ale przez ten strój wziąłem panią za modną paryżankę. Nazbyt się jednak pospieszyłem w mej ocenie, gdyż teraz, mając przyjemność dłuższego obcowania z panią, konstatuje, iż ma pani coś, czego takim modnisiom zazwyczaj brakuje: dobry gust.

Elizę zamurowało – nie tylko z powodu komplementu, lecz także ze względu na wybór języka. Doktor przyłożył dłoń do piersi i ukłonił się przepaszajaco.

– Czyżbym się jednak mylił? Wydawało mi się, że pani francuszczyznę ożywiają i ubarwiają twarde, mocne kadencje anglosaskiej mowy.

– Strzał w dziesiątkę – wtrącił Jack.

Doktor uniósł pytająco brew, Eliza zaś spiorunowała Jacka wzrokiem. Wiedząc już, że ich rozmówca zna angielski, Jack z najwyższym trudem pohamował swój entuzjazm i ograniczył się do wypowiedzenia tylko tych trzech słów. Miał ochotę gadać i gadać, wygłaszać opinie na różnorakie tematy, dowcipkować¹⁰, zabawiać doktora anegdotami, *et*

¹⁰ Zadając, na przykład, takie pytanie: „Hola, doktoru, ile kóz trzeba było ogolić, żeby zrobić taką perukę?”.

caetera. Wtrącił się ze „strzałem w dziesiątkę”, ponieważ obawiał się, że Eliza spróbuje bezczelnie zełgać, że pochodzi z jakiegoś zapomnianego zakamarka Francji, a on, mając spore doświadczenie w bezczelności i brnięciu w coraz bardziej skomplikowane kłamstwa, wyczuł, że w wypadku drażniąco spostrzegawczego doktora byłyby to droga donikąd.

– Chciałabym porozmawiać z panem o *Kuxen*, gdy już zakończy pan polemikę z tym orientalnym dżentelmenem – powiedziała Eliza.

Na te słowa obie brwi doktora zgodnie wygięły się w łuki, przez co źle wyważona peruka przekrzywiła się niepokojąco.

– Jestem do pani dyspozycji od zaraz, i to tym chętniej, że ten mandaryn najwyraźniej nie jest skłonny zmienić zajmowanego stanowiska filozoficznego. Nie chce oddzielić szlachetnej nauki, jaką jest teoria liczb, od zbioru prostych przesądów, jaki stanowi numerologia. Cóż, tym gorzej dla niego i całej jego rasy.

– Przyznam, że słabo orientuję się w obu tych dziedzinach...

Dla Jacka było oczywiste, że Eliza desperacko próbuje zmienić temat, dla doktora zaś, że doprasza się o bardziej szczegółowy wykład.

– Wróżbiarze często wykorzystują w swych praktykach element losowy, czyli, powiedzmy, karty lub herbaciane fusy. Ten pan używa do tego patyczków, rzucając je na ziemię i odczytując z nich... Mniejsza o to, w jaki sposób; interesuje mnie tylko efekt końcowy. Odczytuje sześć linii, z których każda może być ciągła lub przerywana. Możemy uzyskać ten sam wynik, rzucając sześcioma monetami, co zaraz państwu zademonstruję...

W tym momencie zaczął się obmacywać po ubraniu z gwałtownością człowieka, któremu wrzucono mysz za koszulę. Za każdym razem, gdy w którejś z licznych kieszeni jeszcze liczniejszych części garderoby znalazł monetę, podrzucał ją w powietrze i czekał, aż spadnie na bruk z dźwiękiem godnym chińskiego gongu (monety były bowiem całkiem spore i, najczęściej, złote).

– Albo jest bardzo bogaty – mruknął Jack – albo ma koneksje.

– Zgadzam się. Ten strój, te pieniądze...

– Jedno i drugie można podrobić.

– To skąd wiesz, że jest bogaty?

– W puszczy tylko najgroźniejsze zwierzęta swawolą i brykają. Sarny i króliki nie mają czasu na takie zabawy.

– No, wystarczy. – Doktor pochylił się nad rozrzuconymi monetami. – Co my tu mamy? Orzeł, reszka, reszka, reszka, orzeł i znowu reszka. – Wyprostował się. – Zdaniem chińskiego mędrca ten układ ma pewne mistyczne znaczenie, które za drobną opłatą byłby skłonny sprawdzić w księdze pełnej pogańskich bredni i państwu wyłożyć.

Doktor zapomniał chyba zarówno o monetach, jak i o kręgu jarmarcznych bywalców, zaciskającym się wokół nich jak pętla na szyi skazańca. Każdy z gapiów starał się ocenić na oko (z braku fachowych wag i ksiąg) wartość monet i wybrać tę najcenniejszą. Jack postąpił

krok do przodu i delikatnie poruszył szablę w pochwie, odsłaniając długi na cztery palce kawałek ostrza. Reakcja widzów świadczyła o tym, że tylko jednym okiem zerkali na monety, drugim zaś czujnie śledzili poczynania Jacka. Zebrał z ziemi pieniądze, aby oddać je doktorowi w poruszającym do głębi geście uczciwości i altruizmu, gdy tylko uczony mąż przerwie swą tyradę.

– Dla mnie zaś ten układ oznacza jedno: siedemnaście – mówił właśnie doktor.

– Siedemnaście? – powtórzyli jednym głosem Jack i Eliza.

Oboje musieli mocno przyspieszyć kroku, żeby nadążyć za doktorem, ten bowiem ruszył z kopyta i opuścił *Jahrmarkt*, rozwijając na swych koturnach całkiem przyzwoitą szybkość. Nie był może wysoki, ale miał mocne łydki, których kształt ładnie uwypuklały pończochy.

– Mam na myśli diadę. Liczbę binarną. – Doktor machnął ręką, aż zafurkotały koronki. – To stary koncept. Pan John Wilkins, mój świętej pamięci przyjaciel i kolega po fachu, przed ponad czterdziestu laty opublikował w słynnym *Cryptonomiconie* oparty na diadach system kryptograficzny. Gdybyście byli nim państwo zainteresowani, to niedaleko stąd, w dzielnicy księgarzy, można jeszcze kupić nieautoryzowany holenderski przekład tego dzieła. Ja jednak z chińskiej metody przepowiadania przyszłości zaczerpnąłem sposób generowania liczb losowych za pomocą techniki diadowej, który pozwoli mi znacząco wzmocnić system Wilkinsa.

Cała ta wypowiedź była dla Jacka mniej więcej tak samo zrozumiała, jak szczekanie psa.

– Krypto... graficzny... – powtórzyła Eliza. – Chodzi o zapisywanie sekretów?

– Owszem. W dzisiejszych czasach to przykra konieczność.

Mniej więcej w tym właśnie momencie wydostali się z jarmarcznego ścisku i zatrzymali na placu przed kościołem.

– Nicolaikirche – oznajmił doktor. – Tu zostałem ochrzczony. A co do *Kuxen*... Temat ten w interesujący sposób wiąże się z diadami, ponieważ liczba *Kuxen* w kopalni zawsze wyraża się potęgą dwójki, a mianowicie: jeden, dwa, cztery, osiem, szesnaście... No dobrze, pewnie nie interesują was te matematyczne ciekawostki. Owszem, sprzedaję *Kuxen*. Czy powinniście je kupić? Kiedyś kopalnie były podstawą dochodowego przemysłu, wyrosły na nich fortuny Fuggerów i Hacklheberów, ale zaszkodziła im wojna trzydziestoletnia i odkrycie przez Hiszpanów przebogatych złóż srebra w Potosí w Peru i w meksykańskim Guanajuato. Zakup *Kuxen* w europejskiej, prowadzonej tradycyjnymi metodami kopalni, a takie właśnie są kopalnie w Srebrnych Górach, oznaczałby wyrzucenie pieniędzy w błoto. Co innego moje kopalnie, czy raczej, powinienem powiedzieć, kopalnie należące do rodu Brunszwik-Lüneburg, którymi zarządzam. To zdecydowanie korzystniejsza inwestycja.

– Dlaczego? – zaciekawiała się Eliza.

– Niezmiernie trudno byłoby to wyjaśnić.

– Ale pan przecież doskonale tłumaczy wszelkie zawiłości...

– Pozwól, pani, że z nas dwojga to ja będę wygłaszał komplementy, z pewnością bowiem ty bardziej na nie zasługujesz. W tych kopalniach stosuje się zupełnie nowe maszyny mojego pomysłu, oraz nowe techniki uzyskiwania metalu z rudy, opracowane przez pewnego mądrego alchemika, który jest w dodatku, jak na alchemika, niezwykle wręcz uczciwy. Lecz kobieta tak nieprzeciętnie bystra jak ty, pani, z pewnością nie zamieniłaby posiadanych funduszy na...

– Jedwabiów – wtrącił Jack i ustawił się bokiem, by pokazać towar.

– Eee... No tak, nie zamieniłaby cudownych jedwabiów na *Kuxen* w mojej kopalni tylko dlatego, że na targu powiedziałem jej to czy owo.

– Zgadzam się z panem – przytaknęła Eliza.

– Chciałaby najpierw zobaczyć kopalnie na własne oczy, do czego zresztą szczerze namawiam. Jutro tam jedziemy. Gdybyście zdążyli do tego czasu wymienić towar na gotówkę, byłoby...

– Zaraz! – przerwał doktorowi Jack, wczuwając się w rolę tępego mięśniaka i dając Elizie czas na odpowiedź.

– Doktorze, moje zainteresowanie zakupem było podyktowane wyłącznie kobiecym kaprysem. Proszę wybaczyć, że zabrałam panu czas...

– Po co w takim razie w ogóle mnie pani zaczęła? Musiała pani mieć jakiś powód. Proszę powiedzieć, razem się uśmiejemy.

– Gdzie jest ta kopalnia? – zapytał Jack.

– W pięknych górach Harzu, kilka dni na zachód stąd.

– Czyli mniej więcej po drodze do Amsterdamu?

– Widząc twą szablę, młody panie, wziąłem cię z początku za jakiegoś janczara, ale twoja znajomość zachodnich krain kazałaby mi zwątpić w słuszność tego podejrzenia. Gdyby, naturalnie, nie uczynił tego już wcześniej twój wschodniolondyński akcent.

– Rozumiem, że to znaczy „tak” – mruknął Jack. Wziął Elizę pod rękę i odciągnął na stronę. – Mamy okazję przejechać się za darmo z karawaną doktora. To chyba nic złego.

– On coś knuje. – Eliza była zaniepokojona.

– My też, kotku. Ale to jeszcze żadna zbrodnia.

Zafalowała suknią, podpłynęła z powrotem do doktora i przyznała, że „byłaby skłonna rozstać się na parę dni ze swoim orszakiem”, zabrać tylko jednego „wiernego sługę i strażnika” i „zajrzeć w góry Harzu”, aby na własne oczy zobaczyć kopalnie. Na chwilę oboje przeszli na francuski.

– Często zdarza mu się mówić bardzo szybko – przyznała potem Eliza, kiedy znaleźli się z Jackiem na ulicy ogromnych domów kupieckich i szli w pewnej odległości za doktorem. – Próbowałam go wysondować, ile mniej więcej kosztowałby jeden *kux*, ale powiedział, żebym się tym nie martwiła.

– Dziwnie się zachowuje jak na człowieka twierdzącego, że chce zarobić.

– Przyznał, że wziął mnie za paryżankę, ponieważ strusie pióra, takie jak te, które noszę przy kapeluszu, są teraz w Paryżu bardzo modne.

– Kolejne pochlebstwo.

– Wcale nie. W ten sposób dał mi do zrozumienia, że zażąda wysokiej ceny.

– Dokąd nas teraz zabiera?

– Do Domu Złotego Merkurego, czyli factorii von Hacklheberów.

– Już raz nas stamtąd wyrzucili.

– On nas wprowadzi.

* * *

I faktycznie to zrobił, odbywszy z kimś z factorii tajemniczą rozmowę na osobności. Tak ogromnego dziedzińca jeszcze w Lipsku nie widzieli: był wąski i długi, z obu stron ciągnęły się arkady, z tuzin żurawi pracował jednocześnie, dźwigając na poddasze towary, które mogły zdrożeć, i zdejmując te, które zdaniem von Hacklheberów osiągnęły już szczyt swoich notowań. W ścianie od strony ulicy nad łukiem wejściowym nadbudowano trypoziomowy wykusz, niczym balkony trzech kolejnych pięter połączone w jedną wieżę. Pierwszy i drugi poziom były całe przeszklone, na trzecim zaś, najwyższym, złocisty dach osłaniał odkrytą platformę. Dwa nieprzyzwoicie długoszyje gargulce przycupnęły na jego krawędzi, gotowe rzygnąć deszczówką (gdyby zaczęło padać) prosto na głowy znajdujących się na podwórzu kupców.

– Przypomina kasztel z tyłu galeonu – zauważyła Eliza.

Długą chwilę zajęło Jackowi skojarzenie jej słów z paskudnym wydarzeniem, do którego przed laty doszło u wybrzeży Qwghlm, i zrozumienie, że na swój kobiecy, zawołowany sposób dawała mu do zrozumienia, że wykusz bardzo jej się nie podoba. Nie pomógł nawet przyczepiony do niego pozłacany Merkurys wielkości dorosłego człowieka, który wyglądał, jakby zrywał się do lotu. W jednej ręce ścisnął oplecioną węzami, uskrzydloną laskę.

– To katedra Merkurego – stwierdził Jack, próbując sprowadzić rozmowę i myśli Elizy na inną drogę. – Kościół Jezusa miałby kształt krzyża. Ten zbudowano na planie laski Merkurego: jest długi i wąski, a arkady mają przypominać węzowe sploty. Z przodu odchodzą od budynku skrzydła factorii. Tam też znajduje się biskupi pulpit, a my, wierni, tłoczmy się na dole i celebруем *Messe*.

Eliza zajęła się sprzedawaniem towaru, Jack zaś założył, że ubije dobry interes, i wiedząc, że wkrótce wyjadą z Lipska, z zapalem chłonał nieznane widoki. Wśród wjeżdżających i zjeżdżających na linach bel i skrzyń jego uwagę zwrócił pewien szczegół. Na dziedzińcu wychodziło mnóstwo okien. Z wielu z nich sterczały poziome pręty, zakończone umocowanymi na kulkowych przegubach (przypominających trochę staw biodrowy) lustrami. Zwierciadła miały około stopy kwadratowej powierzchni i były poprzecyłane pod różnymi

kątami. W pierwszej chwili pomyślał, że ich zadanie polega na kierowaniu promieni słonecznych do ciemnych kantorków i biur. Wkrótce jednak zauważył, że często zmieniają nachylenie, a w dodatku wszystkie, co do jednego, są skierowane w dół, w stronę dziedzińca. Były ich dziesiątki. Obserwatorów ukrytych w mrocznych pokoikach nie udało mu się dostrzec.

Kiedy przeniósł wzrok na taras wykuszu, stwierdził, że wyrósł na nim trzeci gargulec, który natarczywie mu się przygląda. Tym razem była to istota z krwi i kości, krępy mężczyzna, któremu nie chciało się przykrywać peruką pół siwej, pół łysej głowy. Widać było, że w przeszłości walczył z ospą – i zwyciężył za cenę całej urody i wdzięku, które kiedyś mógł posiadać. Kilka dziesięcioleci dostatniego życia obciążało jego twarz zwałami tłuszczu i ściągnęło dziobatą skórę w obwisłe fałdy i zwielokrotnione podbródki, pojemne jak sieci, w których transportowano towar. Mężczyzna obserwował Elizę wzrokiem, który Jackowi bardzo się nie podobał, a był przy tym osobą tak absorbującą uwagę obserwatora, że dopiero po dłuższej chwili Jack dostrzegł, że ma towarzysza. Doktor stał obok niego i mówił coś z zaangażowaniem charakterystycznym dla osoby dopraszającej się o przysługę. Gestykulował przy tym z takim ożywieniem, że koronki u jego mankietów furkotały jak para białych gołębi.

Niczym dwoje wieśniaków skulonych w katedrze Notre Dame, Jack i Eliza odegrali swoje role w mszy i zniknęli. Jedynym śladem ich obecności była opalizująca zmarszczka na wiecznie falującej powierzchni żywego srebra.

Saksonia

Koniec kwietnia 1684

Wyjazd z Lipska w towarzystwie doktora nie nastąpił w jakimś konkretnym momencie – przypominał raczej trwającą cały dzień uroczystą procesję. Nawet już po tym, jak Jack, Eliza i Turek znaleźli orszak doktora, czekało ich jeszcze kilka ładnych godzin błądzenia po mieście. Złożyli tajemniczą wizytę w faktorii von Hacklheberów; zajrzeli do Nicolaikirche, gdzie doktor pomodlił się i przyjął komunię; przenieśli się na uniwersytet (który jak wszystko inne w Lipsku był mały i konkretny niczym kieszonkowy pistolet), gdzie doktor przez pół godziny nie wysiadł z powozu i gawędził z Elizą po francusku, w którym to języku poruszał wszystkie bardziej wysublimowane tematy. Jack, krążący niespokojnie wokół pojazdu (brązowego jak czekolada i pomalowanego w kwiaty), przyłożył w pewnym momencie ucho do okna i usłyszał, jak rozmawiają o jakiejś szlachetnie urodzonej damie imieniem Zofia; za drugim razem, kilka minut później, dyskutowali o szyciu sukien, później zaś o poglądach katolików i luteranów na przeistoczenie... W końcu Jack otworzył drzwi.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale wpadłem na pomysł, że pójde na kolanach w pielgrzymce do Jerozolimy i z powrotem, tylko nie chciałbym, żeby przez to nasz wyjazd się opóźnił...

– Cicho bądź. Doktor próbuje podjąć pewną bardzo trudną decyzję.

– To niech ją wreszcie podejmie – poradził Jack. – Od myślenia o niej nie stanie się łatwiejsza.

Doktor trzymał na kolanach jakiś rękopis, a w ręce gotowe do pisania pióro z kroplą atramentu chyboczącą się na czubku, ale nie mógł się zmusić do pisania. Kręcił w zadumie głową, zataczając nią zamaszyste łuki (choć może to tylko peruka przesadnie uwypuklała jej ruch), wracając w kółko do tego samego fragmentu tekstu. Czytał półgłosem, za każdym razem robiąc inną minę i akcentując inne słowa, niczym aktor, który nie może się zdecydować, jak zagrać wieloznaczną kwestię: czy powinien być znużonym pedantem? Tępy nauczycielem? Sceptycznym krytykantem? Ponieważ jednak tę kwestię doktor napisał sam, musiało chodzić o coś innego – próbował sobie wyobrazić, jak jego słowa zostaną odebrane przez różnych czytelników.

– Mogłabyś przeczytać to na głos...?

– To po łacinie – wyjaśniła Eliza.

Czekanie się przedłużało.

– A o jaką właściwie decyzję chodzi?

– Czy wrzucić rękopis w okienko nad tamtymi drzwiami, czy nie. – Eliza wskazała front jednego z lipskich domów-nie-domów.

– Co tam stoi na drzwiach?

– *Acta Eruditorium*. To tytuł żurnalu, który doktor założył dwa lata temu.

– Co to jest żurnal?

– Taka gazeta dla uczonych.

– Aha. Czyli doktor chce, żeby mu wydrukowano ten plik papierów, tak?

– Tak.

– Skoro go założył, to żurnal jest jego własnością. Czym się tak gryzie?

– Ćśś! Te słowa przeczyta każdy europejski uczoney. Muszą być idealne.

– No to niech weźmie te papiery ze sobą i dalej nad nimi pracuje. Tu i tak niczego nie wygładzi.

– Rzecz jest skończona od lat – odezwał się doktor niezwykle smutnym tonem. – Pozostała jeszcze kwestia, czy w ogóle ją publikować?

– To jakaś ciekawa historia?

– To nie fabuła, lecz opis pewnej techniki matematycznej, tak złożonej, że na całym świecie rozumie ją tylko dwóch ludzi. Jej opublikowanie spowoduje ogromne zmiany nie tylko w matematyce, ale także w inżynierii i całej filozofii naturalnej. Dzięki niej ludzie

zbudują maszyny, które będą fruwać w powietrzu jak ptaki, a nawet latać na inne planety. Ma taką siłę, że wymiecie na śmietnik stare, rozchwiane i zużyte systemy myślenia.

– Pan ją wymyślił, doktorze? – zainteresowała się Eliza.

Jack kręcił palcem kóleczka w okolicy skroni.

– Tak. Jakieś siedem, osiem lat temu.

– Ale w dalszym ciągu wiedzą o niej...

– Tylko dwie osoby, ja i jeszcze jeden człowiek.

– Czemu nie ogłosił jej pan światu?

– Bo wygląda na to, że ten drugi jegomość wymyślił ją dziesięć lat wcześniej niż ja i też nikomu o tym nie powiedział.

– Aha.

– Czekałem, aż coś powie, ale teraz mija prawie dwadzieścia lat od czasu jego odkrycia, a on nadal nie zamierza nikogo dopuścić do tajemnicy.

– Czekał pan osiem lat... Dlaczego akurat dzisiaj chce pan coś z tym zrobić? – zdziwił się Jack. – Proszę ją wziąć ze sobą, niech się odleży jeszcze ze dwa, trzy lata.

– Dlaczego dzisiaj? Dlatego że wątpię, aby Bóg posłał mnie na Ziemię i obdarzył najgenialniejszym, albo prawie najgenialniejszym umysłem naszych czasów tylko po to, żebym musiał żebrać u ludzi pokroju Lothara von Hacklhebera o pieniądze, które zużyję na wykopanie ogromnej dziury w ziemi. Nie chcę, żeby na moim nagrobku napisano „Tu spoczywa ten, który obniżył cenę srebra o dziesiątą część procenta”.

– Świetnie! Klamka zapadła – ucieszył się Jack. Sięgnął do wnętrza powozu, zgarnął rękopis, podszedł z nim do wskazanych drzwi i przecisnął go przez okienko. – No, możemy jechać w góry.

– Skoro już mam napytać sobie biedy, chciałbym jeszcze załatwić pewien drobiazg w dzielnicy księgarzy.

* * *

Dzielnica księgarzy wyglądała i funkcjonowała podobnie jak reszta Lipska – jedyna różnica polegała na tym, że handlowano w niej książkami. Książki wysypywały się z beczulek, piętrzyły w chybotliwych stosach albo leżały powiązane w paczki, układane w jeszcze większe paczki. Przygięci do ziemi tragarze nosili je na plecach w koszach lub – niczym cegły – w zakładanych na ramiona kozłach. Doktor, któremu chyba nigdy się nie spieszyło, poświęcił dobre kilka minut na ustawienie powozu karawany przed najszerszą z bram księgarskiego bazaru. Szczególnie zależało mu na tym, żeby Jack wsiadł na Turka i (z braku lepszego określenia) zapozował między straganami i powozem. Jack zadośćuczynił jego prośbie z umiarkowanym entuzjazmem, porzuciwszy już nadzieję, że wyjadą z miasta przed zapadnięciem zmierzchu.

Doktor wyprostował się, poprawił rozliczne podsystemy ubraniowe (tego dnia miał na sobie płaszcz wyszywany w kwiaty, które do złudzenia przypominały te wymalowane na ścianach powozu) i wszedł na bazar. Szybko zniknął Jackowi z oczu, ale cały czas był świetnie słyszalny, przy czym słyszało się nie tyle jego głos, co raczej wpływ jego obecności na ogólny rejwach panujący na targowisku. Podobnie zachowuje się woda, kiedy tuż przed wrzuceniem wrzucimy do niej garść soli: na chwilę robi się całkiem cicho, a potem słychać miarowy, głęboki bulgot.

Doktor wybiegł z targu; biorąc pod uwagę wysokość obcasów przy butach, poruszał się całkiem zręcznie. Po piętach deptali mu handlarze książek z¹¹ Królewca, Bazylei, Rostocku, Kiel, Florencji, Strasburga, Edynburga, Dusseldorfu, Kopenhagi, Antwerpii, Sewilli, Paryża i Gdańska; dalsza część grupy pościgowej została troszkę w tyle. Mijając Jacka, doktor miał nad księgarzami sporą przewagę, a oni na widok jeźdźca uzbrojonego w pogańską szablę stanęli jak wryci. Od tej chwili musieli się zadowolić rzucaniem książkami – wszystkimi, które znalazły się pod ręką. Dopadali do tragarzy, ogołocali promocyjne stojaki, wysypywali amunicję z beczulek; powietrze wokół Jacka pociemniało od książek, jakby stado ptaków nagle przesłoniło niebo. Kiedy księgi spadały na bruk, ze środka wysypywały się ozdobne drzeworyty: portrety sławnych ludzi, obrazy przedstawiające obleżony Wiedeń, rysunki maszyn kopalnianych, plan jakiegoś włoskiego miasta, przekrój jelita grubego, obszerne tablice liczbowe, obrazki do musztry muszkieterów, dowody twierdzeń geometrycznych, ludzkie szkielety w nonszalanckich pozach, zodiakalne konstelacje, ilustracje ożaglowania cudzoziemskich barkentyn, projekty pieców alchemicznych, szczerzący zęby Hotentoci z kościanymi ozdobami w nosach, trzydzieści odmian barokowych ram okiennych. Obeszło się przy tym prawie bez krzyków, jakby wyrzucenie doktora z targu było dla księgarzy czynnością zupełnie zwyczajną i rutynową. Kiedy woźnica strzelił z bata, zamachnęli się jeszcze ze dwa razy bez przekonania i wrócili do przerwanych z powodu doktora rozmów. Jack zajął pozycję ceremonialnej ariergardy za wozem z bagażami doktora, obładowanym teraz, niechcący, także paroma książkami. Łoskot krzeszących iskry podków i turkot obręczy kół na bruku brzmiały w jego wagabundzkich uszach jak najpiękniejsza muzyka niebios.

* * *

Na wyjaśnienie musiał czekać ładne kilka godzin, do chwili gdy północna brama miasta została daleko w tyle, a oni zatrzymali się w gospodzie przy drodze do Halle. Doktor zdążył przez ten czas przekazać Elizie zarówno swój pogląd na wydarzenia w Lipsku, jak i smętny, ponury nastrój. Jack nocował w sypialni męskiej, ona w żeńskiej, spotkali się zaś w sali wspólnej.

– Urodził się w Lipsku – zaczęła Eliza. – Tam się kształcił, chodził do szkoły...

¹¹ Prawdę mówiąc, tylko zgaduję.

– Zaraz... Sam się kształcił czy chodził do szkoły?

– Jedno i drugie. Jego ojciec był profesorem, ale osierocił go w dzieciństwie. Młody doktor sam nauczył się łaciny. Ty w tym wieku wieszaleś się na nogach trupów.

– Zabawne... Wiesz, że ja też próbowałem się uczyć łaciny? Ale przyszła zaraza, potem pożar...

– Zamiast ojca została mu ojcowska biblioteka. Przeczytał ją i dopiero potem poszedł do szkoły. Ale sam widziałeś, jak go potraktowali.

– Może mieli ku temu powody – zauważył Jack. Nudził się, a sprowokowanie wybuchu u Elizy wydawało mu się w tej chwili najlepszą możliwą rozrywką.

– Ty na pewno nie musisz się go czepiać. Doktor należy do tych rzadko spotykanych mężczyzn, którzy nawiązują głębokie przyjaźnie z przedstawicielkami płci pięknej.

– Widziałem tę jego przyjaźń, kiedy wskazywał twój piękny biust Lotharowi von Hacklheberowi – odpalił Jack.

– Z pewnością nie bez powodu. Doktor jest gobelinem utkanym z wielu wątków.

– A który z nich sprowadził go do dzielnicy księgarzy?

– Od lat próbują z Zofią przekonać wiedeńskiego cesarza do założenia wielkiej biblioteki i akademii dla ludzi z całej Europy.

– Kto to jest Zofia?

– Kolejna przyjaciółka doktora.

– Na jakim targu ją znalazł?

Eliza uniosła brwi, nachyliła się nad Jackiem i przemówiła szeptem, który mógłby rznąć kryształ:

– Nie mów tak o niej. Zofia jest córką samej Królowej Zimy. Księżną Hanoweru.

– Jeezu... Jak to się stało, że człowiek pokroju doktora znalazł się w takim towarzystwie?

– Zofia odziedziczyła go po śmierci szwagra.

– Jak to? Czy doktor jest niewolnikiem?

– Jest bibliotekarzem. Szwagier Zofii zatrudnił go w takim właśnie charakterze. Kiedy zmarł, Zofia odziedziczyła bibliotekę, a razem z nią doktora.

– Ale to mu najwyraźniej nie wystarczy. Bo nasz doktorek jest ambitny, chce być bibliotekarzem cesarza, prawda?

– Na razie sytuacja przedstawia się tak, że uczoney, który mieszka w Lipsku, może się nigdy nie dowiedzieć o książce opublikowanej w Moguncji. Świat europejskiego piśmiennictwa jest poszatkowany i niespójny, inaczej niż w Anglii, gdzie wszyscy uczeni znają się i należą do jednego Towarzystwa.

– Co takiego? Doktor chce przerobić Europę na angielską modłę?!

– Zasugerował wydanie dekretu cesarskiego, który nakładałby na księgarzy z Lipska i Frankfurtu obowiązek opisanie każdej wydanej książki oraz przesłania tego opisu, wraz z jednym egzemplarzem księgi, do...

– Niech zgadnę: do niego?

– Tak, do niego. On złożyłby z nich jakiś olbrzymi, niezrozumiały twór, nad którym pracuje... Kiedy mi o nim opowiadał, z rozpędu przeszedł na łacinę, nie do końca więc wiem, o co mu chodziło. Miałaby to być po trochu biblioteka, po trochu akademia, a po trochu jakaś machina.

– Machina?

Jack wyobraził sobie koło młyńskie wykonane z książek.

Rozmowę przerwało im donośne, rubaszne prychnięcie, dobiegające z kąta wspólnej sali, gdzie siedział doktor we własnej osobie, czytając (o czym się przekonali, gdy podeszli bliżej) jedną z książek, którymi go obrzucono i które utknęły na wozie z bagażem. Przejściu Jacka i Elizy przez salę – zwłaszcza przejściu Elizy – jak zwykle towarzyszyło ogromne zainteresowanie samotnych kupców, którym oczy dosłownie wylaziły z orbit. Fakt, że inni mężczyźni również dostrzegają jej urodę, z początku Jacka zdumiewał, z biegiem czasu zaś coraz bardziej irytował. Podejrzywał, że podziwiają ją w sposób prostacki i prymitywny, zupełnie inaczej niż on sam.

– Uwielbiam powieści! – wykrzyknął doktor. – Można je zrozumieć, nie myśląc zbyt wiele.

– Wydawało mi się, że jest pan filozofem – zauważyła Eliza, najwyraźniej zbliżywszy się do niego wystarczająco, by takie prowokacje uchodziły jej płazem.

– Kiedy filozofujemy, nasz umysł podąża śladem naszych naturalnych skłonności i stara się połączyć przyjemne z pożytecznym. Kiedy zaś śledzimy cudze rozważania filozoficzne, jesteśmy jak ślepcy brnący tunelem wykopanym przez kogoś innego: jest ciemno, zimno, a wędrówka bywa przykra i bolesna, zwłaszcza jeśli postanowimy skrócić w prawo tam, gdzie kopacz akurat skręcił w lewo. Ale to... – Doktor uniósł wysoko książkę. – To zupełnie co innego. Czyta się jednym tchem.

– O czym jest ta książka?

– Właściwie wszystkie powieści są takie same. Opowiadają o *picaró*, czyli szelmach lub łotrzykach, dowolnej zresztą płci, wędrujących od miasta do miasta jak wagabundy, od których wszakże są znacznie sprytniejsi i zaradniejsi, popadających w przezabawne tarapaty i robiących, lub próbujących robić, durniów z książąt, biskupów, generałów i...

– I doktorów.

Cisza. Jack przerwał przedłużające się milczenie:

– Hmm... Czy to już w tym rozdziale powinienem sięgnąć po broń?

– Nie bredź! – wykrzyknął doktor. – Nie po to was tu sprowadziłem, żeby teraz wdawać się w jakieś *imbroglio*.

– A po co? – zapytał Jack pospiesznie. Widząc zaczerwienioną twarz Elizy, pomyślał, że nie byłby ani sprytny, ani zaradny, gdyby pozwolił jej w tej chwili dojść do głosu.

– Zrobiłem to z tego samego powodu, dla którego Eliza zużyła część waszego jedwabiu na suknie – pozwoliło jej to podbić cenę. Muszę przyciągnąć uwagę kupca, przedstawić mu kopalnię jako pożądaną, może nawet modną inwestycję. Dopiero wtedy zechce wydać na nią pieniądze.

– Domyślam się zatem, że moja rola ma się ograniczyć do schowania się za jakimś dużym meblem i odczekania, aż wszystkie eleganckie i zamożne osoby oddalą się na bezpieczną odległość?

– Z wdzięcznością przyjmuję pańską propozycję. A tymczasem, Elizo... Widziałaś może kiedyś, jak szarlatani uprawiają swój fach w Paryżu? Cokolwiek sprzedają, zawsze mają w tłumie współnika, ubranego tak samo jak potencjalne ofiary...

– Którymi są tępi wieśniacy-wyjaśnił Elizie Jack. – Z początku współnik udaje największego sceptyka wśród gapiów – zadaje trudne pytania, przedrzeźnia handlarza. Z czasem jednak daje się przekonać, zapala do pomysłu kupna i staje pierwszym nabywcą towaru oferowanego przez szarlatana...

– W tym wypadku *Kuxen*? – upewniła się Eliza.

– Zgadza się – odparł doktor. – Nasza widownia będzie się składać z Hacklheberów, mogunckich kupców, lyońskich bankierów i amsterdamskich spekulantów walutowych, czyli, ogólnie rzecz biorąc, zamożnych i wytwornych osobistości z całego świata chrześcijańskiego.

Jack zanotował sobie w pamięci, żeby sprawdzić, czym zajmuje się spekulant walutowy. Zerknąwszy na Elizę, zauważył, że ona też mu się przygląda, i zrozumiał, że myśli o tym samym. Ale doktor szybko wytrącił ją z zadumy.

– Jeżeli masz się wtopić w tłum, Elizo, musimy się postarać, byś wyglądała na znacznie mniej inteligentną niż jesteś, i przytłumić twój naturalny urok. Inaczej naszych gości zaślepi albo nabożny zachwyt, albo zazdrość.

– Ach, doktorze... Dlaczego mężczyźni, którzy pragną kobiet, nigdy nie mówią im takich rzeczy?

– Mężczyźni, których spotykasz, są pod ogromnym wrażeniem twojej obecności, Elizo – zauważył Jack. – Jak mają mówić gładkie słówka, jeśli stojące na baczność kuśki mało im nie wyskoczą gębami?

Doktor zarechotał podobnie jak przy lekturze.

– A ty jaką masz wymówkę, Jack? – spytała Eliza, wywołując tym prawdziwy kataklizm w krtani doktora.

Jack prawie popłakał się ze śmiechu.

– Bogu niech będą dzięki, że kobiety nie mają się jak pozbyć nadmiaru żółci.

W gospodzie dołączyli do karawany małych, lecz pakownych wozów, wypchanych towarami zakupionymi przez doktora w Lipsku i wysłanych przodem. Część z nich wiozła

indyjską saletrę, część siarkę ze Srebrnych Gór¹², pozostałe – mimo że załadowano na nie zaledwie po kilka niedużych skrzynek – uginały się i trzeszczały jak poganie rozciągani na łożu sprawiedliwości. Zajrzawszy między deski wyłożonych słomą skrzyń, Jack wypatrzył gliniane butle, a kiedy zapytał woźnicę, co się w nich znajduje, usłyszał w odpowiedzi:

– *Quecksilber*.

* * *

*Mammon ich prowadził,
Mammon, najniżej pochylony z wszystkich
Duchów, co z Nieba runęli, gdyż nawet
I w niebie myśli jego i spojrzenia
Zawsze w dół biegły, bardziej podziwiając
Chodniki Niebios złotem wyłożone
Niż jakiegokolwiek boskie albo święte
Widoki. On to pierwszy także sprawił,
Że człowiek, jego podszeptem popchnięty,
Splądrował głębię i ręką bezbożną
Rozdarł wnętrzości swojej matki Ziemi,
Szukając skarbów tam skrytych.*

Milton, *Raj utracony*¹³

Cały liczący blisko dwa tuziny wozów konwój jechał na zachód przez Halle i inne miasta na saksońskiej równinie. Nad bramami miejskimi Halle wzniesiono wieże ze spiczastymi dachami, żeby mieszkańcy mogli w porę wypatrzeć armie wagabundów i przygotować się na ich przybycie. Kilka dni dalej teren zaczął się wreszcie podnosić i – podobnie jak filozoficzne księgi doktora – wodzić ich to w jedną stronę, to w drugą, prowadząc chwilami w kierunku, który nie do końca im odpowiadał. Zmiany następowały powoli, ale któregoś ranka po przebudzeniu stwierdzili bez cienia wątpliwości, że znajdują się w dolinie, najpiękniejszej górskiej dolinie, jaką Jack widział w życiu. Zieleniła się blado pierwszymi kwietniowymi liśćmi i pąkami i złociła stogami siana, którymi były gęsto upstrzone wszystkie łąki, mimo że bydło przez całą zimę przykładało się do ich pomniejszania. Szerokie stoki wznosiły się łagodnie, lecz systematycznie ponad dno doliny, przybierając w oddali zimne, prawdziwie górskie kształty, niczym pobudowane przez olbrzymów pochylnie wiodące ku nieznanym szczytom. Na grzbietach rysowały się ciemne kształty – głównie drzewa, ale i liczne wieże obserwacyjne, stawiane przez Saksończyków na wzniesieniach, z których rozciągały się

¹² Co poznali po tym, że była oznakowana stemplami Herr Geidela.

¹³ Cytaty z „Raju utraconego” w przekładzie M. Słomczyńskiego (przyp. tłum.).

najrozleglejsze widoki. Jack zastanawiał się, na co właściwie czekają. Może nocami rozpalano w nich ogniska, aby przekazywać niezwykle wiadomości na znaczne dystanse, ponad głowami śpiących wieśniaków? Minęli jezioro o gładkiej toni, do której brunatną kamienną lawiną osypał się zrujnowany zameczek. Powiał wiatr, wzburzył toń w gęsią skórkę i perfekcyjne odbicie ruin zniknęło.

Eliza z doktorem najczęściej jechali razem w powozie; ona przerabiała sukienki zgodnie z jego sugestiami dotyczącymi ostatnich krzyków mody, on zaś pisał listy i czytał pikarejskie powieści. Zanosilo się na to, że córka Zofii, Zofia Charlotta, szykowała się do wyjścia za mąż (pod koniec roku) za elektora brandenburskiego. Ślubny strój miał zostać jej dostarczony prosto z Paryża, co pasażerom powozu zapewniło temat do rozmów na wiele długich dni. Przy pięknej pogodzie Eliza siadywała sobie na dachu pojazdu, dzięki czemu woźnice cały czas wiedzieli, że mają jeszcze po co żyć. Czasem Jack dawał Turkowi odpocząć, zeskakiwał z siodła i siedł obok powozu, jechał na jego dachu lub wsiadał do środka.

Doktor zawsze był czymś zajęty; projektował niezwykle maszyny, pisał listy albo rysował piramidy z zer i jedynek, które przedstawiał według wydumanych reguł.

– Co pan robi? – zapytał za którymś razem Jack, starając się nawiązać rozmowę.

– Wprowadzam bardzo istotne poprawki do mojej teorii materii – odparł z roztargnieniem doktor, po czym zamilkł na następne trzy godziny, kiedy to oznajmił woźnicy, że czas się zatrzymać, bo zachciało mu się siku.

Jack spróbował więc porozmawiać z Elizą, która od czasu konwersacji w gospodzie miała raczej minorowy nastrój.

– Dlaczego z chęcią poddajesz jeden mój koniec najróżniejszym wymyślnym zabiegom, a drugiego końca nie chcesz nawet ucałować? – zapytał któregoś wieczoru, gdy na jego zaloty odpowiedziała znudzonym wywróceniem oczami.

– Dziwisz mi się? Wykrwawiam się. Tracę *humor* namiętności.

– Masz na myśli swój zwykły miesięczny stan czy...

– W tym miesiącu krwawię bardziej niż zwykle. A całuję tylko tych ludzi, którym na mnie zależy.

– A czemu mnie wyklucasz z ich grona?

– Nic o mnie nie wiesz, wobec czego cała twoja życzliwość dla mnie wypływa z cielesnej żądz.

– To moja wina? Dawno już cię pytałem, jak trafiłaś z Berberii do Wiednia.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie.

– No dobrze, może francuska choroba zżera mi mózg, ale to akurat pamiętam doskonale. Przez kilka dni rozmyślałaś o przeszłości, prawie się nie odzywając, aż w końcu stwierdziłaś, że nie chcesz o tym mówić.

– Mogłeś powtórzyć pytanie.

– Elizo, jak trafiłaś z Berberii do Wiednia?

– Niektóre fragmenty tej historii są dla mnie zbyt bolesne, by ci ją opowiedzieć. Inne z kolei tylko by cię znużyły... Powiem tak: kiedy osiągnęłam wiek, który zdaniem napalonych Maurów jest u kobiety wiekiem dorosłym, mój związek z matką upodobił się w ich oczach do związku dywidendy ze spółką akcyjną – stałam się zyskiem wpływającym z normalnego funkcjonowania majątku. I zostałam upłynniona.

– To znaczy?

– Sprezentowano mnie wielkiemu wezyrowi w Konstantynopolu w ramach pewnej transakcji, całkiem podobnej do tych, jakie zawiera się w Lipsku. Bo widzisz, człowieka też można sprowadzić do postaci paru kropli żywego srebra i włączyć w międzynarodowy obieg tej substancji.

– Ile wezyr za ciebie zapłacił? Pytam z ciekawości.

– Dwa lata temu za jedną mnie na rynku śródziemnomorskim płacono jednego konia, trochę chudsze i szybsze niż ten, którego dosiadasz.

– To chyba... To znaczy, każda cena byłaby zbyt niska, ale mimo wszystko... Mój Boże...

– Zapominasz, że Turek jest wierzchowcem niezwykłym. Może najlepsze lata ma już za sobą, jest też trochę sterany, ale nadal może płodzić potomstwo.

– Rozumiem. Czyli ten, którym za ciebie zapłacono, był ogierem czystej krwi.

– Arabem, chociaż trochę dziwnym. Widziałam go w porcie. Był calusieńki biały, poza kopytami, oczywiście, i miał różowe oczy.

– Czy Berberowie hodują konie wyścigowe?

– Za pośrednictwem Stowarzyszenia Branek Brytyjskich udało mi się ustalić, że ogier miał ostatecznie trafić do *la France*. Ktoś musi tam mieć koneksje wśród Berberów, prawdopodobnie ten sam człowiek, który ze mnie i matki uczynił niewolnice. Przez niego nie zobaczę już mamusi; kiedy zostawiłam ją w Barbarii, chorowała na raka. Ale kiedyś znajdę tego człowieka i go zabiję.

Jack odliczył w myślach do dziesięciu, zanim powiedział:

– Ja to zrobię. Co mi szkodzi? Przecież i tak mam umrzeć na francuską chorobę.

– Tylko wyjaśnij mi najpierw, za co ma umrzeć.

– Dobrze, uwzględnij te kilka godzin ekstra...

– To nie potrwa aż tak długo.

– Nie?

– Dlaczego chcesz go zabić, Jack?

– No, za wasze porwanie z Qwghlm, perwersje na statku, lata niewoli, przymusowe rozdzielanie z niedomagającą...

– Nie, Jack. Wcale nie. To są moje racje. Ale dlaczego ty chcesz go zabić?

– Z tych samych powodów.

– Wielu ludzi macza palce w handlu niewolnikami. Zabijesz w – Nie, tylko... Aha, już rozumiem. Chcę zabić tego złoczyńcę, kimkolwiek jest, ponieważ kocham cię miłością gorącą, wieczną i czystą, moja najdroższa Elizo.

Eliza wprawdzie nie zemdląła, ale na jej twarzy odmalowało się „Rozmowę uważam za zakończoną”, co Jack uznał za dobry znak.

Po kilku dniach krążenia po okolicy doktor dał wreszcie sygnał i ruszyli na północ, w głąb i w górę ewidentnego pasma gór. Najpierw jechali przez zarośnięte trawą rowy i wały. Potem wśród pól zaczęły wyrastać dziwne, ciemne kopczyki. Mniej więcej w tym samym czasie zaczęli regularnie widywać dwójki ludzi przy zaopatrzonych w korbę i owiniętych sznurem bębnach, które przypominały nieco kołowroty montowane nad studniami, były od nich jednak solidniej zbudowane i brudniejsze, a na końcu sznura zamiast wiader z wodą miały żelazne kubły pełne czarnych kamieni. Jack i Eliza widzieli już podobne sceny w pobliżu Joachimsthalu, wiedzieli więc, że ciemne pagórki składają się z odchodów pozostających po wytopieniu metalu (w tym wypadku miedzi) z rudy, czyli żużłu; po niemiecku nazywały się *schlock*. Kiedy zmoczył je deszcz (co o tej porze roku zdarzało się całkiem często), żużel połyskiwał odcieniami fioletu i błękitu. Ludzie przekładali rudę z *handhaspeli* (bo tak nazywały się kołowroty) na taczki i przewozili ją, potykając się wśród żużlowych pagórków, do dymiących pieców. Piecami opiekowali się umorusani węglem palacze.

Kilkakrotnie karawana wjeżdżała w zadymione leśne doliny i śladem wyrytych przez zwożone z lasu drewno kolein trafiała do prochowni. Wysokie, cienkie jak witki drzewa o pniach kudłatych od cherlawych gałązek¹⁴ cięto i wypalano po całych dniach, przerabiając na węgiel drzewny. Węgiel trafiał następnie do wodnych młynów, gdzie mielono go na proszek i łączono z innymi składnikami. Pracownicy prochowni, wymizerowani i roztrzęsieni od wiecznie towarzyszącej im świadomości, że w każdej chwili mogą wylecieć w powietrze, wychodzili na spotkanie z doktorem, który wyładowywał dla nich siarkę i saletrę. W ten sposób Jack dowiedział się, że wojny – podobnie jak rzeki – mają liczne źródła, położone wysoko w górach.

Eliza znalazła wreszcie pierwsze leśne olbrzymy żywcem wyjęte z maminych opowieści, chociaż wiele z nich padło ofiarą wichur, a wiatrołomy można było podziwiać wyłącznie pod postacią sterczących w powietrze korzeni, które niczym na wpół stulona pięść kurczowo ścisnęły ostatnią garść ziemi. Na tej wysokości cały czas wiało, a pogoda zmieniała się bez przerwy – deszcz, zachmurzenia ani przejaśnienia nigdy nie trwały dłużej niż po piętnaście minut na raz – ale kiedy wreszcie wyjechali z zadymionych dolin, zrobiło się chłodno i jasno. Przemieszczali się bardzo powoli, lecz kiedy za którymś razem przejaśnienie wypadło w chwili, gdy znaleźli się na otwartym terenie (nauczyli się już, że Harz to lite skały, okryte warstwą lasu nie grubszą niż pnącza chmielu porastające czasem stare kupy *schlocku*),

¹⁴ Niemcy nazywali je *Faulbaum*, co oznacza „marne, spróchniałe drzewa”. Były to olchy.

stwierdzili, że wspięli się bardzo wysoko ponad okoliczną równinę. Hałdy na polach przypominały teraz kaptury idących w procesji mnichów. Patrolujące okolicę czarne sępy goniły się i kołowały po niebie jak drobinki popiołu unoszone w nagrzanym powietrzu. Tu i ówdzie pod granią przycupnęła wieża strażnicza albo knująca spiszek i drżąca ze strachu kępa drzew. Na dalekich polach wrony wyjadały wysiane ziarno. Stada srebrnopiórych ptaków, korzystając z niewidzialnych podmuchów wiatru, w niewiadomym celu kręciły kółka i ćwiczyły grupowe manewry.

Doktor postanowił zatem rozbawić towarzystwo, proponując wycieczkę do starej, opuszczonej kopalni miedzi.

– Zofia była pierwszą kobietą w kopalni – dodał zachęcająco. – Ty, Elizo, możesz być drugą.

Złoże rudy, a właściwie pozostała po wybranym złożu pusta przestrzeń znajdowała się w tej kopalni płytko pod powierzchnią gruntu, nie było więc potrzeby schodzenia ciągiem drabin w ciemną czeluść szybu. Powóz zatrzymał się przed chylącą się ku upadkowi szopą. W środku, w zwichrowanej szafce wyszukali sobie coś do oświetlenia dalszej drogi, zsunęli się po rampie pozostałej po dawnych schodach i znaleźli w szerokim na długość ramienia tunelu, w którym Jack zahaczał głową o sufit. Źródłem światła były tak zwane *kienspany* – szczapy suchego żywicznego drewna, długie jak ostrze rapiera i nasączone jakimś woskiem albo smołą; płonęły z zapalem, upodabniając się do ognistych mieczy, jakimi władają różni biblijni herosi. Dzięki nim widzieli, że sztolnia jest solidnie ostemplowana: co dwa jardy stała para słupów połączonych masywną poprzeczką. Liczne bale, grube jak męskie udo, biegły wzdłuż ścian, łącząc sąsiednie słupy. Cieśle zbudowali w ten sposób podłużną drewnianą klatkę, nie po to jednak, by więzić w niej ludzi (choć mimochodem to także zrobili), lecz by chronić ich przed lawiną napierającej ze wszystkich stron poruszonej ziemi.

Doktor prowadził. Wylot sztolni szybko zniknął im z oczu. Często mijali korytarze odchodzące w bok od głównego przejścia, ale wszystkie sięgały Jackowi najwyżej do połowy uda i nie było mowy, żeby ktoś do nich wszedł.

Tak przynajmniej sądził Jack, dopóki doktor nie zatrzymał się przed jednym z nich. Posadzka wokół korytarza była zasłana dziwnie uformowanymi deskami, sierpowatymi kawałkami wołowych skór i prostokątnymi odłamkami czarnego kamienia.

– Na końcu tego tunelu kryje się prawdziwe чудо – wyjaśnił doktor. – To blisko, najwyżej pięć, sześć sążni. Musicie je zobaczyć.

Jack pomyślał, że ich przewodnik żartuje, ale Eliza bez wahania zgodziła się wczłogać w tunel – a to oznaczało, że w myśl pewnych zasad, które obowiązują nawet wagabundów, Jack musiał wejść tam pierwszy i upewnić się, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Doktor wyjaśnił mu, że skrawek skóry zwany *arsch-leder* zakłada się na tyłek, i Jack posłuchał jego rady. Następnie doktor zademonstrował, w jaki sposób za pomocą desek można osłonić łokieć i przedramiona podczas czołgania się po kamieniu. Wysłuchawszy jego wyjaśnień, Jack wziął

do jednej ręki deskę, do drugiej *kienspan* i wczołgał się do otworu. Właściwie szło mu całkiem nieźle, dopóki nie zaczął myśleć o... Właściwie najlepiej było nie myśleć w ogóle.

Popychany przodem *kienspan* sypał skrami i oślepiął, ale kiedy wzrok Jacka przywykł do ciemności, okazało się, że dzieli ciasny koniec tunelu z olbrzymim czarnym ptakiem – albo czymś w tym rodzaju; stwór był podobny do strusia, lecz pozbawiony skrzydeł. Miał zakrzywione szpony, jakby gotowe rozdrapać skałę (albo twarz Jacka). Długą, kościstą szyję wygiął tak bardzo, że prawie zawiązał ją sobie w supeł. Na jej końcu tkwiła trójkątna czaszka z rozwartymi szczękami, w których tkwiły... olbrzymie... zębiska...

Jack krzyknął tylko raz – właściwie dwa razy, ale drugi wrzask się nie liczył, ponieważ był spowodowany uderzeniem głową o strop przy nieprzemyślanej próbie zerwania się na równe nogi. Oślepiony bólem i strachem, cofnął się o dwa sążnie, znieruchomiał, wyteżył słuch – i usłyszał tylko bicie własnego serca.

Stwór, rzecz jasna, musiał być martwy – zostały z niego przecież same kości. A doktor może i był dziwakiem, ale przecież nie posłałby Jacka wprost do legowiska krwiożerczego monstrum. Jack wycofał się ostrożnie, starając się nie bić więcej głową w ścianę.

– W skałach są muszelki – mówił właśnie doktor do Elizy. – A spójrz tutaj, ten kamień ma słoje niczym drewno, można go rozszczepić i... Widzisz, co się kryje między warstewkami? Ta istota musiała utonąć w błocie, albo w takim drobnym mule, jaki niosą rzeki, a potem jej ciało zostało zmiażdżone i zgniło, zostawiając po sobie pustkę, którą później wypełniła skała innego typu. Przypomina to trochę odlewanie rzeźb z brązu w gipsowych formach.

– Co to za bzdury? – spytał Jack, wystawiwszy zakrwawioną głowę spomiędzy nóg rozmówców. – Kto ich panu nagadał?

– Sam doszedłem do takich wniosków. Ktoś przecież musi mieć nowe pomysły.

Jack przetoczył się na brzuch i spostrzegł, że na zaśmiecających posadzkę odłamkach kamieni widnieją odciski mnóstwa innych apokaliptycznych bestii.

– Jaka niby rzeka miałaby nieść ten muł? Jesteśmy we wnętrzu góry. Tu nie ma rzek – zauważył Jack, kiedy wepchnęli Elizę do niskiego tuneliku. Zostawiła im swoją podróżną suknię, a sama wczołgała się do środka w pantalonach i *arsch-lederze*.

– Ale kiedyś były. Podobnie jak dawno temu żyły tu takie właśnie istoty... – Doktor oświetlił odcisk ryby o zbyt licznych płetwach i za dużych szczękach, wodnego stwora o kształcie kotwiczki i ważkę wielką jak bełt do kuszy.

– Rzeka w środku góry? Nie sądzę.

– No to skąd się tu wzięły te muszelki?

* * *

W końcu znaleźli się na łagodnie zaokrąglonym wierzchołku wzgórza, na którym stała stara, kamienna wieża, okolona – zamiast bastionów – hałdami żużlu. Każdy głupi by się zorientował, że doktor już przy niej majstrował. Na szczycie znajdował się niezwykle wiatrak, który – zamiast obracać się w płaszczyźnie pionowej, jak koło – kręcił się w poziomie niczym bąk, dzięki czemu nie musiał się stale odwracać przodem do wiatru. Podstawę wieży osłaniała staromodna kamienna kurtyna, niedawno odnowiona (pracownicy kopalni obawiali się ataku, ale potencjalni napastnicy i tak nie mieli nowoczesnej artylerii). Brama również była nowiuteńka – i zamknięta na cztery spusty. Gdy tylko doktor się przedstawił, uzbrojony w muszkiet inżynier otworzył im wrota, wpuścił ich za kurtynę i natychmiast starannie zamknął bramę za nimi.

Sama wieża nieszczególnie nadawała się do zamieszkania. Doktor oddał do dyspozycji Elizy pokój w sąsiadującym z wieżą budynku. Jack odnalazł w nim wszystkie szczury i napełnił ich serca bojaźnią bożą, a potem wszedł po kamiennych schodach, które spirala¹⁵ pięły się po wewnętrznej ścianie wieży na szczyt budowli. Wieża wczuła się w rolę – skowyczała na wietrze jak pusty dzban, kiedy dmuchnąć mu nad szyjką. Od znajdującego się na górze wiatraka biegł masywny pionowy trzpień, złożony ze spiętych obejmami i zbitych żelaznymi klamrami pni drzew i łączący się z ustawioną na klepisku przekładnią i bębniem. W samym klepisku ziała potężna dziura, najwyraźniej stanowiąca wlot kopalnianego szybu. Wiatrak wyciągał spod ziemi kubły pełne wody, umocowane na sporządzonej z łańcucha pętli. Kiedy łańcuch przechodził przez olbrzymi blok, zawartość wiadra wylewała się do drewnianego koryta, które przez mały otwór wychodziło na zewnątrz wieży i odprowadzało wodę. Pusty kubeł zjeżdżał z powrotem w głąb szybu i cały cykl się powtarzał. W ten sposób odprowadzano wodę z tych partii kopalni, które bez pomocy wiatraka byłyby zalane. O ile jednak tam, głęboko, woda była zbędna, to na górze można ją było jeszcze wykorzystać – przemyślny system rynien czynił z niej młynówkę napędzającą małe koła łopatkowe, poruszające miechami i młotami kowalskimi. Na koniec cała woda gromadziła się w otwartych zbiornikach.

Z góry Jack (przezornie wydał część zysków na ciepłe ubranie) sięgał wzrokiem na kilka dni drogi w każdym kierunku. Zbocza gór – poza jedną na północy – nie były urwiste, lecz raczej łagodne i zaokrąglone, choć poprzedzielane wąwozami bez dna. Lasy miały cętki – ciemne, prawie czarne świerki i jodły mieszały się w nich z drzewami liściastymi, przyrzucenymi rozwijającym się dopiero wiosennym listowiem. Tu i ówdzie na południowych stokach rozciągały się pastwiska, na północnych zaś leżały płaty śniegu. Wsie, złożone z krytych czerwona dachówką domów, były porzucane po okolicy nieregularnie jak bryzgi krwi. Jedna, całkiem spora, znajdowała się u samych stóp wzgórza z wieżą, w wąwozie, który oddzielał je od większej góry, położonej na północ od niego – skalnego zęba zwieńczonego intrygującym układem ustawionych na sztorc kamieni. Chmury pędziły po

¹⁵ Cytując doktora: „To właściwie nie jest spirala, lecz helisa”.

niebie, szybkie i groźne jak skrzydlata husaria; Jack miał wrażenie, że to one tkwią nieruchomo, a wieża się przewraca. Nad jego głową dziwacznie powyginane skrzydła wiatraka cięły ze świstem powietrze, jak ostrza szabli w źle wymierzonych ciosach.

* * *

– Jedną chwileczkę, doktorze... Z całym szacunkiem, rozumiem, że zastąpił pan górników chodzących w kieracie wiatrakiem, który wypompowuje wodę... Co się jednak stanie, gdy wiatr przestanie wiać? Woda znów zaleje kopalnię i potopi górników?

– Nie. Wypłyną starym kanałem odwadniającym, w łódkach używanych do transportu rudy.

– A co w ogóle sądzą o zastąpieniu ich maszynami, doktorze?

– Wzrost wydajności powinien z nawiązką zrekompensować...

– Można sobie przecież wyobrazić, że sabot zsuwa się któremuś z nogi i „przypadkiem” wpada w tryby maszynerii...

– Może powinienem wystawić strażę, żeby nie dopuścić do takiego... sabotażu.

– Może... Ale kto im zapłaci? Gdzie zamieszkają?

– Elizo, przerwijmy na chwilę tę próbę. Nie chciałbym, żebyś zagrała swą rolę z nadmiernym zaangażowaniem. Błagam, nie mów nic, co mogłoby wywrzeć niewłaściwe, zbyt trwałe wrażenie na naszej... publiczności...

– Myślałam, że chodzi o to, żeby...

– Naturalnie. Ale nie zapominaj, że podamy coś do picia. Teraz wyobraź sobie, że w szczytowym momencie twojego występu potencjalny inwestor poczuje, że musi na chwilę wyjść, żeby sobie ulżyć. Akurat w chwili, gdy tobie łuska spadnie z oczu i dostrzeżesz, że trafia ci się niepowtarzalna okazja...

Tak właśnie wyglądała próba. Błada jak ściana Eliza wyciągnęła się na sofie; czołganie się zimnym tunelem w jej obecnym stanie chyba nie było najlepszym pomysłem. Jack doszedł do wniosku, że skoro mają trochę pieniędzy, mógłby przecież zejść do miasteczka, które wypatrzył z góry, znaleźć aptekarza i kupić jakiś eliksir czy tynkturę, by naprawiła szkody wyrządzone utratą krwi, przywróciła Elizie rumieńce i zwykły poziom *humoru* namiętności.

Miasteczko nazywało się Bockboden. Doktor niewiele o nim wiedział, ograniczył się tylko do umiarkowanie nieprzychylnych uwag w stylu „Ja bym tam nie schodził”, „Nie idź tam”, „To złe miejsce” oraz „Lepiej go unikać”. Żadnej z nich nie poparł jednak barwną konfabulacją, do jakiej uciekłyby się rasowy wagabunda, aby przekonać oponenta. Z góry miasto wydawało się schludne i porządne, ale nie do tego stopnia, żeby Jackowi miało tam grozić jakieś niebezpieczeństwo.

Wyruszył w drogę pieszo, ponieważ Turek od paru dni lekko kulał. Zszedł zarośniętą ścieżką, wijącą się wśród starych hałd i wygasłych pieców w stronę Bockboden. Przyszło mu

do głowy, że jeśli będzie się dobrze rozglądał, może odkryje jakieś nowe sekrety produkcji pieniędzy, a w szczególności dowie się, jak na niej zarobić bez konieczności inwestowania własnych środków i nudnego, trwającego dziesiątki lat oczekiwania na zysk. Ale jedyną nowinką, jaka rzuciła mu się w oczy po drodze do miasteczka, była jakaś sklecona na poczekaniu fabryczka, usytuowana z dala od zamieszkanym okolic, w której żelazne rury, opalane drewnem *Faulbaumów*, obficie pluły cuchnącą parą. Wyziewy śmierdziały moczem, toteż Jack uznał, że ma przed sobą folusz. Wypatrzył nawet dwóch zde gustowanych robotników, przelewających jakąś żółtą ciecz z beczki do jednej z kadzi, nigdzie jednak nie widział ani kawałka materiału. Wyglądało na to, że w Bockboden gotują i odparowują bez żadnego celu pierwszorzędny mocz.

Kiedy wszedł do miasteczka, spłynęło na niego spóźnione olśnienie – to był chybiony pomysł. Nic konkretnego jeszcze się nie wydarzyło, ale – jak zwykle w takich miejscach – ogarnął go znajomy lęk przed aresztowaniem, torturami i możliwością egzekucji. Upominał się w duchu, że przecież włożył nowe ubranie; dopóki nie zdejmie rękawiczki, zasłaniającej wypaloną przed laty w Old Bailey literę V, nikt nie pozna, że jest wagabundą. Poza tym był przecież gościem doktora, który w tej okolicy z pewnością cieszył się powszechnym szacunkiem. Szedł więc niezrażony przed siebie, a miasto niepostrzeżenie wchłaniało go i omotywało.

Domy w miasteczku miały konstrukcję szachulcową, podobnie jak w większości niemieckich miast i wielu angielskich – oznaczało to, że najpierw budowano szkielet z mocnych belek, a następnie wypełniano wolne przestrzenie między nimi wszystkim, co wpadło budowniczym w ręce. Akurat w Bockboden ściany robiono z wyplatanych z badyli mat grubo schlapanych błotem, które po wyschnięciu twardniało na kamień. Każda nowa konstrukcja musiała więc początkowo czerpać siłę z innej, starszej, na której się opierała, toteż w całym mieście nie uświadczyliby się chyba ani jednego wolno stojącego domu – Bockboden było jednym wielkim budynkiem, rozczłonkowanym na wiele korpusów i macek. Szkielety domów, a raczej szkielet miasta był pewnie kiedyś równy, regularny i trzymał kąty proste, ale z biegiem stuleci oklapł, zapadł się i powykrzywiał we wszystkie możliwe strony. Chcąc nadażyć za zmianami jego struktury, mieszkańcy pospiesznie i byle jak łatali gliniane mury, przez co Bockboden nie przypominało już dzieła ręki ludzkiej. Wyglądało raczej jak splątany kłęb zbitych ziemią korzeni u podstawy drzewa, z którego tu i ówdzie wybrano trochę piasku, aby stworzyć przestrzeń mieszkalną dla ludzi.

Nawet w samym mieście widywało się małe kopczyki żużlu i ślady rudy na ulicach. Jack zwrócił uwagę na drzwi, zza których dobiegało nieregularne skrzypienie *handhaspela*. Nagle drzwi otworzyły się z impetem, uderzone wyladowanymi rudą taczkami. Pchający taczki człowiek zdziwił się niepomniernie, widząc gapiącego się nań intruza. Jack nie zdążył nawet się nastroszyć i przybrać sztucznie nonszalanckiej pozy, gdy górnik z zapartym tchem podjął

żałośnie nieudolną próbę ukłonienia się; starał się jak mógł, by nie przewrócić przy okazji taczek i nie spowodować całej serii wesołych wypadków.

– Aptekarz? – zapytał Jack.

Górnik odpowiedział mu w dziwnie znajomo brzmiącej niemczyźnie i wskazał kierunek głową. *Handhaspel* za drzwiami ucichł na jakieś sześć uderzeń serca, po czym wznowił pracę.

Jack poszedł za taczkarzem do najbliższego skrzyżowania. Mężczyzna próbował wprawdzie uskoczyć mu z drogi, ale ładunek – ważący pewnie tyle, co on sam – poważnie ograniczał jego ruchy. Jack zastanawiał się, czy to możliwe, że wszystkie sztolnie ciągnące się pod Niemcami łączą się w jeden kompleks i bez ponoszenia dodatkowych kosztów wspólnie korzystają z opracowanej przez doktora metody odwadniania. Może to dlatego mieszkańcy Bockboden robili się tacy nerwowi na widok obcych przybywających od strony wieży. Zresztą żaden konkretny powód nie był w ogóle potrzebny.

Sklep aptekarza stał – o własnych siłach – na skraju upstrzonej górkami żużlu łączki. Po jej drugiej stronie, po przekątnej, znajdował się poczerniały kościół. Dach domu był wysoki i stromy jak obuch siekiery, a ściany opancerzone zachodzącymi na siebie płytkami brunatnego łupku. Każde kolejne piętro było odrobinę większe od poprzedniego. Pod okapem kryły się rzędkie rzeźbionych w drewnie twarzy – niektóre z nich wiernie przedstawiały zakonnice, królów, rycerzy w hełmach, kudłatych dzikusów i Turków o oczach jak paciorki, ale Jack dostrzegł też podobizny aniołów, demonów i wilkołaków, a nawet kozopodobnego diabła.

Wszedł do środka i stwierdził, że przy okienku nikogo nie ma. Zaczął sobie gwizdać pod nosem, lecz szybko umilkł, stwierdziwszy, że pogwizdywanie brzmi słabo i żałośnie. Sufit zdobiły olbrzymie, groteskowe stiuki, głównie przedstawiające ludzi zmieniających się w inne istoty. Niektóre z nich kojarzył (choć słabo) z opowieści, do których odwoływali się autorzy sztuk teatralnych. Rozpoznał na przykład nieszczęsnego myśliwego, który napatoczył się na gołą boginię łowów w kąpielu, za co został zamieniony w jelenia i rozszarpany przez własne psy. Naturalnych rozmiarów podobizna tego właśnie łowcy, uchwyconego w połowie przemiany, tkwiła pod sufitem apteki.

Może aptekarz niedosłyszy? – pomyślał Jack i zaczął się kręcić po domu, starając się czynić jak najwięcej hałasu. Wszedł do sporego pomieszczenia, gdzie ujrzał mnóstwo przedmiotów, których – jak podejrzewał – nie należało dotykać: żarzących się otwartych piecyków i retort wypełnionych mętnymi, bulgoczącymi płynami, stojących nad palnikami, których płomień swoim błękitem przypominał oczy Elizy. Otworzył inne drzwi, znalazł się w kantorku – i serce na moment podeszło mu do gardła na widok ludzkiego szkieletu. Przeniósł wzrok na sufit, ozdobiony dalszymi gipsowymi figurami, tym razem przedstawiającymi wyłącznie bóstwa płci żeńskiej: boginię świtu, patronkę wiosny wyjeżdżającą na ukwieconym rydwanie z piekła, boginię, na cześć której nazwano Europę, wdzięczącą się do lusterka boginię miłości, oraz, na samym środku, Minerwę (no, parę imion jednak znał) w hełmie na

głowie. Minerwa toczyła wokół spokojnym, lodowatym wzrokiem. W jednej ręce trzymała tarczę ozdobioną łbem potwora, którego wężowe włosy opadały prawie na środek pokoju.

Na sznurku pod sufitem wisiała ogromna, martwa ryba, zasuszona i z wklęsłymi bokami. Pod ścianami stały regały i szafki o półkach zastawionych narzędziami aptekarskiego fachu – były tam szczypce przeróżnej wielkości, czasem przybierające niepokojąco wyspecjalizowane kształty; spory zbiór opatrzonych etykietkami moździerzy i tłuczków; czaszki różnych zwierząt; zamknięte cylindryczne pojemniki ze szkła i kamienia, również opisane; duży gotycki zegar, z którego drzwiczek w najmniej oczekiwanych momentach wynurzały się groteskowe potworki, po to tylko, by zaraz z powrotem cofnąć się do środka, zanim Jack zdążył się obrócić i dobrze im przyjrzeć; retorty z zielonego szkła o pięknie zaokrąglonych kształtach, przypominające różne szczegóły kobiecej anatomii; wagi z mnóstwem odważników, od kul wielkości armatnich pocisków do skrawków folii, które jednym tchnieniem dałoby się wydmuchnąć za granicę; błyszczące srebrne pałeczki, okazujące się przy bliższych oględzinach probówkami wypełnionymi – nie wiedzieć czemu – rtęcią; jakiś wysoki, podłużny i ciężki przedmiot, okryty grubym materiałem i promieniujący ciepłem, na przemian nadymający się i kurczący niczym miech...

– *Guten Tag*. A może powinienem powiedzieć „Dzień dobry”?

Jack odskoczył, wylądował na zadku i podniósł wzrok na stojącego obok szkieletu mężczyznę, zakutanego w płaszcz podróżny lub mnisi habit. Był tak zaskoczony – także tym, że obcy przemówił po angielsku – że nawet nie krzyknął.

– Skąd pan wie... – wykrztusił tylko.

Na ledwie widocznych w rudej brodzie ustach błąkał się tłumiony uśmiezek, który kazał Jackowi dwa razy się zastanowić, zanim poderwie się z ziemi i przesyje intruza szablą.

– ...że jesteś Anglikiem?

– No właśnie.

– Pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale kiedy się tak kręcisz, mówisz do siebie. Tłumaczysz sam sobie, co się dzieje, a przynajmniej co twoim zdaniem się dzieje. Stąd wiem, że masz na imię Jack. Ja jestem Enoch. Poza tym było coś niezwykle angielskiego w twoim zachowaniu, kiedy tak interesowałeś się i zabawiałeś sprawami, w które przeciętny Niemiec czy Francuz nie wściubiałby nosa.

– Ta przemowa daje do myślenia, ale chyba nie jest dla mnie obelżywa – zauważył Jack.

– Na pewno nie miała taką być. Czym mogę służyć?

– Przychodzę w imieniu pewnej damy, która zbladła i zaniemogła wskutek nadmiaru kobiecej... eee...

– Zbyt obfitej menstruacji?

– Właśnie. Można coś na to zaradzić?

Enoch wyrzwał przez okno. Niebo było szare i ponure.

– Nie wiem, co poradziłby ci aptekarz...

– To ty nie jesteś aptekarzem?

– Nie.

– A gdzie on jest?

– Na rynku, tak jak wszyscy porządni obywatele.

– W jakiej to nas stawia sytuacji, bracie?

Enoch wzruszył ramionami.

– Ty chcesz pomóc swojej kobiecie, a ja wiem, jak to zrobić.

– Jak?

– Ona potrzebuje żelaza.

– Żelaza?

– Powinna jeść dużo czerwonego mięsa.

– Mówiłeś o żelazie. Może niech lepiej zje podkowę?

– Podkowy są nad wyraz niesmaczne. A czerwone mięso zawiera dużo żelaza.

– Dzięki... Gdzie znajdę aptekarza? Na rynku?

– Tak. Musisz iść w tę stronę, to niedaleko. Po drodze będzie też jatka, tam na pewno dostaniesz mięso...

– *Aufwiedersehen*, Enoch.

– Do zobaczenia, Jack.

W ten oto sposób Jack wymówił się od kontynuowania rozmowy z wariatem (który, jak skonstatował wyszedłszy już na ulicę, pod pewnymi względami przypominał doktora) i ruszył na poszukiwanie specjalisty będącego przy zdrowych zmysłach. Na rynku zebrał się spory tłum – jak miał w nim rozpoznać aptekarza? Że też nie zapytał Enocha o rysopis...

Całe Bockboden zebrało się w kręgu wokół drewnianego pała wbitego pionowo w ziemię i do połowy wysokości obłożonego chrustem. Jack nie od razu rozpoznał przeznaczenie tego przyrządu, przywykł bowiem do tradycyjnych angielskich szubienic. Zanim zorientował się w sytuacji, zdążył się przepchnąć w głąb tłumu, gdzie nie mógł się ani odwrócić, ani wycofać, nie dając powodów do podejrzeń, że ma miękkie serce dla wiedźm. Zdawał sobie sprawę, że większość mieszkańców stawiała się na rynku tylko po to, by nie stracić reputacji, ale wiedział również, że właśnie oni byliby pierwsi do oskarżenia przybysza o czary. Prawdziwi łowcy czarownic zajęli miejsca w pierwszych rzędach, pokrzykując w miejscowym dialekcie niemieckiego, który chwilami do złudzenia przypominał angielski. Jack ich nie rozumiał, ale okrzyki brzmiały jak groźby – co nie miało wielkiego sensu, skoro wiedźma i tak miała zginąć. Wyłowiwszy słowa *Walpurgis* i *heute Nacht* (wiedział, że ten drugi zwrot oznacza „dzisiaj w nocy”) zorientował się, że groźby nie są skierowane przeciwko skazanej na śmierć kobiecie, lecz przeciw innym podejrzany.

Wiedźmie ogolono głowę, chociaż sądząc po długości meszku na jej skórze, stało się to dobry tydzień wcześniej i tyleż musiała już trwać jej udreka. Oprawcy zastosowali wobec jej stóp i nóg starą sztuczkę z drewnianym klinem i młotem kowalskim, więc trzeba ją było teraz

spalić na siedząco. Kiedy sadzali kobietę na stercie chrustu, skrzywiła się z bólu, ale potem oparła się o pal i chyba ulżyło jej, że wkrótce raz na zawsze opuści Bockboden. Nad jej głową przybito do pala deskę z przyczepionym kawałkiem papieru, na którym wypisano jakąś użyteczną informację. Jeden z katów wykręcił wiedźmie ręce do tyłu i związał po drugiej stronie pala. Kilkakrotnie oplótł jej sznurem szyję, a luźny koniec odrzucił na bok, co dodatkowo rozwścieczyło pierwsze szeregi tłuszczy. Inny człowiek podniósł duży gliniany dzban i ochlapał skazaną i chrust oliwą.

Jack śledził te przygotowania okiem fachowca. Kiedy buchnęły płomienie, mężczyzna od sznura pociągnął mocno za koniec, doprowadzając do rychłej śmierci kobiety i, zdaniem niektórych widzów, psując całą uroczystość. Ale większość ludzi patrzyła, niczego nie widząc. Jack dawno już przekonał się, że gapie, nawet jeśli mieli szeroko otwarte oczy podczas całej egzekucji, nie dostrzegali śmierci skazańca i nie umieli jej sobie później przypomnieć, ponieważ przez cały czas myśleli tylko o tym, że sami kiedyś umrą.

Tym razem jednak Jack był ogromnie poruszony widowiskiem, zupełnie jakby to Elizę spalono na stosie (wiedźma była młodą kobietą); zgarbił się i pospiesznie oddalił, pociągając nosem. Załzawione oczy bynajmniej nie ułatwiały mu nawigacji; zanim zorientował się, że skręcił w niewłaściwą uliczkę, rynek, będący jego jedynym punktem odniesienia, zniknął wśród załomów miasteczka. Nie sądził, aby bezcelowa włóczęga – i w ogóle wszelkie zachowania, które mogłyby się komuś wydać podejrzanе – były w tej chwili dobrym pomysłem w Bockboden. Nie pozostało mu nic innego jak wynieść się z miasta.

Co też uczynił.

I zabłądził w lesie.

Harz

Noc Walpurgii 1684

*O ja nieszczęśliwy!
Bowiem gdziekolwiek zwrócę lot, tam wszędzie
Gniew nieskończony, nieskończona rozpacz!
Gdziekolwiek zwrócę lot, tam wszędzie piekło,
Sam jestem piekłem, a na dnie otchłani
Głębsza, ziejąca otchłań się otwiera,
Przy której piekło, gdzie cierpię, jest Niebem.*

Milton, *Raj utracony*

Jakiś czas przesiedział na zwalonej kłodzie. Dokuczał mu głód, ale najgorsze było to, że czuł się jak ostatni idiota. Dzień miał się ku końcowi, więc postanowił jak najlepiej go spożytkować (Jack nie miał nic przeciwko temu, żeby zachowywać się rozsądnie, dopóki jakiś klecha czy dżentelmen nie zaczynali go do tego zmuszać). Wspiął się na niewielki zalesiony pagórek i zszedł do płytkiej niecki wśród wzgórz, gdzie w miarę bezpiecznie mógł rozpałić ognisko, nie zdradzając swojej obecności mieszkańcom Bockboden. Wykorzystując resztki dziennego światła, nazbierał drewna i o zachodzie słońca rozpałił ogień. Dawno już się nauczył, że mozolną harówkę z hubką i krzesiwem można sobie znacznie ułatwić, jeśli zamiast hubki podsypie się odrobinę prochu: po krótkiej zabawie w pirotechnika, zakończonej w kłębach dymu, miał gotowe ognisko. Potem nie pozostało mu nic innego, jak tylko siedzieć jak dureń (którym faktycznie był), dorzucać patyki i czekać, aż sen dopadnie go zniecka. Starał się nie myśleć o wiedźmie, którą spalono na rynku, ale nie bardzo mu to wychodziło. Usiłował przywołać z pamięci obrazy Boba i swoich dwóch synów-bliźniaków, Jimmy'ego i Danny'ego, a także skoncentrować się na starym i częstokroć odkładanym planie zapewnienia im godziwego spadku.

Zdziwił się na widok stojących w blasku ognia trzech kobiet i mężczyzny. Wyglądali mu na takich, którzy chodzą nocami po lesie i szukają innych włóczęgów, śpiących przy ogniskach¹⁶. Pomyślałby pewnie ze strachem: Łowcy czarownic!, gdyby nie fakt, że mieli znacznie więcej czasu na reakcję (ale najwyraźniej nie zareagowali), sprawiali wrażenie zaniepokojonych (w końcu to on miał szablę), większość wśród nich stanowiły kobiety, a poza tym byli nieuzbrojeni, chyba żeby uznać za broń świeżo przycięte, nie oskubane z liści kostury, którymi się podpierali. W każdym razie na jego widok odwrócili się i pospiesznie oddalili. Grube kije – jak od szczotek – upodabniały ich do krępych pokojówek zamierzających pozamiatać las.

Po tym spotkaniu nie mógł już zasnąć. Kilka minut po pierwszej grupie przy ognisku pojawiła się następna – najwyraźniej okoliczne lasy były diabelnie gęsto zaludnione. Jack zebrał więc swój skromny majątek i cofnął się głębiej w cień, aby obserwować, jakie jeszcze cmy zwabi płomień. Nie minęło dużo czasu, gdy szwadron kobiet – w różnym wieku, od małych dziewczynek po wiekowe wiedźmy – przejął ognisko w posiadanie i rozniecił je wściekle. Miały ze sobą żelazny kociołek, który teraz napelniły, nosząc wiaderkami wodę z pobliskiego strumienia, i zawiesiły nad ogniem. Kiedy z kociołka buchnęła para, podświetlona od spodu blaskiem ognia i ginąca w górze w zimnych ciemnościach nieba, zaczęły do niego wsypywać składniki jakiegoś gulaszu: dziwne, mięsiste owoce (podobne do wiśni, tyle że ciemnoniebieskie), czerwone grzyby z białymi cętkami na kapeluszach, gałązki ziół. Jack był niepokieszony, że nie wrzuciły ani mięsa, ani żadnych warzyw, które umiałby rozpoznać, ale też zgłodniał na tyle, że dojrzał już do spróbowania niemieckiego jedzenia. Pozostał tylko jeden problem: jak wprosić się na ucztę?

¹⁶ Jack miał uzasadnione powody przypuszczać, że się zdrzemnął.

W końcu – biorąc przykład z innych obecnych – najzwyczajniej w świecie podszedł do ogniska i poczęstował się gulaszem; ruch w lesie tak bardzo się przez ten czas nasilił, że nie mogło być mowy o dalszym ukrywaniu. Wzorując się na uczestnikach uczty, najpierw wyciął sobie ulistniony kostur. Ponieważ nikt poza nim nie miał broni, schował szablę w pochwie do nogawki, a następnie z kijów i oddartych z koszuli strzępów materiału sporządził łubki na nogę. Z tak usztywnionym kolanem wykuśtykał z lasu, wspierając się na kijach i udając inwalidę. Zbliżył się do ogniska, gdzie został uprzejmie, a może nawet ciepło powitany przez jedną z kucharek. Inna podała mu warzachew pełną strawy; przełknął ją tak łapczywie, że prawie wypaliła mu wnętrzności. Może dobrze się stało, bo smakowała obrzydliwie. Kierując się jednak zasadą, że nigdy nie wiadomo, kiedy znów trafi się coś do jedzenia, na migi poprosił o dokładkę. Wydzielono mu ją z pewnym wahaniem i wszyscy podejrzliwie patrzyli, jak wychłęptuje następną chochlę. Za drugim razem gulasz miał smak równie wstrętny jak za pierwszym, ale przynajmniej na dnie warzachwi trafiły się Jackowi kawałki grzybów, czy innego świństwa, które mogły być bardziej posilne.

Musiało być po nim widać, że zablądził, bo kiedy już powstał chwilę i pogrzał się przy ogniu, kucharki zaczęły zachęcającymi gestami wskazywać mu kierunek, w którym wszyscy najedzeni stopniowo się przemieszczali. Tak się złożyło, że szli w przybliżeniu pod górę, czyli w kierunku, który Jack i tak zamierzał obrać w dalszej wędrówce (licząc na to, że albo trafi z powrotem do wieży doktora, albo przynajmniej do miejsca, z którego o świecie tę wieżę wypatrzy). Pokuśtykał więc za nimi.

Zanim się ocknął (wyglądało bowiem na to, że śpi idąc; chociaż wszystko, co widział, tak bardzo przypominało sen, że właściwie mogło mu się tylko śnić, że śpi), musiał przejść dobre dwie mile w górę stoku – zrobiło się znacznie chłodniej i zerwała się potężna, obalająca drzewa wichura; odgłosy upadku leśnych olbrzymów przywodziły na myśl wystrzały armatnie. Od czasu do czasu coś przedzierało się przez ich korony i obsypywało piechurów odłamanymi gałązkami i liśćmi. Kiedy podnosił wzrok, dostrzegał połamane konary, a może wręcz całe małe drzewka wyrwane z korzeniami i siłą huraganu ciśnięte w gąszcz. Szedł uparcie pod górę, chociaż właściwie zapomniał już po co. Zewsząd otaczali go ludzie. Dookoła rosły bardzo wysokie, chude drzewa, upakowane ciasno jak piki w bojowej formacji pikinierów. Blask księżyca co chwila eksplodował jak bomba między przemykającymi po niebie chmurami; Jack usłyszał – albo może sobie wyśnił – miarowe dudnienie obutych stóp i dźwięk trąbek. Zapomniał już, dlaczego ma nogę w łubkach, ale doszedł do wniosku, że najwidoczniej został ranny w bitwie (nie tylko w nogę; w głowę chyba również) i jakiś cyrulik opatrzył mu ranę. Przez moment był prawie pewien, że wciąż walczy z Turkami pod Wiedniem, a wszystkie przygody z Elizą były tylko długim, wymyślnym, okrutnym snem.

Jednakże po chwili znalazł się z powrotem w lasach otaczających Bockboden. Niesione wichurą gałęzie i inne, cięższe od nich obiekty w dalszym ciągu przedzierały się przez korony drzew nad jego głowę. Zaciekawiony, podniósł wzrok. Chmury co rusz przesłaniały księżyc,

przez co trudno było mu rozpoznać tajemnicze kształty, ale teraz był już właściwie pewien, że na latających konarach siedzą ludzie, tak jak skrzydlaci husarzy siedzieli na swoich bojowych rumakach. Trwała szarża na wzgórzu! Kiedy przypadkiem napatoczył się na ścieżkę, omal nie stratowała go piesza część szturmującej pagórek armii; porwała go rzeka ludzi niosących kije i inne rekwizyty – na przykład widły, podobne do tych, którymi wieśniacy przerzucają gnój. Zapominając o usztywnionym kolanie, Jack próbował biec za nimi, ale przewrócił się i dłuższą chwilę nie podnosił z ziemi.

Na zwieńczony skalnymi ostańcami szczyt dotarł jakiś czas po głównych siłach. Mimo to zdążył jeszcze zobaczyć, jak przepędzają garstkę muszkietierów, którzy najwyraźniej mieli tam swój posterunek, lecz w tej chwili nie byli mile widzianymi gośćmi. Żaden nie strzelił; nie mieli widocznie ochoty zabijać paru ludzi tylko po to, żeby dać się otoczyć setkom ich wymachujących kijami towarzyszy. Ci spośród cywilów, którzy nie znaleźli się w centrum wydarzeń, wygrażali muszkietierom i wygłaszali kąśliwe komentarze w podobnym duchu jak tłum podczas palenia czarownicy, z tą różnicą, że powtarzało się w nich słowo *Wächer*, które, co niewykluczone – Jack był całkowicie zdany na rozpaczliwe domysły swojego potwornie przeciążonego mózgu – oznaczało „strażników”.

Zakończywszy pierwsze starcie zwycięstwem, wiedźmy (nie było sensu dłużej zaprzeczać faktom) obojga płci porozpalały na szczycie wzgórza dziesiątki ognisk (wielu ludzi wniosło na górę wiązki chrustu), które, podsycane silnym wiatrem, płonęły wściekłą bielą. Jack śledził rozwój sytuacji, kuśtykając tam i siam. Zorientował się, że przed wiekami ze środka wzgórza wyrastała olbrzymia kamienna kolumna, rozdwanająca się u góry w parę wypustek, mogących od biedy ująć za kozłe rogi – chociaż bardziej chyba przypominały łuk ustawionej na sztorc kuszy. Dawno jednak runęła, zdążyła pokryć się ziemią i porosnąć mchem. Kiedyś otaczało ją kilkadziesiąt ustawionych pionowo monolitów, ale większość z nich również zdążyła się zwalić na ziemię. Wiedźmy wciągnęły na powaloną kolumnę czarnego kozła i przywiązały go tam, by z wysokości obserwował ognisty spektakl.

Wokół ognisk tańczyli ludzie, w przeważającej mierze nadzy, przybrani – podobnie jak monolity – wniesionymi na górę wiosennymi kwiatami. Przy okazji część z nich zaczęła się pieprzyć, co było do przewidzenia, jednakże przynajmniej w niektórych wypadkach chędożenie miało chyba charakter ceremonialny, a jego uczestnicy przeobrażali się w aktorów niemoralitetu. Występująca w nim kobieta musiała mieć na sobie kwiatowe girlandy, a mężczyzna przepaskę na oku.

Całkiem możliwe, że przy okazji uroczystości jakieś małe zwierzątko umierało gwałtowną śmiercią. Śpiewy i recytacje odbywały się w języku, który nie do końca był językiem niemieckim.

Nad całością czuwał, naturalnie, szatan, księżę ciemności we własnej osobie. Tak przynajmniej przypuszczał Jack, bo też jak inaczej miał nazwać czarną jak smoła postać z rogami i brodą, wysoką chyba na sto stóp, tańczącą w skłębionych, atramentowoczarnych

chmurach ponad wierzchołkiem wzgórza, to dobrze widoczną, to ginącą z oczu, to znów odsłaniającą swój profil, gdy przysła jej chęć zawyc – albo zaśmiać się – do księżycy? Jack w każdym razie bez zastrzeżeń wierzył w jego obecność i rozumiał już, że wszystko, co kaznodzieje kiedykolwiek powiedzieli na temat Lucyfera, było szczerą prawdą. Przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby wziąć nogi za pas. Obrął więc kierunek ucieczki (ten, w którym akurat patrzył, gdy ogarnęła go fala paniki) i puścił się biegiem. Chwilę później księżyc wyjrzał zza chmur i udowodnił mu, że po dwóch najbliższych krokach, dla których znajdzie jeszcze oparcie na skale, następne uczyni w powietrzu – światło nie sięgało dna przepaścistego wąwozu, który się przed nim otwierał. Jack stanął jak wryty i – nie mając wielkiego wyboru – zawrócił. Z wymuszonym, mocno udawanym spokojem obrzucił wzrokiem ognisto-cienistą scenę, wypatrując drogi, która pozwoliłaby mu uniknąć kontaktu z szatanem, a najlepiej ze wszystkimi szatanami, którzy przycupnęli wokół wierzchołka, jakby zamierzali odbyć naradę.

Wzrok Jacka zatrzymał się na maleńkiej czarnej sylwetce, podświetlonej blaskiem ognia i podkreślonej świetlistym konturem na ciemnym tle, wysoko ponad całym zbiegowiskiem: kiedy czarny kozioł uniósł łeb i zabeczał rozpaczliwie, jeden z szatanów powtórzył jego gest. Jack nagle uświadomił sobie, że przestraszył się cieni kozła kładących się na chmurach i kłębach dymu z ognisk.

Usiadłszy w miejscu, z którego przed chwilą omal nie runął w przepaść, parsknął śmiechem i potrząsnął głową, próbując odświeżyć rozum i ogarnąć sytuację. Zarówno urwisko po tej stronie, jak i druga, niższa krawędź wąwozu były kamieniste i poszczerbione; skalne ostrogi o najdziwniejszych kształtach sterczały na wszystkie strony i przy okazji przeczyły forsowanej przez doktora teorii ich powstania, ponieważ skalne warstwy były ułożone całkowicie pionowo. Jack nie miał cienia wątpliwości, że widzi szczątki olbrzyma zgładzonego w jakiejś przedpotopowej bitwie na kamieniu, który został powalony na grzbiet i umarł ze wzniesionymi ku niebu kościstymi rękami.

Jack przysunął się do jednego z ognisk, bo zrobiło mu się zimno, a poza tym chciał się bliżej przyjrzeć pewnej nagiej tancerce – była wprawdzie całkiem przy kości i z wiekiem musiała zmienić się w kolejną wiedźmę ze szczotką w garści, ale i tak dawno już nie widział tak mało monumentalnej niemieckiej kobiety. Zanim jednak zbliżył się do niej na satysfakcjonującą go odległość, poczuł nieprzyjemne gorąco, co powinno mu dać do myślenia. Światło ogniska wyraźnie oświetliło jego twarz. Nie przejął się tym jednak, dopóki nie usłyszał złowrogiego *Wache!* Dopiero wtedy odwrócił się i ujrzał stojącą na wyciągnięcie ręki kobietę, jedną z tych, które wcześniej zbudziły go przy ognisku, kiedy jeszcze nie krył się z tym, że ma szablę. Zwróciwszy na siebie powszechną uwagę jednym nienawistnym słowem, kobieta przyglądała się bacznie intruzowi. Dopóki było ciemno i nikt nie spodziewał się, że Jack może mieć broń, ukryta pod łubkami szabla nie rzucała się w oczy, ale teraz

przebranie stało się całkowicie bezużyteczne. Wystarczył jeden rzut oka, aby kobieta wrzasnęła głosem, który było słycać chyba aż w Lipsku:

– *Er ist eine Wache! Er hat ein Schwert!*

Impreza się skończyła – dla wszystkich, ale przede wszystkim dla Jacka. Każdy mógł go szturchnąć, pchnąć w ogień i zakończyć sprawę – albo przynajmniej interesująco ją rozpocząć – ale zamiast tego ludzie rozpierzchli się w popłochu. Jack przypuszczał jednak, że taki stan rzeczy długo się nie utrzyma. Nie uciekła tylko jedna jędza – ta, która go rozpoznała. Czaiła się poza zasięgiem ewentualnego cięcia szablą i obrzucała go obelgami z takim zapamiętaniem, że aż ją zatykało. Jack nie chciał sięgać po broń, żeby nie rozwścieczać dodatkowo tłumu, ale (a) bez względu na to, co by zrobił, nie mogli chyba być już bardziej wściekli, a ponadto (b) musiał czym prędzej pozbyć się tych przeklętych łubków, jeśli chciał na serio myśleć o jakimś uciekaniu. A wyglądało na to, że bez uciekania się nie obejdzie.

Wyjął sztylet. Wrzeszcząca wiedźma odskoczyła do tyłu. Kusiło go, żeby kazać jej stulić dziób, ale powstrzymał się i przeciął szmaty mocujące łubki. Wyciągnął szablę z nogawki. Kobieta wydarła się na całe gardło, a ludzie jak jeden mąż rzucili się w jego stronę. Krzyki *Wächer!* zagłuszyły wszelkie inne odgłosy. Jack przyswoił sobie już dość niemieckiego, żeby wiedzieć, że słowo to oznacza raczej „strażników” niż jednego „strażnika”. Najwyraźniej wiedźmy doszły do wniosku, że Jack należy do znacznie większego oddziału intruzów. Istotnie, w przeciwnym razie jego obecność przy ogniskach nie miałaby sensu; przybycie w pojedynkę byłoby samobójstwem.

Jack zaczął biec.

Dość szybko zorientował się, że goniąca go tłuszcza stara się zapędzić go na skraj urwiska, co było doskonałym pomysłem. Na razie jednak wiedźmy nie zdążyły jeszcze zewrzeć szyków i potworzyły się pomiędzy nimi spore luki. Jack przemknął przez jedną z nich i zaczął wytracać wysokość w sposób wolny, bezpieczny i rozsądny. Dźwięk całego harmidru obniżył się o dobre dwie oktawy: na początku alarm wszczęły rozhisteryzowane i spanikowane kobiety (świetnie sprawdzając się w tej roli), teraz zaś inicjatywę przejęli rozeźleni mężczyźni, którzy zajęli się organizacją pościgu. Jack domyślał się, że nie pierwszy raz polują w tych lasach na grubego zwierza.

Polowanie trwało dobrą godzinę; nagonka powoli posuwała się w dół stoków. Jack starał się zachować przewagę, ale jego prześladowcy mieli pochodnie i znali okolicę, a wieść o intruzie niosła się po zboczach błyskawicznie, toteż gdziekolwiek się zwrócił, zawsze go otaczali. Kilkakrotnie prawie im się wymykał – ale za każdym razem tylko prawie. Miliony topolowych gałęzi dźgały go po twarzy, groziły mu wykluciem oczu, a kiedy potraçał je i łamał, hałasowały znacznie głośniejszy, niżby sobie tego życzył.

W końcu znalazł się w sytuacji, w której mógłby uciec – albo przynajmniej zyskać parę minut życia – gdyby zabił jedną lub dwie osoby. Nie zrobił tego jednak. Marzyło mu się, żeby ten akt wspańałości został dostrzeżony przez jakiegoś innego strażnika, tajemniczego

obserwatora z lusterkiem na kiju, aby wieść o jego, Jacka, szlachetności dotarła do Elizy i wszystkich tych, którzy mieli nie najlepszą opinię na jego temat. Zamiast jednak przysporzyć mu popularności, nadmierna pobłażliwość wpędziła go w kłopoty – został otoczony przez grupę mężczyzn, którzy trzymali się z dala od jego szabli, ale przy każdej okazji doskakiwali bliżej, próbując smagnąć go pochodniami po twarzy. Kiedy zaryzykował zerknięcie przez ramię, nikogo nie zobaczył; wyglądało na to, że manewr okrążający niezupełnie wyszedł jego prześladowcom. Obrócił się więc na pięcie, zaczął biec i po pokonaniu paru kroków wyrzwał w ścianę. W ścianę! Odwrócił się w samą porę, żeby dostrzec zmierzający ku niemu płomień. Instynktownie odbił cios. Inny mężczyzna wymierzył w niego pochodnię z drugiej strony, ale i tym razem Jack sparował uderzenie. Kiedy jednak trzecia pochodnia mignęła mu z jeszcze innego kierunku, odbił ją ostrzem szabli, nie płazem, i przeciął na pół. Złapał w locie koziołkującą w powietrzu płonąca połówkę i jednocześnie ciął na oślep w ciemność. Kogoś trafił.

Po tym, jak popłynęła pierwsza krew, prześladowcy cofnęli się, spokojnie czekając na posiłki¹⁷. Oparłszy się plecami o ścianę budynku, Jack zaczął się pomalutku przesuwając w bok, z szablą w jednej i pochodnią w drugiej ręce, przyświecając sobie od czasu do czasu za plecy i próbując odgadnąć, na co właściwie wpadł.

Budynek był stary, drewniany, drzwi miał zamknięte na kłódkę wielkości sporej szynki, okiennice zatrzasknięte na głucho od środka. Dżentelmen uznałby w takiej sytuacji, że jest w

¹⁷ Wśród licznych zjawisk charakteryzujących okres dorastania Jacka dwa zasługiwały na szczególne wyróżnienie: (1) Zawsze miał pod ręką dogodnego, w przybliżeniu równego sobie sparingpartnera (w osobie Boba) - zawsze, ponieważ nocami sypiali w jednym łóżku, a całe dni spędzali na bijatykach, jak to bracia mają w zwyczaju. (2) W wieku, w którym wszyscy chłopcy uwielbiają bawić się w walkę na miecze, nagle wyładowali z Bobem w wojskowych koszarach, gdzie ich pojedynki stanowiły darmową rozrywkę dla znacznej liczby ludzi, którzy naprawdę trochę się znali na szermierce i kręcili nosami, jeśli pokazy fechtunku nie były dostatecznie interesująco zainscenizowane, zarówno pod względem technicznym (ciosy należało zadawać i parować w sposób maksymalnie realistyczny, aby zadowolić wybredną widownię), jak i dramatycznym (dodatkowe punkty - a także ochłapy - dostawało się za urozmaicenie pojedynku akrobatycznymi sztuczkami, na przykład zwieszeniem się z dźwigara głową w dół i walką w tej pozycji, małpimi skokami po linach, i tak dalej). W efekcie tych praktyk bracia Shaftoe w bardzo młodym wieku posiadli umiejętność walki bronią białą w stopniu znacząco przewyższającym biegłość, jakiej można by się spodziewać po chłopcach tak niskiego stanu (większość ludzi podobnej proveniencji w ogóle nie miewała kontaktu z bronią - chyba że z jej ostrzem w ostatnich chwilach swego żywota), lecz ograniczoną do broni zwanej pałaszem, przeznaczoną do cięć i pchnięć, która, o czym zostali ostrzeżeni, mogła okazać się nieskuteczna w starciu z dżentelmenami uzbrojonymi w cienkie, szpiczaste rapiery i wyszkolonymi we wtykaniu ich w najmniejsze nawet luki w zasłonie przeciwnika. Szabla janczarska była - w przybliżeniu - muzułmańskim odpowiednikiem pałasza, nadawała się zatem idealnie do stylu walki, w jakim celował Jack (tudzież Bob, skoro już o tym mowa). Jack wymachiwał nią teraz w powietrzu z teatralną przesadą.

kropce, ale Jack zdawał sobie sprawę, że najsłabszym elementem budynku jest zwykle dach, więc gdy tylko natrafił na złożoną pod ścianą stertę drewna na opał, wdrapał się po niej na górę. Wyczuł pod stopami dachówki. Były grube, ciężkie, odporne na gradobicie i trafienie złamanymi gałęziami, ale kiedy spanikowany tupnął w nie parę razy, popękały. Wszędzie dookoła zaczęły spadać wielkie jak pięść kamienie. Zatrzymał nogą jeden z nich, zanim ten stoczył się z dachu, i użył go jako młotka. Udało mu się w końcu wybić otwór w dachu. Wrzucił do budynku pochodnię, przecisnął nogi przez rusztowanie, na którym spoczywały dachówki, i zeskoczył. Wylądował na stole. Natychmiast złapał leżącą pochodnię, żeby nie wznieciła pożaru, i spojrzał w oczy Marcinowi Lutrowi na wiszącym na ścianie portrecie.

Jego prześladowcy, których musiało zebrać się już chyba kilkudziesięciu, otoczyli budynek i zaczęli dobijać się do drzwi i okien. Słyszac łomotanie, Jack wyrobił sobie zgrubne pojęcie o rozmiarach wnętrza. W budynku znajdowało się kilka pomieszczeń, nie był więc raczej kościołem, ale nie przypominał też zwykłej wiejskiej chałupy. Nikt nie ścigał Jacka przez dziurę w dachu, ale też niczego takiego Jack nie oczekiwał. Spalą dom. To było oczywiste. Już słyszał głuchy stukot siekier. Będzie więcej paliwa.

W pomieszczeniu, w którym się znalazł, mieściła się prowizoryczna kaplica. Wylądował wprost na ołtarzu. Obok portretu Lutra wisiała stara, nieszczególnie udatna podobizna kobiety wznoszącej kielich, nad którym, zawieszona w cudowny sposób, unosiła się hostia. Jack, który jak na jedną noc miał dość przyjmowania napitków od dziwacznie wyglądających kobiet, aż się wzdrygnął. Spędziwszy jednak ostatnio sporo czasu wśród górników, rozpoznał w kobiecie świętą Barbarę, patronkę mężczyzn wykopujących dziury w ziemi, aczkolwiek pozbawioną wszystkich katolickich insygniów. Poza tym w salce stały tylko gołe drewniane ławki. Jack przeszedł po nich na tył pomieszczenia, skręcił i znalazł się w saloniku, gdzie stały dwa krzesła i jeden z ukochanych przez Niemców wysokich, żeliwnych pieców. Zawrócił i pobiegł w drugą stronę – tam z kolei wisiała pod sufitem olbrzymia waga, której odważniki miały wielkość kręgów sera. Oprócz niej znalazł kredens i coś, co szczególnie go zainteresowało – schody prowadzące w dół.

Dym, którego w powietrzu było coraz więcej, nie pochodził tylko z jego pochodni. Jack zmasakrował kredens, otworzył go i wyjął ze środka garść *kienspanów*. Podczas ucieczki przez las zgubił kapelusz, więc teraz pożyczył sobie górnicze nakrycie głowy – stożkową czapę z bardzo grubego filcu, która powinna złagodzić uderzenia głową o kamienne stropy. Wpadł na schody dosłownie w ostatniej chwili, bo stara chałupa płonęła jak suche liście. Wiedźmy zamierzały rozpalić ogromne, podsycane całymi drzewami ognisko, żeby dać łowcom czarownic z Bockboden wyraźny sygnał – jakiego tamci za cholere nie będą w stanie zrozumieć.

Pokonał ze dwa tuziny stopni, zanim schody doprowadziły go do korytarza, którego koniec ginął poza zasięgiem światła. Pochodnia się dopalała. Zapalił od niej *kienspan*; dawał on nieco więcej światła, ale i tak Jack nie sięgnął wzrokiem do końca tunelu. Spodziewał się

tego i nawet się ucieszył. Zaczął biec, ugiąwszy nogi, aby nie roztrzaskać sobie głowy o belki sufitu. Po jakiejś minucie minął wciśnięty w skalną niszę *handhaspel* z linami opadającymi do pionowego szybu. Chwilę później znalazł następny szyb z kołowrotem, potem jeszcze jeden – aż w końcu doszedł do wniosku, że chyba powinien zejść w głąb jednego z nich. Przebywał już pod ziemią wystarczająco długo, żeby przestać się chępić swoją pomysłowością, a zacząć martwić brakiem perspektyw. Wiedźmy lepiej od niego znały okolice; nie mogły nie wiedzieć, że w budynku znajduje się wejście do kopalni, i z pewnością przewidziały, że uciekinier trafi do tunelu. Kopalnia miała na pewno więcej niż jedno wejście; tylko patrzeć, jak wrócą z pochodniami, psami i Bóg wie czym jeszcze i rozpoczną polowanie – tak jak polowali na różne ryjące w ziemi zwierzęta, szczując je tymi swoimi kiełbaskowatymi psami.

Jedno z wiader podczepionych do kołowrotu znajdowało się na górze, drugie musiało leżeć na dnie szybu. Jack wgramolił się do tego, które miał pod ręką, i mocno ścisnął drugą linę, a następnie, przepuszczając ją w dłoniach, zjechał kawałek w dół. Potem jednak nadmiernie się odprężył, rozluźnił chwyt i lina zaczęła przesuwać się bardzo szybko. Zacisnął więc na niej rękę, poparzył się, znów ją puścił, i ten cykl przez chwilę się powtarzał, tyle tylko że za każdym razem rękę coraz bardziej go piekły – do czasu, gdy w połowie drogi drugi kubeł podjechał do pierwszego, wyrznął Jacka w brodę i całkowicie wytrącił mu sznur z ręki. Dalej Jack spadał już prawie swobodnie, za przeciwwagę mając tylko puste wiadro, które – na szczęście – odbiwszy się z impetem od jego zuchwy, rozhuštało się i zaczęło zahaczać o ściany szybu, tym mocniej, im wyżej się znajdowało. Przy każdym uderzeniu tryskały skry, a w stronę Jacka leciał deszcz odłamków, ale też każde kolejne szarpnięcie wyhamowywało jego lot. Jack skulił się w kubie i wyciągnął rękę z *kienspanem* najwyżej jak mógł, na wypadek gdyby szyb był u dołu zalany wodą, której to ewentualności nie wziął wcześniej pod uwagę.

Szyb kończył się jednak twardo – wiadro odbiło się od skały i wyrzuciło Jacka jak z katapulty. Jeszcze przez chwilę kawałki kamieni sypały mu się na głowę i boleśnie obijały nogi, co było miłym dowodem, że jednak nie został sparaliżowany. *Kienspan* nadal płonął; Jack trzymał go w morderczym uścisku i patrzył, jak błękitny płomień spływa z drzewca, żółknie... i przechyla się, zupełnie inaczej niż płomień, dążące zwykle ku górze, mają to w zwyczaju. Kopniakiem odsunął sobie z drogi kubeł, rozejrzał się, poruszał *kienspanem* i zorientował, że w poprzecznej sztolni jest wyczuwalny coraz silniejszy podmuch powietrza. Kiedy jednak przesunął się na drugą stronę szybu, stwierdził, że kierunek podmuchu jest dokładnie przeciwny. Dwa strumienie powietrza spotykały się w tym miejscu i biegły w górę szybu, wydając przy tym zawodzący dźwięk, który Jackowi nie mógł się nie skojarzyć z wyciem udręczonych dusz. Teraz już rozumiał, czemu jego prześladowcy z takim zapałem ścinali drzewa – wiedzieli, że dostatecznie duży ogień wysie całe powietrze z kopalni.

Musiał znaleźć wyjście, chociaż teraz już – z perspektywy czasu – zdawał sobie sprawę, że popełnił poważny błąd, zjeżdżając w dół, na niższy poziom. Skierował się w stronę, z której wiał silniejszy wiatr, i puścił się biegiem. Im szybciej się poruszał, tym jaśniej płonął *kienspan* w jego dłoni, ale w końcu światło zaczęło przygasać. Zapalił następny, ale i on płonął bez entuzjazmu i trzeba było nim pomachać – wtedy płomień skakał wyżej, oświetlał pręty drewnianej klatki chroniącej go przed zmiżdżeniem i budził gwałtownie poruszające się cienie, przypominające już to zdeformowane twarze rozzłoszczonych olbrzymów, już to szkielety potężnych strusiopodobnych bestii o zębach jak sztylety. Takie wizje doskonale pasowały do potępińczych skowytów, jakie wydawały opróżniane z powietrza sztolnie i szyby.

Mniej więcej wtedy Jack złapał się na tym, że porusza się na czworakach, popychając przed sobą słabo jarzący się *kienspan*. Od czasu do czasu mijał wyloty niziutkich bocznych tuneli. Z jednego z nich powiało chłodem – *kienspan* od razu się ożywił – za to kiedy Jack go minął, powietrze całkiem znieruchomiało i pochodnia zgasła. Jack oddychał bardzo szybko, ale niewiele mu to pomagało. Resztkami sił cofnął się w ciemnościach do miejsca, w którym poczuł na policzku zimny podmuch, położył się na ziemi i przez chwilę po prostu oddychał.

W końcu rozjaśniło mu się w głowie i zrozumiał, co oznacza stały ciąg powietrza – gdzieś tam musiało być wyjście. Wymacał na posadzce jedną z ochronnych deseczek pod łokcie i wczołgał się w boczny tunel głową naprzód. Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo czołgał się śladem świeżego powietrza, ale w końcu tunel doprowadził go do większej komory (najprawdopodobniej naturalnego pochodzenia) o gładkim dnie. Struga powietrza rozdzieliła się na wiele mniejszych strużek opływających kamienie i stalagmity, przez co trudno ją było śledzić, ale podążał za nią (z nosem przy ziemi i wywieszonym językiem) przez dobrą milę. Czasem wstawał, prostował się i szedł przez jaskinie dźwięczące echem jak wnętrza katedr, czasem znów czołgał się na brzuchu w korytarzach tak niskich, że głowa klinowała mu się między stropem i posadzką. Przebrnął przez bajoro stojącej wody, w której nogi drętwiały mu z zimna, wygramolił się na drugi brzeg, zagłębił w sztolnię, przemierzył szereg niższych i wyższych tuneli i szybów; było ich tyle, że stracił rachubę tego, ile razy stracił rachubę. Okropnie chciało mu się spać, ale bał się, że ogień przez ten czas się wypali, cug zaniknie, a on straci nitkę mogącą go wyprowadzić na zewnątrz, tak jak tego faceta z mitologii. Jego wyobraźnia, niezbyt zadowolona z wszechobecnej ciemności, podsuwała mu demoniczne obrazy wszystkich okropieństw, które widział w ostatnich dniach.

Usłyszał syczenie i bulgotanie jakie mogłoby się dobywać z płuc smoka, ale poszedł za nim – i za prądem powietrza – lekko opadającym korytarzem i stanął nad wodą. Skrzesał kilka iskier i zobaczył w ich blasku, że powietrze, które go tu przywiodło, wydobywa się spod tafli podziemnego jeziora – woda zatopiła tunel i odcięła mu dalszą drogę. Nie mając nic lepszego do roboty, usiadł, żeby poczekać na śmierć, ale zamiast umierać, zasnął. Koszmary, które go dręczyły, były lepsze od jawy.

* * *

Obudziły go dźwięk i światło – jedno i drugie słabe. Światła nie był w stanie traktować poważnie; jezioro (które przestało już się burzyć) jarzyło się zielonkawą poświatą, tak niezwykłą i nieziemską, że z całą pewnością była kolejnym wytworem jego umysłu, pobudzonego uwarzonym przez wiedźmy jadłem. Za to dźwięk, choć dobiegał z bardzo daleka, brzmiał intrygująco. Wcześniej zagłuszało go bulgotanie wody, teraz zaś Jack rozpoznał rytmiczne mlaskanie i łoskot.

Światło stało się jaśniejsze, widział już zarys własnych dłoni w mroku.

Przed przebudzeniem śniły mu się olbrzymie, bulgoczące fajki wodne, jakie widział u Turków w Lipsku. Kiedy palacz się zaciągnął, dym z miseczki z tytoniem spływał w dół, do wody, i dopiero stamtąd trafiał z powrotem do fajki, schłodzony i oczyszczony. Sen musiał zostać zainspirowany ostatnim dźwiękiem, jaki Jack słyszał, nim zasnął – cała jaskinia wtedy gulgotała i perkotała podobnie. Zastanowiwszy się nad tym głębiej (ponieważ i tak nie miał lepszego pomysłu na spędzenie czasu), doszedł do wniosku, że cała kopalnia może się zachowywać jak gigantyczna fajka, ogień zaś pełnić rolę Turka zasysającego powietrze, które przeciskało się przez zalany wodą zawał.

Może zatem wystarczyłoby przepłynąć kawałek pod wodą, aby wydostać się na zewnątrz? Może zielona poświata to w rzeczywistości brzask, przefiltrowany przez szlam i zielsko? Jack zaczął się zbierać na odwagę, co powinno mu zająć, jak przypuszczał, parę ładnych godzin. Nie mógł pozbyć się sprzed oczu obrazu biednego Dicka, który utopił się w Tamizie; wyskoczył z łodzi różowutki i żywy jak iskierka, a wrócił na linie biały i bezwładny.

Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie działać od razu, póki wiedźmi gulasz mąci mu umysł. Zrzucił większość ubrania; jeśli uda mu się przepłynąć, będzie mógł jeszcze po nie wrócić. Zabrał ze sobą szablę (na wypadek ewentualnych kłopotów), krzesiwo i filcową czapkę, która mogła mu się przydać, gdyby miał wyróżnąć głowę w jakąś podwodną przeszkodę. Cofnął się kilka kroków w głąb tunelu, po czym zbiegł na brzeg i skoczył do wody na główkę. Woda była tak przeraźliwie zimna, że omal nie wyrzeszczał całego powietrza z płuc. Raz otarł się o sufit, a potem światło stało się jaśniejsze, strop zniknął, Jack odbił się od dna i wyprysnął nad powierzchnię. Owionęło go świeże powietrze. Przepłynął najwyżej trzy, może cztery jardy.

Tylko że światło, choć faktycznie jaśniejsze, nie było światłem słońca. Sądząc po dźwiękach ciurkającej wody i echach, nadal znajdował się pod ziemią. Niezwykła zielona poświata sączyła się zza zakrętu jaskini i dziwacznie połyskiwała na ścianach.

Na początek Jack wszedł z powrotem do wody, przepłynął przez rzap, zabrał buty i ubranie i wrócił do zielonkawej komory. Ubrał się i zaczął czołgać w stronę światła,

bezsukutecznie próbując powstrzymać targające całym ciałem dreszcze. Źródłem odbłasku na ścianie, który wcześniej zwrócił jego uwagę, było skupisko sterczących ze skały bezbarwnych kryształów wielkości męskiego palca... Diamenty! Trafił do skarbcza matki natury, gdzie ściany były wysadzone klejnotami. Może światło miało zieloną barwę, bo przechodziło przez olbrzymi szmaragd?

Wynurzył się zza zakrętu i znieruchomiał, oślepiiony blaskiem zielonego kręgu, rozpostartego na ziemi pośrodku mniej więcej kolistej jaskini. Kiedy oczy przywykły mu do światła, dostrzegł stojące na skraju koła sylwetki – nie był nawet pewien, czy to ludzie – w dziwacznych, egzotycznych strojach.

W środku kręgu stał mężczyzna w długim płaszczu. Naciągnięty na głowę kaptur rzucał cień na jego twarz, a zielona poświata wyławiała z półmroku tylko podbródek i kości policzkowe, upodabniając ją do nagiej czaszki.

Ktoś przemówił po francusku... Głosem Elizy! Była zła i zdenerwowana. Inni odwrócili się w jej stronę. Znalazł się zatem w piekle albo przy jakimś bocznym wejściu do piekła. Demony schwytały Elizę... A może ona umarła? Umarła, bo Jack nie przyniósł jej lekarstwa, a teraz diabły próbowały ją zaciągnąć...

Skoczył naprzód, dobywając szabli, ale kiedy stąpnął na zielony dysk, jego powierzchnia ustąpiła, Jack przebił go na wylot... i nagle zatonął w zielonym świetle. Wyczuł jednak twardy grunt pod nogami, zerwał się więc na nogi i brodząc po kolana w blasku, ryknął:

– Puśćcie ją, diabły! Weźcie mnie zamiast niej!

Wszyscy, nie wyłączając Elizy, uciekli z krzykiem.

Jack spuścił wzrok. Całe ubranie przesiąkło mu zielonym światłem.

Został tylko zakapturzony mężczyzna, który spokojnie otworzył latarnię, wyjął z niej płonący lont i zrobił rundkę wokół sadzawki, zapalając rozmieszczone na jej obwodzie lampy. Zielona poświata znikła wreszcie w ich coraz silniejszym blasku; Jack stał w brunatnej kałuży, a ubranie miał po prostu mokre.

Enoch zdjął kaptur.

– Wiesz, co było w całym twoim wejściu najpiękniejsze, Jack? – zapytał. – To, że dopóki nie wstałeś z wody cały pokryty fosforem, byłeś niewidzialny. Zmaterializowałeś się znikąd, z bronią w ręku, w tej czapeczce krasnoludka, wrzeszcząc w języku, którego nikt nie rozumiał. Nie myślałeś czasem o karierze aktorskiej?

Jack był jeszcze ciągle zbyt wstrząśnięty, żeby się obrazić za te słowa.

– Kim albo czym były te...

– To zamożni ludzie, którzy jeszcze przed chwilą myśleli o nabyciu *Kuxen* od doktora Leibniza.

– Ale wyglądali jak dziwolągi, w tych ubraniach...

– W Paryżu to ostatni krzyk mody.

– Eliza była chyba niezadowolona.

– Przesłuchiwała doktora. Dopytywała się, co ta kuglarska sztuczka, jak ją nazwała, ma wspólnego z wiarygodnością inwestycji w kopalnię.

– Ale po co zawracać sobie głowę wydobywaniem srebra, jeśli ściany są tu dosłownie wysadzane diamentami?

– Kwarcem, nie diamentami.

– A co to jest to świecące? I co ma wspólnego z kopalnią?

– Fosfor. I nic. Chodź, Jack, musisz się przebrać, nim ubranie zajmie się na tobie ogniem.

Enoch ruszył przodem, prowadząc Jacka w głąb bocznego tunelu. Po drodze minęli okazałych rozmiarów maszynę, która z łoskotem i mlaskaniem wypompowywała wodę z kopalni. Enoch przekonał Jacka, żeby w tym miejscu rozebrał się i wykapał.

– Wątpię, żeby ta historia doczekała się podobnych zachwyków, jak „Zajęcie zakażonego domu w Strasburgu” i „Czeska uczta rybna” – stwierdził Enoch.

– Że co?! Skąd o nich wiesz?

– Dużo podróżuję. Rozmawiam z wagabundami. Wieści się rozchodzą. Zainteresuje cię pewnie wiadomość, że na kanwie twoich przygód osnuto pikarejską powieść zatytułowaną *L’Emmerdeur*, którą w Paryżu już się publicznie pali, a w Amsterdamie nielegalnie drukuje.

– A niech mnie kule biją!

Pierwszy raz przyszło Jackowi do głowy, że przychylność Enocha dla jego osoby może być przejawem prawdziwej sympatii, a nie jakąś niezwykle subtelną formą kpiny.

Enoch pchnął barkiem grube na sześć cali drzwi i znaleźli się w pozbawionej okien komnacie. Na środku stał stół, na nim świece, obok znajdował się piec, całość zaś wyglądała wypisz, wymaluj jak wnętrze domu górskich skrzatów.

Usiadłszy przy stole, Jack z Enochem zaczęli palić i popijać. Wkrótce dołączył do nich doktor, bynajmniej nie rozeźlony, lecz, przeciwnie, odprężony, jakby kamień spadł mu z serca. Jakby właściwie nigdy nie miał przekonania do zajmowania się górnictwem. Enoch spojrzał na niego znacząco, co zdaniem Jacka znaczyło: „A nie mówiłem, żeby nie wciągać wagabundów do interesów?”. Doktor skinął głową.

– Co teraz robią ci... no... inwestorzy? – zagadnął Jack.

– Pławią się w promieniach słońca. Kobiety mdleją na wyścigi, mężczyźni zaś toczą uczone dysputy o tym, czy jesteś rozwścieczonym karłem, który chciał nas odegnąć od swego skarbcza, czy demonem z piekła rodem, który przybył po nasze dusze.

– Co z Elizą? Nie mdleje chyba?

– Nie ma na to czasu. Wysłuchuje komplementów i odbiera listy uwierzytelniające od inwestorów, którym zaimponowała bystrością umysłu.

– W takim razie może mnie jednak nie zabije.

– Nie ma obawy, Jack. Zarumieniła się i cała promienieje, i to bynajmniej nie od fosforu.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ na ochotnika dałeś się skazać na wieczne męki zamiast niej. A jeśli się nie myślę, jest to absolutne minimum zaangażowania, jakiego kobieta wymaga od mężczyzny.

– Więc to o to im wszystkim chodzi... – mruknął Jack w zadumie.

Eliza weszła do komnaty – musiała się odwrócić tyłem, żeby pchnąć drzwi, bo ręce miała zajęte listami, wizytówkami, weksłami, karteluszkami z nagryzłymi adresami i mieszkami, w których dźwięczały drobne monety.

– Stęskniliśmy się za tobą, Jack – powiedziała. – Gdzie byłeś?

– Miałem coś do załatwienia. A potem spotkałem tubylców i poznawałem ich bogate tradycje ludowe. Czy moglibyśmy już wynieść się z Niemiec? Bardzo was proszę...

Miejsce

Lato 1684

Handel jest jak religia – wielu o nim mówi, lecz mało kto go rozumie. Sam termin jest niejednoznaczny i – mimo powszechnej akceptacji – niedostatecznie objaśniony.

Daniel Defoe, *Opisanie handlu angielskiego*

– Jeżeli w Amsterdamie nic się nie dzieje, poza tym, że cokolwiek wjedzie do środka, zaraz zawraca i wyjeżdża...

– To miasto jest całkiem puste – dokończyła Eliza.

Żadne z nich nie było jeszcze w Amsterdamie, ale ilość towarów zmierzających do miasta i opuszczających je po niderlandzkich drogach i kanałach była tak ogromna, że lipskie targowisko musiało przy nim wyglądać jak przedstawienie trupy drugorzędnych aktorów, którzy, przenosząc parę mizernych pakunczków w tę i z powrotem, usiłują stworzyć złudzenie ożywionego handlu. Takiego nagromadzenia ludzi i towarów Jack nie widział od czasu oblężenia Wiednia; tam jednak było to wydarzenie jednorazowe, tutaj zaś zjawisko ciągle. Wiedział też – ze słyszenia – że strużka dóbr docierających i wyjeżdżających z Amsterdamu po drogach i traktach tak się ma do bogactw przewożonych drogą wodną, jak kapanie z zasmarkanego nosa do rzeki o bystrym nurcie.

Eliza była ubrana w poważny czarny strój ze sztywnym białym kołnierzem; gdyby jeszcze mówiła po niderlandzku, mogłaby uchodzić za żonę zamożnego holenderskiego farmera. Podczas długich tygodni nudnej podróży na zachód, przez księstwo Brunszwiku-Wolfenbüttel, księstwo Brunszwiku-Lüneburga, biskupstwo Hildesheimu, księstwo Kalenbergu, marchię taką czy inną, hrabstwo Lippe, hrabstwo Ravensburga, biskupstwo Osnabrück, hrabstwo Lingen, biskupstwo Münster oraz hrabstwo Bentheim nosiła się zwykle po męsku – miała wysokie buty, szablę i ostrogi. Nikt, oczywiście, nie nabrałby się na to, że

jest mężczyzną; udawała włoską kurtyzanę, jadącą do Amsterdamu na spotkanie z genueskim bankierem. Nie miało to wszystko wielkiego sensu, ale, jak przekonał się Jack, strażnikom na granicach chodziło przede wszystkim o urozmaicenie nudnej służby, a Elizę łatwiej było wystawić na pokaz niż ukryć. I tak nie mieli szans za każdym razem przewidzieć kiedy dotrą do granicy, czy po drugiej stronie zastaną protestantów, czy katolików i jak bardzo pobożni będą jedni lub drudzy. Znacznie prościej było wszędzie podawać się za osoby bezczelnie niereligijne, a gdyby kogoś miało to urazić, brać nogi za pas. Ta taktyka zwykle się sprawdzała, bo miejscowi i tak mieli inne zmartwienia. Jeśli chociaż połowa plotek była prawdziwa, król Ludwiczek – najwyraźniej nieusatisfakcjonowany zbombardowaniem Genui, oblężeniem Luksemburga, rzuceniem wyzwania papieżowi Innocentemu XI, wygnaniem Żydów z Bourdeaux i zebraniem armii na granicy z Hiszpanią – ogłosił właśnie, że północno-zachodnie Niemcy są jego własnością. Tak się złożyło, że Jack i Eliza przemierzali akurat te tereny, sytuacja była więc napięta, niepewna, ale wcale nie najgorsza z ich punktu widzenia.

Ze wschodu pędzono stada chudych jałówek, które miały się paść i tuczyć na stworzonych ręką ludzką holenderskich pastwiskach. Z bydłem przemieszały się hordy bezrobotnych, zamierzających szukać pracy w niderlandzkich miastach; nazywano ich *Hollandgänger*. Przekraczanie granic nie sprawiało więc szczególnych trudności, poza granicą Republiki Holenderskiej, gdzie drogę przegradzały wszelkie możliwe przeszkody – nie tylko rzeki, co byłoby naturalne, lecz także rowy, wały, palisady, fosy i posterunki wojskowe. Niektóre z nich były nowiutkie, ostre i obsadzone żołnierzami, inne zaś, porzucone i zaokrąglone, musiały pamiętać wojny toczące się jeszcze przed przyjściem Jacka na świat. Raz i drugi dali się strażnikom przepędzić (w sposób, który później na pewno wydałby się im zabawny), ale w końcu przeniknęli na terytorium Gelderlandu, czyli wschodnich rubieży Republiki. Jack cierpliwie wykładał Elizie sztukę badania zwłok, głów i kończyn skazańców, którymi dekorowano bramy miejskie i posterunki na granicach, pozwalającą ustalić, jakie zachowania tubylcy uważają za szczególnie nieprzystojne. W Gelderlandzie wystarczyło, że Eliza nosiła się na czarno, Jack podpierał się kulą, żadne z nich nie obnosiło się z bronią i nie odsłaniało nadmiaru ciała, a mogli czuć się bezpiecznie.

Na każdym kroku napotykali celników, ale na razie nie natknęli się na żaden ośrodek władzy. Stada bydła rozłaziły się i zalegały na płaskich jak stawy pastwiskach. Przez następne dwa dni szli w towarzystwie rozproszonych *Hollandgänger*, potem zaś do traktu zaczęły dołączać inne, znacznie szersze i bardziej ruchliwe drogi biegnące ze wschodu i południa. Niemal nieprzerwane kolumny wyładowanych wozów brnęły nimi pod prąd, zmagając się z rzeką ludzi i pojazdów napierającą od północy.

– Dlaczego nie zatrzymamy się tutaj i nie zaczniemy handlować na trakcie? – zaproponował Jack, między innymi po to, żeby sprowokować Elizę.

Nie udało mu się to jednak, uznała jego pytanie za całkiem rozsądne, godne filozoficznego umysłu doktora Leibniza.

– Rzeczywiście, dlaczego by nie? Musi być jakaś przyczyna. W handlu nic nie dzieje się bez powodu. I to mi się w nim podoba.

Po obu stronach drogi ciągnęły się długie, chude spłachetki ziemi, porozdzielane prostymi jak strzała rowami pełnymi stojącej wody. Na tych spłachetkach działy się przeróżne cuda – na przykład kwitły tulipany. Poza tym hodowano pojedyncze warzywa, niczym tuczone na Boże Narodzenie gęsi; świnie i cielęta miały opiekę godną dzieci z bogatych domów; na dziwacznych poletkach rosły len, konopie, rzepak, chmiel, tytoń, urzet i marzanna. Ale najdziwniejsze było to, że tutejsi ambitni wieśniacy zajmowali się sprawami nie mającymi nic wspólnego z uprawą roli. Często widywało się kobiety bielące angielskie sukno w maślanec i rozkładające je na łąkach do wyschnięcia. Ludzie hodowali i żęli osty, a z ich kłujących główek sporządzali narzędzia do gręplowania wełny. Całe wioski wylegały przed domy i robiły koronki, w takim tempie, że tylko im palce migają; dzieci biegały między koronkarzami i podawały im wodę i chleb, żeby nie musieli odrywać się od pracy. Stajnie były pełne, ale w boksach zamiast koni siedzieli przy sztalugach malarze – młodzi ludzie z Francji, Sabaudii i Włoch, produkujący jeden obraz za drugim. Spod ich pędzli wychodziły krajobrazy łądowe, bitwy morskie i olbrzymie płótna przedstawiające oblężenie Wiednia. Obrazy, zwinięte po kilka i kilkanaście w ogromne, wygodne w transporcie bele, dołączały do pochodu zmierzającego w stronę Amsterdamu.

Zdarzało się, że ludzka rzeka znosiła ich do mniejszych miasteczek, gdzie targowiska zawsze tętniły życiem. Ponieważ nikt w tym wywróconym do góry nogami kraju nie hodował nic do jedzenia, wieśniacy musieli zaopatrywać się w żywność na targowiskach, tak samo jak mieszkańcy miast. Jack i Eliza przepychali się więc przez tłum chłopów i ich noszących srebrne pierścionki małżonek i targowali się zaciekle ze sprzedawcami chleba, jajek i sera, aby zaopatrzyć się na drogę. Eliza pierwszy raz zobaczyła, jak bociany budują gniazda na kominach i nurkują z powietrza, próbując uprzedzić psy w wyścigu do najsmaczniejszych kawałków jedzenia. Pelikany też się jej podobały. Za to stwory, które zafascynowały Jacka – wystawiane na targu czteronogie kurczaki i dwugłowe owce – zupełnie jej nie interesowały; w Konstantynopolu widziała nie takie dziwolągi.

W jednym z takich miasteczek widzieli kobietę chodzącą po targu w beczce, z której wystawały tylko jej nogi, głowa i ręce. W ten sposób ukarano ją za cudzołóstwo. Po tym spotkaniu Eliza nie spoczęła, nie dała też Jackowi chwili wytchnienia – ani zadowolenia – dopóki nie dotarli do Amsterdamu. Maszerowali więc przez ziemie spustoszone przed kilkunastu laty, kiedy Wilhelm Orański otworzył śluzy i zalał okoliczne tereny, tworząc fosę biegnącą w poprzek całej Republiki Holenderskiej. W ten sposób ocalił Amsterdam przed najazdem wojsk Ludwiczka. Nocowali w ruinach pozostałych po tym sztucznie wywołanym potopie, a za dnia szli wzdłuż kanałów na północ. Szerokim łukiem wymijali obozowiska

piratów, grasujących na kanałach niczym rozbójnicy na traktach, a nocami przesiadujących przy podsycanych torfem ogniskach. Unikali również położonych nad kanałami chatynek trędowatych, którzy żyli z żebraniny – zrzucali do przepływających w dole łodzi puste skrzynki, a kiedy wciągali je na górę, zwykle brzęczały w nich garści monet.

Pewnego dnia, jak zwykle podążając brzegiem kanału, dotarli do jego ujścia, skręcili pod idealnie prostym kątem i znaleźli się nad następnym kanałem, biegnącym prosto jak po sznurku aż po horyzont. Roilo się na nim od statków i łodzi; można było odnieść wrażenie, że na wodzie nie ma już nawet tyle miejsca, żeby zwodować choćby łupinę orzecha. Musiał prowadzić wprost do Amsterdamu.

Ucieczka z Niemiec (jak nazywano ten kłębek księstw, księstewek, elektoratów, marchii, hrabstw, biskupstw i arcybiskupstw) zajęła im znacznie więcej czasu, niżby sobie Jack życzył. Doktor zaofiarował się, że zawiezie ich aż do Hanoweru, gdzie opiekował się biblioteką należącą do księżnej Zofii¹⁸, przynajmniej w chwilach wolnych od budowania wiatraków nad kopalniami w Harzu. Eliza z wdzięcznością przyjęła jego propozycję, nie pytając Jacka o zdanie. Gdyby go zapytała, powiedziała by „Nie”, ponieważ lubił chadzać własnymi drogami, w dodatku tylko wtedy, kiedy miał na to ochotę. Przystanie na propozycję doktora oznaczało zaś, że nie wyjadą z Bockboden, dopóki doktor nie załatwi spraw, które tam go sprowadziły.

* * *

– Na co traci dzisiejszy dzień? – zapytał któregoś ranka Jack, zwracając się do Enocha Roota.

Jechali górską drogą, a ich śladem posuwały się dwa ciężkie wozy zaprzężone w woły. Enoch codziennie wyruszał w podobną trasę, Jack zaś, z braku innych bodźców, postanowił przejąć jego zwyczaj.

– Na to samo, na co stracił wczorajszy.

– To znaczy? Ja przepraszam, jestem tylko tępym wagabundą, ale przywykłem obracać się wśród ludzi, którzy działają, więc kiedy doktor dzień w dzień tylko gada z różnymi ludźmi, mam wrażenie, że nic nie robi.

– Niczego nie osiąga, a nie nic nie robi – zauważył ponuro Enoch.

– A co próbuje osiągnąć?

– Chce przekonać górmistrzów z książęcych kopalni, żeby nie pozbywali się wszystkich jego wynalazków, chociaż ostatnia próba sprzedaży *Kuxen* zakończyła się tak samo jak wszystkie poprzednie.

– Dlaczego mieliby go posłuchać?

¹⁸ Oraz do jej męża, księcia Ernesta Augusta.

– Właśnie jedziemy tam, gdzie doktor był wczoraj. I usłyszał od górnika to, co chciał usłyszeć.

– Wybacz no, panie szanowny, ale to chyba nie jest odpowiedź na moje pytanie?

– Cały dzień będzie dla ciebie odpowiedzią.

Enoch odwrócił się i spojrzał znacząco na jadący za nimi wóz, wyładowany skrzyniami zawierającymi butle z rtęcią.

Zajechali przed kopalnię, która niczym nie różniła się od innych: hałdy *schlocku*, *handhaspele*, piece, taczki. Jack widywał takie w Srebrnych Górach i w Harzu, ale teraz (być może dzięki sugestii Enocha, że będzie się mógł czegoś nauczyć) dostrzegł coś nowego.

Kawałki rudy, wybrane z nabrzmiewających w ziemi żył, zrzucono na jeden stos, potem rozgrabiano je i rozbijano młotami. Zajmowali się tym górnicy za starzy, za młodzi albo za bardzo okaleczeni na to, żeby mogli pracować na dole. Oglądali odłamki w świetle słońca i sortowali je na trzy grupy. Do pierwszej wrzucali kamienie pozbawione wszelkich śladów srebra. Do drugiej rudę bogatą w metal, trafiającą prosto do pieców. Po drodze (jeśli Jack miałby się kierować swoimi doświadczeniami ze Srebrnych Gór) była zapewne rozdrabniana w żarnach i mieszana z ołowiem lutowniczym, a następnie wrzucana szuflą do wysokiego, przypominającego komin pieca, w którym temperaturę podsyczał olbrzymi miech, napędzany przez chodzące w kieracie muły. W ten sposób uzyskiwano gąski surowego srebra. Trzecią stertę – takiej Jack nie widział w kopalni Herr Geidela – tworzyły kawałki rudy zawierające mniejszą ilość srebra; Geidel nie zawracałby sobie nimi głowy, uznając ich przetopienie za nieopłacalne.

Tutaj zaś załadowano je na wóz, a ten zjechał ze wzgórza na płaską łąkę (Jack poszedł za nim) upstrzoną dziwnymi kopczykami, poprzykrywanymi natłuszczonym płótnem. Zebrani na łące ludzie rozbijali odłamki w dużych, żelaznych moździerzach, z których wysypywali drobnicę na kłokoczące sita. Mali chłopcy oddzielali sproszkowaną rudę od reszty surowca, mieszała ją z wodą, solą i odpadami pozostałymi po wytopie miedzi, tworząc lepka, gliniasta maź. Tę z kolei przelewali do olbrzymich drewnianych kadzi. Wtedy pojawiał się majster w towarzystwie dwóch niedorostków uginających się pod znajomym brzemieniem – nieśli butle z rtęcią, zakupione przez doktora w Lipsku i codziennie dostarczane do kopalni przez Enocha. Majster zanurzał rękę w mazi, badając jej konsystencję i ziarnistość, po czym – jeśli jedna i druga były odpowiednie – brał butlę, wyjmował drewnianą zatyczkę i przechylał pojemnik. Srebrzysta struga uderzała w powierzchnię mazi niczym płynna błyskawica. Bosonodzy chłopcy wskakiwali następnie do środka i zajmowali się wdeptywaniem rtęci w maź.

Podobne prace prowadzono równocześnie w kilku kadziach. Enoch wyjaśnił Jackowi, że dla uzyskania amalgamatu należy miesić blocko przez dwadzieścia cztery godziny. Później każdą odwracano do góry dnem i na ziemi powstawał kolejny kopczyk. Przy tej akurat kopalni dziesiątki podobnych hałdek zdobiły łąkę. Grube płachty chroniły je przed deszczem. Każda hałda była oznaczona białą tabliczką, na której podano, jak dawno temu powstała.

– Ta czeka już dziesięć dni – stwierdził Enoch, odczytawszy jedną z tabliczek. – Wystarczy.

Rzeczywiście, niedługo później robotnicy przywieźli pustą kadź, przerzucili do niej amalgamat, dolali wody i zaczęli go miesić od nowa.

Enoch kontynuował obchód łąki, zaglądając pod płachty i podsuwając majstrom swoje sugestie. Na widok gości, jak spod ziemi wyrosli mieszkańcy okolicznych lasów, którzy teraz chodzili krok w krok za Enochem: przyciągała ich żądza wiedzy, ale strach nakazywał zachowanie bezpiecznej odległości.

– Tu jest za dużo rtęci – stwierdził jeden. – Dlatego jest taki czarny.

Za to sąsiedni kopczyk przypominał barwą otręby – brakowało mu rtęci. Większość kopców miała taki czy inny odcień szarości, najwyraźniej pożądany, ale Enoch i tak wtykał w nie rękę i badał ich temperaturę. Te, które były za zimne, wymagały dodania miedzianych odpadów, te zbyt ciepłe dopominały się o wodę. Enoch nosił ze sobą miskę z wodą, w której przemywał pobrane z kopczyków próbki, aż na jej dnie tworzyły się małe srebrne kałuże. Jedna hałda, mająca jednolicie popielaty kolor, została uznana za gotową do płukania. Robotnicy podzielili ją, załadowali na taczki, zwieźli nad sztucznie spiętrzony strumień i zaczęli płukać w wodospadzie. Woda unosiła szarą maź, tworzącą w niej kłębiące się chmury, a pozostały po niej srebrny osad robotnicy pakowali do stożkowatych worków, przypominających te, z których uzyskiwało się głowy cukru. Worki, podobne do wymion maciory, z których zamiast mleka ściekało żywe srebro, wieszali nad garnkami. Po odsączeniu w środku zostawała półstała, srebrzysta masa, którą robotnicy formowali w pecyny, jak chłopcy lepiący śnieżne kule, i wrzucali, po kilka na raz, do tygli. Tygiel przykrywali żelazną siatką, odwracali do góry nogami i ustawiali na wierzchu takiego samego tygla, tyle że do połowy wkopanego w ziemię i zawierającego odrobinę wody. W ten sposób – po dopasowaniu tygli brzegami – powstawała kapsuła, złożona z dwóch kotłów i przedzielona na pół ażurowym parawanem. Całą kapsułę zagrzebywano następnie w węglu i wypalano, aż rozgrzała się do czerwoności. Po schłodzeniu zgarniało się na bok popiół i rozbierało kapsułę. Uwolniona z amalgamatu rtęć ściekała przez siatkę na dno wkopanego w ziemię tygla, na górze zaś zostawały porowate grudy czystego srebra, posklejane i gotowe do przerobienia na talary.

Przez większość drogi powrotnej Jack zastanawiał się, co właściwie widział. Dopiero po dłuższej chwili zauważył, że Enoch z satysfakcją nuci coś pod nosem – najwyraźniej był zadowolony, że udało mu się tak skutecznie zamknąć Jackowi usta.

– Jak widzisz, alchemia ma swoje zalety – stwierdził, widząc, że Jack otrząsa się z zadumy.

– To twój pomysł?

– Ja go ulepszyłem. Dawniej używano tylko rtęci i soli. Kopce były zimne i trzeba było czekać cały rok, aż będą gotowe. Teraz, po dodaniu miedzianych resztek rozgrzewają się i cała przemiana trwa trzy, góra cztery tygodnie.

– Ile kosztuje rtęć?

Enoch parsknął śmiechem.

– Zaczynasz mówić jak twoja przyjaciółka.

– To będzie pierwsze pytanie, jakie zada.

– Różnie. Dobrą ceną za cetnar byłoby... z osiemdziesiąt.

– Osiemdziesiąt czego?

– Peso.

– To ważne, żeby powiedzieć, w czym się liczy.

– Świat chrześcijański to tylko mały zakamarek kuli ziemskiej, Jack. Poza nim peso jest walutą uniwersalną.

– No dobrze. Ile srebra dostajecie z cetnara rtęci?

– To zależy od jakości rudy, ale wyjdzie pewnie około stu marek hiszpańskich... Upredzając twoje następne pytanie, od razu mówię, że hiszpańska srebrna marka, ze srebra standardowej próby, jest warta osiem peso i sześć rojali...

* * *

– Jedno peso jest warte osiem reali, nie „rojali”... – powiedziała później Eliza, spędziwszy bite dwie godziny w absolutnym bezruchu, podczas gdy Jack chodził, skakał i brykał po jej sypialni, relacjonując wizytę w kopalni z naprawdę minimalnymi ubarwieniami.

– Wiem o tym. Nie musisz mi mówić.

Jack stanął bosymi stopami na sienniku pełniącym funkcję łóżka Elizy, żeby zademonstrować, jak robotnicy wyrabiają amalgamat.

– Osiem peso i sześć reali daje razem siedemdziesiąt reali. Czyli sto srebrnych marek jest warte siedem tysięcy reali albo... Osiemset siedemdziesiąt pięć peso. A na rtęć trzeba wydać... Mówiłeś, że ile?

– Mniej więcej osiemdziesiąt peso. To ponoć dobra cena.

– Ten, kto chce bić monety, potrzebuje srebra, a ten, kto wytwarza srebro, potrzebuje rtęci. Rtęć warta jedno peso, odpowiednio użyta, pozwala wyprodukować ilość srebra niezbędną dla wybicia dziesięciu peso.

– No i rtęć można wykorzystywać wielokrotnie. Zapomniałaś jeszcze o paru drobiazgach: przydaje się, na przykład, własna kopalnia srebra. Poza tym całe góry węgla i soli. I armia robotników.

– To wszystko da się załatwić – odparła Eliza wypranym z emocji tonem. – Naprawdę nie zrozumiałeś tego, co Enoch chciał ci powiedzieć?

– Nie mów! Nic nie mów! Zaczekaj! – Jack wyrztał przez otwór strzelniczy. Na szczycie wieży kręcił się wiatrak doktora, a na dziedzińcu stały zaparkowane wozy. Ze szczeliny strzelniczej można było patrzeć tylko w górę i w dół. – Doktor dostarcza rtęć do kopalń, których właściciele robią, co im każe.

– Dzięki czemu ma... Co?

– Władzę – zgadł w końcu Jack, po kilku nieudanych próbach.

– Ma władzę, ponieważ ma... Co?

– Żywe srebro.

– I to właśnie jest nasza odpowiedź. Pojedziemy do Amsterdamu po żywe srebro.

– Wyśmienity plan. Tylko że nie mamy pieniędzy na zakupy.

– Phi! – Eliza lekceważącym gestem strząsnęła niewidzialny pyłek z paznokci. – Użyjemy cudzych.

* * *

Stanąwszy na brzegu prowadzącego do Amsterdamu zatłoczonego kanału, Jack ujrzał – oczyma wyobraźni – mapę, którą oglądał w Hanowerze. Zofia i Ernest August odziedziczyli bibliotekę – nie wspominając już o bibliotekarzu, czyli doktorze – kiedy brat Ernesta Augusta, papista (najwyraźniej jakaś czarna owca w rodzinie), był łaskaw zejść z tego świata młodo i bezpotomnie. Chyba bardziej interesowały go książki niż dziewczyny, ponieważ do chwili zgonu zgromadził (według słów doktora) jedną z największych bibliotek w całych Niemczech. Od tamtej pory, czyli przez ostatnie pięć lat, księgozbiór jeszcze się powiększył. Nie bardzo było go gdzie trzymać, księgi przenoszono więc z miejsca na miejsce. Ernest August był zajęty przede wszystkim odpieraniem szturmów wojsk króla Ludwika nad Renem, oraz, w wolnych chwilach, odwiedzaniem Wenecji i wynajdowaniem tam sobie coraz to nowych kochanek. Jakoś nie znalazł czasu na postawienie budynku, który stałby się siedzibą biblioteki.

W swej wędrówce na zachód Jack i Eliza zatrzymali się na kilka dni w Hanowerze. Doktor pozwolił im nocować w jednym z licznych budynków na terenie posiadłości, w których rozlokowano fragmenty księgozbioru. Wśród wielu ksiąg (bezużytecznych z punktu widzenia Jacka) znalazły się również niezwykle interesujące mapy. Jack postanowił nauczyć się ich na pamięć – przynajmniej tych ich części, które wyglądały na ukończone. Rozbryźnięte na pergaminie odległe wyspy i kontynenty przypominały rozdeptane kawałki mózgu; ich wnętrza ziały bielą, a linie brzegowe ciągnęły się w dal i kończyły zniemacka na środku oceanu, w miejscu, za które nikt już nie dopłynął i na temat którego przechwałki i fantazje żeglarzy zaczynały być sprzeczne.

Jedna z map przedstawiała szlaki handlowe – proste linie pociągnięte od miasta do miasta. Jack nie potrafił przeczytać podpisów. Domyślił się, które z miast jest Londynem,

rozpoznał jeszcze kilka innych, a Eliza pomogła mu zidentyfikować resztę. Jedno miasto nie miało etykiety, a jego dokładną pozycję na holenderskim wybrzeżu było bardzo trudno określić – zbiegało się w nim tyle linii, że cała jego okolica zmieniała się w promieniste jezioro atramentu, podobne do czarnego słońca. Podczas następnego spotkania z doktorem Jack z satysfakcją pokazał mu wadliwą mapę, ale arcybibliotekarz tylko wzruszył ramionami.

– Żydom nie chciało się wymyślać dla niego specjalnej nazwy – odparł. – Po ichniemu nazywa się *mokum*, czyli „miejsce”.

* * *

Z pragnienia powstaje myśl o pewnych środkach, które, jak widzieliśmy wcześniej, wywołują rzeczy podobne do tego, do czego dążymy; a z tej myśli rodzi się myśl o środkach do tego środka; i tak dalej, póki nie dojdziemy do jakiegoś początku, który jest w granicach naszej mocy.

Hobbes, *Lewiatan*¹⁹

Im bardziej zbliżali się do „Miejsca”, tym więcej cudów mogli podziwiać – łodzie pełne wody (słodkiej pitnej wody dla miasta), barki wyładowane grochem, olbrzymie równiny, na których roilo się od żupników. Ale Jack był w stanie gapić się na niezwykle sceny tylko przez kilka godzin dziennie. Pozostały czas poświęcał gapieniu się na Elizę.

Dosiadająca Turka Eliza wpatrywała się w swoją lewą rękę z takim uporem, że Jack zaczął podejrzewać, iż wypatrzyła na niej ognisko trądu albo inne paskudztwo. Poza tym cały czas poruszała ustami. Prawą ręką dała Jackowi znak, żeby się zatrzymał, a potem uniosła lewą – zaróżowioną, doskonałą, ale dziwnie wykrzywioną: środkowy palec był zgięty w dół, podobnie jak przytrzymujące się nawzajem kciuk i mały palec. Prosto sterczały tylko wskazujący i środkowy.

– Wyglądasz jak kapłanka jakiejś nowej sekty. Nie wiem tylko, czy mnie przeklinasz, czy błogosławisz.

– De – odparła Eliza.

– No tak, doktor John De, słynny alchemik i szarlatan... Pomyślałem sobie, że dzięki salonowym sztuczkom Enocha moglibyśmy oskubać znudzone żony kupców...

– Litera „D” – wyjaśniła Eliza. – Czwarta litera alfabetu. Czwórka wygląda tak.

I znów pokazała Jackowi tę wygimnastykowaną lewą dłoń, tym razem z zagiętym tylko środkowym palcem.

– Widzę. Cztery wyprostowane palce...

¹⁹ Przeł. C. Znamierowski (przyp. tłum.).

– Nie. To są cyfry w postaci binarnej. Mały palec wyraża jedności, serdeczny dwójki, środkowy czwórki, wskazujący ósemki, a kciuk szesnastki. Kiedy zaginam tylko środkowy, pokazuję liczbę cztery, która oznacza literę D.

– Ale przed chwilą zgięłaś też kciuk i mały palec...

– Doktor nauczył mnie, jak szyfrować litery przez dodanie do nich jakiejś liczby. W tym wypadku dodałam siedemnaście. – Eliza uniosła prawą rękę z małym palcem i kciukiem stykającymi się czubkami, po czym zmieniła układ palców lewej dłoni na taki jak na początku. – Dwadzieścia jeden, czyli, w angielskim alfabecie, U.

– Jaki to ma sens?

– Nauczył mnie, jak przemycać wiadomości w listach.

– Zamierzasz do niego pisywać listy?!

– Naturalnie – odparła Eliza z miną niewiniątka. – Jakże inaczej mogłabym liczyć na to, że mi odpisze?

– Po co miałby ci odpisywać?

– Abym mogła kontynuować naukę.

Jack prychnął, złapał się za brzuch i zgiął w pół, jakby go kopnął Turek.

– Mam zgadywać? – spytała oschle Eliza. – Dobrze. Albo uważasz, że już za dużo umiem, albo liczyłeś na inną odpowiedź.

– Jedno i drugie. Poświęciłaś wiele godzin na rozwijanie swojego umysłu, ale nadal nie widać efektów. Miałem nadzieję, że albo doktor, albo ta cała Zofia zgodzili się wesprzeć cię finansowo.

Eliza parsknęła śmiechem.

– Ile razy mam ci powtarzać, że do Zofii nie zbliżyłam się nawet na pół mili? Doktor pozwolił mi się wspinać na wieżę kościoła, skąd rozciąga się widok na Herrenhausen, należący do Zofii olbrzymi ogród. Widziałam ją na spacerze. Ktoś taki jak ja nie może znaleźć się bliżej kogoś takiego jak ona.

– Po co w takim razie zwracałaś sobie nią głowę?

– Wystarczyło mi, że mogłam na nią spojrzeć. To córka Królowej Zimy i prawnuczka Marii, królowej Szkotów. Ale ty tego nie zrozumiesz.

– Przecież tobie zawsze chodzi tylko o forszę. Nie pojmuję, co gapienie się na jakąś sukę we francuskiej sukni, w dodatku z odległości mili, ma wspólnego z zarabianiem pieniędzy.

– Hanower to biedny kraik. I tak nie mieliby funduszy, żeby zaryzykować inwestycję w nasze przedsięwzięcie.

– Taaak? Jeśli to ma być bieda, niech się nią ze mną podzieli.

– Jak ci się wydaje, dlaczego doktor tak zabiega o inwestorów dla kopalni?

– Dziękuję ci bardzo, że sama wróciłaś do podstawowego pytania. O co właściwie chodzi doktorowi?

– Chce przenieść całą ludzką wiedzę na nowy język filozoficzny, złożony z liczb. Zapisalby ją wtedy w takiej olbrzymiej encyklopedii-maszynie, która służyłaby nie tylko do wyszukiwania starej wiedzy, ale także do tworzenia nowej. Miałaby wykonywać operacje logiczne na tych liczbach. A wszystko po to, żeby położyć kres wojnom religijnym oraz wydzwignąć wagabundów z biedy i wyzwolić ich potencjał. Cokolwiek miałyby to znaczyć.

– Jeśli o mnie chodzi, wystarczyłyby kufel piwa, a potem możliwość wtulenia twarzy między twoje uda.

– Świat jest duży – odparła po chwili namysłu Eliza. – Może obaj z doktorem zrealizujecie swoje ambicje. Jazda konna jest przyjemna, ale, przyznam, frustrująca.

– U mnie nie znajdziesz współczucia.

Kanał łączył się z innymi kanałami, aż w którymś momencie znaleźli się nad rzeką Amstel. Zawiodła ich ona do miejsca (niedaleko punktu, w którym łączyła się z Ij), gdzie pracujący z bobrzym zapałem Holendrzy dawno temu przegrodzili ją tamą. Następnie, w miarę jak przy Amstel-tamie, czyli tamie na Amstel, przybywało nadających się do kradzieży przedmiotów, podatnych na złupienie kościołów, oraz kobiet nadających się do zgwałcenia, ci, którzy mieli najwięcej do stracenia, zaczęli tworzyć (co nie uszło uwagi Jacka – weterana i znawcy fortyfikacji) umocnienia i budować linie obrony. Od północy szeroka Ij, stanowiąca raczej odnogę morza niż prawdziwą rzekę, pełniła funkcję czegoś na kształt fosy. Od strony lądu usypano wał obronny, otaczający podkową tamę z przyległościami. Końcówki podkowy stykały się z Ij po obu stronach ujścia Amstel, a część zakrzywiona przecinała Amstel powyżej tamy. Do budowy wału potrzebowano ziemi. Wobec braku wzgórz, z których można by ją czerpać, była wybierana z dołów, a te wkrótce wypełniły się wodą gruntową i zmieniły w nowe fosy. Jednakże przedsiębiorczy Holendrzy uznali, że nie ma takiej fosy, której nie można by wykorzystać jako kanału. Kiedy w obrębie podkowy zabrakło miejsca na nowe budynki, przybysze zaczęli stawiać domy poza nią; trzeba więc było usypać nową, a kiedy i w niej zrobiło się za ciasno – następną. W ten sposób miasto upodobniło się do drzewa, od którego pnia odchodziły coraz to nowe konary. W zewnętrznych pierścieniach Amsterdamu miejsca było sporo, a kanały rozmieszczono w dużych odstępach, za to w centrum dzieliła je dosłownie odległość rzutu kamieniem, toteż Jack z Elizą musieli przekroczyć mnóstwo sprytnie podwieszonych mostów zwodzonych. Wszędzie napotykali mrowie płaskich łódeczek, z powodzeniem mieszczących się pod mostami, a także (na większych kanałach i samym Amstel) skrzypiące słupy ze składanymi masztami. Nawet jednak najmniejsze łodzie miały niewiarygodną ładowność. Ich obecność wyjaśniała jakim cudem w ogóle można się było po Amsterdamie poruszać: masy ładunku, którymi dławili się trakty w głębi lądu, przekładano na łodzie, a ulice w większości pozostawiano do dyspozycji pieszych.

Wzdłuż kanałów ciągnęły się długie szeregi czteropiętrowych budynków. W centrum zachowało się jeszcze parę wiekowych drewnianych domów, poza tym jednak budowano

głównie z cegły, a ściany bielono na krawędziach i smołowano. Jack, z otwartą gębą niczym ostatni prostak, wpatrywał się w zawieszone na wysokości ostatniego piętra dwuskrzydłowe wrota jak od stodoły. Ze środka sterczał drag żurawia, którym wciągano towary na górę. W przeciwieństwie do lipskich domów, gdzie magazyny mieściły się tylko na strychu, te budowle w całości były magazynami.

Najzamożniejsza z magazynowych ulic nazywała się Warmoesstraat. Przeszedłszy nią, znaleźli się na podłużnym skwerze zwanym Damplatz, będącym – jeśli Jack się nie mylił – niczym innym, jak wybrukowaną od góry starą tamą na Amstel. Roilo się na nim od ludzi w turbanach i egzotycznych futrzanych czapach oraz odzianych w atłasy kawalerów, którzy – kłaniając się sobie nawzajem – zamiatali bruk piórami wytwornych kapeluszy; nie zabrakło wysokich domów i innych cudów, na które Jack mógłby gapić się pół dnia bez przerwy. Zanim jednak zdążył choćby zacząć, spojrzął na północ, gdzie jego uwagę przyciągnęło wydarzenie o randze porównywalnej z wojną, pożarem albo biblijnym potopem. Lepka, wilgotna bryza dmuchnęła mu w twarz, kiedy spojrzął ponad krótkim, szerokim kanałem i dostrzegł majaczącą na horyzoncie brunatną chmurę. Mógł to być dym pożaru równie rozległego jak ten, który strawił Londyn... Albo zimowy las, bezlistny gąszcz, ciągnący się na przestrzeni kilkunastu mil... A może armia, sto razy większa od tureckiej, szykująca się do oblężenia Amsterdamu, uzbrojona w piki wielkie jak drzewa, na których powiewały dziesiątki chorągwi i proporców...

Jack wyteżał wzrok przez dobre parę minut, zanim zdołał uwierzyć własnym oczom: to, co widział, to były wszystkie statki świata zebrane w jednym miejscu. Ich maszty, reje i olinowanie zlewały się w bury obłok, przez który przezierają tylko nieliczne kościoły i wiatraki po drugiej stronie Ijsselmeer, widoczne w postaci ciemnych, rozmytych plam. Statki wychodzące z portu i wpływające do niego oddawały salwy z broni pokładowej. Dym z ich dział mieszał się z dymem z odpowiadających im salutami baterii lądowych, tworząc włóknisty obłok, sprawiający wrażenie, że skleja takielunek statków stojących w porcie w jednolitą masę, jak półpłynne błoto, kiedy połać nim plecionkę z suchych badyli. Fale kołyszące morzem były z tej odległości widoczne jako niespiesznie rozchodzące się w lesie masztów nowiny.

Kiedy po kilku godzinach oswoił się z widokiem specyficznych amsterdamskich domów, z wodnymi ulicami, natrętą schludnością mieszkańców, ich niezdolnością do zakotwiczenia na dłużej w tym czy innym Kościele, a także przypominającym szczekanie językiem, zaczął rozumieć to miasto. Tak jak wszystkie miasta, miało swoje dzielnice i zakamarki. Szlifierz noży mógł się nosić jak diakon, ale swoją robotę wykonywał dokładnie tak samo jak jego kolega po fachu w Paryżu. Nawet nabrzeże Amstel było po prostu niewiarygodnie powiększoną kopia Tamizy z przyległościami.

Potem jednak dotarli do takiej dzielnicy, jakiej Jack jeszcze w żadnym mieście nie widział – a właściwie można by powiedzieć, że to dzielnica dotarła do nich, stanęli bowiem

twarzą w twarz z kłębiącym się tłumem. Amsterdam był w zwyczajowy sposób podzielony między biednych i bogatych, ale w tej ciżbie zamożni i ubodzy przemieszali się bez ładu i składu, co dla Jacka-wagabundy było równie wstrząsające, jak byłoby dla francuskiego arystokraty. Już z pewnej odległości widać było, że „idącą” w ich stronę dzielnicę przepelnia niezwykle napięcie; przypominała niesforną tłuszcze, która zgromadzona pod pałacową bramą oczekuje wieści o śmierci króla – tyle że (jak stwierdził Jack, gdy dzielnica otoczyła ich i poniosła ze sobą) nigdzie w pobliżu nie było widać ani bramy pałacu, ani nawet niczego, co by ją przypominało.

Spotkanie to byłoby zapewne jednym z wielu przemijających kaprysów Stworzenia, tak jak na przykład przelot komety, gdyby Eliza nie chwyciła Jacka za rękę i nie pociągnęła go za sobą, przez co na pół godziny stali się częścią dzielnicy płynącej wśród zabudowań Amsterdamu jak kropla rtęci przez drewniany labirynt. Jack zorientował się, że ciżba rzeczywiście wyczekuje jakichś wieści, nie mających jednak pochodzić z zewnętrznego źródła, lecz ze środka – informacje i pogłoski przepływały z jednego końca tłumu na drugi jak fale przez trzepany chodnik, wywołując podobne poruszenie, hałas i fontanny śmiecia. Niczym ospa błyskawicznie przenosiły się z człowieka na człowieka, zazwyczaj poprzez krótką wymianę słów i liczb. Każdą taką rozmowę kończył gest przypominający uścisk dłoni, który, wykorzystywany przez pokolenia użytkowników, zdegenerował się do postaci szybkiego kłaśnięcia dłonią o dłoń. Odpowiednio wykonany kończył się głośnym trzaskiem i zostawiał czerwony ślad. Propagację wiadomości, plotek, fam i słuchów można więc było śledzić, nasłuchując fal oklasków; jeżeli taka fala przetoczyła się przez człowieka, a on nie miał czerwonej dłoni i nie słyszał dźwięczenia w uszach, ominęło go coś ważnego. Jack z przyjemnością zadowalał się taką rolą, ale Eliza nie zamierzała pójść w jego ślady. Chętnie dawała się nosić falom dźwięków, zmierzając ku miejscom, gdzie hałas był najdonośniejszy. Co gorsza, wyglądało na to, że rozumie, co się dzieje. Znała trochę hiszpański, a tym właśnie językiem posługiwało się wielu ludzi w tłumie, zwłaszcza szczególnie liczni Żydzi.

Eliza znalazła mieszkanie całkiem niedaleko, na południowy zachód od Damplatu. Znajdował się tam wąziutki zaułek, w którym Jackowi wystarczyło rozłożyć ręce, żeby dotknąć ścian po obu jego stronach. Ktoś wpadł na pomysł, żeby na wysokości pierwszego, drugiego i trzeciego piętra przerzucić między budynkami belki i wykorzystać je jako szkielet czegoś w rodzaju domu. Budynki służące za podpory zapadały się w zmiennym tempie we wszechobecnym bloku, przez co zawieszony nad zaułkiem domek, przekrzywiony pod dziwnym kątem, skrzypiał i przeciekał, ale po apokaliptycznych targach (Jack, który musiał znaleźć stajnię dla Turka, był świadkiem tylko ich ostatniej półgodziny) Eliza wynajęła od właścicielki trzecie piętro. Właścicielka – kalwinistka o lisiej twarzy – z miejsca sklasyfikowała ją jako przeznaczoną do piekła, więc pojawienie się – i późniejsze kręcenie się po okolicy – Jacka nie zrobiło na niej wrażenia. Mimo to wprowadziła surowy zakaz przyjmowania gości, grożąc przy tym Jackowi palcem, aż liczne srebrne pierścienie brzęknęły

niczym ogniwa łańcucha. Na dowód swoich czystych zamiarów Jack miał ochotę ściągnąć spodnie, ale ponieważ cały ten wypad do Amsterdamu był pomysłem Elizy, uznał, że nie przystoi mu się tak zachowywać. Przynajmniej mieli już własne cztery kąty – a właściwie miała je Eliza, on zaś mógł ją odwiedzać, skacząc po dachach i wspinając się po rynnach.

Przez pewien czas mieszkali w Amsterdamie.

Jack spodziewał się, że Eliza wreszcie zacznie coś robić, ona jednak z wyraźnym upodobaniem przesiadywała w kawiarence przy Damplatzu, od czasu do czasu pisywała listy do doktora i czasem otrzymywała listy od niego. Chodząca dzielnicą podekscytowanych amsterdamskich zahaczała o jej ulubioną kafejkę „Dziewicę”, dwa razy dziennie, poruszała się bowiem z wyraźną regularnością. Do południa zbierała się i kłębiła na placu, skąd przemieszczała się na rozległy dziedziniec zwany giełdą i tam spędzała czas do godziny drugiej. Potem wracała handlować na Damplatz, gdzie – w zależności od kawiarnianych gustów – dzieliła się na różne kliki i koterie. Mieszkanko Elizy znajdowało się dokładnie nad jednym z jej ważnych szlaków wędrówkowych, dzięki czemu, dzieląc czas między nie i „Dziewicę”, Eliza zawsze była blisko centrum wydarzeń.

Jack doszedł do wniosku, że Eliza zachowuje się niczym córka jakiegoś dżentelmena i zadowala przepuszczaniem posiadanego majątku. Wcale mu to nie przeszkadzało – sam wolał pieniądze wydawać niż zarabiać. A w dodatku mógł bez reszty poświęcić się swojemu ulubionemu zajęciu, czyli włóczeniu się po nieznanym otoczeniu i rozgryzaniu zasad jego funkcjonowania. Nie umiał czytać, nie nadawał się również na partnera do rozmowy, nie pozostało mu więc nic innego, jak uczyć się przez obserwację, a w Amsterdamie okazji do obserwacji nie brakowało. Za pierwszym razem popełnił błąd – zostawił kulę u Elizy i wyruszył w miasto jako zdrowy, sprawny mężczyzna. Szybko przekonał się, że mimo ciągnących do miasta rzesz *Hollandgänger* Amsterdam cierpi na chroniczny brak siły roboczej. Po godzinie spędzonej na ulicach został aresztowany za włóczęgostwo i zapędzony do pracy przy pogłębianiu kanałów. Kiedy zobaczył, jaką masę szlamu i śmiecia można z nich wydobyć, życzliwszym okiem spojrzął na wyłożoną mu przez doktora teorię małych zwierzątek, które giną zagrzebane w rzeczonym mule.

Kiedy pod wieczór majster ogłosił wreszcie koniec pracy, Jack z najwyższym trudem wygramolił się na nabrzeże – zrobiło się na nim ciasno od mężczyzn podzwaniających wypchanymi ciężką monetą sakiewkami. Byli to agenci morscy, rekrutujący marynarzy na wszystkie statki kołyszające się na Ijsselmeer. Jack czym prędzej się oddalił, wiedząc, że przy takim zapotrzebowaniu na marynarzy nie obejdzie się bez przymusowych wcieleń – wystarczyło zbłądzić w ciemny zaułek albo przyjąć darmowego drinka, żeby następnego dnia rano obudzić się z bólem głowy na pokładzie statku prującego fale Morza Północnego i kierującego się na Przylądek Dobrej Nadziei albo jeszcze dalej.

Zanim drugi raz wypuścił się na miasto, podkulił lewą nogę, przywiązał sobie stopę do pośladka i włożył kulę pod pachę. W takim przebraniu mógł już do woli chodzić w tę i z

powrotem po brzegach Ij i gapić się na wszystko do woli. Musiał tylko mieć się na baczności, aby nie wzięto go za łązęgę i nie skazano na resocjalizację w przytułku.

Z rozmów z wagabundami oraz map doktora wyniósł znajomość kilku faktów. Wiedział, że Ij rozszerza się i przechodzi w śródlądowe morze zwane Ijsselmeer, oddzielone od oceanu wyspą Texel, i że przy Texel mogą spokojnie kotwiczyć statki o sporym tonażu, za to na całym obszarze Ijsselmeer ciągną się rozległe mielizny, na których utknął już niejeden statek, podobnie jak w piaskach u ujścia Tamizy. Dlatego też zdziwił się, widząc tak liczną flotę handlową przy ujściu Ij – te naprawdę duże statki nie miały prawa dotrzeć tak daleko.

Holendrzy powbijali w dno Ij grube pale, aby odciąć końcówki podkowy od reszty akwenu i uniemożliwić francuskim lub angielskim okrętom podejście do samego Damplatu. Na palach wspierał się drewniany pomost, obiegający płaskim łukiem cały port. W kilku miejscach był zwodzony, aby mniejsze jednostki – promy, flamandzkie bączki, podobne do wielkich żuków łodzie do transportu wody, baryłkowate kutry – bez przeszkód mogły wpływać do wewnętrznego portu, do kanałów i w głąb Damraku, czyli króciutkiej zatoczki będącej w tym miejscu jedyną pozostałością pierwotnego Amstelu. Większe statki kotwiczyły poza obrębem pomostu. Na wschodnim skraju wewnętrznego portu Holendrzy usypali sztuczną wysepkę, nazwali ją Oostenburg i zbudowali tam stocznię. Nad nią powiewała flaga przedstawiająca małe literki O i C nabite na rogi dużego V, czyli emblemat Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Sama stocznia była prawdziwym cudem – sznurowe chodniki, wąskie, długie na trzecią część mili budynki, wiatraki mielące ołów i gwintujące lufy dział, wiecznie otulona obłokiem pary łaźnia parowa do gięcia drewna, dziesiątki dymiących i dźwięczących kuźni – w tym dwie naprawdę ogromne, w których powstawały kotwice, i jedna mała, schludna, gdzie produkowano gwoździe; smolarnia wybudowana na osobnej wysepce, żeby ewentualny pożar w niej nie pochłonął wszystkich zabudowań; cały kwartał magazynów, szwalnie, w których dałoby się uszyć największe żagle na świecie. Oczywiście nie mogło też zabraknąć szkieletów kilku dużych statków, stojących na pochylniach i podpartych skośnymi belkami; robotnicy roili się na nich jak mrówki na kościach wielorybów.

Gdzieś jeszcze musiały się znajdować warsztaty snycerzy i złotników, ponieważ dzioby i rufy należących do V.O.C. statków na Ij były przyozdobione pozłacanymi rzeźbami, bardziej pasującymi do paryskich domów uciech. Była tam, na przykład, figura dziewczyny półleżącej na sofie, z ręką opartą na kuli ziemskiej i głową uniesioną do koronacji wieńcem laurowym, który niósł jej uskrzydłony Merkury. A zaraz za ostatnią linią wiatraków i wież strażniczych na granicy miasta znów rozpościerał się znajomy krajobraz złożony z pastwisk i rowów. Krowy pasły się dosłownie kilka jardów od przybyłych z Indii statków, wyladowujących korzenie i perkal do małych łódeczek, prześlizgujących się przez zwodzone przerwy w pomoście na Damrak.

Damrak kończył się ślepo pod ścianą nowego miejskiego urzędu celnego, całkiem sympatycznego budynku, niemal ginącego w ciżbie łodzi i stateczków. Parter nie miał ścian – dom zbudowano na palach, jak wagabundzki szałas w lesie. Zajrzawszy do środka, Jack przekonał się, że całą wolną przestrzeń zajmują tam wagi różnych kształtów i rozmiarów, oraz złożone na stojakach i w stosach mosiężne i miedziane cylindry, opisane skomplikowanymi zawijasami – były to odważniki dla wszystkich możliwych systemów miar stosowanych w różnych holenderskich prowincjach i na całym świecie. Zwrócił uwagę, że był to już trzeci dom celny zbudowany w tym samym miejscu, ale nadal nie nadał z ważeniem i znakowaniem wszystkich przywożonych łodziami towarów. Wyładowane po brzegi słupy toczyły zażartą walkę o dostęp do wąskich torów wodnych z barkami, wywozącymi zważony towar do miejskich magazynów. Co kilka minut Damplatz przemierzał z ciężkim turkotem niewielki wóz, wioząc monety, którymi kapitanowie statków opłacili cło, i pędził na złamanie karku do Banku Wymiany, roztrącając kupców w perukach, wstążkach i turbanach. Bank Wymiany mieścił się w ratuszu stojącym dosłownie parę kroków od giełdy – prostokątnego dziedzińca obwiedzonego arkadami, przypominającymi te widziane przez Jacka w Lipsku, tyle że większymi od nich i widniejszymi.

Pewnego razu przyszedł do „Dziewicy” po Elizę, aby odprowadzić ją do domu po całym dniu ciężkiej pracy, polegającej na picciu kawy i trwonieniu spadku małych Shaftoe’ów. W kawiarni panował spory ruch, Jack doszedł więc do wniosku, że może bezpiecznie wśliznąć się do środka, nie zwracając na siebie uwagi stróżów porządku. Wnętrze było wysokie, sztywne, przewiewne i w niczym nie przypominało zwyczajnej gospody, gorącej i dusznej. Przemądrzali klienci trajkotali w kilku językach. Eliza siedziała w kącie sali, przy oknie, gdzie odbite od lży światło padało jej na twarz. Przy stoliku towarzyszyły jej jeszcze dwie kobiety. We trójkę udzielały audiencji (na to przynajmniej wyglądało) gromadzie Włochów, Hiszpanów i innych śniadych typów z rapierami, w jaskrawych strojach i ogromnych perukach. Od czasu do czasu Eliza sięgała po duży, pękaty dzbanek z kawą i w takich chwilach do złudzenia przypominała Dziewicę Amsterdamską siedzącą na rufie statku. Nawiasem mówiąc, taka sama postać zdobiła sufit kawiarni – otulona luźnymi fałdami złotego aksamitu, z ręką opartą na kuli i jedną piersią wychylającą się zza rąbka sukni, z nieodłącznym Merkurym czekającym za jej plecami lekko z prawej, królowała nad nieodłącznymi facetami w turbanach i Murzynami w przebraniach z piór, składającymi jej w holdzie sznury pereł i olbrzymie srebrne półmiski.

Jack mógł od biedy pogodzić się z faktem, że Eliza flirtuje z synami genueńskich i florenckich kupców. Ale oni byli bogaci, a ona nic poza tym nie robiła. Gniew zmaćił mu wzrok. Kiedy w końcu przejrzał na oczy – czyli kiedy przyćmiewająca je chmura rozplynęła się jak osad popiołu, który wypłukany bieżącą wodą z amalgamatu odsłania w końcu prześlicznie błyszczące czyste srebro – zorientował się, że Eliza patrzy na niego i wszystko widzi. Przeniosła wzrok lekko w bok, dając mu do zrozumienia, że powinien tam zerknąć, a

potem utkwiała spojrzenie błękitnych oczu w oczach kogoś siedzącego po drugiej stronie stołu i roześmiała się z jego dowcipu.

Jack podążył za jej spojrzeniem i dostrzegł pod ścianą coś, co w pierwszej chwili wziął za kapliczkę. Była to przeszklona gablotka, połączana i ozdobiona dmącymi w trąby cherubinami, tak jakby jej półki miały dźwigać szczątki Krzyża Świętego i obrzynki paznokci archaniołów. Tymczasem znajdowały się na nich całkiem zwyczajne rzeczy: grudki ołowiu, kawałki wełny, kopczyki saletry, cukru, ziaren kawy i ostrych papryczek, żelazne, miedziane i cynowe pręty i sztabki, strzępki jedwabiu i bawełny. W maleńkiej kryształowej buteleczce, przypominającej flakonik na perfumy, połyskiwała próbka żywego srebra.

– Chcesz mi wmówić, że prowadzisz tam interesy? – zapytał, kiedy Eliza wymówiła się od dalszej rozmowy i razem wyszli na Damplatz.

– A myślałeś, że co robię?

– Nie było widać, żeby jakiś towar albo pieniądze zmieniały właścicieli.

– To się nazywa *Windhandel*.

– Handel wiatrem? Adekwatna nazwa.

– Masz pojęcie, Jack, ile żywego srebra znajduje się w tych wszystkich magazynach?

– Nie.

– A ja tak.

Eliza zatrzymała się w miejscu, z którego mogli zajrzeć na dziedziniec giełdy.

– Poruszane młynówką koło łopatkowe albo kręcący się w podmuchach bryzy wiatrak mogą napędzać całą fabrykę. I tak samo przepływ towarów przez dom celny jest napędzany strużką papierów przechodzących z rąk do rąk właśnie tam. – Wskazała giełdę. – A także ciepłym zefirkiem, który czujesz na twarzy, gdy wchodzisz do „Dziewicy”.

Jack kątem oka zauważył jakiś ruch. Przez ułamek sekundy myślał, że to strażnica wali się w gruzy, zdruzgotana ostrzałem francuskiej artylerii, ale kiedy spojrzał w tamtą stronę, stwierdził, że po raz setny dał się nabrać. Poruszały się skrzydła wiatraka. Na Ij też było widać poruszenie – fala przyływu kołysała i grzechotała statkami. Pogłębiarka z tłumem nieszczęsnych *Hollandgänger* na pokładzie posuwała się w górę kanału. Robotnicy zagarniali z dna szlam, mogący zdaniem doktora połykać i zamrażać żywe istoty, a potem przemieniać je w kamień. Nic dziwnego, że Holendrzy z takim uporem go usuwali; pomysł unieruchomienia w nim żywych stworzeń musiał być bluźnierstwem dla ludzi, którzy nade wszystko cenili ruch. Uznali ziemską materię za nazbyt oporną i bezwładną; przeszkadzała w handlu, utrudniała przepływ towarów. W miejscu, gdzie żywe srebro przenikało dosłownie całe Stworzenie, koniecznością stawało się zatarcie granicy między ziemią i wodą. Na całym obszarze Republiki Holenderskiej, a zwłaszcza nad brzegami Ij jedno płynn timerze przechodziło w drugie, a proces ten kończył się dopiero za mieliznami i Texel, gdy wypływało się na otwarte morze.

– Muszę jechać do Paryża.

– Po co?

– Między innymi po to, żeby sprzedać Turka i strusia pióra.

– Sprytne – przyznała Eliza. – Tu mamy hurt, w Paryżu jest detal. Zgarniemy dwa razy więcej.

– Ale przede wszystkim chodzi o to, że przywykłem do sytuacji, gdy jestem jedynym ruchomym obiektem w drętym, bezwładnym świecie. Chcę się znaleźć nad brzegiem Sekwany, gdzie widać, że człowiek stoi na kamieniach, a obok płynie woda. Gdzie granica między jednym i drugim jest ostra jak nóż.

– Jak chcesz – zgodziła się Eliza. – Ale moje miejsce jest w Amsterdamie.

– Wiem. Nie sposób o tym zapomnieć.

Republika Niderlandzka

1684

Jack pojechał z Amsterdamu na zachód, przez Haarlem. Nagle znalazł się na szlaku zupełnie sam, w dodatku o włos od utonięcia, jesienne deszcze bowiem zatopiły pastwiska, a obwiedzione murami miasta potworzyły wyspy na bezmiarze wód. Wkrótce dotarł do linii wydm, oddzielających wnętrze kraju od Morza Północnego. Nawet Holendrzy nie mieli pomysłu na zagospodarowanie takiej masy piasku. Turek boczył się trochę na zmianę podłoża, ale szybko sobie przypomniał, jak się po nim biega; może jego turecki właściciel galopował na nim po jakiejś mahometańskiej pustyni? W każdym razie, na wpół brodząc, na wpół płynąc w piaszczystych odmętach, wyniósł Jacka na wierzchołek wydmy. W dole, milę od nich, wielkie jak Alpy zielonkawe fale rozbijały się na piasku z przeraźliwym łoskotem i sykiem. Jack siedział nieruchomo i patrzył na nie, aż Turek zaczął się niepokoić – dla konia okolica była zimna, a widok obcy, Jack za to czuł się jak w domu. Próbował porachować, od ilu to już lat nie widział morza.

Popłynął na Jamajkę... Ale później (takie miał przynajmniej wrażenie) jego życie potwornie się skomplikowało – chyba że to francuska choroba tak pogmatwała mu wspomnienia. Próbował policzyć na palcach, ale i to nie wystarczyło. Zeskoczył z siodła i końcem kuli zaczął rysować na piasku mapy i drzewa genealogiczne.

Powrót z Jamajki wyglądał na dobry punkt wyjścia. 1678. Przespał się z piękną Mary Dolores, sześciostopowym okazem irlandzkiego zdrowia i werwy, później w obawie przed aresztowaniem uciekł do Dunkierki, a potem przydarzył mu się incydent z ptaszkiem. Kiedy dochodził po nim do siebie, zjawił się Bob i przyniósł wieści z domu – Mary Dolores była w ciąży. Ponadto John Churchill – co było niewiarygodne, lecz jednak prawdziwe – ożenił się, a poza tym został awansowany do stopnia pułkownika... Nie, nie pułkownika – generała

brygady. No i miał teraz pod sobą znaczną liczbę żołnierzy. Cały czas zresztą rekrutował nowych, a że ciepło wspominał braci Shaftoe... Może Jack miałby ochotę na stałą posadę, która pozwoliłaby mu wziąć ślub z Mary Dolores, utrzymać rodzinę i wychować potomstwo?

– Cóż za śliczny, składny plan! – krzyknął Jack w stronę fal. – I jak pasuje do Boba!

Minęło sześć czy siedem lat, a on nadal był wściekły. Turek zaczynał się denerwować. Jack doszedł do wniosku, że skoro i tak mówi na głos, równie dobrze może z nim porozmawiać. Ciekawe, pomyślał, czy konie rozumieją, co się dzieje, kiedy człowiek rozmawia z ludźmi, których nie ma nigdzie w pobliżu?

– Na razie wszystko to wygląda bardzo pięknie, ale teraz zacznie się prawdziwe bagno – uprzedził Turka. – John Churchill pojechał najpierw do Hagi, a potem do Brukseli. Dlaczego? Nawet koń musi sobie zadawać to pytanie... Ach, ciągle zapominam, że ty jesteś koniem osmańskim. Dobrze, słuchaj więc: cała ta ziemia – (tu Jack dla podkreślenia swoich słów tupnął w wydmcę) – należała kiedyś do Hiszpanii. Tak, tak, dobrze słyszałeś: do Hiszpanii. Do czasu, aż ci szurnięci Holendrzy przeszli na kalwinizm, zbuntowali się i przepędzili Hiszpanów na południe od Mozy i paru innych rzek o trudnych do zapamiętania nazwach. Zresztą niedługo napatrzymy się na nie, aż nam bokiem wyjdą. Na pewno wypchnęli ich aż za Zelandię. Skutek był taki, że między Holandią na północy i Francją na południu został tylko wąski klin papistowskiej Hiszpanii. Zmieściły się na nim Bruksela, Antwerpia i cała masa pól bitewnych; można by powiedzieć, że powstała tam arena turniejowa, gdzie cała Europa zjeżdża się toczyć wojny. Czasem Holendrzy i Anglicy wspólnie występują przeciw Francji i toczą z nią walki w hiszpańskich Niderlandach; czasem znów Anglia i Francja sprzymierzają się przeciw Holandii i potykają się z nią w hiszpańskich Niderlandach. Ale mniejsza z tym. W okresie, o którym mowa, Anglicy i Holendrzy bili się z Francuzami, ponieważ cała Anglia jak jeden mąż wystąpiła przeciw papieżowi. Wprowadzono zakaz importu francuskich towarów. Właśnie dlatego wybrałem się do Dunkierki: chciałem wykorzystać oczywistą możliwość dorobienia się na przemyśle. I to dlatego John Churchill zaczął gromadzić armię. Udał się do Holandii na rozmowy z Wilhelmem Orańskim, który uchodził za eksperta w kwestii odpierania najazdów katolickich hord; za cenę zatopienia połowy kraju udało mu się przecież powstrzymać pochód wojsk Ludwiczka. Na razie brzmi to wszystko sensownie, prawda? Ale inteligentny koń z pewnością zadałby sobie pytanie: Po co John Churchill udał się również do Brukseli, należącej przecież do Hiszpanii, a więc stanowiącej część papieskiego dominium? Odpowiedź jest prosta. Dzięki staraniom tatusia, Winstona, John od małego należał do dworu Jakuba, księcia Yorku i brata króla Lolka. A trzeba ci wiedzieć, że York, który wtedy był i nadal jest pierwszym pretendentem do tronu, jest również – słuchaj uważnie, bo to ciekawe – fanatycznym papistą! Rozumiesz już, dlaczego cały Londyn aż pocił się z nerwów? Zresztą pewnie dalej się poci. Król postanowił wysłać brata za granicę na długie wakacje, a ten wybrał na miejsce wygnania najbliższe katolickie miasto: Brukselę! A John Churchill jako jego dworzaniek musiał mu towarzyszyć, przynajmniej od czasu do czasu. Najważniejsze

jednak w tym wszystkim jest to, że Bob został na królewskim żołdzie, a ja nie. Wyjechaliśmy razem z Dunkierki i przez ziemię niczyją, na którą, jak już wspomniałem, wkrótce napatrzysz się do woli, przez Ypres, Oudenaarde i Brukselę dotarliśmy do Waterloo, gdzie nasze drogi się rozeszły – ja udałem się do Paryża, a Bob wrócił do Brukseli, i tam, jak przypuszczam, spędza czas głównie na przenoszeniu ważnych wiadomości, tak jak wtedy, gdy byliśmy mali.

Mówiąc, Jack rozmontował swoją inwalidzką kulę – zakrzywiony kij z poziomą podpórką pod pachę, obwiązany chyba miłą szorstkiego sznurka. Po rozplątaniu szpagatu zostały mu w rękach dwa kawałki drewna i garść szmat, którymi była wyłożona podpórka. Z końca kija sterczała rękojeść janczarskiej szabli.

Przewędrował pół Harzu w poszukiwaniu gałęzi pasującej krzywizną do ostrza szabli, a znalazłszy odpowiednią, ściał ją, rozłupał na dwoje i wydrążył w środku, by zmieściła się w niej pochwa. Rękojeść z głowicą wystawała wprawdzie na zewnątrz, ale po dodaniu poprzeczki, owinięciu jej szmatami i obwiązaniu całości sznurkiem uzyskał niewinnie wyglądającą kulę. Gdyby nawet jakiś strażnik na granicy domagał się jej rozebrania, Jack zawsze mógł złapać się za pachę i poskarżyć na bolesną, czarną opuchliznę nieznanego pochodzenia.

Kula była niezastąpiona w cywilizowanych stronach, gdzie tylko arystokraci mieli prawo nosić broń, ale od wydm aż do północnej Francji Jack zamierzał starannie unikać podobnych okolic. Przyasał szablę, a kawałki kuli przywiązał do siodła. Jack-kulawy włóczęga – przemienił się w Jacka-uzbrojonego jeźdźca, pędzącego plażą na grzbiecie tureckiego ogiera.

* * *

Minąwszy Hagę i Hoek van Holland, Jack złożył wizytę znajomym armatorom, od których dowiedział się, że Francuzi zakazali sprowadzania taniego perkalu z indyjskiego miasta Calicoe. Holendrzy – co rozumiałe – natychmiast zaczęli go przemycać, toteż wzdłuż wybrzeża kursowały całe konwoje niedużych statków zwanych fleutami. Przyjaciele przewieźli Jacka, Turka i tonę perkalu na drugą stronę Zelandii, jak Holendrzy nazwali olbrzymie, zapiaszczone grzędawisko w rejonie, gdzie Moza i Skalda uchodziły do Morza Północnego. W kanale La Manche szalał jesienny sztorm, który zmusił ich do szukania schronienia w kryjówce korsarzy we Flandrii. Korzystając z wyjątkowo silnego odpływu, Jack przegalopował stamtąd nocą aż do Dunkierki, gdzie schronił się w gościnnych progach gospody „Pod bombą i kotwiczką”.

Pan Foot, właściciel „Bomby i kotwiczki”, postraszył go jednak, że odkąd Ludwiczek odkupił Dunkierkę od Lolka, wiele się w mieście zmieniło. Francuzi rozbudowali i pogłębili port, mogący teraz bez przeszkód przyjmować okręty arcykorsarza Jeana Barta. Przepłoszyło to drobnych piratów i przemytników, dzięki którym Dunkierka była niegdyś mięsciną wesołą i kwitnącą.

Zdegustowany i przerażony Jack natychmiast wyjechał i ruszył w głąb lądu, do Artois, gdzie nikt nie mógł mu się dziwić, że nosi broń. Artois znajdowało się przy samiuteńkiej granicy hiszpańskich Niderlandów, a żołnierze stacjonujący tam dla zniechęcenia wojsk Ludwiczka szybko się nauczyli, że szybciej dorobią się na grabieniu przemierzających szlak Paryż-Londyn podróżnych – którzy, cudem przeżywszy rejs przez kanał La Manche, z wdzięczności Bogu prawie dobrowolnie oddawali im pieniądze – niż na rzetelnej służbie.

Udając takiego właśnie rozbójnika (co nie było dla niego wielką sztuką, ponieważ przez rok czy dwa naprawdę był rabusiem), Jack szybko i w miarę bezpiecznie dotarł do Pikardii, ojczyzny pewnego słynnego regimentu, którego nieobecność na miejscu sugerowała, że pochłaniało go akurat pustoszenie hiszpańskich Niderlandów. Kilka drobnych zmian w ubiorze (na przykład włożenie na głowę starego muszkieterskiego kapelusza z obwisłym rondem) upodobiło Jacka do dezertera z tej sławnej jednostki.

W jednej z pikardyjskich wiosek jego uwagę zwrócił bijący bez przerwy dzwon kościelny. Przeczuwając kłopoty, Jack ruszył w stronę kościoła na przełaj, przez pola, na których trwały żniwa. Wieśniacy w tych okolicach stosowali trójpolówkę – trzecią część pól obsiewali pszenicą, drugą trzecią część owsem, reszta zaś leżała odłogiem. Jack starał się tak obierać trasę przejazdu, żeby jak najczęściej wiodła ugorami. Wynędzniali chłopcy przyglądali mu się z przerażeniem, które było niezwykle nawet jak na standardy obowiązujące we Francji. Większość z nich zerkała lękliwie na niebo na północy, wypatrując zapewne obłoków kurzu i dymu, niektórzy przypadali do ziemi i nasłuchiwali tętentu kopyt, aż Jack doszedł do wniosku, że boją się nie jego samego, co raczej tego, czego mógł być zwiastunem.

Uznawszy, że w tej wsi obnoszenie się z bronią powinno mu ująć płazem, zajechał do niej, ponieważ musiał kupić owies dla Turka. Jedyнным spotkanym w wiosce człowiekiem był bosonogi chłopak w brudnej koszuli z grubego płótna, widoczny od pasa w dół przez małe drzwiczki w dzwonnicy – postrzępiona koszulina wypinała mu się nieprzystojnie na tyłku przy każdym szarpnięciu za sznur dzwonu.

Później jednak Jack natknął się na jeźdźca w porządnym, choć prostym stroju, który wjechał do wsi od strony Paryża. Zatrzymali się w bezpiecznej odległości na pustym placu targowym, zatoczyli ze dwa kółeczka, obserwując się bacznie, i zaczęli na przemian przekrzykiwać łoskot dzwonu, porozumiewając się mieszaniną francuskiego i angielskiego.

– Dlaczego tak dzwonią? – spytał Jack.

– Ci katolicy łudzą się, że w ten sposób można odegnać burzę – odparł Francuz. – Ale dlaczego są tacy...? – Tu najwyraźniej zwątpił w swój angielski i francuszczyznę Jacka, bo odegrał krótką pantomimkę, udając przerażonego wieśniaka.

– Boją się, że za mną jedzie cały powracający z wojny regiment pikardyjski – domyślił się Jack. Miał nadzieję, że uda mu się kąśliwy żart pod adresem wojaków, których, jak to eufemistycznie określano, „żywiła ziemia”. Ale hugenot najwidoczniej przejął się jego słowami.

– Pikardyjczycy naprawdę wracają?

– A ile taka informacja byłaby dla ciebie warta?

Hugenot do złudzenia przypominał Jackowi angielskich drobnych handlarzy, zapuszczających się w czasie żniw do odległych zakątków kraju i skupujących ziarno po cenie lepszej niż rynkowa. Obaj – i Jack, i kupiec, który przedstawił się jako monsieur Arlanc – doskonale rozumieli, że cena zboża spadnie jeszcze bardziej, jeśli sprzedawcy uwierzą (słusznie bądź nie), że regiment pikardyjski lada chwila wyrwie im cały zapas ziarna spod tyłków, i to za darmo.

I tak oto całkiem niespodziewanie wypłynęła propozycja handlowa. Wagabunda i hugenot pokręcili się jeszcze trochę wokół siebie nawzajem, nie zsiadając z koni. Wieśniacy mozolili się przy żniwach, lecz cały czas mieli oko na dwójkę obcych, toteż wkrótce na plac zajechał na ośle naczelnik wioski.

Ale koniec końców monsieur Arlanc odmówił współpracy.

– Ci ludzie i tak wystarczająco nas już nienawidzą – wyjaśnił, mając chyba na myśli hugenotów. – Nie trzeba ich dodatkowo straszyć, bo i bez tego mają się czego bać. To dlatego jeżdżę z synami po odległych marchiach.

– Dobrze. Tak się jednak składa, że nie zamierzam cię obrabować – odparł zirytowany Jack. – Więc nie zmyślaj mi tu bajeczek o brygadzie uzbrojonych po zęby synalków, których zostawiłeś za górką.

– Obawiam się, że same bajeczki nie zapewniają w dzisiejszych czasach należytej ochrony – zauważył monsieur Arlanc i rozchylił poły płaszcza, odsłaniając aż cztery sztuki broni palnej: dwa tradycyjne pistolety za pasem, trzeci sprytnie wbudowany w trzonek siekierki i czwarty ukryty w kosturze.

– Pięknie pomyślane, monsieur. Protestancki pragmatyzm i francuski *savoir-faire* w jednym.

– Czy jesteś pewien, że w drodze do gospody w Amiens wystarczy ci sama szabla? Trakty są...

– Nie nocuję we francuskich gospodach. Nie zwykłem również podróżować po traktach. Jeśli jednak ty masz takie zwyczaje i udajesz się w tamte strony...

I tak oto razem ruszyli do Amiens, kupiwszy uprzednio owies od naczelnika wioski – Jack nabył go tyle, żeby nakarmić Turka, a monsieur Arlanc resztę, po którą obiecał przysłać wozy. Jack nie musiał nikogo okłamywać; przysiadł tylko na cembrowinie studni i starał się wyglądać jak rasowy wolontariusz, bo tak nazywano w tych okolicach rabusiów i dezertów. Później czekała ich długa, ciężka jazda do Amiens, gdzie przy skrzyżowaniu rozlokowało się spore przedsiębiorstwo – stajnie do połowy zagrzebane w sianie; zatłoczony wygon dla bydła; sznury pustych wozów przy skraju drogi (do wynajęcia na przykład przez monsieur Arlanc); kilka kuźni – w jednych podkuwano konie, inne specjalizowały się w okuwaniu kół powozów; sklepiki rymarskie; warsztaty bednarskie, kołodziejskie i ciesielskie, w których

rzemieślnicy specjalizowali się w produkcji jarzm i wozów; karawany wyładowanych ziarnem wozów czekające na poboczu na inspekcję celną i pobór myta; gdzieś wśród tego chaosu znajdował się również dom gościnny dla podróżnych i kupców, co tłumaczyło, dlaczego cały ten przybytek nazywano gospodą. Z większej odległości było widać tylko olbrzymią, dymiącą plamę, która z miejsca nie przypadła Jackowi do gustu. Odpiął od pasa szablę, schował ją do kostura i zaczął owijać sznurkiem.

– Powinieneś zajrzeć ze mną do gospody – nalegał monsieur Arlanc. – Przekonasz się, że naprawdę mam synów, chociaż jeszcze bardzo małych...

– Nie widziałem swoich, nie zobaczę twoich – odparł Jack. – Poza tym nie znoszę tych francuskich gospód...

Monsieur Arlanc wyrozumiale skinął głową.

– W waszym kraju można swobodnie przewozić towary...

– ...a gospody służą podróżnym gościnnie, zamiast utrudniać im życie.

Jack pożegnał się więc z monsieur Arlankiem, dowiedziawszy się gdzie w Paryżu może sprzedać konia i strusie pióra. Hugenot usłyszał natomiast kilka ciekawostek na temat fosforu, kopalń srebra oraz przemytu perkalu. Razem odbyli podróż bezpieczniejszą, niż gdyby przyszło im przebyć tę samą drogę osobno.

* * *

Jack – jednonogi druciarz, prowadzący za uzdę swojego wyprężonego od pługą konia – wyczuł Paryż nosem z odległości pół dnia marszu. Pola zbóż ustąpiły miejsca ogrodom warzywnym i pastwiskom dla mlecznych krów. Drogą ciągnęły ciemne, ciężkie wozy, wyładowane beczkami i kadziami pełnymi ludzkiego gówna, które w mieście zbierano do wiader i spuszczano do rynsztoków, a tu za pomocą wideł i grabi rozrzucono na polach. Paryżanie wydalali chyba więcej niż inni ludzie, a może po prostu nadmiar czosnku w pożywieniu wprowadził Jacka w błąd. W każdym razie ucieszył się, kiedy cuchnące ogrody się skończyły i znalazł się na przedmieściach – w niekończącym się labiryncie krytych strzechą chałup, zamieszkanym przez zbłąkanych wieśniaków, palących wszystkie patyki, badyle i śmieci, jakie tylko udało im się zebrać, byle ugotować jakąś strawę i odegnąć jesienny chłód, i chorujących przy tym na przeróżne widowiskowe choroby. Jack zatrzymał się dopiero przy permanentnym obozie pielgrzymim wokół kościoła St.-Denis, gdzie kręcący się włóczędzy nie zwracali niczyjej uwagi. Od chłopów udających się do miasta kupił trochę sera dla siebie i siano dla Turka, a potem odprężył się, położył wśród kręcących się przy bazylice trędowatych, epileptyków i wariatów i zasnął. Obudził się dwie godziny przed świtem.

Kiedy zrobiło się wystarczająco jasno, żeby ruszyć w dalszą drogę, dołączył do tysięcy wieśniaków, jak co rano wiozących na targ jarzyny, mleko, jajka, mięso, ryby i siano. Tłum

był większy, niż Jack pamiętał, i droga do miasta zajęła im więcej czasu. Przy bramie St.-Denis panował nieopisany ścisk, postanowił więc spróbować szczęścia przy odległej o strzał z muszkietu bramie St.-Martin. Zanim udało mu się przez nią wjechać do Paryża, słońce pięknie oświetliło jej nowiuteńką ozdobę: kamienna rzeźba przedstawiała króla Ludwiczkę jako półnagięgo młodzieńca o posturze Herkulesa, nonszalancko wspartego na wielkiej jak drzewo maczudze – półnagięgo, ponieważ na głowie miał perukę wielkości gradowej chmury, a przez ramię przerzuconą lwią skórę, której koniuszek ledwie ledwie przesłaniał monarszego penisa. Z nieba sfruwała Wiktoria z naręczem palmowych liści i trzymanym w wyciągniętej ręce wieńcem laurowym, mającym zaraz spocząć na gigantycznej peruce. Królewska stopa wspierała się na zdeformowanym ciele jakiegoś przeciwnika, który najwyraźniej został sprany na kwaśne jabłko, a w tle płonęła olbrzymia Tower.

– Niech cię szlag, Ludwiczku – mruknął pod nosem Jack, przechodząc przez bramę.

Czuł, że instynktownie kurczy się w siodle. Pędził przez Francję jak szatan, żeby uniknąć tego efektu, ale podróż i tak zajęła mu kilka dni. Ogrom kraju – zwłaszcza w porównaniu z maleńkimi niemieckimi księstwami czy prowincjami Republiki Holenderskiej – sprawiał, że kiedy wreszcie dotarło się do Paryża, nie można było nie skulić się przed królewskim majestatem.

Ale mniejsza z tym – grunt, że był w Paryżu. Z lewej strony słońce wschodziło nad basztami i bastionami Temple, świątyni, która dawniej, za czasów kawalerów maltańskich, stanowiła niemal odrębne miasto. Ostatnio zburzono opasujący ją mur, ale i tak niemal ze wszystkich stron ściany z białego kamienia ograniczały Jackowi widoczność – paryskie domy, liczące po pięć i sześć pięter wznosiły się po obu stronach ulicy, kanalizując ruch ludzkiej masy i kierując wieśniaków, handlarzy ryb i kupców z ładunkami kwiatów, pomarańczy i ostryg w wąskie zaułki, gdzie zażarcie walczyli o jak najlepsze miejsce, usiłując nie wpaść przy tym do poprowadzonego środkiem uliczki rynsztoka. Niedaleko od bramy większość handlarzy odbijała w prawo, w stronę ogromnego targowiska Les Halles, odsłaniając w ten sposób – na ile to w Paryżu możliwe – widok na Sekwanę i Île de la Cité.

Jack nabrał podejrzeń, że szef policji króla Ludwiczka, który nieszczęśliwie wypatrzył go przy bramie, posłał za nim swojego agenta. Wiedział, że nie wolno mu się odwracać, ale obserwując twarze mijanych przechodniów (zwłaszcza mętów), wyczytał z nich najpierw zaskoczenie, a potem strach. Dopóki prowadził ogromnego bojowego rumaka, nie bardzo miał jak wtopić się w tłum, ale mógł przynajmniej zadbać o to, żeby nie opłacało się go śledzić. Les Halles świetnie nadawało się do tego celu, skręcił więc śladem handlarzy w prawo. Gdyby wybrał opcję bardziej widowiskową – czyli dosiadł Turka i zaczął wymachiwać szablą – skończyłby przykuty do wiosła w Marsylii. Prawdę mówiąc, niewiele było dróg wyjazdowych z Paryża, które nie zaprowadziłyby go na galery.

W Les Halles człowiek idący za Jackiem stał się obiektem ordynarnych obelg handlarek ryb; Jack słyszał, że porównują wąsy jego prześladowcy do zarośniętych pach przedstawicieli

różnych pogańskich ras. Rozeszła się – i spotkała z powszechną aprobatą – wieść, że policjant ów stanowczo zbyt dużo czasu poświęca seksowi oralnemu z dużymi zwierzętami gospodarczymi, które w dodatku nie grzeszą przesadną higieną. Poza tym jednak francuski Jacka był albo zbyt słaby, albo za mało wulgarny. Przeszedł przez Les Halles kilka razy w tę i z powrotem, mając nadzieję, że deptający mu po piętach agent znudzi się i zniechęci tłumem, smrodem nieświeżych ryb i wyzwiskami, ale nic z tego nie wyszło. Jack kupił bochenek chleba, żeby wyjaśnić, czego szukał na targowisku (gdyby komuś przyszło do głowy go o to zapytać), oraz pokazać, że nie jest włóczęgą bez grosza przy duszy. A poza tym był głodny.

Zwrócił się plecami do słońca i zaczął kluczyć, przemykając małymi uliczkami w stronę Rue Vivienne. Policja chciała go aresztować za kręcenie się po Paryżu bez ważnego powodu, co w normalnych okolicznościach byłoby zgodne z prawdą – tak bardzo zgodne, że sam Jack zdążył chwilowo zapomnieć, iż tym razem ma powód.

Na ulicach przybywało wędrownych handlarzy – sprzedawca sera wiózł na czymś w rodzaju taczek ogromną bryłę pociętego sinymi żyłkami towaru; sprzedawca musztardy niósł małe wiaderko z pokrywką i chochlą; liczni muskularni *porteurs d'eau* podzwaniiali drewnianymi kubeczkami zawieszonymi na opasujących ich ciała uprzężach; mleczarz niósł na plecach kosz wypełniony osełkami masła. Tłum gęstniał z każdą chwilą i Jack wiedział, że sytuacja będzie się pogarszać do chwili, aż ciżba całkowicie go unieruchomi. Musiał się pozbyć Turka.

Nie było to trudne, bo stajnie znajdowały się dosłownie na każdym kroku. Od wejścia do miasta zdążył już minąć kilka, a wozy z sianem blokowały zaułki i wypełniały je narkotycznym aromatem. Jack podążył za jednym z nich do stajni, ulokował w niej Turka i opłacił mu kilkudniowy pobyt.

Wyszedł drugim wyjściem i znalazł się na otwartej przestrzeni – na środku placu stał (cóż za niespodzianka!) posąg króla Ludwiczka. Na postumencie pomnika z jednej strony umieszczono płaskorzeźbę, na której Ludwiczek dowodził szarżą kawalerii forsującej jakiś kanał (albo może Ren), a z drugiej – przedstawienie sali pałacowej, gdzie Ludwiczek zasiadał na tronie, a królowie i cesarze Europy ustawiali się w kolejce do wyczałowania jego wysokich butów.

Jack musiał trafić na właściwy trop, ponieważ coraz częściej spotykał kupców oferujących towary lepszego sortu – księgarzy, którzy wypisali swoją ofertę na noszonych nad głową tabliczkach; cukiernika z małą wagą w ręce; sprzedawcę *eau-de-vie* z kieliszkiem i koszem małych buteleczek; handlarza pasztetów z czymś na kształt palety, na której były rozsmarowane różne odmiany jego produktów; oraz liczne pomarańczarki. Każde z nich zachwalało swój towar w sposób charakterystyczny dla jego – lub jej – fachu, przez co przypominali ptaki różnych gatunków, wydające różnorakie zawołania godowe. Jack wyszedł na Rue Vivienne, która zaczynała się upodabniać do Amsterdamu – elegancy panowie różnych narodowości przechadzali się po niej i prowadzili poważne rozmowy, zarabiając na

wymianie słów. Przypominała jednak również dzielnicę księgarzy w Lipsku: wozy pełne książek (wydrukowanych, lecz jeszcze nie oprawionych) znikwały w szczególnie efektownym gmachu, będącym królewską biblioteką.

Przekuśtykał jedną stronę ulicy, wrócił drugą, aż wreszcie znalazł Dom pod Żłotą Fregatą, ozdobiony rzeźbą okrętu wojennego. Było oczywiste, że jej twórca w życiu nie widział morza na własne oczy, ponieważ fregata wyszła mu nienaturalnie zdeformowana i miała stanowczo zbyt wiele pokładów działowych – ale i tak wyglądała niczego sobie. Na schodkach przed drzwiami stał jakiś Włoch i właśnie wkładał do zamka ręcznie kuty żelazny klucz, opatrzony mnóstwem niezwykłych wypustek i wybrzuszeń.

– Signor Cozzi? – zapytał Jack.

– *Si* – odparł Włoch, tylko trochę zdumiony, że zagaduje go jakiś kuternoga.

– Wiadomość z Amsterdamu – powiedział Jack po francusku. – Od pańskiego kuzyna.

Nie musiał jednak dodawać tego drugiego zdania, gdyż signor Cozzi od razu rozpoznał pieczęć. Złamał ją, zostawiwszy klucz w zamku, i odczytał początek listu skreślonego pięknym pismem z delikatnymi zawijasami. Przechodząca kobieta z beczułką atramentu na plecach, zauważywszy jego zainteresowanie słowem pisanym, natychmiast złożyła mu propozycję natury handlowej. Zanim zdążył jej odmówić, tuż obok wyrosła druga przekupka, taszcząca antałek znacznie lepszego, a przy tym o wiele tańszego inkaustu. Handlarki zaczęły się klócić, a signor Cozzi skorzystał z okazji, otworzył drzwi, wskoczył do środka i spojrzał znacząco na Jacka, dając mu do zrozumienia, żeby wszedł za nim. Tym razem Jack nie mógł się powstrzymać – odwrócił się pierwszy raz od czasu przybycia do Paryża. I dostrzegł uzbrojonego mężczyznę w ciemnym płaszczu, właśnie znikającego w tłumie. Oto policjant, który przez pół dnia tropił posłańca niosącego wiadomość dla porządnego, uczciwego bankiera.

– Ktoś cię śledzi? – spytał signor Cozzi obojętnym tonem, jakim mógłby zapytać, czy Jack oddycha.

– Już nie.

Znaleźli się w jednym z tych miejsc obfitujących w *banca*, zamykane na kłódkę księgi i ciężkie skrzynie z monetami.

– Skąd pan zna mojego kuzyna? – zainteresował się Cozzi, nie pozostawiając Jackowi wątpliwości co do tego, że nie proponuje mu miejsca siedzącego. Sam zaś usiadł przy biurku, powymyślał z małego słoiczka pióra i zaczął uważnie oglądać ich końcówki.

– Pewna dama, którą znam... eee... zaprzyjaźniła się z nim. Kiedy dowiedział się od niej, że wybieram się do Paryża, dał mi ten list.

Cozzi zapisał coś sobie, otworzył szufladę biurka i zaczął grzebać w leżących w niej monetach.

– Napisano tu, że gdyby pieczęć wyglądała na naruszoną, powinienem odesłać cię na galery.

– Spodziewałem się tego.

– A gdyby pieczęć była nietknięta, ty zaś dostarczyłbyś mi list nie później niż czternaście dni od dnia, w którym został napisany, mam ci dać luidora. Przy dziesięciu dniach należałyby ci się dwa luidory, a za każdy dodatkowo zaoszczędzony dzień mam ci wypłacić jeszcze jednego. – Na dłoń Jacka spadło pięć złotych monet. – Jakim cudem udało ci się tego dokonać? Nikt nie przejechałby z Amsterdamu do Paryża w tydzień.

– Powiedzmy, że to tajemnica zawodowa.

– Padasz z nóg. Idź, prześpij się teraz, a kiedy będziesz wracał do Amsterdamu, zajrzyj do mnie. Może będę miał wiadomość dla kuzyna.

– Dlaczego uważa pan, że wybieram się tam z powrotem?

Cozzi pierwszy raz się uśmiechnął.

– Poznałem to po błysku w twoim oku, kiedy mówiłeś o tej znajomej damie. Zwariowałeś na jej punkcie, prawda?

– Prawdę mówiąc, wariuję z powodu kiły, ale rzeczywiście jestem chyba dostatecznie szalony, żeby wrócić.

* * *

Jackowi wystarczyłoby teraz pieniędzy, żeby zatrzymać się w jakimś przyzwoitym lokalu, ale nie miał pojęcia, gdzie takowego szukać ani jak się tam zachować, gdyby już jakiś znalazł. Przez ostatni rok nauczył się, że w gruncie rzeczy pieniądze niewiele znaczą. Bogaty wagabunda i tak pozostanie wagabundą, a wszyscy wiedzieli, że kiedy król Karol spędzał czas interregnum w Holandii, był bez grosza przy duszy. Jack powędrował więc do dzielnicy Marais. Poruszanie się po mieście sprowadzało się teraz do wciskania się w wąziutkie, efemeryczne luki między przechodniami, wśród których większość stanowili kupcy: sprzedawcy – w zależności od dystryktu – *peaux de lapins* (króliczych skórek), koszyków (ci nosili na plecach duże kosze wypełnione mniejszymi koszami), kapeluszy (zawieszonych na gałązkach małych, bezlistnych, wyrwanych z korzeniami drzewek) i *linge* (tę kobietę spowijał kłęb szali i koronek); w samym Marais zaroilo się od *chaudronniers*, dźwigających garnki i patelnie ponawlekane uchami na kije. Sprzedawcy octu pchali przed sobą beczki na kółkach, muzycanci przygrywali na dudach i lirach korbowych, cukiernicy wystawiali w szerokich, płaskich koszach ciepłe wypieki, których aromat przyprawiał Jacka o zawrót głowy.

Przedarł się w głąb Marais, do samego serca dzielnicy, znalazł wolny od tłumu załom muru pełniący rolę szaletu i zatrzymał się. Przez dobre pół godziny stał nieruchomo, wodząc wzrokiem ponad cizbą i nasłuchując, dopóki nie usłyszał wyczekiwanego okrzyku. Wszyscy na ulicy coś tam wykrzykiwali – najczęściej nazwę towaru na sprzedaż – i przez pierwsze dwie godziny włóczęgi po mieście Jack nie mógł się w tym jazgocie rozeznąć. Z czasem jednak nauczył się wychwytywać pojedyncze głosy, tak jak w tłumie bitwy wyłapywał

łoskot bębnow i dźwięk sygnałówek. Zdawał sobie sprawę, że u Paryżan umiejętność ta jest rozwinięta w stopniu wręcz niewiarygodnym – podobnie jak zmysł obserwacji u szefa policji, który z ludzkiej rzeki wlewającej się o świcie przez miejską bramę bezbłędnie wyłowił wagabundę. Nad tłumem poniósł się wysoki głos:

– *Mort-aux-rats! Mort-aux-rats!*

Jack spojrzął w tamtą stronę i bez trudu wypatrzył długą, prostą tyczkę, wznoszącą się nad głowami ludzi niczym pika niesiona na ramieniu żołnierza i obwieszoną truchłami kilkudziesięciu powieszonych za ogony szczurów. Świeżość zdobyczy była nieomylnym dowodem, że szczurołap nie próżnuje.

Jack zaczął się przepychać przez tłum, używając kuli – niczym złodziej łomu – do poszerzania wąskich przestrzeni międzyludzkich. Po krótkim pościgu dopadł świętego Jerzego i jak policjant położył mu dłoń na ramieniu. Wielu ludzi wypuściłoby w tej sytuacji wszystko z rąk i rzuciło się do ucieczki, ale ktoś, kto stał się żywą legendą w środowisku szczurołapów, nie mógł się bać własnego cienia. Święty Jerzy odwrócił się na pięcie; szczury na kiju zatoczyły w powietrzu piękny łuk, jak grupa idealnie zgranych linoskoczków.

– Jacques... – powiedział spokojnie, ale i bez przesadnego chłodu. – Więc jednak udało ci się uciec tym niemieckim wiedźmom.

– Bułka z masłem – odparł Jack, próbując ukryć najpierw zaskoczenie, a potem dumę z faktu, że wieść o jego przygodach dotarła już do Paryża. – To byli durnie. Dzieci we mgle. Co innego gdybyś to ty mnie gonił...

– Ale widzę, że wróciłeś do cywilizacji... Po co? – Wścibstwo było kolejną cechą cenioną wśród szczurołapów. Święty Jerzy miał orzechowe oczy i kręcone włosy barwy piasku; w dzieciństwie musiał wyglądać jak aniołek. Dorosłość wydłużyła mu kości policzkowe, jak również (jeśli wierzyć plotkom) inne części ciała w sposób znacznie mniej anielski. Jego głowa przybrała kształt lejka, który zbiegał się w parę wydatnych warg, a wytrzeszczone oczy wyglądały jak namalowane. – Wiesz przecież, że dla *passe-volante* nie ma tu już miejsca. Co cię sprowadza?

– Chciałem się z tobą zobaczyć.

– Przyjechałeś konno... Czuję to.

Jack postanowił nie zaprzeczać.

– Jak ty w ogóle możesz tu coś wywęszyć? Wszędzie śmierdzi ludzkim gównem.

Święty Jerzy odetchnął głęboko paryskim powietrzem.

– Gównem? Niby gdzie? Ktoś gdzieś narznął?

Ten specyficzny żart był dla Jacka sygnałem, że może w dowód przyjaźni ofiarować świętemu Jerzemu jakiś prezent. Po krótkich rokowaniach Jerzy zgodził się przyjąć dowód jego hojności, nie dlatego bynajmniej, że go potrzebował, lecz tylko i wyłącznie ze względu na fakt, że naturalną cechą natury ludzkiej jest potrzeba dawania, a kiedy takowa kogoś najdzie, przydaje się ktoś, kogo można obdarować. Powinnością zaś przyjaciela jest grać taką

rolę. Później przyszedł czas na negocjacje przedmiotu zakupu. Święty Jerzy próbował wysondować, ile Jack ma pieniędzy, a Jack starał się rozniecić jego ciekawość. Koniec końców z przyczyn taktycznych święty Jerzy przystał na prezent w postaci kawy, pod warunkiem wszakże, iż Jack kupi ją od konkretnego handlarza, niejakiego Christophera.

Szukali go przez następne pół godziny.

– Jest niewysoki...

– Dlatego trudno go znaleźć.

– Ale nosi czerwony fez ze złotym kutasikiem...

– Jest Turkiem?

– Jakże inaczej? Powiedziałem przecież, że handluje kawą, prawda?

– Ale Turek... Christopher?

– Nie zgrywaj się, Jacques... Nie zapominaj, że dobrze cię znam.

– Ale...

Święty Jerzy wywrócił oczami i odparł ostro:

– Wszyscy Turcy, którzy sprzedają kawę na ulicach, to w rzeczywistości Ormianie przebrani za Turków!

– Przepraszam. Nie wiedziałem.

– Nie powinienem być dla ciebie aż tak surowy – zmitygował się święty Jerzy. – Kiedy wyjeżdżałeś z Paryża, kawa nie była jeszcze taka modna. Rozpowszechniła się dopiero po tym, jak Turcy, czmychnąwszy spod Wiednia, zostawili po sobie całe jej góry.

– W Anglii pija się ją, odkąd pamiętam.

– W Anglii to może być najwyżej ciekawostka, a nie moda – odparł święty Jerzy przez zaciśnięte zęby.

Szukali dalej. Święty Jerzy parł przez tłum jak fretka, która złapała trop. Mijali – między innymi – sprzedawców mebli, dźwigających na grzbiecie niewiarygodne konstrukcje z powiązanych razem krzesel i stołków; mleczarzy z bańkami mleka na głowach; *d'oublies* ze zgaszonymi latarniami, przygiętych pod ciężarem olbrzymich, ociekających szambem beczek; szlifierzy noży przy pracy. Jack, który musiał czasem brutalnie posłużyć się kulą, zaczynał nawet myśleć o tym, żeby wyjąć szablę. Eliza miała rację – w Paryżu dominował handel detaliczny. Ciekawe, że wiedziała o tym, chociaż nigdy tu nie była, w przeciwieństwie do niego, który – choć z przerwami – spędził w Paryżu ładne kilka lat...

Postanowił bardziej skupić się na świętym Jerzym. Tylko dzięki jego obwieszanej szczurami tyczce nie stracił go jeszcze z oczu – chociaż pomagał mu też fakt, że na widok szcurołapa ludzie wypadali ze sklepów i pokrzykiwali z okien, zabiegając o jego usługi. Ci, których stać było na utrzymanie stałych lokali handlowych, należeli do wąskiego grona przedstawicieli elitarnych profesji – krawców, kapeluszników i perukarzy, ale święty Jerzy wszystkich traktował jednakowo – zadawał każdemu serię dociekliwych pytań i odsyłał go z kwitkiem.

– Nawet arystokraci i uczeni za grosz nie rozumieją szczurów – stwierdził z niedowierzaniem. – Jak mam im pomóc, jeśli myślą w sposób tak preteoretyczny?

– Na początek mógłbyś im pomóc pozbyć się szczurów...

– Szczurów się nie pozbywa! Jesteś taki sam jak oni.

– Przepraszam, święty Jerzy, nie...

– Czy wagabundów ktoś się kiedyś pozbył?

– Pojedynczych okazji, owszem, ale...

– Dla ciebie to były pojedyncze okazy, ale dżentelmen by ich nie rozróżnił, tak jak nie rozróżnia szczurów, *n'est-ce pas?* Trzeba się nauczyć żyć ze szczurami.

– Nie licząc tych, które zawisły na twojej tycy, tak?

– Powiedzmy, że to była taka pokazowa egzekucja. A truchła są jak głowy skazańców zatknięte na pikach przy bramie miasta.

– Żeby odstraszyć *les autres?*

– Właśnie, Jacques. Te szczury były dla reszty tym, kim ty jesteś dla wagabundów.

– Jesteś nazbyt uprzejmy, Jerzy, doprawdy... Pochlebiasz mi.

– To najsprytniejsze sztuki, te, które wcisnęłyby się w najmniejsze dziury i spenetrowały najciaśniejsze ścieki, te, które mogłyby powiedzieć zwyczajnym szczurom: przegryźcie się przez tę kratę, *mes amis*. Przytrzecie sobie wprawdzie trochę zęby, ale po drugiej stronie czeka was prawdziwa uczta! To byli szczurzy mędrcy, Magellanowie...

– Martwi Magellanowie.

– Martwi, bo o jeden raz za dużo zagrali mi na nerwach. Innym darowuję życie. Ba, nawet pozwalam się rozmnażać!

– Niemożliwe!

– W niektórych piwnicach, bez wiedzy ich właścicieli, utrzymuję prawdziwe szczurze seraje, w których moi faworyci mogą do woli oddawać się prokreacji. Niektóre rody hoduję od stu pokoleń. Tak jak hodowca psów tworzy rasy ostre wobec obcych, lecz posłuszne właścicielowi...

– Tak ty stworzysz szczury, które słuchają świętego Jerzego.

– *Pourquoi non?*

– Skąd pewność, że to nie one ciebie wyhodowały?

– Jak to?

– Twój ojciec też był *mort-aux-rats*, prawda?

– I ojciec, i dziadek. Niech Bóg zachowa w opiece ich dusze. Obaj umarli na zarazę.

– To ty tak uważasz. A może to szczury ich zabiły?

– Drażnisz mnie. Ale twoja teoria brzmi intrygująco...

– Może to ty, święty Jerzy, jesteś owocem programu hodowlanego. Pozwolono ci żyć, rozwijać się i mieć potomstwo, ponieważ twoja teoria pasuje szczurom.

– Przecież nadal je zabijam. I to sporo.

– Zabijasz tylko te głupiutkie. Bezmyślne.

– Rozumiem cię, Jacques. Dla ciebie mogę być *mort-aux-rats* za darmo. Ale dla nich...

Święty Jerzy dyskretnie wskazał mężczyznę w doskonałej peruce, który bezskutecznie próbował go zwabić do siebie. Wyglądał na załamane. Nagle jednak szczurołap zmiękł i skręcił ku wąskim drzwiom, umieszczonym tuż obok witryny perukarza i bardziej przypominającym właz niż prawdziwe drzwi do domu. Właz otworzył się z impetem i oczom przechodniów ukazał się krągły mężczyzna, mierzący pięć stóp wzrostu, z sumiastym wąsem, w pantoflach z wywinętymi noskami. Schodził po schodach niewiele szerszych od niego samego, a poprzedzał go przypięty do ciała dymiący i parujący przyrząd z kutej miedzi.

Kiedy Christopher (on to bowiem był) stanął w promieniach słońca (a przy każdej okazji próbował tak się ustawić), złociste światło zaśniło na błyszczącej miedzi, zawisło w obłoku pary, zamigotało w kutasiku zdobiącym fez i błysnęło w haftowanych pantoflach i mosiężnych guzikach, nadając mu niezwykle dostojny wygląd. Przypominał chodzący meczet. W pół zdania przechodził z francuskiego na hiszpański, z hiszpańskiego na angielski i z powrotem, twierdził, że wie wszystko o Jacku Shaftoe (do którego zwracał się per *l'Emmerdeur*) i usilnie próbował za darmo poczęstować go kawą. Wyjaśnił, że właśnie uzupełnił na piętunku zapas wrzątku, przez co baniak bardzo mu ciąży. Święty Jerzy zawczasu uprzedził Jacka, że może się spodziewać takiej oferty ze strony Christophera, który „będzie próbował wysondować, ile masz pieniędzy”, toteż zdążyli przeciwiczyć kilka możliwych scenariuszy negocjacji ceny kawy. Zaplanowali, że Jack będzie się targował, a święty Jerzy trzymał się w pobliżu, by w dogodnej chwili wypalić, że Jack szuka noclegu. Jack nie musiał mu nawet tego mówić – święty Jerzy dobrze wiedział, że kiedy ktoś zaczyna go w Marais, chodzi o znalezienie lokum. Ze względu na charakter swojej pracy bywał we wszystkich okolicznych domach, a zwłaszcza w takich ich zakamarkach, jakie szczególnie interesowały ludzi pokroju Jacka.

Przyjęcie kawy bez zapłaty byłoby dyshonorem; przepłacenie zhańbiłoby Christophera, gdyż sugerowałoby, że należy do ludzi, którzy pożądamy czegoś tak przyziemnego i niegodnego jak pieniądze; prosta zgoda na uczciwą cenę wystawiałaby Jackowi fatalne świadectwo – wyszedłby na półgłówka i oskarżył Christophera o podobne ograniczenie. Co innego zajadłe targi – te dopiero odsłaniały prawdziwą duszę człowieka i łączyły sprzedawcę i nabywcę prawdziwie braterskimi więzami. Koniec końców dogadali się, co z wielką ulgą przyjął perukarz, który mógł tylko załamywać ręce, patrząc, jak jednonogi wagabunda, gruby niby-Turek i szczurołap wydzierają się na siebie przed jego sklepem, płosząc mu klientów. Święty Jerzy również dobił z nim targu; Jack nie miał czasu ich podsłuchać, ale zorientował się, że Jerzy próbuje użyć swoich wpływów, by załatwić mu pokoik – albo przynajmniej kącik – na piętrze nad sklepem.

I tak też się stało – wypiwszy na ulicy ceremonialną filiżankę kawy, Jack pożegnał się ze świętym Jerzym (który miał do załatwienia niecierpiącą zwłoki sprawę w piwnicy) i

Christopherem (który z kolei miał kawę do sprzedania), przeszedł przez maleńkie drzwiczki i zaczął wchodzić po schodach. Minął zakład perukarski na parterze, mieszkanie właściciela – a przynajmniej jego najelegantsze części, czyli salon i jadalnię – na pierwszym piętrze, rodzinne sypialnie na drugim i pokoje służby na trzecim. Następne było lokum, które podnajął jakiś przyjezdny drobny kupiec. W miarę jak pięter przybywało, jakość mieszkań spadała na łeb, na szyję. Na dole ściany i stopnie były z litego kamienia; później były schody drewniane, a ściany z drewna krytego tynkiem. Im wyżej Jack się wspinał, tym liczniejsze stawały się rysy i pęknięcia w tynku, który wkrótce powybrzuszał się i zaczął odłazić z rusztowania; schodnie poczęły skrzypieć i uginać się pod ciężarem Jacka. Na najwyższym poziomie tynku nie było już wcale, a luki między deskami utkano pękami słomy i plecionką z wierzbowych witek. W zajmującej całe piętro ogromnej izbie, częściowo podzielonej wspornikami dachu, mieszkała rodzina Christophera – nieprzeliczona rzesza Ormian, siedzących bądź leżących na pękatych worach kawy. Drabina w kącie prowadziła na dach, gdzie stał nędzny szałas, ochrzczony dumnym mianem *entresol*. Rozwieszono w nim marynarski hamak, a kilka zsuniętych na kupę cegieł służyło za palenisko. Brunatna smuga na dachówkach poniżej antresoli sugerowała niedwuznacznie, gdzie poprzedni mieszkańcy szałasów załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne.

Wskoczywszy na hamak, Jack odkrył, że jego sprytni poprzednicy powybijali w ścianach liczne otwory, przez które można było obserwować okolicę. Zimą musiało być tu zimno, ale Jackowi szałas się spodobał – miał z niego rozległe widoki i dogodne drogi ucieczki – po dachach – w kilku kierunkach. Stryzek domu po drugiej stronie ulicy był oddalony od antresoli na odległość podobną do tej, która dzieliła dwa pokoje w mieszkaniu, ale rozdzielała je przy tym szczelina głęboka na dobre sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt stóp. Mniej więcej takiego kąta poszukiwał – chociaż bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak święty Jerzy zruga go, że mimo posiadania całkiem pokaźnych funduszy nie próbuje szukać czegoś lepszego. Słyszał rozmowy, czuł zapachy potraw i ciał mieszkańców domu naprzeciwko; leżąc w hamaku, obserwował ich, jak widz w teatrze aktorów. Wyglądało na to, że ma przed sobą zwyczajną kryjówkę dla prostytutek, które uciekły alfonsom, zbiegłych służących, kobiet, które zaszły w ciążę bez udziału męża, oraz młodych wieśniaków, którzy przybyli do Paryża w poszukiwaniu lepszego życia.

Próbował się zdrzemnąć, ale było wczesne popołudnie i tętniący wokół życiem Paryż nie dawał mu spać. Wyruszył więc na wycieczkę po dachach, zapamiętując po drodze skrzyżowania, skoki, kryjówki oraz miejsca, gdzie mógłby walczyć, gdyby szef policji się o niego upomniał. Budził powszechny lęk wśród mieszkańców mansard i facjatek, żyjących w wiecznym strachu przed obławą. Na górze nikt go nie niepokoił, jeśli nie liczyć łączących się w grupy nielicznych małych wagabundów i pokaźnej liczby szczurów-dachowców. Często natykał się na wystrzępione sznury i kruche gałęzie przerzucone w poprzek ulic, zbyt cienkie, żeby udźwignąć człowieka, ale chętnie wykorzystywane przez szczury. Gdzie indziej sznury leżały

elegancko zwinięte, a gałęzie czekały ukryte w rynnach. Jack domyślił się, że to święty Jerzy rozkłada je i zdejmuje, sterując w ten sposób migracjami szczurów – zupełnie jak generał, który w jednym spornym rejonie każe zburzyć most, a w innym zbudować tymczasową przeprawę.

W końcu zszedł na sam dół i stwierdził, że znalazł się w lepszej dzielnicy, nad rzeką. Odruchowo skierował się ku swoim ulubionym terenom przy Pont-Neuf. Lepiej było trzymać się ulicy (osobnicy biegający po dachach nie cieszyli się szacunkiem mieszkańców), ale wciśnięte między kamienne mury uliczki były ciemne i wąskie. Balkony, sterzące na ponad pół szerokości zaułka, skutecznie zasłaniały widok. Do domów prowadziły olbrzymie, łukowato zakończone i okute żelazem wrota. Kiedy zdarzyło się, że jakiś służący otwierał lub zamykał drzwi, Jack zwalniał kroku i zerkał w głąb ocienionego przejścia, wychodzącego na słoneczny dziedziniec do połowy wypełniony kaskadami kwiatów i zraszającymi je gulgoczącymi fontannami. Ale drzwi szybko się zamykały. Dla Jacka i wielu innych przechodniów Paryż pozostawał zatem labiryntem głębokich okopów o pionowych ścianach, ozdobionych u góry przewiewnymi blankami – albo, jeśli spojrzeć na to inaczej, największym na świecie zbiorem zamkniętych drzwi.

Jack minął posąg przedstawiający Ludwiczka w rzymskiej zbroi, z odsłoniętym pępkiem. Z jednej strony postumentu skrzydłata Wiktoria rozdawała chleb ubogim, z drugiej anioł z ognistym mieczem i tarczą ozdobioną trzema liliami, mający za plecami wojującą krzyżem i opłatkami Przenajświętszą Dziewicę, atakował i zwyciężał gadokształtne demony, które padały na stos ksiąg podpisanych nazwiskami (Jack nie musiał umieć czytać, żeby to wiedzieć) Lutra, Wiklefa, Husa i Kalwina.

Odsłaniało się coraz więcej nieba. Czując, że zbliża się do Sekwany, Jack przyspieszył kroku i znalazł się na skraju Pont-Neuf. Francuskie słowo „pont” oznaczało stworzony ludzką ręką kamienny przesmyk łączący przeciwległe brzegi rzeki, oparty na łukach, pod którymi swobodnie przepływała woda. Podpory stały w nurcie, prując go swoimi ostrymi krawędziami. Górą biegła brukowana ulica, z obu stron obstawiona domami (tak jak wszystkie paryskie ulice), przez co można było się nawet nie domyślić, że człowiek przekracza rzekę – chyba że rodowity paryżanin by mu to powiedział. Pont-Neuf był jednak inny – nie stał na nim ani jeden dom, zdobiły go tylko setki rzeźbionych głów pogańskich bogów i bogiń, dzięki czemu roztaczał się z niego rozległy widok. Jack wszedł więc na most, żeby się rozejrzeć. Zresztą nie on jeden wpadł na taki pomysł.

Popołudniowe słońce oświetlało tyły domów na zbudowanym w górze nurtu Pont au Change; z ich okien i innych otworów płynął nieprzerwany strumień odchodów, cierpliwie wchłaniany przez Sekwanę. Ostre kamienne nabrzeża przesłaniała nie rzednąca ani na chwilę cizba łodzi i barek. Te właśnie dobijające do brzegu wywoływały burzliwe poruszenie wśród oczekujących, którzy mieli nadzieję najać się za tragarzy. Niektóre barki przywoziły kamienne bloki wyrąbane w kamieniołomach gdzieś w górze rzeki; cumowały przy

specjalnych nabrzeżach z dźwigami zaopatrzonymi w olbrzymie, podwójne koła łopatkowe, napędzane siłą mięśni ludzi, którzy – zamknięci w ich wnętrzu – wspinali się po łopatkach jak po schodach. Obrót kół przenosił się za pośrednictwem przekładni na bęben, a na niego nawijała się lina, przechodząca przez blok na końcu, długiego jak pień drzewa, ramienia dźwigu. Po podniesieniu monolitu z barki cały dźwig, razem z kołami łopatkowymi i napędzającymi je ludźmi, obracał się wokół własnej osi i kamienny blok lądował na lądzie, na masywnym wozie.

Gdzie indziej tę samą energię zużyto by na produkcję beczki masła albo zgromadzenie tygodniowego zapasu chrustu; tutaj chodziło o to, żeby dźwignąć blok o kilka cali i przewieźć go do miasta, gdzie inni robotnicy dźwigali go jeszcze wyżej, dzięki czemu paryżanie mieszkali w pokojach wyższych niż szerszych i mieli w nich okna wyższe od drzew, które przez nie oglądali. Paryż był miastem z kamienia – białego jak kość, pięknego i twardego; człowiek mógł się rzucić z impetem na taką ścianę i nie zostawiłby na niej najmniejszego śladu. Jack miał wrażenie, że to miasto zbudowano, kierując się prostą zasadą: Chcąc dokonać rzeczy niemożliwej, musisz dysponować kilkudziesięcioma milionami chłopów, osiedlić ich na najlepszych gruntach na świecie, a następnie przez tysiąc lat grabić i gwałcić do nieprzytomności. Wtedy zrobią wszystko, co im każesz.

Z prawej strony, również powyżej Pont-Neuf, znajdowała się Île de la Cité, na której stłoczono najważniejsze gmachy Paryża. Dominowały nad nią bliźniacze kanciaste wieże Notre Dame i bliźniacze okrągłe wieże Conciergerie, obiecujące zbawienie lub potępienie, niczym sztukmistrz proszący Jacka o wybranie karty, z której wywróży mu przyszłość. Na wyspie stał również Palais de Justice – potwór z białego kamienia, ozdobiony szykującymi się do ataku orłami.

Po moście przebiegł pies, próbując uciec od łańcucha, który ktoś przywiązał mu do ogona. Jack niespiesznie przeszedł na drugą stronę Sekwany, opędzając się od niezliczonych szarlatanów, żebraków i prostytutek. Odwróciwszy się, spojrzął w dół rzeki, w stronę Luwru, gdzie zwykł mieszkać król dopóki nie wybudowano mu Wersalu. W ogrodzie Tuileries, który właśnie zniknął w wydłużonym cieniu zachodniego odcinka miejskich murów, królewscy ogrodnicy torturowali posadzone w równiuteńkich rządkach drzewa, gdy tylko te dopuściły się jakiegoś odchylenia od idealnej formy.

Jack stał oparty plecami o nagrany mur, gdy nagle tuż przy uchu usłyszał cichy szelest. Odwrócił się. W kamieniu widniał spłaszczony odcisk małego zwierzątka. Dla tego rodzaju skały nie było to nic niezwykłego – ot, jeszcze jeden dziw natury, taki jak para zwierząt zrosnięta miednicami albo owca z dodatkową parą nóg. Doktor miał na ich temat inną teorię – twierdził, że kiedyś były to normalne, żywe istoty, które zostały unieruchomione i na wieki uwiecznione w kamieniu. Teraz, w Paryżu, gdzie zewsząd napierały na niego ciężkie, kamienne bloki, Jack był skłonny mu uwierzyć. Znowu usłyszał ten cichy szmer. Przyjrzał się ścianie z bliska i w końcu zobaczył ruch – wśród starych muszelek i rybich szkieletów dostrzegł

maleńką ludzką postać, wtopioną w kamień, ale rozpaczliwie próbującą się z niego wydostać. Ludzik był wielkości jego małego palca – i miał rysy Elizy.

Jack obrócił się na pięcie i ruszył przez Pont-Neuf w stronę Marais i swojej antresoli. Starał się patrzeć tylko na przesuwające mu się pod stopami brukowce, ale i w nich zwidywały mu się żywe stworzenia. Kiedy podnosił wzrok, otaczali go kupcy sprzedający ludzkie głowy. Zadzierał głowę – i widział na niebie anioła, trzymającego w ręce przypominający *kienspan* ognisty miecz i złowieszczo zniżającego lot nad miastem. Jack usiłował się skoncentrować na zdobiących most kamiennych głowach bóstw, ale i one ożywały, i krzyczały do niego, żeby uwolnił je z kamiennych oków.

Jack zaczynał popadać w obłęd. Nieszczerólnie pocieszał go fakt, że wybrał sobie najlepsze do tego celu miasto.

Paryż

Zima 1684-1685

Ormianie mieszkający nad perukarzem – a pod Jackiem – nie uznawali chyba żadnych pośrednich stadiów znajomości pomiędzy mordowaniem obcych i przyjmowaniem ich do rodziny. Ponieważ zaś Jack miał rekomendację świętego Jerzego, a ponadto uwierzył w ich oczach rasowymi targami o kawę z Christopherem, nie bardzo mogli go zabić. W ten sposób stał się trzynastym z trzynastu braci – przyszywanym, nieco wyalienowanym, trochę przygłupim, mieszkającym na antresoli, znikającym i wracającym dziwnymi drogami i o dziwnych porach, a w dodatku nieznanym języka. Ale matki rodziny, madame Esphahnian, jego zwyczaje zupełnie nie martwiły. Właściwie nic jej nie martwiło, poza sugestiami, że coś ją martwi lub – czysto teoretycznie – martwić by mogło. Słyszając podobne zarzuty, madame Esphahnian otwierała ze zdumienia usta i przypominała, że urodziła i wychowała dwunastu synów, więc doprawdy nie rozumie, na czym miałyby polegać nieoczekiwana trudność. Christopher i bracia nauczyli się nie zawracać jej głowy. Jack również szybko przywykł do poruszania się po dachach, aby uniknąć konieczności żegnania się z madame przy każdym wyjściu i witania przy każdym powrocie. Matrona – co oczywiste – nie znała angielskiego ni w ząb, a francuski w stopniu akurat wystarczającym do tego, by wszelkie próby wyjaśnienia jej czegokolwiek przez Jacka kończyły się barwnymi, groteskowym nieporozumieniami.

Pobyty Jacka w Paryżu niczym nie różnił się od innych etapów jego włóczęgi. Owszem, pierwszy dzień zrobił na nim wrażenie, ale później ani się obejrzał, jak minął miesiąc, a zaraz potem drugi. Zanim doszedł do wniosku, że czas ruszać w dalszą drogę, zrobiło się zbyt zimno, żeby poważnie myśleć o podróży na północ. Tłum na ulicach gęstniał coraz bardziej; do miasta napływali kudłaci sprzedawcy drewna, przybyli z takich okolic Francji, w których

rozszarpanie przez dzikie zwierzęta nadal stanowiło główną przyczynę zgonów. Roztrącali przechodniów jak kręgle i stanowili powszechne zagrożenie, zwłaszcza gdy doszło między nimi do bójk. Mieszkańcy facjatki mieszczącej się naprzeciw antresoli Jacka zaczęli wyprzedawać się na galery, żeby tylko trafić w cieplejsze strony.

Niezwykłe wizje, dzięki którym pierwszy dzień w Paryżu tak zapadł mu w pamięć, ulotniły się po solidnie przespanej nocy i zwykle go nie nawiedzały, dopóki nie był bardzo zmęczony albo bardzo pijany. Leżąc w hamaku i zerkając przez dziurę w ścianie na sąsiedni stryszek, codziennie miał ochotę dziękować świętemu Jerzemu, że nie umieścił go w lokalu targanym wiecznymi epidemiami tyfusu, niepokojonym obławami policji i przygnębiającym wskutek rodzących się w nim co rusz martwych dzieci. Nie brakowało tam zresztą i innych problemów. Zdarzało się na przykład, że jednego dnia na poddaszu zjawiały się młode kobiety (zbiegłe służące), a dzień później wyrzucano je stamtąd siłą, zapewne po to, by wywlec je za bramy miasta, wychłostać i z ogolonymi głowami odesłać na wieś. Innym rozwiązaniem była dyskretna umowa kobiet z inspektorem, dzięki której Jack mógł później rozkoszować się odgłosami i (przy sprzyjającym wietrze) aromatami, towarzyszącymi zaspokojeniu cielesnych żądz policjanta w sposób, który dla Jacka był już niedostępny.

Przypomniawszy sobie o strusich piórach i zabrał się do ich sprzedaży na swój ulubiony sposób – czyli zaczął szukać kogoś, kto sprzeda je za niego. Kiedy pomieszkawszy na antresoli dwa tygodnie, nie przejawiał najmniejszej ochoty do przeprowadzki, Artan (najstarszy z braci Esphahnianów) zagadnął go, czym właściwie zamierza się zająć w Paryżu; dał mu przy tym jasno do zrozumienia, że odpowiedzi typu „będę włamywaczem” albo „zostanę seryjnym gwałcicielem” są absolutnie do przyjęcia – po prostu rodzina chciałaby wiedzieć, z kim ma do czynienia. Aby podkreślić zaufanie, jakim darzą Jacka, Artan przedstawił mu sagę rodu Esphahnianów.

Otóż wyglądało na to, że Jack wpakował się prosto w czwarty lub piąty akt dramatu – nie komedii, nie tragedii, lecz kroniki historycznej, której początki sięgały tysiąc sześćset czterdziestego czwartego roku, kiedy to monsieur Esphahnian *père* w 1644 przywiózł do Marsylii pierwszy ładunek kawy. Towar był wart fortunę. Trzon rezydującego w Persji rodu Esphahnianów zainwestował w ten transport znaczną część zysków z handlu z Indiami. Ziarna mokki przepłynęły przez Morze Czerwone i trafiły do Afryki, gdzie łodem i Nilem podążyły do Aleksandrii, skąd trafiły do Francji. Ale do rzeczy: tata Esphahnian sprzedał kawę i sporo na niej zarobił, ale – niestety – w peso i realach, a więc walucie hiszpańskiej. Dlaczego? Dlatego że w tamtym okresie Francja cierpiała na chroniczny niedobór gotówki, więc nawet gdyby chciał, nie mógłby przyjąć zapłaty we francuskich pieniądzech. Po prostu ich nie było. A czemu? Ponieważ (w tym miejscu należało wyobrazić sobie Ormianina, który oburącz uderza się pięściami w głowę: *imbécile!*) hiszpańskie kopalnie srebra w Meksyku produkowały niewiarygodne ilości kruszcu...

– Wiem coś o tym – wtrącił Jack.

Nie udało mu się jednak wybić z rytmu Artana, który opowiadał właśnie o tym, jak na nabrzeżach Porto Belo usypywano całe hałdy srebra. Nic więc dziwnego, że wartość tego metalu gwałtownie spadła. Doprowadziło to do inflacji w Hiszpanii, gdzie używano srebrnych pieniędzy, a te nagle potaniały. Tymczasem we Francji wszyscy gromadzili francuskie monety w oczekiwaniu na przyszły wzrost ceny złota. Okazało się więc, że monsieur Esphahnian jest właścicielem błyskawicznie tracącej na wartości góry srebra. Powinien był pożeglować z nim do krajów Lewantu, gdzie srebro zawsze jest w cenie, ale tego nie zrobił. Udał się natomiast do Amsterdamu, spodziewając się dokonać tam błyskotliwej (choć niesprecyzowanej) transakcji, która pozwoliłaby mu zawiązką odzyskać stracony majątek. Los zrządził, że jego statek wpakował się na mieliznę i monsieur Esphahnian został wciągnięty w mielące wszystko żarna wojny trzydziestoletniej. Szwecja podbijała akurat Holandię, gdy statek Esphahniana zagrzebał się w piasku i znieruchomiał. Żeby nie przedłużać całej historii, Artan dodał tylko, że kiedy ostatnio widziano rodową fortunę Esphahnianów, zmierzała na północ, przytoczona do zadu szwedzkiego konia jucznego.

Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że wszystko to wydarzyło się w pierwszym akcie, a nawet wcześniej, w prologu. Prawdziwa sztuka teatralna zaczynałaby się od sceny, w której młody monsieur Esphahnian kuli się w wyrzuconym na plażę wraku, wypłuka z siebie pisane pentametrem strofy wstępu i patrzy w dal, ponad głowami widzów, jakby odprowadzał wzrokiem znikające na horyzoncie szwedzkie wojska.

Skutek był w każdym razie taki, że monsieur Esphahnian stracił łaski rodu. Udało mu się wrócić do Marsylii, zabrać madame Esphahnian, trzech (już trzech!) synów oraz jedną czy dwie córki (córki z chwilą wejścia w wiek dorosły wysyłano zwykle na wschód) i z czasem zdryfować aż do Paryża (koniec aktu I), gdzie od tamtej pory Esphahnianowie dokładali wszelkich starań, żeby rodzina w Isfahanie skreśliła ich z czarnej listy. Zajmowali się głównie sprzedażą kawy, ale mogli handlować czymkolwiek...

– Strusimi piórami też? – wypalił Jack prosto z mostu. Wątpił, by w obliczu takich spryciarzy jak Esphahnianowie okazał się wystarczająco cwany, żeby bawić się w podchody.

W ten właśnie sposób sprzedaż strusich piór, których półtora roku wcześniej na złodziejskim bazarze w Linzu mógł się pozbyć w mgnieniu oka, przerodziła się w intrygę o zasięgu ogólnoswiatowym, łączącą członków ormiańskiego rodu osiadłych w Paryżu, Londynie, Aleksandrii, Mokce i Isfahanie. Listy krążyły z miasta do miasta, gdy paryscy Esphahnianowie próbowali ustalić, jaki jest kurs strusich piór, czy wykazuje tendencję zwyżkową, czy niżkową, czym różnią się pióra klasy pierwszej od piór klasy drugiej, jak pióra klasy drugiej upodobnić do piór klasy pierwszej, i tak dalej. Jack nie miał w zasadzie nic do roboty na strusim froncie. Pozostało mu tylko czekać na informacje.

W całym tym zamieszaniu zupełnie zapomniał o swoim koniu. Kiedy w końcu odwiedził Turka, właściciel stajni szykował się właśnie do sprzedania go, żeby z zysku pokryć koszt

zjedzonego przezeń siana. Jack spłacił dług i zaczął się poważnie zastanawiać, w jaki sposób można zarobić na bojowym rumaku.

* * *

Dawniej poszedłby pokręcić się na Place Dauphine, zajmującym dolny cypelek Île de la Cité i znajdującym się dokładnie w połowie długości Pont-Neuf. Na placu wykonywano publiczne egzekucje, toteż zwykle działo się tam coś ciekawego – nawet kiedy akurat nikogo nie wieszano, w pobliżu kręcili się kuglarze, zonglerzy, lalkarze i połykacze ognia, a gdyby ich również zabrakło, zawsze można było pogapić się na szczątki tych, których powieszono przed tygodniem. W dni wielkich parad wojskowych arystokraci dowodzący różnymi oddziałami – a w każdym razie wynagradzani przez Ludwiczka za to, żeby nimi dowodzili – wylegali ze swoich *pied-à-terre* i *hôtels particuliers* na prawym brzegu Sekwany i kierowali się pod Pont-Neuf, aby zwerbować włóczęgów i tym samym uzupełnić stan liczebny ich jednostek. W ten sposób plac na kilka godzin przemieniał się w ożywiony targ, na którym handlowano żywym towarem. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk, świeżo upieczeni żołnierze dostawali zardzewiałe muszkiety i nowo sformowane regimenty maszerowały na lewy brzeg, witane wiwatami patriotycznie nastawionych widzów. Szły za dumnie kroczącymi rumakami dowódców za bramy miasta, mijaly plac, na którym przy pręgierzach zwisali drobniejsi przestępcy (nieprzytomni po chłóście) i docierały do znajdującego się pod murami St. Germain des Pres, ogromnego prostokąta klasztornych zabudowań, położonego na otwartym terenie, gdzie od czasu do czasu rozkładały się targowiska, na których handlowano rzadkimi towarami. Wojsko ruszało następnie w dół Sekwany. Po drodze mijalo jeszcze rezydencje kilku arystokratycznych rodów, ale domy stopniowo stawały się coraz niższe i coraz mniej ozdobne i ustępowały miejsca poletkom warzywnym i rabatom kwiatowym, uprawianym przez co zamożniejszych chłopów. Rzeki prawie nie było widać zza zalegających lewy brzeg stosów drewna i popakowanych w bele towarów. Kawalek dalej Sekwana zakręcała jednak na południe, rekruci przechodzili przez błonia przy Les Invalides (otoczony własnym murem i fosą) i trafiali na Champ de Mars, gdzie czekał już król Ludwiczek, przybyły z Wersalu na przegląd wojsk, który w tych czasach przed Martinetem sprowadzał się do policzenia żołnierzy. Dlatego też *passe-volantes* (jak nazywano takich ludzi jak Jack) stawali prosto (ci, którzy nie mogli utrzymać się na nogach, wspierali się na tych, którzy nie mieli podobnych kłopotów) i czekali, aż monarcha ich porachuje. Potem arystokraci dostawali swoje pieniądze, a *passe-volantes* rozpraszali się po licznych w tej okolicy tawernach i burdelach, by przepuścić żołd. Jack dowiedział się o tym procederze, jadąc z Bobem z Dunkierki do Waterloo. Bob walczył pod rozkazami Johna Churchilla u boku Francuzów, w Niemczech, gdzie zajmowali się głównie pustoszeniem okolic, które okazały się na tyle bezcenne, żeby graniczyć z *La France*, i skarżył się, że z powodu

podobnych praktyk wiele francuskich oddziałów ma w zasadzie zerową wartość bojową. Jack doszedł do wniosku, że tylko półgłówki mógłby przepuścić taką okazję.

Cała ta sytuacja stała się podporą Jackowej wizji Paryża, tak jak maszt jest podporą namiotu. W odniesieniu do Turka wiedza o mieście podpowiadała mu, że gdzieś w południowej części Marais, nad rzeką, mieszkają zamożni ludzie, którzy siłą rzeczy muszą handlować rumakami bojowymi, albo, jeśli mają choć odrobinę oleju w głowie, rozplodowymi ogierami. Porozmawiał z właścicielem stajni, w której trzymał Turka, i zaczął podążać śladem przybywających ze wsi wozów z sianem. Śledził również arystokratów wracających z parad na Champ de Mars, aż udało mu się ustalić, że na Place Royale znajduje się targ koński *par excellence*.

Było to jedno z miejsc znanych Jackowi i jemu podobnym wyłącznie jako puste przestrzenie między domami, odcięte od reszty miasta bramami, przez które czujny włóczykij może czasem dostrzec plamę rozświetlonej słońcem zieleni. Próbując dostać się do środka z różnych stron, Jack ustalił, że plac ma kształt kwadratu, że z każdego z czterech głównych kierunków geograficznych prowadzi do niego dwuskrzydłowa brama i że nad każdą bramą wznosi się wysoki, wspinały gmach. Na obrzeżach Place Royale znajdowały się *hôtels*, czyli – po parysku – prywatne posiadłości zamożnych arystokratów. Dwa razy w tygodniu plac przeżywał istny najazd, a w bramach robiły się zatory – wozy przywoziły siano i owies i wywoziły gnój, a oprócz nich w kolejce do wejścia tłoczyła się niewiarygodna liczba pięknych koni pod opieką pielęgnujących je i szczotkujących bez wytchnienia stajennych. Handel odbywał się też na pobliskich uliczkach, ale Jack nie miał wątpliwości, że jest to zaledwie marny pchli targ w porównaniu z wydarzeniami zachodzącymi na Place Royale.

Przekupił wieśniaka, żeby ten ukrył go pod sianem na wozie i przemycił do środka. Kiedy można było bezpiecznie wyjść, woźnica szturchnął go pod żebra trzonkiem wideł. Jack wygramolił się spod siana, ześliznął na ziemię i pierwszy raz od przybycia do Paryża stanął na żywej trawie.

Place Royale okazał się parkiem ocienionym kasztanowcami (przynajmniej w teorii, bo kiedy Jack go zobaczył, liście z drzew dawno opadły i zostały zgrabione). Na środku stał posąg ojczulka króla Ludwiczka, Ludwiczka XIII – oczywiście na koniu. Plac otaczały wsparte na kolumnach podcienia, podobne do tych z handlowych dziedzińców Lipska i amsterdamskiej giełdy, tylko znacznie większe i opatrzone wbudowanymi w tylną ścianę dwuskrzydłowymi drzwiami, prowadzącymi na mniejsze, prywatne podwórka. Zarówno pod samymi arkadami, jak i we wrotach zmieściłyby się nie pojedyncze konie, lecz cztero-, a może nawet sześciokonne zaprzęgi. Jack miał przed sobą miasto w mieście, zbudowane z myślą o ludziach tak bogatych i ważnych, że prawie nie zsiadali z koni lub nie wysiadali z powozów.

Inaczej nie dałoby się zresztą wytłumaczyć rozmiarów końskiego targu, w którego środku wylądował. Koni było tu nie mniej niż ludzi na paryskich ulicach; tylko w paru wydzielonych

sznurowym ogrodzeniem miejscach towar mógł spokojnie pobrykać i poddać się ocenie kupców. Każdy z koni na Place Royale wydałby się Jackowi najpiękniejszy na świecie, gdyby natknął się na niego na trakcie w Anglii czy Niemczech. Tutaj takie wierzchowce były zwyczajnie pospolite, a poza tym zostały wyczesane i wyszczotkowane do połysku, miały ufryzowane grzywy i ogony i w dodatku umiały wykonywać różne sztuczki. Niektóre nadawały się pod siodło, inne sprzedawano w dopasowanych grupach po dwa, cztery, nawet po sześć, żeby dobrze się prezentowały po zaprzężeniu do pojazdu. Jeden narożnik placu zajmowały ciężkie wojskowe rumaki, mogące bez wstydu paradować na Champ de Mars przed królem. Jack podszedł bliżej, ale nie znalazł ani jednego konia, za którego byłby gotów oddać Turka, gdyby miał w perspektywie walkę. Za to wszystkie tutejsze wierzchowce były znacznie bardziej wypielęgnowane i lepiej odkarmione niż Turek, którego od tygodni trzymano w stajni i z rzadka wyprowadzano na krótkie spacerki.

Jack wiedział, jak temu zaradzić. Zanim jednak opuścił Place Royale, podniósł wzrok i rozejrzał się po domach okalających targ, próbując dowiedzieć się czegoś o swoich potencjalnych klientach.

W przeciwieństwie do większości paryskich zabudowań, te domy zbudowano z cegły. Widok ten tak bardzo przypominał Jackowi starą, dobrą Anglię, że aż zrobiło mu się dziwnie ciepło na sercu. Gmachy wznoszące się nad bramami miały po dwa, trzy piętra, bardzo wysokie, strome dachy, liczne tarasy i mansardy o zasłoniętych koronkowymi firankami oknach. W tej chwili z powodu zimna okna były pozamykane na głucho, ale Jack z łatwością wyobraził sobie paryskiego miłośnika koni, który ma tu swoje *pied-à-terre* i może śledzić wydarzenia na rynku, nie wychodząc z domu.

Na którymś z pobliskich placów (dawno już pogubił się w ich gąszczu) widział kiedyś pomnik przedstawiający Ludwiczka wyruszającego konno na wojnę. Na bokach postumentu zostawiono puste miejsca na zilustrowanie zwycięstw, których jeszcze nie odniósł, i dopisanie nazw krajów, których jeszcze nie podbił. W ścianach części domów widniały z kolei puste nisze, czekające (co chyba każdy w Paryżu rozumiał bez słów) na przyjęcie posągów generałów, którzy poprowadzą królewską armię do przyszłych wiktorii. Jack musiał znaleźć człowieka, którego ambicją było zajęcie jednej z nisz, i przekonać go, że jeśli będzie miał między nogami Turka (lub któregoś z jego potomków), jego szanse powodzenia znacząco wzrosną. Najpierw jednak należało doprowadzić Turka do stanu używalności – czyli trochę na nim pojeździć.

Wychodził właśnie z Place Royale południową bramą, kiedy za jego plecami wybuchło zamieszanie. Usłyszał zgrzyt żelaznych obręczy kół na bruku, ostry tętent podkutych koni, poruszających się w nienaturalnie zgodnym rytmie, krzyki gapiów i warknięcia pieszych żołnierzy, nakazujących tym pierwszym zrobić przejście. Jack cały czas poruszał się o kuli (bał się stracić szablę z oczu, a nie mógł jej nosić na widoku), toteż okazało się, że przemieszcza się zbyt wolno. Służący w błękitnej liberii bezceremonialnie odepchnął go na

bok i powalił na ziemię, przez co „zdrowa” noga Jacka ugrzęzła po kolano w rynsztoku pełnym na wpół zastygłego gówna.

Jack podniósł wzrok i zobaczył jadące prosto na niego wierzchowce Czterech Jeźdźców Apokalipsy – tak mu się w każdym razie wydawało, ponieważ przez chwilę miał wrażenie, że ślepia lśnią im czerwonym blaskiem. Kiedy go jednak minęły, nieziemskie wizje zniknęły i Jack doszedł do wniosku, że oczy koni były po prostu różowe: cztery białe rumaki, białe jak śnieg (poza ślepiami i cętkowanymi kopytami), w uprzężach z białej skóry ciągnęły niezwykle pojazd, wyrzeźbiony i pomalowany w taki sposób, by do złudzenia przypominał białą muszlę na szczycie spienionej fali przemierzającej granatowy ocean. Powóz był przybrany złotymi girlandami, wieńcami wawrzynu, podobiznami cherubinów i syren.

Od razu przypomniał sobie opowieść Elizy – właśnie za takiego konia przehandlowano ją w Algierze!

Przeszedł przez pół miasta i znów trafił do Les Halles, gdzie handlarki – z udawanym przerażeniem na widok jego umazanej szambem nogi – obrzuciły go rybimi łbami, wykrzykując jakieś złośliwe wariacje na temat *par fume*.

Jack zaczął się rozpytywać, czy nie przychodzi czasem do Les Halles służący, który dla swojego pana kupuje wyłącznie zepsute ryby. Sądząc po twarzach przekupek, trafił z tym pytaniem w dziesiątkę, ale kiedy zmierzyły go wzrokiem od stóp do głów, jedna z nich prychnęła gardłowo, a potem na wyścigi zaczęły z niego kpić i radzić mu, żeby z takimi idiotycznymi gadkami pokuśtykał sobie do Les Invalides.

– Nie jestem żołnierzem – odparł. – Trzeba być durniem, żeby iść na wojnę i walczyć w imieniu bogaczy.

Ta odpowiedź spodobała się handlarkom, ale nadal były podejrzliwe.

– To kim w takim razie jesteś?

– *Passe-volante!*

– Wagabunda!

Jack postanowił spróbować taktyki, którą doktor nazwałby eksperymentalną.

– Jestem wagabundą, ale nie byle jakim. Stoi przed wami Jack Półkuśka we własnej osobie.

– *L’Emmerdeur!* – wykrztusiła natychmiast jedna z młodszych przekupek, nieco mniej paskudna od reszty.

Na chwilę zapadła cisza, ale zaraz odezwały się kolejne gardłowe chichoty.

– W tym miesiącu jesteś czwartym wagabundą, który się za niego podaje.

– I to najmniej z całej czwórki przekonującym...

– *L’Emmerdeur* jest królem wagabundów. Ma siedem stóp wzrostu!

– I zawsze chodzi z bronią, jak prawdziwy dżentelmen!

– Ma wysadzaną klejnotami szablę, którą zabrał samemu Wielkiemu Turkowi...

– Umie razić zaklęciami więdźmy i mieszać w głowach biskupom!

– A już na pewno nie jest jakimś nędznym kaleką, który ma tylko jedną nogę, i to w dodatku wymazaną *merde!*

Jack strząsnął cuchnące spodnie, zrzucił kalesony i pokazał swój Dowód Tożsamości. Potem odrzucił kulę i z gołym tyłkiem zaczął tańczyć skoczną gigę. Handlarki nie bardzo wiedziały, czy mdleć, czy wiwatować, a kiedy wreszcie doszły do siebie, zaczęły ciskać w niego garściami poczerńiałych miedziaków. To z kolei zwróciło uwagę żebraków i ulicznych grajków; jeden z nich zaczął nawet przygrywać Jackowi na *cornemuse*. Przy okazji stopami zgarniał monetki na stosik, a w razie potrzeby kopał nachalnych żebraków po głowach.

Przekonawszy się, że naprawdę mają do czynienia z Jackiem Półkuśką, przekupki jedna po drugiej zrywały się z miejsc, bryzgając na wszystkie strony deszczem srebrnych łusek z falbianiastych, umazanych rybimi wnętrzościami spódnic, i ruszały w tany. Jack nie bardzo miał do nich cierpliwość, ale korzystając z okazji szeptał każdej, która się zbliżyła, że gdyby tylko miał pieniądze, chętnie zapłaciłby za informację o arystokracie gustującym w zgniłych rybach. Zdążył jednak powtórzyć te słowa dwa, najwyżej trzy razy, zanim zamieszanie na drugim krańcu Les Halles podpowiedziało mu, że zbliża się szef policji, gotowy do demonstracji siły i wymuszenia wszelkich możliwych łapówek, przysług natury seksualnej i/lub darmowych ostryg, którymi przekupki mogłyby mu zapłacić za pobłażliwe potraktowanie tego niewybaczalnie zgiełkliwego incydentu.

Z Les Halles Jack udał się do stajni, zabrał z niej Turka i wypożyczył jeszcze dwa konie. Pojechał na Rue Vivienne, do Domu pod Żółtą Fregatą, zapowiedział, że udaje się do Lyonu, i zapytał, czy signor Cozzi nie ma żadnych wiadomości do przekazania.

Cozzi był zachwycony. W Domu pod Żółtą Fregatą roiło się tego dnia od podenerwowanych Włochów, którzy cały czas pisali listy i wypisywali weksle, oraz tragarzy, przynoszących (najprawdopodobniej) kasetki z pieniędzmi ze strychu i z piwnic. Na ulicy czekał mały tłumek gońców i bankierów, gubiących się w domysłach, co właściwie dzieje się w środku. Co Cozzi wie takiego, o czym oni nie mają pojęcia? A może tylko blefuje?

Włoch nagryzmolił coś na kawałku papieru, po czym – nie zadając sobie nawet trudu, żeby zalakować pismo – doskoczył do Jacka, złapał go za rękę (którą Jack najwyraźniej nie dość szybko wyciągnął) i wcisnął mu list w dłoń.

– Do Lyonu! – zawołał. – Nie obchodzi mnie, ile koni zajeździsz! Na co jeszcze czekasz?!

Jack miał właściwie ochotę wyjaśnić, że w ogóle nie zamierza zajeżdżać swojego konia, ale signor Cozzi nie był w szczególnie sentymentalnym nastroju. Dlatego też Jack obrócił się na pięcie, wybiegł z Fregaty i dosiadł Turka.

– Uważaj na siebie! – zawołał ktoś za nim. – Podobno *l'Emmerdeur* jest w mieście!

– Słyszałem, że tu zmierza – odparł Jack. – I że prowadzi armię wagabundów.

Jack miał nawet ochotę zostać i zabawić się jeszcze chwilę w podobnym stylu, ale ponieważ stojący w progu Cozzi zerkał na niego wilkiem, szarpnął pożyczone konie za uzdy,

pogalopował Rue Vivienne w sposób – miał nadzieję – należycie efektowny i skręcił w pierwszą przecnicę w lewo. Trafił prosto do Les Halles i celowo przemknął przez targ rybny, wywracany właśnie przez policję do góry nogami w poszukiwaniu kuternogi z krótkim przyrodzeniem. Mrugnął do przekupki i wyzwolił w ten sposób falę ekscytacji, która rozeszła się po targu jak ogień po prochowni – i już był w Marais, już mijał Place Royale. Lawirując wśród turkoczających wozów z gnojem, dotarł do Bastylia – kamiennego molocha z paroma tycimi okienkami i tłumem grenadierów na blankach najwyższego i najgrubszego muru w mieście murów. Bastylia stała nad fosą zasilaną wodą z Sekwany za pośrednictwem krótkiego kanału. Na przerzuconym przez kanał moście panował straszny ścisk, Jack zjechał więc nad rzekę i prawym jej brzegiem opuścił Paryż. Bał się, że Turek już poczuje zmęczenie, ale gdy koń zobaczył odsłonięte pola, runął naprzód jak burza, szarpiąc wodze i wywołując wściekłe parskanie obu luzaków.

Podróż do Lyonu zajęła mu trochę czasu; miasto leżało prawie pod granicą Włoch (pewnie dlatego mieściły się tam włoskie banki, pomyślał Jack), bądź też, jeśli spojrzeć na to inaczej, prawie pod samą Marsylią. Kraj, przez który przejeżdżał, był podzielony na niezliczone odrębne *pays*, każdy nakładał na podróżnych własne myto, zbierane zazwyczaj w gospodach przy skrzyżowaniach głównych dróg. Jack od czasu do czasu zmieniał konie, ciągle jednak miał wrażenie, że ściga się ze smukłym, szybkim, czarnym powozem zaprzężonym w cztery rumaki, który przemykał po tracie niczym skorpion. Wyścig był interesujący – co oznacza, że lider często się zmieniał – ale koniec końców okazało się, że postoje w gospodach i konieczność zmiany koni zbytnio opóźniają powóz i Jack pierwszy dotarł do Lyonu z nowiną – jakakolwiek ta nowina była.

List signor Cozziego odebrał genueński bankier w kolorowym stroju. Jack musiał go odszukać na rynku zupełnie innym niż paryskie targowiska – handlowano na nim ogromnymi zasobami węgla drzewnego, popakowanych w beły starych ubrań i surowej, niefarbowanej tkaniny. Bankier zapłacił Jackowi i przeczytał list.

– Jesteś Anglikiem?

– Tak. A co?

– Wasz król nie żyje.

Bankier odmaszerował do kantorka, skąd w ciągu następnej godziny wysłał gońców do Geny i Marsylii. Jack odprowadził konie do stajni, a potem włóczył się po Lyonie, pogryzając kupione na detalicznym targu suszone figi. Długo nie mógł się otrząsnąć: zmarł jedyny król, jakiego znał, Anglia zaś nagle stała się zupełnie innym krajem. Krajem rządzone przez papistę!

Haga

Luty 1685

Zawiewany słabymi podmuchami wiatru śnieg zdążył już zebrać się w małe zaspę wokół wiśniowych podeszew butów członków francuskiej delegacji. Z wąsów Anglików zwisały długie na cal sople. Eliza podjechała na łyżwach, wykręciła piruet i znieruchomiała, pełna podziwu dla (jak w pierwszej chwili pomyślała) olbrzymiej rzeźby. Oczywiście rzeźby rzadko noszą ubrania, ale ambasadorowie z orszakami (łącznie ośmiu Anglików i siódemka Francuzów) stali nieruchomo od tak dawna, że śnieg wniknął we wszystkie pory ich kapeluszy, peruk i płaszczy, upodabniając ich (zwłaszcza oglądanych z daleka) do zbiorowego posągu, topornie wykutego w jakimś nędznym, szarawym, gruboziarnistym materiale. Znacznie bardziej kolorowo (i cieplej) odziani Holendrzy zebrali się w małą grupkę, by obserwować całą scenę i zakładać się o drobne sumy, która z delegacji pierwsza przegra z mrozem. Tragarze i zbieracze chrustu trzymali chyba stronę Anglików. Lepiej ubrani jegomości, skłaniający się ku Francuzom, spacerowali, przytupywali, zabijali ręce i rozsyłali gońców na łyżwach do Stanów Generalnych i Binnenhofu.

Eliza była jedyną kobietą na łyżwach. Kiedy więc zatrzymała się na skraju kanału, zaledwie kilka jardów od dwóch stojących naprzeciw siebie pocztów, stopę lub dwie poniżej poziomu ulicy, zbiorowa rzeźba nagle ożyła. Lodowa skorupa pękła i osypała się z dźwięcznym dzwonieniem, gdy piętnaście francuskich i angielskich głów zwróciło się w stronę dziewczyny. Znowu nastąpił impas, ale zupełnie innej natury.

Najbardziej elegancki z Francuzów wzdrygnął się. Wszyscy zgodnie drżeli, ale tylko on naprawdę się wzdrygnął.

– Mademoiselle... – odezwał się. – Mówi pani po francusku?

Eliza przyjrzała mu się uważnie. Miał kapelusz wielkości sporej balii, ozdobiony egzotycznymi piórami, przygiętymi i połamanymi przez śnieg, i buty z olbrzymimi językami, na które właśnie zaczynała się moda – języki eksplodowały ze śródstopi, marszczyły się, rozszerzały i łukiem odchodziły od piszczeli. Tę wolną przestrzeń chętnie wypełniał śnieg, który topił się błyskawicznie i ściekał do wnętrza butów, znacząc skórę ciemną smugą.

– Nie bez wyraźnego powodu, monsieur – odparła.

– A jakież to musiałby być powód?

– Cóż za francuskie pytanie... Wystarczyłoby chyba, żeby dżentelmen, który został mi należycie przedstawiony, pochlebił mi komplementem albo rozbawił celnym żartem...

– Pokornie błagam o wybaczenie – zmitygował się Francuz. Sine, odrętwiałe wargi miały fatalny wpływ na jego wymowę. – Ponieważ jednak nie towarzyszy ci, pani, żadna eskorta, nie miałem kogo poprosić, by wyświadczył mi tę łaskę i nas sobie przedstawił.

– Tam jest moja eskorta – odparła Eliza, wskazując postać balansującą na łyżwach dobrą milę od nich.

– *Mon Dieu!* – wykrzyknął Francuz. – Wymachuje rękami niczym potępieniec strącony w otchłań piekielną. Proszę mi powiedzieć, mademoiselle, dlaczegoż to łabędź ślizga się po kanałach w towarzystwie orangutana?

– Twierdził, że umie jeździć na łyżwach.

– Kobieta o pani urodzie musi często słyszeć przechwałki płynące z męskich ust. A dama obdarzona pani intelektem z pewnością zdaje sobie sprawę, że zwykle są to bzdury wyssane z palca.

– Pan za to, monsieur, jest uczciwy, szczerzy i ma czyste intencje?

– Niestety, mademoiselle. Jestem po prostu stary.

– Nie aż tak stary.

– Niewykluczone jednak, że umrę, zmorzony wiekiem lub zapaleniem płuc, zanim pani ukochany zbliży się do nas na odległość pozwalającą myśleć o prezentacji... Dlatego, pozwoli pani, Jean Antoine de Mesmes, hrabia d’Avaux, sługa pani uniżony.

– Bardzo mi miło. Jestem Eliza...

– Księżna Qwghlm?

Eliza parsknęła śmiechem, słysząc ten niedorzeczny tytuł.

– Skąd pan wie, że jestem Qwghlmianką?

– Angielski jest pani ojczystym językiem, ale jeździ pani na łyżwach jakby przyszła w nich na świat, *sans* tego chwiejnego, pijackiego zataczania się, cechującego na lodzie krok Anglosasów, którzy niewolą wasze wyspy w swym okrutnym uścisku.

Mówiąc to, D’Avaux podniósł głos, aby wszyscy członkowie angielskiej delegacji dobrze go usłyszeli.

– Sprytne... Ale dobrze pan wie, że nie jestem żadną księżną.

– Nie wątpię jednak, że w pani żyłach płynie błękitna krew...

– Nawet w połowie nie tak błękitna, jak w pańskich, monsieur, co zresztą doskonale widać. Może schroniłby się pan gdzieś i ogrzał?

– I znów kusi mnie pani okrutnie, chociaż tym razem w inny sposób. Muszę tu stać w obronie honoru i chwały *la France*. Pani nie ma podobnych zobowiązań. Co pani tu robi, w miejscu dobrym chyba tylko dla fok i niedźwiedzi polarnych? W dodatku w takiej spódniczce?

– Spódnica musi być krótka, żeby nie zahaczała o łyżwy. Widzi pan?

Eliza zrobiła krótki piruet. Nie zdążyła go nawet zakończyć, gdy ze środka francuskiej delegacji dobiegł jęk i chrzęst – chudy, niezgrabny dyplomata w średnim wieku zatoczył się i przewrócił na ziemię. Stojący z boków mężczyźni przykucnęli, jakby chcieli mu pomóc, ale ostry komentarz d’Avaux przywrócił ich do porządku:

– Jeśli zaczniemy robić wyjątki dla tych, co się przewracają, albo tylko udają, że się przewracają, cała delegacja runie jak kręgle – wyjaśnił, patrząc na Elizę, ale kierując te słowa do członków orszaku.

Leżący skulił się i przybrał pozycję płodową; dwóch uzbrojonych w szable Holendrów doskoczyło do niego z kocem. Z bocznej uliczki wyszła tymczasem dziewczyna z tacą, na której stało osiem kufli. Minęła Francuzów, pozwalając im poczuć aromat i ciepło grzanego wina z korzeniami, i skierowała się prosto ku Anglikom.

– Wyjątki od czego? – zainteresowała się Eliza.

– Od protokołu – odparł d’Avaux – który stwierdza, na przykład, że kiedy w wąskim przejściu spotka się dwóch ambasadorów, o pierwszeństwie przejścia decyduje starszeństwo.

– Już rozumiem. Nie możecie się porozumieć, który z was dwóch – pan czy angielski ambasador – powinien ustąpić.

– Jestem przedstawicielem Najbardziej Chrześcijańskiego Monarchy²⁰, a ci tam reprezentują króla Jakuba II... Tak w każdym razie przypuszczamy, doszły nas bowiem wieści, że król Karol II nie żyje, nic nam jednak nie wiadomo o tym, aby doszło do rzetelnej koronacji jego brata.

– W takim razie to całkiem oczywiste, że panu przysługuje prawo starszeństwa.

– Oczywiście dla mnie i dla pani, mademoiselle. Ten człowiek twierdzi jednakże, że ponieważ nie może być ambasadorem niekoronowanego władcy, nadal jest przedstawicielem świętej pamięci Karola II, którego koronowano w tysiąc sześćset pięćdziesiątym pierwszym roku, po tym, jak purytanie obcięli głowę jego ojcu i poprzednikowi na tronie. Mój król koronował się w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym czwartym.

– Z całym szacunkiem dla największego z chrześcijańskich monarchów, monsieur, ale czy to nie oznacza, że Karolowi II, gdyby nadal żył, przysługiwałoby prawo starszeństwa?

– Zebrana w Scone banda Szkotów wcisnęła Karolowi koronę na głowę – prychnął d’Avaux. – A potem Karol przyjechał tutaj i mieszkał w Niderlandach, żebrząc u Holendrów o jałmużnę, aż do roku tysiąc sześćset sześćdziesiątego, kiedy tutejsi serowarzy zapłacili mu za to, żeby się wreszcie wyniósł. Z praktycznego punktu widzenia jego panowanie rozpoczęło się dopiero po przybyciu do Dover.

– Skoro taki z pana pragmatyk – zawołał jeden z Anglików – proszę nie zapominać, że wasz król zaczął włączyć na dobrą sprawę dopiero po śmierci kardynała Mazarina, dziewiątego marca tysiąc sześćset sześćdziesiątego pierwszego.

Uniósł kufel do ust i pociągnął kilka solidnych łyków ciepłego trunku, posapując z zadowolenia.

– Mój król przynajmniej żyje – mruknął d’Avaux. – Widzi pani? I tacy ludzie śmiać oskarżać jezuitów o sofistykę! Pozwoli pani, że zapytam, czy pani towarzysz jest poszukiwany przez gildię świętego Jerzego?

Porządku publicznego w Hadze pilnowały dwie gildie zrzeszające strażników. Częścią miasta w okolicach rynku i ratusza, zamieszkaną przez zwyczajnych Holendrów, opiekowała się gildia świętego Sebastiana, gildia świętego Jerzego odpowiadała natomiast za ład w

²⁰ Ludwika XIV, króla Francji.

Hofgebied, dzielnicy, w której znajdował się pałac królewski, ambasady, rezydencje bogaczy i tym podobne przybytki. W tłumie gapiów, śledzących rozgrywające się nad brzegiem kanału przedstawienie o zamazaniu francuskiego dyplomaty i jego angielskich oponentów, znaleźli się przedstawiciele obu cechów. Uwaga d'Avaux miała rozbawić wyrafinowanych arystokratów od świętego Jerzego i przy okazji im pochlebić, najlepiej kosztem stojących niżej w społecznej hierarchii strażników od świętego Sebastiana, którzy najwidoczniej sympatyzowali z delegacją angielską.

– Cóż za niedorzeczny pomysł, monsieur! Gdyby tak było, ci dzielni i gorliwi ludzie dawno już by go zatrzymali. Dlaczego pan pyta?

– Bo widzę, że zasłania twarz niczym jakiś wolontariusz – wyjaśnił d'Avaux, mając na myśli dezertera, który zajął się rozbojem.

Eliza się odwróciła. Gomer Bolstrood czał się (trudno byłoby to inaczej nazwać) za pobliskim zakrętem kanału, osłaniając twarz długim kawałkiem tartanu.

– Ludzie wychowani na dalekiej północy często tak robią.

– Moim zdaniem jest to zachowanie mocno podejrzane, w dodatku w najgorszym guście. Jeżeli pani kawaler nie może znieść lekkiej nadmorskiej bryzy...

– Nie jest moim kawalerem, lecz współnikiem w interesach.

– Wobec tego nic nie stoi na przeszkodzie, mademoiselle, abyśmy spotkali się tutaj jutro o tej samej porze. Udzieli mi pani lekcji łyżwiarstwa.

– Ależ monsieur! Widziałam, jak się pan wzdrygnął na mój widok! Z pewnością uważa pan, że podobne sporty uwłaczają pańskiej godności.

– Istotnie. Ale jako ambasador jestem skazany na rozliczne upokorzenia...

– Na chwałę *la France*?

– *Pourquoi non?*

– Mam nadzieję, że ulica wkrótce zostanie poszerzona, hrabio d'Avaux.

– Wiosna tuż. A kiedy patrzę na panią, mademoiselle, mam wrażenie, że już nastąpiła.

* * *

– Nie miałam złych zamiarów. Dopóki nie zauważyłam, jak wodzą za mną wzrokiem, brałam ich za posągi.

Siedzieli przy ognisku w okazałej chacie myśliwskiej. Wnętrze było ciepłe, ale też zadymione, nieprzytulne i obwieszane stanowczo zbyt wielką liczbą zwierzęcych łbów, które wyglądały, jakby wodziły oczami za Elizą.

– Myślisz, że się złościsz? Wcale nie.

– A co cię trapi? W życiu chyba nie widziałam tak pochmurnego faceta.

– Te krzesła.

– Nie przesłyszałam się?

– Sama popatrz. – Gomer Bolstrood był zrozpaczony. – Ludziom, którzy zbudowali ten dom, na pewno nie brakowało pieniędzy, ale te meble! Albo są kretyńskie i prymitywne, jak ten trollowy fotel, na którym siedzę, albo, jak twoje krzesło, sklecone byle jak z drzazg nadających się na rozpałkę i równie solidne jak wiązka chrustu. Sam zrobiłbym lepsze w jedno popołudnie, nawet gdybym był pijany, miał krzaki zamiast surowca i kozik zamiast narzędzi.

– W takim razie przepraszam, źle odczytałam twój nastrój. Myślałam, że gniewasz się za tamto przypadkowe spotkanie...

– Moja religia uczy, że było nieuniknione. To kwestia predestynacji, że akurat teraz wdałaś się we flirt z francuskim ambasadorem. Jeśli nawet o tym rozmyślałam, to nie dlatego że jestem zły, tylko dlatego że próbuję zrozumieć, co to spotkanie znaczy.

– Znaczy tyle, że d'Avaux jest starym, napalonym capem.

Zniechęcony Gomer Bolstrood pokręcił olbrzymią głową i spojrzał za okno. Szyba zawyła boleśnie pod naporem niesionej wiatrem śnieżnej brei.

– Modłę się, żeby nie wynikły z tego jakieś zamieszki.

– A jakie zamieszki może wywołać ośmiu przemarzniętych Anglików i siedmiu na wpół martwych Francuzów?

– Martwią mnie Holendrzy. Plebs i wieśniacy jak zwykle opowiedzą się po stronie stadhoudera²¹. Kupcy do reszty sfrancuziali, a ponieważ obradują akurat Stany Generalne, jest ich w mieście jak mrówek. Mają szable i pistolety.

– Skoro już mówimy o sfrancuziałych kupcach... Mam dobre wiadomości z rynku towarowego dla naszego klienta, kimkolwiek jest. Podczas przygotowań do wojny w siedemdziesiątym drugim amsterdamski bankier dopuścił się zdrady Republiki...

– Nawet nie jeden... Ale mów dalej, z łaski swojej.

– Na polecenie markiza de Louvois zdrajca, niejaki pan Sluys, wykupił niemal cały krajowy zapas ołowiu, żeby armii Wilhelma szybko zabrakło amunicji. Z pewnością wyobrażał sobie, że wojna potrwa najwyżej kilka dni i król Ludwik, zatknąwszy francuską flagę nad Damrakiem, osobiście go wynagrodzi. Oczywiście wydarzenia potoczyły się inaczej i Sluys został z magazynem pełnym ołowiu, bojąc się go oficjalnie sprzedawać. Gdyby wieść się rozeszła, orański tłum spaliłby mu magazyny i rozerwał go na strzępy, tak jak pamiętnych braci de Witt. Ale teraz Sluys nie ma wyjścia, musi sprzedać ołów.

– Dlaczego?

– Minęło trzysta lat. Obciążony ołowiem magazyn zapada się w amsterdamskim błocie dwa razy szybciej niż inne z nim sąsiadujące. Sąsiedzi zaczynają się skarżyć, że ciągnie za sobą całą dzielnicę!

– A zatem pan Sluys powinien zaproponować doskonałą cenę. Bogu niech będą dzięki! Klient będzie zachwycony. Czy to nie ten sam zdrajca wykupił zapas prochu i lontu?

²¹ Wilhelma Orańskiego.

– Wilgoć je zniszczyła. Ale lada dzień do Texel powinna przybić flota statków z Indii, najprawdopodobniej wyładowanych po burty saletrą. Wszyscy się ich spodziewają; ceny prochu spadają aż miło.

– Pewnie i tak za wolno, jak dla naszych celów – mruknął Bolstrood. – Może moglibyśmy kupić saletrę i sami wyprodukować proch?

– Cena siarki jest całkiem rozsądna, gdyż szczęśliwym zbiegiem okoliczności na Jawie doszło do potężnych erupcji wulkanicznych. Za to węgiel drzewny dobrej jakości jest bardzo drogi; ksiązę Brunszwiku-Lüneburga to prawdziwy liczykrupa. Pilnuje zapasów *Faulbaumu* jak najgorszy skąpiec.

– Może się okazać, że na samym początku kampanii będziemy musieli przejąć arsenał – zauważył Bolstrood. – Jak Bóg da.

Rozmowy o kampaniach i arsenalach napawały Elizę niepokojem, postanowiła więc zmienić temat:

– Kiedy będę miała przyjemność poznać klienta osobiście?

– Gdy tylko wytrzeźwieje i jako tako się ubierze.

– Dla barkera to chyba nic trudnego.

– Nie jest żadnym barkerem! – zachnął się Bolstrood.

– To dziwne.

– Dlaczego?

– Co, jeśli nie religia, sprawiło, że walczy z niewolnictwem?

– Ty też walczysz, a przecież nie jesteś kalwinistką – odparował Bolstrood.

– Mam swoje powody. Osobiste. Po prostu pomyślałam, że klient jest twoim współwyznawcą. Ale zaraz, jest przeciwny niewolnictwu czy nie?

– Odsuńmy na bok nasze wyobrażenia i porozmawiajmy o faktach.

– Faktem jest, że nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Przyszłaś do naszego kościoła, gdzie niektórzy wzięli cię za anielskiego posłańca z niebios, ofiarowałaś szczodry datek i zaofiarowałaś swoją pomoc w walce z niewolnictwem. I tym się właśnie zajmujesz.

– Ale jeśli klient nie jest wrogiem niewolnictwa, to czy kupując mu proch i amunicję do muszkietów, na pewno przysłużymy się sprawie?

– Nie wiesz pewnie, że mój ojciec, niech Bóg ma go w swojej opiece, był u świętej pamięci króla sekretarzem stanu, zanim papiści, którzy w Anglii wypełniają wolę Francuzów, zaszczerli go, wygnali z kraju i doprowadzili do jego śmierci. Przyjął ten upokarzający urząd, ponieważ wiedział, że prawi ludzie muszą się czasem układać z indywiduami pokroju Karola II w imię wyższego dobra. Podobnie my, przeciwnicy niewolnictwa i religii państwowej, a zwłaszcza odrażających praktyk i kaprysów rzymskiej wiary, mamy obowiązek wspierać wszystkich, którzy mogą skrócić panowanie Jakuba, księcia Yorku.

– Ale przecież Jakub jest prawowitym następcą tronu?

– Klóćący się o starszeństwo dyplomaci udowodnili nam niedawno, że każdą, nawet najbardziej oczywistą kwestię da się zaciemnić. Dym prochowy doskonale się do tego nadaje. Król Ludwik pieczętuje swoje armaty napisem *Ultima Ratio Regum*...

- Ostatni argument królów.
- Więc łacinę też znasz?
- Odebrałam klasyczne wykształcenie.
- W Qwghlm?!
- W Konstantynopolu.

* * *

Hrabia d’Avaux poruszał się po sieci haskich kanałów z wdziękiem człowieka kroczącego po rozżarzonych węglach, ale wrodzona zimna krew skutecznie ratowała go przed upadkiem.

- Nie chciałby pan już wrócić do domu, monsieur?
- Skądże, mademoiselle, świetnie się bawię – odparł hrabia, połykając kolejne sylaby jak krokodyl pożerający po kawałku wiosło.
- Dziś ubrał się pan cieplej... Czy to rosyjskie sobole?
- Owszem, ale nie pierwszej jakości. Znacznie piękniejsze futro czeka na panią, jeśli tylko odstawi mnie pani całego i zdrowego do domu.
- Doprawdy, nie ma takiej potrzeby, monsieur...
- Cała idea obdarowywania się prezentami musiałaby być niepotrzebna. – D’Avaux wyjął z kieszeni starannie złożony kwadracik czarnego aksamitu. Podał go Elizie. – *Voilà*.
- Co to jest?

Eliza wyjęła aksamit z dłoni hrabiego i, korzystając z okazji, chwyciła go za ramię i pomogła mu odzyskać równowagę.

- Drobiazg. Chciałbym, żeby go pani włożyła.

Aksamit rozwinął się w długą wstęgę szerokości dłoni, spiętą całkiem niebrzydką złotą broszką w kształcie motyla. Domyślając się, że ma w rękach szarfę, Eliza przełożyła przez środek głowę i jedną rękę. Czarny aksamit zwisał ukośnie z jej ramienia.

- Dziękuję, monsieur. Jak wyglądam?

Tym razem hrabia d’Avaux nie zdołał odpowiedzieć komplementem. Wzruszył tylko ramionami, jakby wygląd Elizy nie był najważniejszy, co utwierdziło ją w przekonaniu, że czarna szarfę z aksamitu dziwnie wygląda na stroju do jazdy na łyżwach.

- Jak zaradził pan wczorajszej kłopotliwej sytuacji? – zapytała.
- Załatwiłem to tak, że stadhouder wezwał angielskiego ambasadora do Binnenhofu. Ambasador musiał w tej sytuacji wykonać *volte-face*, manewr, z którym dyplomaci

perfidnego Albionu są dobrze zaznajomieni. Poszliśmy za nim i skręciliśmy w pierwszą przecznicę. A jak pani poradziła sobie ze swoim kłopotem?

– To znaczy? Z towarzystwem fajtlapy na łyżwach?

– No właśnie.

– Dręczyłam go jeszcze przez pół godziny, a później wróciliśmy razem do jego wiejskiego domku, by załatwić interesy. Uważa mnie pan za kurwę, monsieur, prawda? Poznałam to po pańskim spojrzeniu, kiedy napomknęłam o „interesach”. Chociaż prędzej użyłby pan pewnie określenia „kurtyzana”.

– Mademoiselle, w moich kręgach każdy, kto prowadzi interesy, w dowolnej skali i na dowolnym szczeblu, jest uważany za kurwę. Francuska arystokracja nie odróżnia najlepszych amsterdamskich kupców od zwyczajnych prostytutek.

– Czy to dlatego Ludwik tak bardzo nienawidzi Holendrów?

– Ależ nie, mademoiselle, w przeciwieństwie do tych skwaszonych kalwinistów my wprost uwielbiamy kurwy. W Wersalu się od nich roi. Jeśli zaś chodzi o niechęć do Holendrów, mamy aż nadto racjonalnych powodów.

– W takim razie, jak pan sądzi, monsieur, jakiego rodzaju kurwą jestem?

– Właśnie próbuję to ustalić.

Eliza parsknęła śmiechem.

– Wtedy z pewnością pan zawróci.

– *Non!*

Chwiejąc się i młócąc rozpaczliwie ramionami, hrabia d’Avaux skręcił w kolejny kanał. Przed nimi zamajaczył jakiś masywny, ponury kształt. Eliza w pierwszej chwili omyłkowo wzięła go za stary i wyjątkowo żaloszny kościółek z cegły, ale kiedy dostrzegła na szczycie światło, łyskające między blankami jak odsłonięte zęby, i liczne wąskie otwory w murze, zdała sobie sprawę, że celem budowniczych nie było zbawianie ludzkich dusz. Na rogach budynku znajdowały się wysokie, stożkowate wieżyczki, a mansardowe okienka, sterczące w mroźnym powietrzu jak zaciśnięte pięści, były zdobione gotyckimi motywami.

– Ridderzaal – stwierdziła. Teraz już wiedziała, gdzie jest, chociaż wcześniej zupełnie się zgubiła w labiryncie kanałów, które tworzyły w Hofgebied gęstą sieć, jak naczynia włosowate w ludzkim ciele. – Jesteśmy na Spij i jedziemy na północ.

Kawałek dalej Spij się rozwidlała, opływając z dwóch stron Ridderzaal i inne stare domy holenderskiej arystokracji. D’Avaux z pełnym pędem wpadł w prawą odnogę.

– Pojedźmy tędy, przez bramę, na Hofvijver! – zaproponował, mając na myśli prostokątny staw przed Binnenhofem, holenderskim pałacem królewskim. – Widok Binnenhofu wznoszącego się nad lodową taflą będzie... no...

– Magiczny?

– *Non.*

– Niepowtarzalny?

– Proszę sobie nie kpić.

– Mniej beznadziejny niż inne mijane widoki?

– Teraz mówi pani jak prawdziwa Francuzka – przyznał z uznaniem ambasador. – Książątko²² udało się na jedną z tych swoich niezdolnych myśliwskich eskapad, ale zostało w Hadze jeszcze trochę szlachetnych osobistości. – Przyspieszył nieoczekiwanie, nabierając wręcz przerażającej szybkości, i wysforował się przed Elizę. – Otworzą dla mnie bramę – stwierdził pewnym siebie tonem, odrzucając słowa za siebie niczym szal. – A wtedy pani, mademoiselle, przyspieszy i z wielkim *accélération* razem wjedziemy na Hofvijver.

– Chytry plan... Nie mógłby pan, monsieur, zwyczajnie poprosić strażników, żeby mnie wpuścili?

– Tak będzie weselej.

Brama znajdowała się tak blisko Binnenhofu, że przejeżdżając przez nią, mieli przemknąć pod samymi murami pałacu. Strzegli jej muszkietrzy i łucznicy w niebieskich mundurach z koronkowymi fularami i pomarańczowymi szarfami. Na widok Jeana Antoine'a de Mesmes, hrabiego d'Avaux, zeszli na lód, ślizgając się na podkutych butach, otworzyli jedno skrzydło wrót i uklonili się nisko, zdejmując kapelusze i zamiatając lód czubkami pomarańczowych piór. W cieplejsze dni w bramie swobodnie mieściły się łodzie wycieczkowe, toteż Eliza miała dość miejsca, by wyprzedziwszy ze świstem francuskiego ambasadora, wśliznąć się na prostokątny kawałek lodu przed pałacem Wilhelma Orańskiego. Gdyby była mężczyzną, po takim manewrze skończyłaby ze strzałą między łopatkami; była jednak dziewczyną w krótkiej spódnicy, toteż strażnicy potraktowali jej obecność – zgodnie z przewidywaniami – jako zabawny przejaw dworskiego kaprysu hrabiego.

Jechała bardzo szybko, szybciej niż było to konieczne, ale chciała skorzystać z okazji i rozruszać stężale z zimna mięśnie. Wjechała na Hofvijver w jego południowo-wschodnim narożniku. Staw mierzył jakieś sto jardów z południa na północ i około trzech razy więcej ze wschodu na zachód. Kiedy przemykała wzdłuż wschodniego brzegu, wypłoszył ją dobiegający z prawej, od strony odkrytego terenu odgłos muszkietowej salwy. Przez ułamek sekundy ogarnął ją paralizujący strach, że zaraz padnie ofiarą snajperów, ale niepotrzebnie – to dżentelmeni doskonalili swoje umiejętności strzeleckie na strzelnicy rozpostartej między brzegiem Hofvijver i stojącym w głębi ozdobnym budynkiem, w którym rozpoznała siedzibę gildii świętego Jerzego. Lesisty teren ciągnął się dalej na wschód jak okiem sięgnąć – to był Haagsche Bos, park myśliwski hrabiów holenderskich, gdzie przy lepszej pogodzie ludzie wszystkich klas spotykali się na przechadzkach i przejażdżkach.

Na wprost wynurzała się spod lodu brukowana pochylnia – ulica, która, gdy staw nie był zamrznięty, schodziła prosto do wody. Przyprawdzano nią konie i bydło do napojenia. Eliza musiała przyhamować i ostro skrócić, żeby nie wypaść na kamienie. Kołysząc biodrami, znów nabrała szybkości i pomknęła wzdłuż północnego brzegu Hofvijveru. Brzeg

²² Wilhelm Orański.

południowy, który miała w tej chwili po lewej ręce, był ciasno i chaotycznie zabudowany domami z brunatnej cegły, krytymi płytkami czarnego łupku. Wiele z nich miało najniższe okna dokładnie na poziomie stawu: mogłaby podejść do nich i wdać się w rozmowę z siedzącą przy stole rodziną. Nie odważyła się jednak na to – był to przecież Binnenhof, pałac stadhoudera Wilhelma Orańskiego. Przez chwilę widok na pałac przesłoniła jej okrągła wysepka, ulokowana na samym środku stawu niczym połówka wisienki na plasterku ciasta. Porastały ją drzewa i krzewy, same z kolei porośnięte mchem, chociaż teraz i tak cała była brunatna i bezlistna. Z tyłu, za – i nad – Binnenhofem było widać cienkie wieżyczki Ridderzaalu; dźgały niebo niczym szwadron konnych rycerzy z lancami ustawionymi na sztorc.

Na tym zwiedzanie się skończyło, kiedy bowiem minęła wysepkę i zawróciła w stronę hrabiego, stwierdziła, że dzieli lodowisko z grupą wolno poruszających się, eleganckich łyżwiarzy obojga płci. Nie chciałyby ich poprzewracać, byłby to przejaw złego wychowania. Nie chciała się im przedstawiać – to byłoby jeszcze gorsze. Odwróciła się twarzą do d’Avaux i, jadąc tyłem, rozpędem minęła grupę. Wycięła wydłużone, łagodne „U” przy zachodnim skraju Hofvijveru, odwróciła się twarzą do kierunku jazdy i przyspieszyła, nie odrywając łyżew od lodu, za pomocą niedbałych ruchów bioder. Przemknęła wężykiem przed długim frontem Binnenhofu i zatrzymała się tuż przed hrabią, wrzynając łyżwy bokiem w lód. Spod ostrzy trysnęła błyszcząca kurtyna lodowych strużyn. Nie była to żadna wielka akrobacja, ale wyczyn Elizy i tak spotkał się z aplauzem wartowników, strażników od świętego Jerzego i arystokratycznych łyżwiarzy.

– Uczylem się fechtunku w akademii monsieur du Plessisa w Paryżu, która gromadzi najlepszych szermierzy świata – powiedział najpiękniejszy mężczyzna, jakiego Eliza widziała w życiu, unosząc jej dłoń do ust. – Nikt jednak nie dorównałby pani wdziękowi, mademoiselle, w posługiwaniu się tymi dwoma stalowymi ostrzami.

D’Avaux rozpoczął prezentację. Wspaniały mężczyzna był księciem Monmouth. Towarzyszył wysokiej, chudej, lecz pyzatej kobiecie w wieku lat dwudziestu paru. Miała na imię Maria, była córką nowego króla Anglii i żoną Wilhelma Orańskiego.

Kiedy hrabia przytoczył wszystkie jej tytuły, Eliza pierwszy raz od niepamiętnych czasów omal nie straciła zimnej krwi. Przypomniła się jej Hanower, gdzie doktor ulokował ją w wieżyczce nieopodal pałacu Herrenhausen, skąd mogła przez lunetę obserwować księżną Zofię. Tymczasem d’Avaux, który z pewnością nie znał Elizy tak dobrze jak doktor, zabrał ją od razu w samo serce holenderskiego dworu. Jak on w ogóle chciał ją przedstawić członkom królewskiego rodu, skoro nie miał zielonego pojęcia, z kim właściwie ma do czynienia?!

Okazało się to banalnie proste; hrabia nachylił się ku Monmouthowi i Marii i powiedział półgłosem:

– A to jest... Eliza.

Jego słowa zostały skwitowane znaczącymi mrugnięciami i skinieniami głowy ze strony Monmoutha i Marii, a wśród orszaku Marii, złożonego z angielskich służących i innych dworaków, wywołały ożywione szepty. Ich najwyraźniej nie warto było w ogóle przedstawiać, tym bardziej więc nikt nie zainteresował się murzyńskim giermkim i dygoczącym z zimna jawajskim karłem.

– Czyżby dla mnie zabrakło komplementów? – upomniał się d’Avaux, patrząc, jak Monmouth okrywa pocałunkami wierzchnią stronę rękawiczki Elizy.

– Przeciwnie, monsieur. Jest pan najlepszym francuskim łyżwiarzem – odparł z uśmiechem książę. Zachował większość własnych zębów. I zapomniał wypuścić z ręki dłoń Elizy.

Maria omal się nie przewróciła – po części dlatego że śmiała się z żartu Monmoutha nieco głośniej, niż był tego wart, a po części z tego powodu, że sama słabiutko jeździła na łyżwach (kiedy chwilę wcześniej Eliza obserwowała ją kątem oka, do złudzenia przypominała wiatrak – wymachiwała rękoma na wszystkie strony, tkwiąc nieruchomo w miejscu). Od razu też rzuciło się w oczy, że podkochuje się w księciu. Było to nieco krępujące, ale Eliza musiała przyznać, że wybrała sobie doskonałego młodzieńca do amorów.

Maria Orańska chciała coś powiedzieć, ale d’Avaux nie dał jej dojść do słowa.

– Mademoiselle Eliza dzielnie stara się mnie nauczyć jazdy na łyżwach – stwierdził i posłał Elizie pożądlive spojrzenie. – Ale czuję się przy niej jak prostak, któremu przyszło słuchać wykładu monsieur Huygensa.

Odwrócił się w stronę bramy, przez którą przejechali z Elizą. Dom Huygensów znajdował się gdzieś w tamtych okolicach.

– Upadłabym już kilkakrotnie, gdyby książę mnie nie złapał – wtrąciła Maria.

– Może wystarczy ambasador? – zasugerował d’Avaux i zanim zdążyła zareagować, podjechał do niej bokiem, zderzył się z nią i prawie zwalił z nóg. Zamachała rozpaczliwie rękami i w ostatniej chwili złapała się jego rękawa. Cały orszak skupił się wokół Marii, żeby postawić ją z powrotem na łyżwach; jawajski karzeł podparł ją pod pośladki i pchał z całej siły.

Książę Monmouth, nieświadomy rozgrywającego się tuż obok dramatu, bez reszty oddawał się obserwacji Elizy. Zaczął od włosów, prześliznął się wzrokiem w dół, do kostek, potem wrócił na górę i ze zdumieniem stwierdził, że patrzy wprost w szeroko otwarte, błękitne oczy. Wytrąciło go to na chwilę z równowagi, a hrabia (przyszpiliwszy rękę Marii między swoim łokciem i żebrami) natychmiast skorzystał z okazji:

– Śmiało, wasza miłość, proszę się przejechać i rozprostować nogi. My, nowiejusze, pokręcimy się tutaj.

– Mademoiselle? – Książę podał Elizie rękę, a ona ją przyjęła.

– Wasza miłość...

Po czasie, w jakim serce wykonuje dziesięć uderzeń, znaleźli się na Spij. Eliza puściła rękę Monmoutha i odwróciła się. Brama właśnie się za nimi zamykała, a przez prety było widać Marię Orańską, która miała taką minę, jakby ktoś przed chwilą zdzielił ją w żołądek, oraz Jeana Antoine'a de Mesmes, hrabiego d'Avaux, wyglądającego z kolei tak, jakby podobne zabiegi stosował po kilka razy dziennie. Kiedyś w Konstantynopolu Eliza pomagała przytrzymać niewolnicę, której arabski chirurg wycinał wyrostek robaczkowy. Zabieg trwał wszystkiego dwie minuty; nie mogła uwierzyć, że człowiek zdeterminowany i uzbrojony w ostry nóż może działać tak szybko. Podobnie rzecz się miała z operacją d'Avaux na sercu Marii.

Wyjechali ze Spij i kanał się rozszerzył. Monmouth wykonał dynamiczny obrót – spora masa ciała i kości zawirowała w obłądnym tempie i choć trudno byłoby zarzucić piruetowi nadmiar wdzięku, Eliza i tak nie mogła oderwać oczu od księcia, który najwidoczniej jeździł na łyżwach lepiej od niej. Zauważył, że Eliza go obserwuje, i doszedł do wniosku, że z pewnością go podziwia.

– Czasy bezkrólewia spędzałem po połowie tutaj i w Paryżu – wyjaśnił. – Wiele godzin wyjeździłem na tych kanałach. A pani gdzie nauczyła się tak jeździć, mademoiselle?

Odpowiedź „Kiedy brnęłam po grubych krach lodowych, żeby zdrapywać z kamieni ptasie gówno” wydała się Elizie wyjątkowo pozbawiona dobrego smaku. Gdyby miała więcej czasu, wymyśliłaby pewnie jakąś przekonującą bajeczkę, ale w tej chwili całkowicie pochłaniały ją próby zrozumienia, co się właściwie dzieje.

– Proszę mi wybaczyć tę natarczywość – zmiętygował się książę Monmouth. – Zapominam, że jest pani tutaj incognito. – Zerknął przelotnie na czarną szarfę, prezent od hrabiego. – Ta ozdoba i pani milczenie są aż nadto wymowne.

– Naprawdę? A co panu powiedziały?

– Opowiadają historię pięknej, niewinnej dziewczyny, okrutnie wykorzystanej przez jakiegoś germańskiego lub skandynawskiego arystokratę... Czyżby na polsko-litewskim dworze? A może chodzi o tego sławnego damskiego boksera, szwedzkiego księcia Adolfa? Proszę nic nie mówić, mademoiselle, i wybaczyć mi ciekawość.

– Wybaczam. Czy mam przyjemność z tym samym księciem Monmouth, który wyróżnił się podczas oblężenia Maastricht? Znam żołnierza biorącego udział w tej bitwie... A w każdym razie był przy niej. Dużo o panu opowiadał.

– Czy to markiz de...? A może hrabia d'...?

– Zapomina się pan, monsieur. – Eliza przyglądała aksamitną szarfę.

– Proszę jeszcze raz przyjąć moje przeprosiny – odparł Monmouth z figlarnym uśmiechem.

– Może odkupi pan swoje winy, jeśli coś mi wyjaśni, mości książę. Oblężenie Maastricht stanowiło element kampanii, której celem było wymazanie z mapy Republiki Holenderskiej. Wilhelm poświęcił połowę kraju, aby wygrać tę wojnę. Pan walczył po przeciwnej stronie.

Tymczasem dziś, zaledwie kilka lat później, przebywa pan na dworze tegoż samego Wilhelma i zażywa jego gościny.

– To jeszcze nic – przyznał Monmouth. – Trzeba pani wiedzieć, że niedługo po Maastricht walczyłem u boku Wilhelma przeciw Francuzom, pod Mons. Ponadto Wilhelm ożenił się z Marią, będącą, jak pani z pewnością wiadomo, córką króla Jakuba II, który był w przeszłości księciem Yorku i dowódcą angielskiej floty wojennej, dopóki jego admirałowie nie wysadzili jej w powietrze. Mógłbym tak opowiadać godzinami.

– Gdybym miała takiego wroga, nie spoczęłabym, dopóki nie ległby martwy. Prawdę powiedziawszy, mam takiego wroga, i dawno już nie miałam okazji spocząć...

– Kto to taki? – zapytał z ożywieniem Monmouth. – Ktoś, kto nauczył panią jeździć na łyżwach, a potem...

– Ktoś inny. Nie znam jego nazwiska. Poznaliśmy się w ciemnej kajucie na statku...

– Jakim statku?

– Nie wiem.

– A pod jaką płynął banderą?

– Czarną.

– Niech mnie kule biją!

– To był typowy galeon pogańskich piratów. Nic szczególnego.

– Porwali panią piraci?!

– Tylko raz. Zdarza się to zresztą częściej, niż się panu wydaje. Ale odbiegłam od tematu. Nie spocznę, dopóki nie poznam tożsamości mojego wroga i nie złożę go w grobie.

– A gdyby się pani dowiedziała, że jest pani stryjecznym dziadkiem, szwagrem pani kuzyna i ojcem chrzestnym najlepszej pani przyjaciółki?

– Miałam na myśli tylko jednego wroga...

– Wiem o tym, ale europejskie dynastie są tak poplątane, że pani nieprzyjaciel może być z panią spokrewniony i spowinowacony na kilka sposobów jednocześnie.

– Rany... Co za bagno.

– Przeciwnie, to szczyt cywilizacji. My nie zapominamy dzielących nas uraz, to nie do pomyślenia. Ale gdyby naszym jedynym celem było wzajemne uśmiercanie się, cała Europa byłaby jednym wielkim polem bitwy.

– Przecież już nim jest! Czyżby pan był aż tak nieuważny, mości książę?

– Mogłem coś przegapić – zgodził się oschle Monmouth. – Bitwy pod Maastricht, Mons i w paru innych miejscach nie pozwalały mi śledzić bieżących wydarzeń. Chodziło mi tylko o to, że mogło być znacznie gorzej, jak podczas wojny trzydziestoletniej. Albo angielskiej wojny domowej.

– Chyba muszę się z panem zgodzić – przyznała Eliza, wspomniawszy zburzone zamki w Czechach.

– W tych nowoczesnych czasach narzędziem zemsty jest sąd. Czasem posuwamy się do pojedynku, ale rzadko; staramy się raczej rozstrzygać spory rozumem, a nie muszkietami. Jest mniej ofiar, a poza tym teraz również damy mogą stawać w szranki.

– Jak to?

– Strzelała pani kiedy z muszkietu, mademoiselle?

– Nie.

– Tymczasem w swojej przemowie oddała pani już kilka mocnych salw. W sądzie kobiety i mężczyźni mają równe szanse.

Dzwony ratuszowe wybiły czwartą. Eliza zwolniła i zatrzymała się. Monmouth wyminął ją, z gracją wszedł w zakręt i zawrócił, uśmiechając się głupawo.

– Jestem umówiona – stwierdziła Eliza.

– Pozwoli pani, że odprowadzę ją do Binnenhofu?

– Nie. Tam czeka d’Avaux.

– Czyżby towarzystwo ambasadora przestało sprawiać pani przyjemność?

– Obawiam się, że będzie chciał mnie obdarować futrem.

– To byłoby coś okropnego!

– Nie chcę mu dać tej satysfakcji. W pewnym sensie mnie wykorzystał.

– Król Francji kazał mu uprzykrzać życie Marii przy każdej nadarzającej się okazji. A ponieważ Maria jest dziś zakochana we mnie...

– Dlaczego?

– Dlaczego się we mnie zakochała? Mademoiselle, czuję się urażony.

– Zdaję sobie sprawę, dlaczego się w panu podkochuje. Nie rozumiem jednak, dlaczego król wysyła do Hagi hrabiego, któremu każe obrażać ludzi.

– Hrabia d’Avaux zajmuje się także innymi sprawami. Ale królowi Ludwikowi chodzi o to, żeby wbić klin między Marię i Wilhelma. Chce pozbawić Wilhelma władzy w Anglii, a jego małżonkę uczynić kandydatką na żonę dla jednego ze swoich królewskich bękartów.

– Domyślałam się, że to jakieś rodzinne rozgrywki. Jakież to niskie, nikczemne i małostkowe.

– Widzę, że zaczyna pani rozumieć!

– Czy Maria nie kocha męża?

– Wilhelm i Maria stanowią dobraną parę.

– Mówi pan mało, ale wiele daje do zrozumienia... Tylko co właściwie?

– Tym razem to ja pozwolę sobie być tajemniczy. Bo tylko dzięki temu mogę liczyć na kolejne spotkanie z panią.

Jeszcze przez chwilę trwała taka szermierka słowna – Monmouth nacierał, Eliza zręcznie mu się wymykała – a potem się pożegnali.

Dwie godziny później znów się spotkali – tym razem w towarzystwie Gomera Bolstrooda.

* * *

Dwie mile na północ od Hagi płaskie poldery Republiki Holenderskiej przylegały do morza. Pasma wydm pełniło rolę skromnego falochronu. Ukryty za nim, ciągnął się równoległy do wybrzeża pas łądu, w wielu miejscach zalesiony, ale ucywilizowany, pocięty drogami i kanałami. Na jego terenie powstały liczne wiejskie majątki arystokratów i zamożnych kupców. W każdej posiadłości znajdował się dworek i wypielegnowany ogród, a w tych większych także parki leśne i domki myśliwskie, w których mężczyźni mogli schronić się przed kobietami.

Eliza niewiele wiedziała o Gomerze Bolstroodzie i jego planach, ale domyślała się, że jego klient był właścicielem jednej z tych posiadłości i pozwolił mu korzystać z domku myśliwskiego w charakterze prywatnego lokum. Kanał biegnący przy krawędzi parku dochodził – trzeba było tylko znać trasę – do Haagsche Bos, rozległego parku przy Binnenhofie. Dzieliło je kilka mil; latem byłaby to poranna lub popołudniowa przejażdżka, natomiast zimą, kiedy lód skuwał kanały, a podróżny przypinał do nóg łyżwy, dystans ten pokonywało się błyskawicznie.

Monmouth przyjechał na łyżwach sam, incognito. Usiadł w fotelu, który Bolstrood porównał do fotela trolli, przez co Elizie i Gomerowi zostały skrzypiące krzesła z chrustu. Bolstrood chciał dokonać oficjalnej prezentacji klienta, ale...

– Nie tak dawno powiedział pan – odezwała się Eliza – że prowadzenie wojen za pomocą muszkietów i prochu wyszło z mody i...

– W moim w interesie leży, by ludzie myśleli, że naprawdę wierzę w takie bzdury – przerwał jej Monmouth. – A kobiety chętniej to sobie biorą do serca niż mężczyźni.

– Dlaczego... Czyżby chodziło o to, że na wojnie kobiety pełnią rolę łupu, a chyba nikt tego nie lubi?

– Tak przypuszczam.

– Byłam już łupem i wcale mi się to nie podobało. Pański wykład o nowoczesnych wojnach w pewnym sensie podniósł mnie na duchu.

– Widzi pani? Kobietom to odpowiada.

– To wy się znacie?! – wykrztusił w końcu Bolstrood.

– Jak to podkreślił mój świętej pamięci tato, ci, których los skazał na męki piekielne po śmierci, powinni starać się choć trochę zabawić za życia. Mężczyźni i kobiety, przynajmniej nie-purytanie, mogą się poznać na wiele sposobów.

Monmouth spojrzał życzliwie na Elizę, ona zaś posłała mu spojrzenie, które w zamierzeniu miało zadziałać jak lodowy sopel wbity w podbrzusze. Jedyłą odpowiedzią ze strony księcia był jednak zalotny uśmiezek.

– Jeżeli z taką łatwością oddał pan przysługę hrabiemu d’Avaux, odrzucając względy Marii, jaki będzie z pana pożytek, gdy zasiądzie pan na angielskim tronie?

Monmouth oklapł w fotelu i spojrzał na Bolstrooda.

– Nic jej nie mówiłem – zastrzegł się Bolstrood. – Powiedziałem tylko, jaki towar nas interesuje.

– To wystarczyło, żeby się domyślić, co zamierzasz – wyjaśniła Eliza.

– Nie ma to chyba znaczenia – stwierdził Monmouth. – I tak nie możemy dokonać zakupów, nie przedstawiając jakiegoś zabezpieczenia. W naszym przypadku zabezpieczeniem będzie właśnie tron.

– Tego mi nie powiedziano. Sądziłam, że rachunek zostanie uregulowany w złości.

– Owszem. Ale dopiero później.

– Czyli kiedy?

– Kiedy już zdobędziemy Anglię.

– Aha...

– Biorąc jednak pod uwagę, że większość Anglików nam sprzyja, nie powinno to potrwać dłużej niż kilka miesięcy.

– A czy ta większość Anglików ma muszkiety?

– Książę ma rację – zawtórował Monmouthowi Bolstrood. – Gdziekolwiek się w Anglii pojawi, ludzie wychodzą na ulice, rozpalają ogniska i palą kukły papieża.

– Zatem na planowany zakup określonych towarów potrzebujecie krótkoterminowej pożyczki, której zabezpieczeniem będzie...

– Londyńska Tower.

– Jestem handlarką, nie akcjonariuszką – stwierdziła Eliza. – Nie mogę sfinansować waszego przedsięwzięcia.

– Jak może pani czymś handlować, nie będąc akcjonariuszką?

– Handluję udziałami dukatowymi, które są warte dziesięć razy mniej od rzeczywistych udziałów w Kompanii Wschodnioindyjskiej i znacznie bardziej od nich płynne. Przetzymuję albo same udziały, albo opcje na ich zakup tylko przez krótki czas, niezbędny dla zrealizowania niewielkich zysków. Będzie pan musiał przejechać na łyżwach jakieś czterdzieści mil w tym kierunku – Eliza wyciągnęła rękę – i porozumieć się z bankierami z Amsterdamu. Znajdzie pan tam wspaniałych ludzi, prawdziwych księży rynku, którzy zgromadzili olbrzymie zapasy akcji V.O.C. i chętnie pożyczają pieniądze. Kłopot tylko w tym, że nie może pan zapakować Tower do kieszeni i wyłożyć jej na stół jako zabezpieczenia. Będzie pan potrzebował czegoś innego.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – przyznał Bolstrood. – Informujemy cię tylko, że kiedy dojdzie do transakcji, pieniądze wpłyną nie od nas, lecz od...

– Od jakiegoś wiarygodnego kredytodawcy.

– Bez przesady z tą wiarygodnością. Mamy poparcie ważnych osobistości.

– Mogę zapytać, jakich?

Bolstrood i Monmouth spojrzeli po sobie.

– Nie teraz – odparł Bolstrood. – Później. W Amsterdamie.

– Nic z tego nie będzie. Amsterdamczycy mają mnóstwo innych świetnych pomysłów na inwestycje. Ale może znajdzie się inny sposób.

– Skąd proponuje pani wziąć pieniądze, jeśli nie od amsterdamskich bankierów? – zainteresował się Monmouth. – Moja metresa zastawiła już całą biżuterię, więc uprzedzam, że to źródło odpada.

– Od pana Sluysa – odparła Eliza po długiej chwili wpatrywania się w ogień i przeniosła wzrok na swoich rozmówców. Chłodne powietrze owionęło jej rozgrzane czoło.

– Tego samego, który przed trzynastu laty zdradził swoją ojczyznę? – zapytał ostrożnie Bolstrood.

– Tak. Ma rozległe koneksje wśród francuskich inwestorów i jest bardzo zamożny.

– Chce go pani... zaszantażować? – spytał Monmouth.

– Niezupełnie. Najpierw znajdziemy innego inwestora i opowiemy mu o planowanym przez pana, mości księżę, najeździe na Anglię.

– Ale przecież to tajemnica!

– Na której utrzymaniu będzie mu bardzo zależało, bo gdy tylko mu ją zdradzimy, zacznie blankować udziały w V.O.C.

– Słyszałem, jak Żydzi i Holendrzy mówili o „blankowaniu”, ale przyznam, że nie rozumiem tego żargonu.

– Na rynku ścierają się dwie wojujące frakcje: *liefhebberen*, byki, które chcą, żeby akcje drożały, i *contremines*, niedźwiedzie, które czekają na zniżkę cen. Często się zdarza, że grupa byków zawiera tajne porozumienie i zaczyna działać wspólnie; rozgłaszają plotki o grasujących u wybrzeży piratach albo wyprzedają walory za bezcen. Starają się wywołać na rynku panikę i obniżyć cenę akcji.

– Ale jak można na tym zarobić?

– Szczegóły nie są teraz najistotniejsze, ale można użyć opcji w taki sposób, że zarobi się na obniżce. Nazywa się to spekulowaniem na zniżkę, czyli właśnie blankowaniem. Nasz inwestor, któremu zdradzimy plan inwazji, zacznie obstawiać spadek cen akcji Kompanii. Spadek ten zresztą będzie nieunikniony, proszę mi wierzyć. Kilka lat temu plotki o zmianach w stosunkach angielsko-holenderskich wystarczyły, żeby cena spadła o dziesięć czy nawet dwadzieścia procent. Wieści o inwazji sprawią, że zapadnie się pod ziemię.

– Dlaczego? – spytał Monmouth.

– Anglia ma potężną flotę. Jeżeli zwróci się przeciw Holandii, może ustanowić blokadę i zdławić handel morski, a wtedy cena udziałów w V.O.C. polecą na łeb, na szyję.

– Ale przecież ja będę znacznie życzliwszy Holendrom niż Jakub! – zaprotestował księżę. Bolstrood zrobił taką minę, jakby ktoś zacisnął mu na szyi niewidzialną garotę.

Eliza wzięła głęboki wdech, uśmiechnęła się do Monmoutha i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Oczywiście, kiedy wszyscy zrozumieją, że wasza rebelia się powiedzie, akcje Kompanii poszybują pod niebo jak skowronki o poranku. Jednak początkowo ton wydarzeniom na rynku będą nadawać niedoinformowane głuptaki, które błędnie założą, że król Jakub odeprze najazd, a przy okazji wścieknie się na Holendrów za to, że to z ich kraju dokonano napaści na Anglię.

Bolstrood trochę się odprężył.

– Czyli początkowo ceny akcji spadną – stwierdził z roztargnieniem Monmouth.

– Tak, do czasu, aż cała prawda wyjdzie na jaw. – Eliza poklepała go po ramieniu i cofnęła rękę. Gomer Bolstrood odprężył się jeszcze bardziej. – W tym krótkim czasie nasz inwestor dzięki blankowaniu będzie mógł zgarnąć fortunę. W zamian za taką poufną informację z przyjemnością kupi ci, mości książę, cały ołów i proch niezbędne do zorganizowania inwazji.

– Ale tym inwestorem nie będzie pan Sluys... Tak?

– Przy blankowaniu ktoś musi przegrać, żeby ktoś inny mógł wygrać. Pan Sluys będzie naszym przegranym.

– Dlaczego akurat on? – zainteresował się Bolstrood. – Można by wybrać dowolnego innego *liefhebbera*.

– Blankowanie jest nielegalne od trzech czwartych stulecia! Wydano całą masę edyktów, które mają mu zapobiegać; jeden z nich został opublikowany za czasów stadhoudera Fryderyka Henryka. I dlatego teraz, kiedy kupiec podpisze kontrakt, na którym mógłby być stratny, może „odwołać się do Fryderyka”.

– Fryderyk Henryk od dawna nie żyje – zauważył Monmouth.

– To tylko takie wyrażenie... Metafora. Chodzi o to, że kupiec ma prawo wycofać się z transakcji i odmówić zapłaty. Dzięki edyktowi Fryderyka Henryka obroni przed sądem decyzję o odstąpieniu od umowy.

– Ale jeśli to prawda, że przy blankowaniu zawsze ktoś musi być stratny, ten edykt powinien raz na zawsze położyć kres takim praktykom.

– Bynajmniej, wasza miłość. W Amsterdamie blankowanie jest na porządku dziennym! Wielu inwestorów z tego żyje.

– Czemu w takim razie przegrywający masowo nie odwołują się do Fryderyka?

– Sekret tkwi w konstrukcji umów. Można tak sprytnie spisać kontrakt, że przegrywający nie odważy się powołać na ten edykt.

– Czyli jednak jest to swego rodzaju szantaż – skonstatował Bolstrood. Wyglądał przez okno na rozciągającą się wokół domku śnieżną równinę, ale chłonał każde słowo Elizy. – Wystawimy Sluysa do wiatru. Jeśli odwoła się do Fryderyka, sprawa trafi do sądu, a wtedy

sąd odkryje jego magazyn pełen ołowiu i oskarży go o zdradę stanu. Dlatego Sluys będzie wolał przełknąć porażkę i siedzieć cicho.

– Jedna uwaga. Jeśli wszystko dobrze zrozumiałem, kluczem do sukcesu będzie nieświadomość Sluysa co do planów najazdu na Anglię – powiedział Monmouth. – Gdyby o nich wiedział, byłby skończonym durniem, wchodząc w blankowaną transakcję.

– Naturalnie – przytaknęła Eliza. – Sluys musi myśleć, że akcje V.O.C. podróżują.

– I co, niczego się nie domyśli? Przecież kupimy od niego ołów.

– Nie musi wiedzieć ani co planujemy, ani kiedy. Należy tylko tak nim pomanipulować, żeby miał powody sądzić, że udziały w Kompanii pójdą w górę.

– Ja zaś zacznę dochodzić do wniosku, że w dziedzinie manipulowania mężczyznami jest pani niezrównaną mistrzynią, mademoiselle.

– W pańskich ustach wydaje się to znacznie bardziej skomplikowane, niż jest w rzeczywistości. Zazwyczaj wystarczy, że siedzę cicho, a mężczyźni sami sobą manipulują.

– No dobrze, jeśli to wszystko na dziś, to mam przemożną chęć pożegnać państwa i oddać się samomanipulacji na osobności. Chyba że...

– Nie dziś, wasza miłość – odparła Eliza. – Muszę się spakować. Może spotkamy się w Amsterdamie?

– Z największą przyjemnością.

Francja

Początek 1685 roku

*Lecz się dowiedz,
Że w duszy wiele pomniejszych jest mocy,
Których przywódcą jest rozum, a wśród nich
Jest wyobraźnia na miejscu najwyższym.
Ze spraw zewnętrznych, czujnie przekazanych
Przez zmysły, których jest pięć, ona właśnie
Buduje zjawy i kształty powietrzne,
A rozum bierze je albo odrzuca,
Tworząc to wszystko, co możemy stwierdzić
Lub czemu przeczyć, lub też to, co zwiemy
Mądrością naszą i rzeczy widzeniem.
A później, kiedy Natura spoczywa,
Rozum do skrytej cofa się komnaty,
A kiedy usnął, wyobraźnia czuwa*

*I naśladować go często próbuje,
Lecz myśląc kształty, bywa, że szaloną
Rzecz tworzy (zwykle tak się dzieje we śnie),
Źle łącząc słowa, a uczynki dawne
Wraz z niedawnymi.*

Milton, *Raj utracony*

Na początku roku tysiąc sześćset osiemdziesiątego piątego Jack wielokrotnie przemierzał szlak łączący Paryż z Lyonem, przewożąc wiadomości. Paryż – król Anglii nie żyje! Lyon – część hiszpańskich posiadłości w Ameryce jest do kupienia. Paryż – Ludwiczek potajemnie ożenił się z mademoiselle de Maintenon i chętnie słucha jezuitów. Lyon – żółta febra tysiącami zabija niewolników w brazylijskich kopalniach; cena złota powinna wzrosnąć.

Niepokojąco przypominało mu to pracę na cudze zlecenie, czyli zajęcie, które dawno temu porzucił jako uwłaczające jego godności, lub, mówiąc prościej, za bardzo kojarzące się z tym, co robił Bob. Musiał więc cały czas upominać się w duchu, że tak naprawdę wcale tej pracy nie wykonuje, lecz tylko udaje, że ją wykonuje, a prawdziwym celem przejażdżek jest doprowadzenie konia do jak najlepszej formy, żeby dobrze go sprzedać. Wtedy będzie mógł powiedzieć bankierom, że ma ich w dupie.

Pewnego dnia jechał z Lyonu do Paryża – a dzień był, jak na marzec, niezwykle zimny – kiedy natknął się na maszerującą w przeciwną stronę kolumnę złożoną z około sześćdziesięciu mężczyzn. Mieli ogolone głowy i byli ubrani w łachmany; zresztą i tak większość szmat przeznaczyli na owinięcie krwawiących stóp. Szli z rękoma związanymi za plecami, co uwypuklało kontur sterczących żeber i podkreślało znaczące skórną wrzody i rany od uderzeń biczów. Eskortowało ich kilku konnych łuczników, którzy bez trudu mogliby odstrzelić maruderów i ewentualnych uciekinierów.

Innymi słowy, spotkał jedną z wielu grup galerników, pędzonych w stronę Marsylii, tyle że bardziej żalosną od innych. Statystyczny galernik był dezercerem, przemytnikiem albo bandziorem, a więc człowiekiem młodym i zdrowym. Dlatego przeciętna grupa wyruszająca z Paryża w środku zimy traciła po drodze najwyżej połowę składu liczebnego na skutek zimna, głodu, chorób i bicia. Ale ta kolumna (zresztą podobnych widywało się ostatnio coraz więcej) składała się wyłącznie ze staruszków, którzy nie mieli najmniejszych szans dojść ani do Marsylii, ani nawet do gospody, w której ich strażnicy planowali najbliższy nocleg. Znacząc trakt krwią przy każdym kroku, wlekli się w takim tempie, że droga nad morze musiałaby im zająć całe tygodnie – a przecież była to wędrówka, którą każdy chciałby jak najprędzej zakończyć.

Jack zjechał na bok i czekał, aż go miną. Na końcu kolumny jechał konny. Na oczach Jacka niespiesznie rozwinął swój *nerf du boeuf*, zakręcił nim raz czy dwa nad głową (bicz nabrał prędkości i wydał przerażający świst) i, strzeliwszy nim z wprawą, odciął jednemu z

więźniów kawałek ucha, po czym, niezwykle z siebie zadowolony, powiedział coś niepochlebnego na temat erpeerów. I nagle wszystko stało się dla Jacka jasne, ponieważ skrót RPR oznaczał *Religion Pretendue Réformée*, co było pogardliwym określeniem hugenota. Hugenoci najczęściej byli zamożnymi kupcami lub artystami, toteż zdegradowani do poziomu galerników cierpieli znacznie srozsze męki niż zwykłe wagabundy.

Nieco później Jack, śledząc przemarsz następnej takiej kolumny, spojrział prosto w oczy monsieur Arlanca, który również go rozpoznał. Był zupełnie łysy, policzki miał zarośnięte i zapadnięte z głodu, ale o pomyłce nie mogło być mowy.

Jack nie mógł nic zrobić. Nawet gdyby miał muszkiet, łucznicy zabiliby go, nim zdążyłby załadować i strzelić po raz drugi. Wieczorem zawrócił jednak i cofnął się w okolice gospody leżącej kilka mil na południe od miejsca, w którym widział monsieur Arlanca. Odczekał kilka godzin – najpierw w półmroku zmierzchu, potem w atramentowych nocnych cieniach, zamierzając w obłokach pary z nozdrzy zaniepokojonych koni – aż strażnicy poszli spać. Wtedy zajechał do gospody, opłacił wartownika przy bramie i wjechał na dziedziniec przed stajnią.

Stało tam kilkunastu hugenotów, nagich i skutych łańcuchami; niektórzy próbowali bez entuzjazmu podskakiwać i poszturchiwać się nawzajem, żeby się rozgrzać, inni sprawiali wrażenie martwych. Monsieur Arlanca nie było nigdzie widać. Stajenny wpuścił Jacka do stajni, po czym (za dodatkową opłatą) pożyczył mu latarnię. W jej świetle Jack zobaczył pozostałych galerników. Słabsi zagrzebali się w sianie, silniejsi w olbrzymich, parujących stertach nawozu, który zgrabiono do kątów. Monsieur Arlanc należał do tej drugiej grupy; chrapał, kiedy światło latarni Jacka bryznęło mu w twarz.

Rano wyruszył w dalszą drogę wraz z resztą niewolników – może niezbyt wypoczęty, ale za to w butach na nogach i z brzuchem pełnym chleba i sera. Jack zaś ruszył na północ w odkupionych od przygodnie napotkanego wieśniaka sabotach.

Chciał wywieźć monsieur Arlanca na jednym z luzaków, ale hugenot spokojnie i z iście francuską logiką wytłumaczył mu, dlaczego nie byłby to najszcześniejszy pomysł:

– Gdyby rano strażnicy odkryli, że mnie nie ma, zemściliby się na pozostałych niewolnikach. Większość z nich to moi współwyznawcy, przygotowani na podobne udręki, ale jest wśród nas także kilku zwykłych przestępców. Ci woleliby uniknąć przykrości, więc natychmiast wszczęliby alarm.

– Mógłbym ich pozabijać – zauważył Jack.

Monsieur Arlanc skrzywił się smutno, a właściwie skrzywiła się jego oddzielona od tułowia głowa, oświetlona blaskiem świecy i spoczywająca na spowitej parą kupie gnoju.

– Zabijałbyś ich pojedynczo, a pozostali zaalarmowaliby strażę. Doceniam twoją szlachetną propozycję, szczególnie że prawie się nie znamy. Czy to z powodu kiły?

– Z pewnością – zgodził się Jack.

– Przykro mi.

Jack zirytował się trochę, że galernik uzala się nad jego losem.

– A twoi synowie...

– Miło, że pytasz. Kiedy *le Roi* zaczął nas dręczyć...

– Kto to jest Leroy, do diabła?!

– Król! Mówię o królu!

– No tak. Przepraszam.

– Przemyciłem ich do Anglii. A jak tam twoje dzieciaki, Jack?

– Nadal czekają na spadek.

– Udało ci się sprzedać strusie pióra?

– Poprosiłem o to znajomych Ormian.

– Rozumiem, że konia jeszcze się nie pozbyłeś...

– Trenuję go.

– Chcesz, żeby zrobił wrażenie na pośrednikach?

– Na pośrednikach?! Po co mi jacyś pośrednicy? Turek ma zaimponować klientom.

Głowa Arlanca poruszyła się na boki, jakby próbowała się zagrzebać w łajnie. Chwilę trwało, zanim Jack zdał sobie sprawę, że Francuz kręci głową z drażniącą dezaprobatą, jak zawsze, kiedy jego rozmówca palnął coś głupiego.

– Nawet o tym nie myśl – powiedział Arlanc. – Koński rynek w Paryżu jest całkowicie kontrolowany przez pośredników. Wagabunda ma takie same szanse sprzedać osobiście konia na Place Royale, jak pojechać do Wersalu i dostać pod swoje rozkazy regiment piechoty. To po prostu niemożliwe.

Gdyby Jack dopiero niedawno przekroczył granicę, zdziwiłby się zapewne i spytał, co jest w tym niemożliwego, ale przebywał już we Francji wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że jego rozmówca ma rację. Arlanc polecił mu pewnego pośrednika, zamieszkałego w Domu pod Czerwonym Kotem przy Rue du Tempie, ale zaraz przypomniał sobie, że pośrednik był hugenotem, więc najprawdopodobniej nie żyje, a z całą pewnością nie prowadzi już interesu.

Skończyło się na tym, że przegadali całą noc. Jack podkarmił Arlanca chlebem i serem, od czasu do czasu rzucając okrawki także innym galernikom, żeby ich uciszyć. Zanim nastał świt, oprócz jedzenia zdążył się pozbyć także butów, co było z jego strony niezbyt mądre, ale przecież on jechał konno, a monsieur Arlanc musiał iść na własnych nogach.

Jack ruszył na północ zmarznięty, zmęczony, głodny i bosy. Konie, które niezbyt wypoczęły, miały paskudny nastrój, co na przeróżne sposoby sygnalizowały właścicielowi. Otepiały Jack skręcił w niewłaściwą drogę i zaczął się zbliżać do Paryża nie znaną sobie trasą. Wpadł przez to w tarapaty, które bynajmniej nie poprawiły mu samopoczucia, a jedna z niepożądanych przygód sprawiła, że zarwał kolejną noc, ukrywając się w lesie przed łowczymi pozostającymi w służbie pewnego arystokraty. Wypożyczone konie rżały przeraźliwie, nie pozostało mu więc nic innego, jak porzucić je na przynętę i wymknąć się na niezmordowanym Turku.

I tak oto przed następnym wschodem słońca znalazł się o krok od ponownego zostania żalosnym wagabundą. Stracił dwa wynajęte, porządne konie; należało się spodziewać, że właściciele paryskich stajni i handlarze końmi chwycą za broń i staną murem przeciw niemu, co dodatkowo utrudni mu sprzedanie Turka. On nie dostanie spodziewanych pieniędzy, a Turek nie doczeka życia, na jakie zasługiwał – karmienia najlepszą paszą, rzetelnej opieki w przestronnej, arystokratycznej stajni, oraz zapładniania niezliczonych rzesz wspaniałych klaczy. Pozbawiony dochodu Jack zapewne nigdy nie zobaczy synów, bo przecież nie mógłby pokazać się w domu ciotki Maeve z pustymi rękami; wszyscy bracia i kuzyni Mary Dolores pogoniliby go kijami przez cały wschodni Londyn...

Takie perspektywy musiałyby go wpędzić w obłęd nawet gdyby choroba nie zżerała mu mózgu i gdyby przez ostatnie trzy doby choć trochę sypiał. Ale z szaleństwem po prostu łatwiej mu się żyło.

Jadąc do Paryża wśród warzywnych zagonów, gdzie para wznosiła się znad jeszcze ciepłych miejskich górien, natknął się – mając już w zasięgu wzroku mury miejskie – na rozległy gliniasty plac, schlapany wapnem i usiany sterczącymi nad powierzchnią ziemi ludzkimi kośćmi i czaszkami. Tu i ówdzie w glinę wetknięto prymitywne krzyże, sterczące teraz pod najdziwniejszymi kątami i upstrzone odchodami siedzących na nich kruków i sępów. Kiedy jednak Jack przejeżdżał przez plac, ptaki zerwały się z grzęd i poleciały na spotkanie procesji, wychodzącej właśnie poza bramy miasta. Na czele szedł ksiądz w długim płaszczu, który był tak ciężki od oblepiającego go błota, że zwisał mu z ramion niczym kolczuga. Mężczyzna podpierał się długim krzyżem, a od czasu do czasu potrząsał trzymanym w drugiej ręce garnkowatym dzwonkiem, który dźwięczał wtedy żałośliwie. Za nim szła grupa żebraków, wspartych na trzonkach od łopat w podobny sposób jak kapłan na krucyfiksie, a na końcu jechał wózek ciągnięty przez parę zagłodzonych mułów, wyładowany podłużnymi pakunkami obszytymi workowym płótnem.

Jack patrzył, jak wóz zajeżdża na krawędź wykopanego w ziemi zagłębienia, przechyla się i zawiniątka – na oko troje dorosłych, z pół tuzina dzieci i para niemowląt – koziółkując, spadają do dołu. Ksiądz machinalnie odklepał łacińskie wersety, a jego pomocnicy spryskali ciała zygzakowatą strugą wapna i zaczęli spychać do dołu usypaną obok niego ziemię.

Usłyszał stłumione głosy – dobiegające, naturalnie, spod ziemi. Wszędzie dookoła czaszki, intensywnie poruszając zuchwami, uwalniały się z gliny i podnosiły na szczycie niekompletnych, chwiejnych szkieletów. Mamrotały przy tym melodyjnie jak modlący się mnisi. Grabarze, kręcąc piruety wokół opartych na ziemi łopat, zaczęli nucić własną przyśpiewkę, skoczną, o lekko irlandzkiej melodii.

Szarpnął wodze, wyprowadził Turka – już roztańczonego w najlepsze – z powrotem na trakt i stwierdził, że stoi na czele wesołego pochodu. Znalazł się na szpicy klina złożonego z wagabundzkich grabarzy, których niedbałe z pozoru ruchy przerodziły się w efektowną

choreografię. Wywijali przy tym łopatom jak dobrze wyszkolona kompania honorowa bronią.

Za nimi szedł ksiądz, wymachując dzwonkiem, za nim zaś jechał wóz z trupami, które powyskakiwały z dołu i – choć nadal w całunach – zawodziły gardłowo jak organowe piszczałki, uzupełniając ponure, kościelne buczenie szkieletów. Kiedy już wszyscy wyszli na drogę i ustawili się w porządnym szyku, szkielety zaintonowały dudniący niby-hymn w miarowym rytmie:

*W tym tysiąc sześćset sześćdziesiątym,
Co też, u diabła, myślał nasz Pan,
Kształt nieforemny wagabundy
Ze szlamu Tamizy lepiąc nam?*

*Rzecz oczywista przecież, że Bóg
Nie myślał durnia konstruować.
Żywot Jackowy dowodzi więc,
Ze rozum postradał Jehowa.*

I refren w stylu chorału gregoriańskiego:

Quod erat demonstrandum. Quod erat demonstrandum...

Zbliżali się do bramy miasta, kiedy na spotkanie wyszła im zmierzająca na południe kolumna *galériens*, hugenotów powłóczących nogami w synkopowanym rytmie, przez co ich łańcuchy podzwaniały jak dzwoneczki u sań. Jadący konno strażnicy strzelali z biczów w rytm śpiewanej przez więźniów żwawej piosenki:

*Idziemy we wnykach,
My, więźnie Ludwika.
Myślisz,
Że wolność-śmy postradali.
Lecz kosmos –
Jak zegar –
Nikomu
Wyboru nie daje, kochani.*

W tymże momencie grabarzy powitał równie liczny pochód handlarek ryb. Kobiety wyszły przez bramę i zmieszały się z wagabundami, a kiedy ich wibrujące soprany i

chrapliwe alty podchwyciły wesołą celtycką śpiewkę, zagłuszyły zarówno szkielety, jak i hugenotów:

*Był sobie kiedyś wagabunda,
Na Karaiby los go rzucił,
Więc po powrocie do Londynu
Strasznie chciał ulżyć swojej chuci.*

*Spotkał kobiety przy Drury Lane,
W Houndsditch znalazła się dziewczyna.
W końcu pomyślał, że od kurwy
Tańsza by była ta jedyna.*

*Jack wielbicielem był teatru,
Póki mu płacić nie kazano.
Irlandzką poznał raz aktorkę,
Zakradłszy się tam kiedyś rano.*

Ksiądz, który nie miał nic przeciwko tej wesołej wstawce, wplótł ją w swój uroczysty kantyk, zmieniając przy tym zgrzytliwie rytm:

*Jack, zamiast się pojednać
Z Bogiem oraz Kościołem,
Bzyknąwszy aktoreczkę,
zostawił ją z bachorem.*

*Bóg w niebie nie mógł przecież
Życzyć dziewczce niedoli.
Czyn Jacka jest dowodem
Istnienia wolnej woli.*

Quod, erat demonstrandum. Quod, erat demonstrandum...

Nieustępliwi galériens wtarabanili się w sam środek tej sceny i przejęli inicjatywę:

*Chce,
Czy nie –
To wszystko pic.*

Predestynacja króluje!

*Na nic decyzje,
Na darmo plany,
Wbrew fatum nic nie zwojuje!*

I znów wszedł ksiądz:

*Papież rzekłby, że kto
Pretensje ma do Pana,
Szambo ma zamiast mózgu
Lub chwastem jest Szatana.*

*Najlepiej niech ci pierwsi
Mądrzejszych posłuchają.
Drugich zaś spowiedź czeka.
Do trzódki niech wracają.*

Quod, erat demonstrandum. Quod, erat demonstrandum...

Galériens mieli ogromną ochotę zostać i kontynuować spór, ale strażnicy bezlitośnie pędzili ich na południe.

*Powiosłujemy
Hen, po Rodanie.
Bóg dawno na to zezwolił.*

*Rozchmurz się, Jack,
Wiesz przecież, że
W humorów i żądz tkwisz niewoli.*

W końcu zostali ściągnięci ze „sceny” w następujący komiczny sposób: strażnik zajechał na czoło kolumny, zaczepił koniec łańcucha o łęk siodła i spiął konia ostrogami. Skracany raptownie łańcuch przeslizgiwał się przez ucha w obrożach *galériens* do chwili, aż go zabrakło. Wtedy szarpnął gwałtownie ostatniego z więźniów i pociągnął go na poprzednika, który z kolei został ściągnięty na idącego przed nim i nastąpiła reakcja – *nomen omen* – łańcuchowa, aż wreszcie wszyscy skazańcy, ściśnięci razem jak opróżniony z powietrza akordeon, oddalili się w stronę Morza Śródziemnego.

Tymczasem reszta pochodu wmaszerowała przez bramę do pięknego Paryża. Szkielety, dotychczas wyjątkowo ponure, nagle zaczęły się rozpadać i bębnić kośćmi udowymi w kości własne i sąsiadów, wygrywając melodie jak na ksylofonach. Ksiądz wskoczył na wóz z trupami i miłym dla ucha, mocnym kontratenorem zaintonował nową piosenkę:

*Och, Jaaack...
Żeś mnie zeszmacił – nic to, powiem śmiało.
Tak, Jaaack,
W gównno wdepnąłeś, w gównno jakich mało.
Och, Jaaack...
Chłosta to pryszcz. A gdyby tak twe ciało
Na haaak?
Może by koło gnaty połamało?
O, taaak!
Choćby ci skórę zdarli z grzbietu całą –
Wszystko to mało.
Nie dość, żeś bęcwał,
To jeszcze zły.
Charyzmy za grosz,
Uroku ni krzty.
Mózg, z Boga dany,
W rynsztoku chlupie,
A ty, mój drogi,
Masz wszystko w dupie.
Cuchniesz, Jack, strasznie,
Że aż słów szkoda.
Cóż, taka twoja.
Wredna uroda.*

I tak dalej. Po chwili jednak nastąpiła pauza w muzyce, a to za sprawą małej, prześlicznej Francuzeczki w białej sukience, z rodzaju tych, w jakich małe papistki idą do pierwszej komunii świętej – czyli promiennej i smętnej jednocześnie. Ksiądz ściągnął lejce, zeskoczył z wozu i przykucnął obok dziecka.

– Pobłogosław mi, ojcze, bo zgrzeszyłam – powiedziała dziewczynka.

– Oooch! – jęknęli zgodnie grabarze, szkielety, trupy, przekupki *et caetera*, zebrani wokół nich w szerokim kręgu niczym kibice podczas bójki dwóch Irlandczyków.

– Uwierz mi, dziecko, nie ty jedna! – krzyknęła jedna z handlerek, stuliwszy dłonie przy ustach. Pozostałe wyszczerzyły zęby w uśmiechu i pokiwały głowami.

Ksiądz podkasał ubłoconą sutannę, przysunął się jeszcze bliżej i nachylił do dziewczynki. Szepnęła mu coś do ucha, na co on pokręcił głową z nieudawaną, acz niezwykle krótkotrwałą zgrozą, po czym wstał, wyprostował się i coś jej odpowiedział. Dziewczynka złożyła rączki i zamknęła oczy. Cały Paryż ucichł. Wszyscy słuchali w napięciu, jak dziecko drżącym głosem odmawia krótką papistowską modlitwę po łacinie. Potem otworzyło błękitne ślepka i lekliwie zerknęło na księdza, którego kamienna dotąd twarz rozpromieniła się w szerokim uśmiechu, gdy nakreślił znak krzyża nad jego główką. Dziewczynka zapiszczała z radości, zerwała się na równe nogi i zrobiła gwiazdę na środku ulicy, aż zafurkotały falbanki. W tej samej chwili cała procesja ożyła – ksiądz ze śpiewem na ustach ruszył za fikającą koziołki dziewczynką; zaszyte w workach trupy na wozie zakołysały rytmicznie biodrami i nieartykułowanym pohukiwaniem uzupełniały luki w melodii; grabarze i przekupki, wraz z kwaciarkami i szczurołapami, którzy dołączyli po drodze do pochodu, tańczyli w rytm księżowskiej piosenki, każde na swój sposób – jedni wykonywali irlandzkie przytupy, inni woleli kroki śródziemnomorskiej tarantelli, a kobiety upodobały sobie burdelowy taniec z wysokim zadzieraniem nóg.

*Gdy ktoś nadto jest zuchwały –
Czy młodzieniec nazbyt śmiały,
Czy dziewczęta, co kochały
Mężczyzn różnych, choć śluby ich nie wiążą;*

*Jubileusz gdy świętujesz,
Gdy się bawisz i błaznujesz,
Potem dzieci zaś tratujesz,
Co uciec przed karocą twą nie zdążą...*

I tak to trwało przez dłuższy czas, musieli bowiem przejść przez cały uniwersytet i minąć rzymskie łaźnie w Cluny. Kiedy dotarli do Petit Pont, chyba z tysiąc wymizerowanych biedaków wyszło z bram Hôtel-Dieu, olbrzymiego przytułku dla ubogich, mieszczącego się tuż obok Notre Dame, z którego zresztą wcześniej przybyli ksiądz, grabarze i zmarli. Zagrały katedralne organy, a nowy chór zagrzmiął potężnie, wieszcząc rychłe opadnięcie kończącej spektakl kurtyny:

*Każdy to robi – każdy z nas grzeszy;
Każdego troska bliźniego śmiesz,
Każdy w ramiona chętnie pospieszy
Jego lub jej. I wino nas cieszy.*

*A teraz wyznaj grzechy i powiedz, żeś męt.
To nie jest żadna moda, to nie żaden trend.
Tak papież powiedział, tak należy, gdy chę-
tka nadmierna cię weźmie. Wtedy bowiem pręd-
ko wierzbową cię witką wychłostać trzeba
(Chyba że to lubisz). Grzechowi się nie daj,
Zniszcz go w swym sercu, czyś król jest, czy biedak,
Czy drobne masz winy, czyś matkę swą sprzedał,*

*Niczym się nie przejmuj. Wyznaj wszystko potem
Po cichu, sam z Bogiem porozmawiaj o tem,
W kościele bądź nie. Poprawa nie zaboli.
Co w zamian dostaniesz? Łask Bożych do woli!*

Treść piosenki zaczynała się powtarzać, co miało chyba służyć – jak przypuszczał Jack – podkreśleniu cyklicznej natury uroczystości. Część żebraków i handlarek już spółkowała na środku ulicy, inni maszerowali – w równych, żołnierskich formacjach – prosto w stronę księdza, aby się wypowiedać, po drodze, mijając katedrę, przyklękali na jedno kolano, a po spowiedzi wracali cudzołożyć w najlepsze. Każdy szkielec, trup, biedak, grabarz, handlarz i ksiądz miał już swoją rolę do odegrania i zaśpiewania – każdy poza Jackiem. Kolejni towarzysze pochodu odłączali się od Jacka lub rozplýwali w powietrzu, aż w końcu wjechał samiuteńki (choć obserwowany przez tysiące gapiów i witany huczną owacją) na plac przed katedrą Notre Dame.

Nikt nigdy nie widział wspanialszej parady. Chorągwie regimentów Ludwiczka czekały na błogosławieństwo olśniewająco odzianego papistowskiego infułata, niewiele ustępującego w hierarchii samemu papieżowi, a stojącego pod haftowanym w lilie baldachimem, który w słońcu lśnił jak płac polerowanego metalu. Samych regimentów nie było (nie zmieściłyby się na placu), w ich imieniu występowali więc szlachetni dowódcy w asyście heroldów i chorążych. Chorążowie nieśli ogromne sztandary z jedwabiu, aksamitu i złotogłowiu – byłoby je widać na milę nawet w tumanach kurzu i obłokach dymu na polu bitwy, a zatknięte na murach holenderskich, niemieckich czy angielskich miast prezentowałyby się oszalamiająco, dając mieszkańcom podbitych ziem wyobrażenie o chwale, sile i (przede wszystkim) dobrym guście Leroya. Każda chorągiew miała iście magiczną władzę nad członkami swojego oddziału, toteż widok ich wszystkich zebranych w jednym miejscu, rząd za rządem, przywodził na myśl spotkanie wszystkich dwunastu apostołów przy jednym stole. Albo coś w tym guście.

Jack nie cierpiał wprawdzie Leroya, ale musiał przyznać, że było na co popatrzeć. Zaczął nawet żałować, że nie przyjechał wcześniej, bo zdążył tylko na ostatni kwadrans uroczystości.

Potem impreza nagle się skończyła; chorąży rozjechali się do swoich kwater pod murami Paryża, arystokracja zaś podążyła na północ, przez Pont d'Arcole przeszła na prawy brzeg rzeki i tam zaczęła się rozpraszać. Część konnych udała się w stronę Luwru, reszta zaś objechała od tyłu Hôtel de Ville, kierując się ku Place Royale i Marais. Jeden z członków tej drugiej grupy, w admirałskim kapeluszu na głowie, dosiadał białego konia o różowych ślepiach. Wierzchowiec był duży i ciężki, najwyraźniej uchodził za bojowego rumaka.

Jack nie wiedział jeszcze, co powinien zrobić, ale kiedy (z braku lepszego celu w życiu) podążał za admirałem wąskimi uliczkami, zaczął słyszeć dobiegające ze ścian niepokojące odgłosy, nieco przypominające skrobanie myszy. W powietrzu unosiły się świetliste drobinki. Przyjrzawszy się bliżej paryskim murom, Jack stwierdził, że wszystkie maleńkie zwierzątka uwięzione w kamieniu wierciły się niespokojnie i wzniewały tumany kurzu, tak jakby niewidzialny przypływ żywego srebra przesączał się w głąb ścian i je ożywił. Potraktował to jak dobry omen i spał Turka drewnianymi sabotami. Ruszył labiryntem zaułków, uchylając się pod wywieszonymi na pół ulicy balkonami, wyprzedził admirała na różanookim koniu i zajechał mu drogę tuż przed jedną z bram Place Royale, w tej samej uliczce, w której niedawno służący tego samego (jak mniemał) jegomościa zepchnęli go do rynsztoka.

W tej chwili służba była zajęta oczyszczaniem drogi dla admirała i towarzyszącego mu licznego kontyngentu przyjaciół i pieczeniarzy, dlatego kiedy Jack wyjechał na środek drogi, znalazł się tam zupełnie sam. Pieszy sługa w niebieskiej liberii wyszedł mu na spotkanie. Zmierzywszy wzrokiem jeźdźca, jego saboty i kulę, wziął go zapewne za chłopca, który ukradł konia od pług. Jack leciutko szarpnął wodze, dając Turkowi czytelny sygnał: rób, co chcesz. Koń ruszył z kopyta i wgniótł służącego w rynsztok, gdzie na chwilę przykryła go fala gnoju. Jack zwinnie obrócił Turka i stanął twarzą w twarz z admirałem. Dzielilo ich pięć, może sześć długości konia i jeszcze kilku pieszych, którzy jednak po pokazie umiejętności Turka woleli tulić się do ścian.

Admirała zamurowało. Nie mógł oderwać wzroku od drewniaków Jacka, te zaś, strząśnięte przez właściciela, potoczyły się po bruku, czyniąc przy tym hałas do złudzenia przypominający odgłos pospiesznych kroków. Jack miał ochotę wygłosić jakąś celną uwagę, która – na przykładzie sabotów – podkreśliłaby fakt, że żabojady obsesyjnie przedkładają formę nad treść. Warto było im o tym przypomnieć tu i teraz, w związku z ich (domniemaną) niemożnością docenienia Turka. Sęk w tym, że w obecnym stanie umysłu Jack nie potrafiłby się wypowiedzieć nawet po angielsku.

Ktoś jednak uznał, że bosy jeździec może być niebezpieczny – młody mężczyzna w mundurze kapitana kawalerii wyjechał przed admirała, dobył szabli i czekał na ruch Jacka.

– Ile dałeś za tę chabetę? – warknął Jack.

Ponieważ nie miał okazji rozpakować szabli, wznosił kulę niczym rycerz kopię, wsparł owiniętą szmatami poprzeczkę o żebra i szturchnął Turka piętami. Wiosenne powietrze przyjemnie chłodziło mu bosa stopy. Na twarzy kapitana odmalowała się szlachetna

konsternacja (Jack miał na zawsze zapamiętać tę jego minę), tymczasem inni członkowie admirałkiej świty, stłoczeni za jego plecami, rozstępowali się pospiesznie przy wtórze bezładnego stukotu i chrzęstu kopyt. Dopiero w ostatnim ułamku sekundy kawalerzysta zdał sobie sprawę, że nie ma szans w tym starciu i spróbował się uchylić. Czubek kuli trafił go w bark, prawdopodobnie nabijając mu solidnego siniaka, Jack zaś przejechał przez środek orszaku i zawrócił Turka w miejscu. Manewr ten trwał odrobinę za długo, ale wszyscy admirałowie, pułkownicy i kapitanowie też musieli się odwrócić, a konie mieli gorsze.

Zwłaszcza jeden z nich – piękna, czarna sztuka, niosąca w siodle arystokratę w obfitej peruce ozdobionej burzą wstążek – za nic nie chciał posłuchać rozkazu i stał bokiem, dosłownie parę kroków od Jacka.

– Ile dostanę za tego pięknego tureckiego ogiera? – zapytał Jack i spiął Turka, który rozpedził się lekko, staranował czarnego konia i przewrócił go na ziemię. Kopyta zagrzechotały o bruk jak seria muszkietowych wystrzałów, a zaskoczony jeździec pofrunął prawie do granicy następnego *arrondissement*.

– Kupię go tu i teraz, Jack – rozległ się dziwnie znajomy głos. – Tylko przestań się tak rzucać, durniu jeden.

Jack podniósł wzrok i spojrzał w twarz mówiącego. Najpierw pomyślał, że nigdy przedtem nie widział tak przystojnego mężczyzny, a zaraz potem rozpoznał w nim Johna Churchilla – który, nawiasem mówiąc, dosiadał całkiem przyzwoitego wierzchowca.

Ktoś podjechał do nich, krzycząc coś po francusku. Jack był tak oszołomiony, że w ogóle nie rozumiał, co się dzieje, do chwili gdy Churchill, nie spuszczać z niego wzroku, wyszarpnął z pochwy rapier, okręcił go w dłoni i sparował pchnięcie wymierzone prosto w jego serce. Odbite ostrze przeszło udo Jacka i ból przywrócił go do rzeczywistości. Nagle dotarło do niego, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– Bob przesyła pozdrowienia ze słonecznej Dunkierki – dodał Churchill. – A teraz, jeśli zamkniesz dziób, istnieje pewna nieskończenie mała szansa, że jednak uda mi się ocalić cię od śmierci w męczarniach.

Jack nic nie powiedział.

Amsterdam

Kwiecień 1685

Sztuka wojny została tak dokładnie przestudiowana i jest tak znana na całym świecie, że dziś o zwycięstwie decyduje nie najostrzejszy miecz, lecz najzasobniejsza sakiewka. Jeżeli nawet w pewnym kraju lud jest do wojaczki nieposobny, nie

przejawia inicjatywy i nie staje chętnie do walki, wystarczy, że ma więcej niż sąsiedzi pieniędzy, a wkrótce przewyższy ich swą potęgą. Bo pieniądź to siła...

Daniel Defoe, *Opisanie handlu angielskiego*

– To było coś przewspaniałego, mademoiselle... Język francuski nie zna słów...

Jak garść żwiru ciśnięta do wody marszczy nieruchomą powierzchnię stawu, tak niespodziana myśl wzburzyła urodziwą twarz księcia Monmouth, oblaną złocistą poświatą amsterdamskiego popołudnia – jego brwi się zmarszczyły, wargi wydeły, oczy lekko zbiegły... Chociaż to akurat trudno byłoby stwierdzić, biorąc pod uwagę pozycję, jaką przybrali księżę z Elizą – jakby żywcem wyciętą z jakiegoś hinduskiego fryzu.

– Co się stało? – spytała Eliza.

– Czy podczas tych wszystkich... zabiegów, osiągnęliśmy seksualne... mmm... zespolenie?

– Ha! O co panu chodzi, monsieur? Czyżbyś był papistą, który musi sporządzić rozpiskę grzechów?

– Dobrze pani wie, mademoiselle, że nie, ale...

– Po prostu lubi pan liczyć gdzie, z kim i ile razy, tak? Niczym bywalec gospody, który chętni się liczbą wychylonych kufli? Tylko że u pana, monsieur, miejsce kufli zajmują kobiety.

Monmouth udał urażonego, ale ponieważ od czasów dzieciństwa jego organizm nie zawierał tak skąpej ilości żółci jak w tej chwili, nawet jego duma osobista sflaczała.

– Moim zdaniem to ważne, kogo mój jaś zaliczył, a kogo nie. I nie mam się czego wstydzić, że mnie to interesuje. Mój ojciec, niech Bóg ma go w swojej opiece, bzykał dosłownie wszystko, co mu wpadło w ręce. Jestem pierwszym i najważniejszym z całego legionu królewskich bękartów. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby stracić rachubę.

– Rachubę własnych bękartów, tak?

– No właśnie.

– Proszę zatem przyjąć do wiadomości, monsieur, że to, czym się przed chwilą zajmowaliśmy, nie grozi przyjściem na świat żadnych królewskich bękartów.

Monmouth odwrócił się i przyjął mniej egzotyczną pozycję – siedząc, patrzył teraz z namaszczeniem wprost w biust Elizy.

– Nie chciałyby pani zostać na przykład księżną, mademoiselle?

Eliza odrzuciła głowę do tyłu i parsknęła śmiechem.

Monmouth, wyraźnie dotknięty, przeniósł wzrok na jej rozedrgany pępek.

– A co musiałabym zrobić? Poślubić jakiegoś księcia-syfilityka?

– Nic podobnego. Wystarczyłoby, żebyś była moją kochanką, pani, gdy ja będę królem Anglii. Mój ojciec wszystkim swoim metresom nadawał tytuł księżnej.

– Po co?

Książę był wyraźnie poruszony.

– Jak to po co? Inaczej nie wypada!

– Ma pan już kochankę.

– Mieć jedną to pospolite...

– A mieć kilka to już szlachetne?

– Po co być królem, jeśli nie można rznąć całego stadka księżnych?

– Dobrze powiedziane, monsieur!

– Chociaż nie jestem pewien, czy „rżnięcie” to *le mot juste* dla tego, co właśnie zrobiliśmy.

– Tego, co ja zrobiłam. Pan, monsieur, tylko wiercił się i dygotał.

– Przypominało to trochę modny taniec, w którym tylko jeden z partnerów zna kroki, nie uważa pani? Powinna mnie pani nauczyć teraz mojej roli.

– Taka propozycja jest dla mnie zaszczytem, wasza miłość. Czy to oznacza, że jeszcze się spotkamy?

– Ja nie żartowałem, proponując, że uczynię panią księżną, mademoiselle – zachnął się Monmouth, nieco zbity z pantałyku.

– Najpierw musi pan zostać królem.

Książę Monmouth westchnął i opadł na materac, wzniecając chmurę kurzu, słomek, pluskiew i roztoczy. Tuman zawisł w powietrzu, cudnie podświetlony łagodnym blaskiem, zupełnie jakby któryś z Breughłów utrwalił go na płótnie.

– Wiem, że to okrutnie nudne. – Eliza założyła mu za ucho odgarnięte z czoła włosy. – W przyszłości, monsieur, będziesz do woli błąkał się po polach bitew, ale dziś... Dziś pójdziemy do opery!

Monmouth się skrzywił.

– Wolałbym pole bitwy.

– Wilhelm też tam będzie.

– O mój Boże... Ale chyba nie zamierza grać, co?

– Nie wiedziałam, że książę orański...

– Po zawarciu pokoju w Bredzie wystawił balet, w którym wystąpił w roli Merkurego przynoszącego wieści o angielsko-holenderskim zbliżeniu. Bardzo to było krępujące, patrzeć, jak skądinąd przyzwoity żołnierz bryka po scenie z jakimiś gęsiami skrzydełkami u kostek.

– To było dawno temu. Książę wydorosłał i takie zachowanie uwłaczałoby dziś jego godności. Zajmie miejsce w swojej łoży i stamtąd będzie zerkał na scenę. A także udawał, że szepcze *bon moty* do ucha Marii, która z kolei uda, że je rozumie.

– No, ale jeżeli on się tam wybiera, my możemy się spóźnić. Muszą przeczesać teatr w poszukiwaniu bomb.

– W takim razie tym bardziej powinniśmy stawić się tam jak najwcześniej. Będzie więcej czasu na knucie intryg.

* * *

Eliza nie bez powodu czuła się w operze jak ktoś, kto naczytał się książek i nasłuchał opowieści o obcych krainach, a teraz wreszcie ma okazję ujrzeć je na własne oczy. Chodziło jednak nie tyle o samo miejsce, co o wypełniających je ludzi, i to nawet nie o tych najbardziej utytułowanych (jak na przykład *raadspensionary* oraz przeróżni regenci i radni ze spasionymi, uginającymi się pod ciężarem biżuterii małżonkami), lecz o tych, którzy mieli prawdziwą władzę nad rynkiem.

Eliza – podobnie jak większość osobników tworzących hałaśliwy, klaszczący tłum, krążący między tamą i giełdą – nie dysponowała wystarczającą kwotą pieniędzy, żeby handlować prawdziwymi udziałami V.O.C. Kiedy miała przyływ gotówki, kupowała i sprzedawała udziały dukatowe; w innym wypadku handlowała opcjami na zakup i sprzedaż tychże. Ściśle rzecz biorąc, akcje dukatowe w ogóle nie istniały – były to zaledwie odłamki prawdziwych udziałów Kompanii, fikcja wymyślona po to, by ludzie, którzy nie są niewyobrażalnie zamożni, również mogli działać na rynku.

Po drugiej stronie drabiny, powyżej nawet poziomu kupców operujących pełnowartościowymi udziałami V.O.C., znajdowali się prawdziwi giełdowi książęta, którzy zaciągali pożyczki pod zastaw nabytych akcji, a następnie finansowali przeróżne przedsięwzięcia i przedsiębiorstwa – kopalnie, towarzystwa żeglugowe, niewolnicze forty na gwinejskim wybrzeżu, zamorskie kolonie, wojny, a także (w sprzyjających okolicznościach) przewroty wojskowe i detronizacje królów. Ktoś taki mógł zatrząść rynkiem przez sam fakt pojawienia się na giełdzie; jego mina mogła wywołać hossę lub krach, kiedy płynął po parkiecie, zostawiając za sobą kilwatter transakcji, niczym smugę dymu z biskupiej kadzielnicy.

I właśnie tacy ludzie stawili się w operze w towarzystwie swoich żon lub metres. Tłum przypominał wnętrze klawikordu; wszyscy byli napięci jak struny, gotowi brzęknąć lub jęknąć żałośnie przy najlżejszym szturchnięciu. Wydawane przez nich odgłosy łączyły się w kakofonię, przywodzącą na myśl marcujące koty, które ktoś omyłkowo zatrzasnął we wnętrzu instrumentu; pojawienie się pewnych określonych osób niesło się echem całkiem mocnych akordów.

– Francuzi mają na to dobre określenie – mruknął książę Monmouth, przysłaniając usta dłonią w rękawicze z cielejącej skórki. Szli w stronę łoży. – *Frisson*.

– Czuję się jak Orfeusz. Walczę z pokusą obejrzenia się za siebie...

– Proszę tego nie robić. Zgubi pani turban, mademoiselle.

Eliza poklepała tkwiący na jej głowie kłęb modrego tureckiego jedwabiu. Był przymocowany do włosów całą masą pogańskich broszy, klipsów i szpilek.

– Niemożliwe.

- Ale po co się odwracać?
- Żeby się dowiedzieć, co spowodowało *frisson*.
- My, głuptasie.

Chociaż raz Monmouth powiedział szczerą prawdę. W ich stronę wycelowano niezliczone mnóstwo pozłacanych i wysadzanych kamieniami lornetek teatralnych, które upodabniały swoich właścicieli do wyłupiastookich płazów wylegających się na brzegu stawu.

– Nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby kobieta księcia była odziana z większym przepychem niż on sam – stwierdziła Eliza.

– I nigdy więcej się nie zdarzy – odparował Monmouth. – Miejmy nadzieję, że pani widok nie przyćmi tego, co naprawdę chcielibyśmy im pokazać.

Nie przerywając rozmowy, przystanęli przy balustradzie łoży, gdzie wszyscy mogli ich swobodnie obserwować. Podwyższenie, na którym występowali aktorzy, było bowiem zaledwie jedną z wielu scen w operze (choć najbardziej oczywistą), spektakl zaś tylko jednym z wielu rozgrywających się równolegle dramatów. I tak, na przykład, gwardziści w błękitnych mundurach przewracali do góry nogami znajdującą się kilka jardów dalej łożę stadhoudera w poszukiwaniu francuskich bomb. To przedstawienie już się jednak widzom znudziło, nic więc dziwnego, że księżę Monmouth i jego najnowsza kochanka ściągnęli na siebie powszechną uwagę. Pod okiem tylu poważnych udziałowców V.O.C., obserwujących ją przez ręcznie szlifowane soczewki, Eliza czuła się jak owad pod szkłem powiększającym naturalisty. Cieszyła się, że w skład kostiumu tureckiej kurtyzany wchodzi kwef. Dzięki temu widzieli tylko jej oczy.

Ale nawet przez tę wąską szczelinę czarzaflu niektórzy obserwatorzy wyłowili zapewne chwilowe oznaki paniki (albo przynajmniej podenerwowania) w oczach Elizy. *Frisson* trochę zmalało, ogólny szmer przeszedł w bardziej jednostajny pomruk konsternacji. Operowi bywalcy poszturchiwali się i ruchem oczu lub skinieniem dłoni wskazywali sobie nawzajem balkon. Pochylali się ku sobie i wymieniali szeptane domysły, ryzykując przy tym splątanie peruk.

Dopiero po dłuższej chwili rozpoznali towarzysza Elizy. Monmouth wystąpił w stroju przeraźliwie zwyczajnym i pragmatycznym, jakby zaraz po przedstawieniu zamierzał dosiąść konia i pogalopować przez moczary i knieje, aż napotka jakiegoś wroga dopraszającego się o ścięcie. Nie przypasał sobie nawet rapiera, lecz kawaleryjską szablę. Ta część komunikatu nie budziła wątpliwości, nadal jednak pozostawały dwa pytania: w którą stronę uda się księżę i czyje właściwie głowy chce ścinać.

- Wiedziałem! – wysyczał. – Niepotrzebnie odsłoniłaś pępek!
- Przeciwnie. Jest jak dziurka od klucza, droga do zamka, którego otwarcie rozwiąże zagadkę – odparła Eliza.

Przy każdym „t” i „k” jej kwef falował uwodzicielsko. Nie była jednak wcale tak pewna siebie, za jaką chciałaby uchodzić. Rozglądała się dyskretnie i – miała taką nadzieję – niewinnie po ustawionych w półksiężyc łóżach, aż wypatrzyła tę, w której zasiadał hrabia d’Avaux w towarzystwie amsterdamczyków, którzy ostatnio wrócili z zakupów w Paryżu, oraz pana Sluysa, zdrajcy i ołowiowego potentata.

D’Avaux opuścił pozłacane lornion i przez bite dziesięć sekund patrzył jej prosto w oczy. Potem przeniósł wzrok na łóżę księcia Wilhelma, gdzie wciąż trwała krzątania niebiesko umundurowanych strażników. Znów spojrzął na Elizę. Czarczaf skrywał jej uśmiech, ale zapraszające spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości.

– To na nic... – Monmouth chrząknął.

– Wprost przeciwnie. Udało się nam.

D’Avaux wstał i zaczął przeproszać towarzyszących mu gości: Sluysa, jakiegoś regenta i młodego francuskiego arystokratę, który musiał być kimś znacznym, ponieważ hrabia nisko mu się uklonił.

Chwilę później składał podobny ukłon księciu Monmouth i całował Elizę w rękę.

– Kiedy następnym razem zaszczyli pani operę swoją obecnością, strażnicy będą musieli przeszukać także pani łóżę. Może być pani pewna, że przyćmiła wszystkie obecne tu damy. Nigdy pani tego nie wybaczą.

Mówiąc to, d’Avaux zmierzył Monmoutha pytającym spojrzeniem. Mundur księcia zdobiło kilka odznaczeń, które dopiero po dokładnym przyjrzeniu się można było należycie zinterpretować. Na jednej z odznak widniał prosty, czerwony krzyż, symbol krzyżowców; na innej – herb Świętej Ligi, sojuszu Polski, Austrii i Wenecji, który to sojusz pędził właśnie niedobitki tureckiej armii przez węgierskie równiny.

– Wasza miłość... – odezwał się w końcu hrabia. – Droga na wschód jest najeżona niebezpieczeństwami.

– A droga na zachód zamknięta – odparł Monmouth. – Przynajmniej dla mnie. Zaś moja obecność w Holandii staje się źródłem przeróżnych niemiłych plotek.

– We Francji zawsze znajdzie się dla pana miejsce, monsieur.

– Wojaczka to jedyna rzecz, na której jako tako się znam...

– Wcale nie jedyna... wasza miłość – wtrąciła lubieżnym tonem Eliza.

D’Avaux skrzywił się i oblizał wargi, Monmouth zaś poczerwieniał, ale mówił dalej:

– Ponieważ mój stryj²³ zaprowadził pokój w świecie chrześcijańskim, muszę szukać chwały na ziemiach pogan.

Kątem oka Eliza dostrzegła jakieś poruszenie – Wilhelm z Marią weszli do swojej łoży. Wszyscy wstali i powitali ich oklaskami – skąpymi, pozbawionymi entuzjazmu i

²³ Chodzi o króla Francji, Ludwika XIV. W rzeczywistości Ludwik nie był stryjem Monmoutha, lecz bratem wdowca po siostrze jego ojca, jak również synem brata jego babki. Byli zresztą spokrewnieni i spowinowaceni także na wiele innych sposobów.

krótkotrwałymi. Hrabia d'Avaux podszedł i ucałował Monmoutha w oba policzki. Gest ten umknął uwagi wielu gości, ale nie wszystkim. Tych, którzy go widzieli, było z pewnością dostatecznie wielu, aby widownia zabrzmiała nową nutą barytonowego zamieszania, szybko jednak zagłuszoną pierwszymi taktami uwertury.

Panie i panowie sadowili się w fotelach. Służący, stojąc nieruchomo w cieniu łóż i balkonów, czekali na skinienie ze strony państwa, a wtedy podchodzili bliżej, pochylali się i przekrzywiając głowy, słuchali szeptanych poleceń lub wyciągali dłonie po wypisane odręcznie karteczki.

Rynek zaczął działać – Eliza wprowadziła go w ruch pępkiem i turbanem, a d'Avaux okazaniem większego niż zwykle szacunku księciu Monmouth. Fakty te jednoznacznie wskazywały, że Monmouth odstąpił od roszczeń do angielskiego tronu i w najbliższym czasie wybiera się do Konstantynopola.

Eliza marzyła o tym, żeby znaleźć się na Damplatzu i podążać w ślad za ruchami rynku, ale na razie jej miejsce było tu, w operze. Odprowadziła wzrokiem d'Avaux, który wrócił do swojej łoży. Ze sceny dobiegł śpiew aktorów, lecz goście hrabiego skupili się wokół niego, zaczęli szeptać i słuchać uważnie. Młody Francuz pokiwał głową, spojrzał na Monmoutha, przeżegnał się i wykonał taki gest otwartą dłonią, jakby przesyłał księciu swoje modlitwy; Eliza spodziewała się, że spod mankietu koszuli wyfrunie mu biały gołąbek. Monmouth udał, że chwyta go i całuje.

Za to pan Sluys wcale nie był rozmodlony. Pan Sluys gorączkowo rozmyślał. Mimo półmroku, dymu świec i tytoniowych oparów Eliza z łatwością odczytywała zmiany wyrazu jego twarzy.

Monmouth jedzie na Węgry mordować Turków. Nie użyje zatem Holandii jako bazy wypadowej do ataku na Anglię, stosunki angielsko-holenderskie nie zostaną nadszarpnięte, a angielska marynarka wojenna nie zacznie ostrzeliwać niderlandzkiej floty handlowej. Czyli akcje V.O.C. muszą pójść w górę.

Sluys uniósł rękę i delikatnie poruszył dwoma palcami. Natychmiast nad jego ramieniem zawisł służący; było widać, jak odlicza coś na palcach i stara się zapamiętać. Skinął ostro głową, niczym dziobiąca smaczny kąsek mewa, i zniknął.

Eliza sięgnęła na tył głowy, odpięła kwef i zrzuciła go na podolek. Potem już bez przeszkód rozkoszowała się operą.

Sto stóp od niej czaił się za kulisami Abraham de la Vega. Trzymał w rękach lunetę, której soczewki zostały oszlifowane (z dokładnością do tysięcznych części cala) przez jego świętej pamięci dalekiego kuzyna Barucha de Spinozę. Patrząc przez nią, dostrzegł, jak zasłona opada z twarzy Elizy. Miał dziewięć lat. Przekradł się przez kulisy i wyśliznął z gmachu opery, przemykając cicho jak nocny cień słowika. Przy drzwiach czekał jego wuj, Aaron de la Vega, dosiadający rączego konia.

* * *

– Zaproponował już pani tytuł księżnej, mademoiselle? – zapytał d’Avaux w czasie przerwy.

– Powiedział, że byłby to zrobił, gdyby nie zrezygnował z pretensji do tronu.

Ostrożność Elizy rozbawiła hrabiego.

– Nie mogę patrzeć na to, jak się panią zaniedbuje. Czy korzystając z faktu, że towarzyszący pani galant odnawia platoniczną znajomość z księżną, mógłbym zabrać panią do łoża pana Sluysa?

Eliza obejrzała się w stronę łoża stadhoudera – Maria była na swoim miejscu, za to Wilhelm już zdążył się wymknąć, oddając pole Monmouthowi, którego niezłomne postanowienie wyruszenia na wschód i bicia Turków doprowadziło księżną do rozpacz.

– Nawet dobrze nie obejrzałam sobie księcia – poskarżyła się Eliza. – Mignął mi tylko, kiedy w ostatniej chwili wśliznął się do łoża.

– Zapewniam panią, mademoiselle, że nie było czego oglądać. – D’Avaux podsunął Elizie swoje ramię. – Jeśli to prawda, że pani amant wkrótce wyrusza na wschód, będą potrzebni nowi młodzieńcy, którzy zadbają o pani rozrywki. Zresztą czas najwyższy na zmianę. *La France* robiła co mogła, żeby choć trochę ucywilizować Monmoutha, ale niełatwo jest zatrzeć anglosaską skazę. Nigdy nie wykształcił w sobie dyskrecji, która u Francuzów jest darem wrodzonym.

– Nie ma pan pojęcia, monsieur, jak bardzo czuję się zakłopotana niedyskrecją Monmoutha – odparła wesoło Eliza.

– Cały Amsterdam, a także mniej więcej pół Londynu i Paryża słyszały już o pani urokach. Ale mimo że zwierzenia księcia były niewyobrażalnie wręcz ordynarne, przynajmniej w tych chwilach, gdy zachowywały choć minimum sensu, kulturalni dżentelmeni, którzy umieją dojrzeć drugie dno rubasznych, męskich żartów, wywnioskowali, że posiada pani zalety natury nie tylko ginekologicznej.

– Mówiąc „kulturalni dżentelmeni”, ma pan na myśli Francuzów?

– Droczy się pani ze mną, mademoiselle. Spodziewa się pani, że odpowiem: „Ależ tak, przecież wszyscy Francuzi są kulturalni”. Ale to nieprawda.

– Monsieur d’Avaux! Jestem wstrząśnięta, słysząc takie słowa z pańskich ust!

Stali już prawie przy drzwiach łoża Sluysa. D’Avaux się cofnął.

– W normalnej sytuacji w łoży, do której zaraz wejdziemy, zastalibyśmy najędźniejszych przedstawicieli francuskiej arystokracji, bo tylko tacy zadają się z ludźmi pokroju Sluysa. Ale dzisiejszy wieczór jest wyjątkowy.

* * *

– Ludwik *le Grand*, bo tak się teraz tytułuje, zbudował sobie nowe *château* pod Paryżem, w Wersalu – wyjaśnił Aaron de la Vega, gdy kiedyś spotkali się w wąskich zaułkach żydowskiej dzielnicy Amsterdamu, która dziwnym zbiegiem okoliczności przylegała do gmachu opery. – Przeniósł się tam wraz z całym dworem.

– Słyszałem już o tym, ale nie mogłem w to uwierzyć – przyznał Gomer Bolstrood. Wśród Żydów czuł się tak swobodnie, jak chyba nigdy wśród Anglików. – Żeby taką masę ludzi wywieźć z Paryża... To jakiś obłąd!

– Przeciwnie, to mistrzowskie posunięcie – odparł de la Vega. – Znacie grecki mit o Anteuszu? Dla francuskich arystokratów Paryż jest jak Matka Ziemia. Dopóki w nim przebywają, mają wszystko: władzę, wiedzę i pieniądze. Ludwik, który wysiedlił ich do Wersalu, jest jak Herkules, który pokonał Anteusza w ten sposób, że podniósł go nad ziemię, przydusił i zmusił do posłuszeństwa.

– Ładne porównanie – zgodziła się Eliza. – Ale nie widzę związku z naszym planem przyduszenia pana Sluysa.

De la Vega pozwolił sobie na przelotny uśmiezek i przeniósł wzrok na Bolstrooda. Ale Gomerowi wcale nie było do śmiechu.

– Sluys jest jednym z tych zamożnych Holendrów, którzy wprost żebrzą o względy Francuzów. Zaczął nad tym pracować jeszcze przed wojną w siedemdziesiątym drugim. Nie bardzo mu to wychodziło, bo Francuzi mają go za idiotę i prymitywa. Ale czasy się zmieniły. Dawniej Francuzi mogli się utrzymać z dochodów czerpanych z posiadłości ziemskich. Teraz jednak Ludwik każe im utrzymywać dwa domy – jeden w Wersalu, drugi w Paryżu – rozbijać się powozami, elegancko ubierać, nosić coraz większe peruki...

– I biedaczyskom zaczyna brakować mamony – dokończył Gomer Bolstrood.

* * *

W operze, przed drzwiami łoży Sluysa, Eliza zapytała:

– Ma pan na myśli, monsieur, arystokratów, którym znudził się stary styl życia, więc grają na amsterdamskiej giełdzie, aby móc utrzymać powóz i kochankę?

– Rozpieszcza mnie pani, mademoiselle... Jakże mam wrócić do przeciętnej kobiety, głupiotkiej i pozbawionej własnego zdania, po rozmowie z panią? Ale owszem, w każdy inny wieczór łoża Sluysa pękałyby w szwach od takich właśnie arystokratów. Dziś jednak jego gościem jest młody człowiek, który zdobył fortunę w godny sposób.

– Czyli...

– Odziedziczył ją. Czy raczej odziedziczy po ojcu, diuku d'Arcachon.

– Czy byłoby to bardzo nieuprzejme z mojej strony, gdybym zapytała, jak diuk d'Arcachon wszedł w jej posiadanie?

– Colbert rozbudował naszą flotę wojenną z dwudziestu okrętów do trzystu. Diuk d’Arcachon jest jej admirałem i w znacznej mierze za tę rozbudowę odpowiada.

Na podłodze wokół krzesła pana Sluysa wałała się cała masa zwitków papieru. Eliza z miłą chęcią porozwijalaby je i poczytała, ale dobry humor gospodarza i rozmach, z jakim częstował wszystkich szampanem, podpowiadały, że tego wieczoru interesy idą doskonale.

– Żydzi nie chodzą do opery. Religia im tego zabrania! De la Vega będzie miał czego żałować – przegapić takie przedstawienie!

– Nie będziesz odwiedzał opery... To z Księgi Wyjścia czy Powtórnego Prawa? – spytała Eliza.

D’Avaux, który nagle zaczął okazywać niezwykle jak na niego podenerwowanie, potraktował jej słowa jako żart i zmusił się do uśmiechu, który był cienki i suchy jak pergamin. Pan Sluys uznał je za dowód głupoty Elizy i się podniecił.

– De la Vega w dalszym ciągu blankuje V.O.C. i będzie to robił przez całą noc. Dopiero rano usłyszysz nowinę i każe brokerom przestać.

Sluys nie posiadał się ze szczęścia, że tak łatwo zarobi fortunę. Wyglądało na to, że jest gotów chleptać szampana i wpatrywać się w pepek Elizy dowolnie długo, nie bacząc na grube śpiewaczki, które lada chwila miały zacząć się przewijać przez scenę. Tylko gwałtowne zamieszanie (w jego własnej łoży) nie pozwoliło mu na dłuższą zadumę. Spojrzał w bok. Eliza również się odwróciła i stwierdziła, że młody Francuz, syn diuka d’Arcachon, stoi przy poręczy łoży, obejmowany – namiętnie i chyba nieco zapalczywie – przez łysego mężczyznę z rozbitym, krwawiącym nosem.

Mamusia zawsze jej powtarzała, że nie wypada gapić się na ludzi, ale Eliza nie mogła się powstrzymać. Zauważyła, że młody d’Arcachon zdążył przerzucić jedną nogę przez poręcz, jakby szykował się do skoku w przepaść. Na tej samej poręczy, obok, chwiejnie balansowała duża, bardzo przyzwoita peruka, z całą pewnością należąca do Jeana Antoine’a de Mesmes, hrabiego d’Avaux, który musiał zatem być łysielcem próbującym odwieść d’Arcachona od samobójstwa.

W końcu d’Avaux wykazał się siłą zgoła niespodziewaną, jak na tak kulturalnego człowieka, oderwał młodzieńca od poręczy i wgniół go w krzesło, a przy tym był łaskaw tak rzecz całą zainscenizować, że sam skończył na klęczkach przed d’Arcachonem. Wyjąwszy z kieszeni koronkową chusteczkę, przytknął ją sobie do nosa, żeby zatamować krwotok, i powiedział coś przez nią głosem porywczym, choć pełnym szacunku. D’Arcachon ukrył twarz w dłoniach, od czasu do czasu zerkając ukradkiem na Elizę.

– Czyżby młody d’Arcachon też zaczął blankować udziały w Kompanii? – zdziwiła się Eliza.

– Przeciwnie, mademoiselle...

– No tak, zapomniałam. Nie należy do tych, którzy babraliby się w giełdzie. Po co w takim razie syn francuskiego diuka przyjechał do Amsterdamu?

Sluys zrobił taką minę, jakby się czymś dławiał.

– Mniejsza z tym – rzuciła beztrąsko Eliza. – To z pewnością sprawa ogromnie skomplikowana i zupełnie nie dla mnie.

Sluys się odprężył.

– Po prostu zastanawiałam się, dlaczego chciał się zabić. Bo chyba taki właśnie miał zamiar...

– Étienne d’Arcachon jest najkulturalniejszym człowiekiem w całej Francji – stwierdził grobowym tonem Sluys.

– No proszę... Nie pomyślałabym.

– Ćśśś! – Sluys próbował dyskretnie uciszyć Elizę gestami wielkich jak szufle, mięsistych dłoni.

– Ależ panie Sluys! Czyżby sugerował pan, że to przedstawienie miało coś wspólnego z moją obecnością w loży?

Sluys zerwał się na równe nogi. Był dość ciężki i mocno wstawiony, toteż zachwiał się i, pochyliwszy się nad Elizą, złapał jedną ręką za poręcz.

– Proszę mi obiecać, pani, że gdyby Étienne d’Arcachon postanowił na pani oczach popełnić samobójstwo, poczuje się pani urażona.

– Naturalnie! To by mi zepsuło cały wieczór!

– Doskonale. Dziękuję pani, mademoiselle. Jestem pani dłużnikiem.

– Nie pan nawet pojęcia, jak bardzo, panie Sluys.

* * *

Szepty, spiskowanie po kątach, unoszenie brwi, przekazywanie liścików i dyskretnie gesty w blasku świec trwały aż do końca przedstawienia – i dobrze się stało, ponieważ opera była niezwykle nudna.

Potem d’Avaux jakimś cudem znalazł się w powozie Monmoutha i Elizy, i gdy turkocząc, podskakując i kolebiąc się na wszystkie strony, przemierzali pogrążone w mroku nabrzeża kanałów i zwodzone mostki, tłumaczył:

– Sluys był w swojej loży gospodarzem. Dlatego do jego obowiązków należało przedstawienie pani, mademoiselle, Étienne’a d’Arcachon. Sluys był jednak zbyt pijany, zanadto holenderski i za bardzo roztargniony, żeby należycie odegrać tę rolę. Chrzakałem i chrzakałem, ale na próżno. Monsieur d’Arcachon znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

– I dlatego próbował odebrać sobie życie?

– Człowiek honoru nie mógł postąpić inaczej.

– D’Arcachon jest najkulturalniejszym z Francuzów – dodał Monmouth.

– Pani nas uratowała – przyznał d’Avaux.

– No cóż... To był pomysł pana Sluysa.

Na wzmiankę o Sluysie hrabia zrobił taką minę, jakby zbierało mu się na wymioty.

– Napisał sobie biedy. Oby to jego *soirée* wypadło *charmante*.

* * *

Aaron de la Vega, który z całą pewnością nie wybierał się na żadne *soirée*, traktował bilanse i udziały w V.O.C. z podobnym nabożeństwem, jak uczoney traktuje księgi i zwoje. Ilekroć Eliza go widziała, zawsze był absolutnie trzeźwy i śmiertelnie poważny. Potrafił się jednak również weselić. Bawił go na przykład dom – czy raczej rosnąca kolekcja domów – pana Sluysa. Kiedy bowiem pierwszy magazyn zaczął się zapadać, pociągnął za sobą sąsiednie budynki, przekształcił ich ściany w równoległoboki, szyby powypadały z ram, a drzwi na dobre uwięzły w futrynach, pan Sluys został zmuszony do odkupienia ruder od właścicieli. Obecnie był już posiadaczem pięciu sąsiadujących budynków, na co zresztą było go stać – przynajmniej dopóki zarządzał portfelami połowy mieszkańców Wersalu. Środkowy dom, w którym razem ze wstydliwym ładunkiem ołowiu ukrywał swoje wyrzuty sumienia, był o dobrą stopę niższy niż w roku tysiąc sześćset siedemdziesiątym drugim i Aaron de la Vega z upodobaniem naigrawał się z niego w swojej ojczystej mowie, nazywając go *embarazada*, czyli „ciężarnym”.

Kiedy oparłszy się o wyciągniętą dłoń księcia Monmouth, Eliza wysiadła z powozu przed tym właśnie domem, musiała przyznać, że określenie de la Vegi było bardzo adekwatne. Próba ukrycia tajemnicy pana Sluysa, zwłaszcza w taką noc jak ta, kiedy ustawione w podejrzenie krzywych oknach tysiące świec zalewały okolicę powodzią blasku, miała równie nikłe szanse powodzenia, jak próba zamaskowania siedmiomiesięcznej ciąży za pomocą krawieckich sztuczek.

Mężczyźni i kobiety w szytych na paryską modłę strojach wlewali się do ciężarnego domu prawie nieprzerwaną strugą. Pan Sluys, który z opóźnieniem wchodził w rolę gospodarza, stał tuż za drzwiami i co kilka sekund ocierał pot z czoła, jakby się obawiał, że dom pod ciężarem tylu dodatkowych gości ostatecznie pogąrzy się w błocie jak wbity młotem pal.

Kiedy jednak Eliza znalazła się w środku, pozwoliła panu Sluysowi pocałować się w rękę i rozejrzała po pokojach, beztrąsko ignorując jadowite spojrzenia pulchnych Holenderek i przesadnie wystrojonych Francuzek, stwierdziła, że gospodarz musiał sprowadzić jakichś inżynierów górnictwa, którzy wzmocnili budynek. Krzyżujące się pod sufitem dźwigary, ukryte teraz pod barokowymi girlandami i festonami stiuków, były nieprzeciętnie masywne; kolumny, na których się wspierały, choć żłobkowane i ozdobione kapitelami niczym podpory rzymskich świątyń, miały rozmiary grotmasztów. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że sufit jest ciężarnie wyduęty...

– Proszę mu nie mówić prosto z mostu, że chce pan kupić ołów, monsieur... Lepiej zasugerować, że mógłby pan zdjąć brzemię z jego barków... i, być może, przerzucić je na barki Turków. Coś w tym rodzaju – doradziła szeptem Monmouthowi pod koniec pierwszej galiardy.

Książę skrzywił się i odsunął, ale przynajmniej zmierzał w stronę Sluysa. Elizie zrobiło się przez moment przykro, że podobne rady uwłaczają jego intelektowi, a już z całą pewnością urodzeniu, ale miała zbyt wiele własnych zmartwień, żeby zbyt długo rozpamiętywać krzywdy Monmoutha. Mimo świec i zwałów gipsu dom natrętnie przypominał jej kopalnię doktora w górach Harzu – pełną metalu dziurę w ziemi, którą przed zawaleniem się chroniła tylko zmyślność inżynierów i systematyczne stemplowanie.

Ciężar ołowiu przenosił się na deski podłogi, z nich na legary, dalej na belki, podpory, podstawę muru i wreszcie na słupy, znajdujące oparcie w błocie, w które zostały wbite. Ostateczny rachunek był prosty: jeśli słupy miały dostateczne oparcie, wzniesiona na nich konstrukcja była domem z prawdziwego zdarzenia; jeśli nie – powoli pełznącą lawiną budulca...

– To dość niezwykle, mademoiselle, że lodowaty haski wiatr był dla pani łagodnym zefirkiem, a tu, w ciepłej przecież komnacie, ma pani gęsią skórę.

– To moje myśli przeszywają mnie dreszczem, monsieur d'Avaux.

– Nie dziwota. Przecież pani ukochany szykuje się do wyjazdu na Węgry. Nie poszukałaby pani sobie nowych znajomych? Zamieszkujących cieplejsze okolice?

Nie. To szaleństwo. Moje miejsce jest tutaj. Nawet Jack, który mnie kocha, przyznaje mi rację.

Z kąta sali, z kłębow mężczyzn i fajkowego dymu, dobiegł tubalny śmiech pana Sluysa. Eliza zerknęła w tę stronę i ujrzała dyskutującego z nim Monmoutha, który zapewne właśnie powtarzał Holendrowi wymyślone przez nią słowa. Sluys jednocześnie promieniał, przepełniony nadzieją, że pozbędzie się wstydliwego ciężaru, i drżał ze strachu na samą myśl, że mogłoby mu się to nie udać. Tymczasem na amsterdamskiej giełdzie wrzało: Aaron de la Vega blankował V.O.C. na całego. Inwazja na Anglię zbliżała się wielkimi krokami. Rynek oszalał. Nikt nie pozostawał bierny.

Tańczący nieopodal mężczyzna ze strusim piórem w kapeluszu przypomniał jej Jacka. Kiedy razem jechali przez Niemcy, mieli tylko jej pióra, jego szablę i swój spryt, a mimo to odnosiła wrażenie, że jest o wiele bezpieczniejsza niż teraz. Co musiałyby zrobić, żeby znów się tak poczuć?

– Miło jest mieć przyjaciół w ciepłych krajach – przyznała z roztargnieniem. – Ale nikt z tu zebranych nie chciałby mnie znać. Dobrze pan wie, monsieur, że nie pochodzę ze szlachtetnego rodu. Dla Holendrów jestem zbyt egzotyczna, dla Francuzów zbyt pospolita.

– Królewska metresa przyszła na świat jako niewolnica, a teraz jest markizą. Tam, na górze, liczy się tylko rozum i uroda.

– Rozum tępieje, a uroda blaknie z wiekiem. Nie chcę być jak dom na palach, z każdym dniem coraz głębiej tonący w bagnie. Muszę mieć oparcie, fundament, który nie wyjedzie mi spod nóg.

– A gdzie spodziewasz się znaleźć taki cud, pani?

– To pieniądze. Tu, w Amsterdamie, są pieniądze.

– Pieniądze... Pani, to przecież zwykła ułuda, urojenie zbiorowej wyobraźni paru tysięcy Żydów i plebejuszy, którzy spotykają się na Damplatu i wydzierają na siebie nawzajem.

– Lecz w ostatecznym rozrachunku można tę ułudę wymienić po kawałku na złoto.

– To wszystko? Niczego więcej pani nie pragnie, mademoiselle? Proszę nie zapominać, że złoto ma wielką wartość tylko dlatego, że niektórzy tak twierdzą. Pozwól, pani, że przytoczę pewne zdarzenie z nieodległej przeszłości. Mój król udał się do krainy zwanej Oranem... Słyszałaś o niej, pani?

– To księstwo na południu Francji, niedaleko Awinionu... Feudum Wilhelma, jak mniemam.

– Zgadza się. Trzy lata temu król wybrał się do Oranu, czyli lennych włości Wilhelma. Mimo że Wilhelm uważa się za wielkiego wojownika, *le Roi* zajął jego zamek bez jednego wystrzału i wyszedł na spacer na blanki. Tam zatrzymał się, wydłubał z parapetu małeńki odłamek kamienia, nie większy niż pani mały paluszek i upuścił go na ziemię, po czym się oddalił. W kilka dni później królewscy żołnierze zburzyli mury Oranu, a całe księstwo zostało wchłonięte przez Francję z taką samą łatwością, z jaką obecny tu pan Sluys mógłby połknąć kawałek miękkiego owocu.

– Jaki morał płynie z tej historii, monsieur? Na razie dowiedziałam się tylko dwóch rzeczy: skąd w Amsterdamie wzięło się tylu uchodźców z Oranu i dlaczego Wilhelm szczerze nienawidzi waszego króla.

– Niewykluczone, że jutro *le Roi* rzuci swoim psom kawałek goudy.

– Sugeruje pan, że Amsterdam zostanie zajęty, a moje z trudem zarobione złoto padnie łupem pijanego żołdactwa.

– Pani złoto... i pani sama, mademoiselle.

– Zdaję sobie z tego sprawę znacznie lepiej, niż mógłby pan podejrzewać, monsieur. Nie pojmuję wszakże, dlaczego pan udaje zainteresowanie moim losem. W Hadze widział pan we mnie ładniutką łyżwiarkę, która wpadnie w oko Monmouthowi, co unieszczęśliwi Marię i doprowadzi do niesnasek w domu Wilhelma. Wszystko ułożyło się po pańskiej myśli. Ale do czego teraz jestem panu potrzebna?

– Proszę wieść piękne, ciekawe życie i od czasu do czasu znaleźć chwilę, by ze mną porozmawiać.

Eliza zaśmiała się w głos, pełną piersią, łapczywie, ściągając zazdrosne spojrzenia kobiet, które nie umiały się tak śmiać – bądź też nie umiały się śmiać w ogóle.

– Mam być pana szpiegiem!

– Bynajmniej, mademoiselle. Chciałbym, żeby została pani moją przyjaciółką.

D’Avaux powiedział to tak zwyczajnym, niemal smutnym tonem, że Elizę dosłownie zamurowało. On zaś obrócił się zwinnie na palcach i chwycił ją za ramię. Nie miała wielkiego wyboru, musiała pójść za nim, a wkrótce stało się jasne, że zmierzają wprost na spotkanie z Étienнем d’Arcachon. W najciemniejszym, najbardziej zadymionym kącie pokoju pan Sluys nadal śmiał się do rozpuku.

Paryż

Wiosna 1685

Już coś niecoś z tych trudności, jak mi się zdaje, dożyłeś, gdyż postrzegam na tobie reszki błota z Bagna Rozterki. Ale to trzęsawisko to tylko początek boleści, które towarzyszą kroczącym tą drogą. Posłuchaj mnie! Ja jestem starszy od ciebie.

John Bunyan, *Wędrówka Pielgrzyma*²⁴

Jack tkwił zagrzebany po szyję w parującym gnoju białych, różanookich koni diuka d’Arcachon i starał się nie wiercić, kiedy stadko larw wyżerało mu martwą tkankę z rany w udzie. Swędziało, ale bólu nie czuł – może poza normalnym, zdrowym pulsowaniem. Nie miał pojęcia, od jak dawna przebywa w stajni, ale nasłuchując paryskich dzwonów i śledząc pełzające po stajni plamki światła, domyślił się, że dochodzi piąta po południu. Usłyszał kroki i zgrzyt kłódki, która próbowała się porozumieć z kluczem. Gdyby była jedyną przeszkodą na drodze do ucieczki, dawno by go już w stajni nie było, ale tak się złożyło, że został przykuty za szyję do kolumny z białego kamienia, a łańcuch miał długość w sam raz nadającą się do tego, żeby Jack mógł zakopać się w gnoju.

Odskoczył skobel, do środka wpełził jezor światła, a nad Jackiem stanął John Churchill. W przeciwieństwie do więźnia nie był umazany gównem. Na głowę włożył zdobiony klejnotami turban z migotliwej złocistej materii, poza tym miał na sobie eleganckie szaty, sporą ilość efektownej biżuterii i stare, pościerane buty do jazdy konnej. Był również solidnie uzbrojony – w zakrzywioną szablę, parę pistoletów i kilka granatów. Po wejściu odezwał się w te słowa:

- Jack, tylko bez kpin. Idę na bal przebierańców.
- Gdzie Turek?
- Umieściłem go w stajni. – Churchill skinieniem głowy wskazał sąsiedni budynek.

²⁴ Przeł. J. Prower (przyp. tłum.).

Diuk miał kilka stajni. Ta, w której trzymano Jacka, była z nich wszystkich najnędniejsza. Wykorzystywano ją wyłącznie do podkuwania koni.

– Bal odbędzie się gdzieś tutaj, tak?

– Tak, w Hôtel d’Arcachon.

– I za kogo niby się przebrałeś, za Turka? Czy za Berbera?

– Wyglądam na Turka? – spytał Churchill z nadzieją w głosie. – Podobno sporo wiesz o Turkach...

– Nie wyglądasz. Lepiej podawaj się za pirata.

– Na piratach z kolei sam znam się niezgorzej.

– No wiesz, gdybyś nie bzykał królewskiej kochanki, jaśnie pan nie wysłałby cię do Afryki.

– Co się stało, to się nie odstanie, ja bzykałem, on mnie wysłał... Ale wróciłem.

– A on umarł. Macie przynajmniej z d’Arcachonem wspólny temat do rozmowy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – nasrożył się Churchill.

– Tylko tyle, że obaj mieliście okazję osobiście poznać berberyjskich piratów.

Churchill zaniemówił. Dla Jacka było to drobne, nic nie znaczące, ale bardzo miłe zwycięstwko.

– Sporo wiesz – wykrztusił w końcu Churchill. – Ciekaw jestem tylko, czy cały świat już słyszał o związkach diuka z Berberią, czy też ty jesteś kimś wyjątkowym.

– A nie jestem?

– Mówi się, że *l’Emmerdeur* jest królem wagabundów.

– Dlaczego zatem diuk nie oddał mi do dyspozycji swojego najlepszego apartamentu dla gości?

– Bo dołożyłem ogromnych starań, żeby się nie dowiedział, kim jesteś.

– Więc to dlatego jeszcze żyję. Właśnie się zastanawiałem...

– Gdyby ktoś poznał twoją tożsamość, zabraliby cię na Place Dauphine i przez kilka dni szarpali na sztuki żelaznymi szczypcami.

– Place Dauphine to doskonale miejsce na taką kaźń. Roztaczają się stamtąd piękne widoki.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia w ramach podziękowań?

Cisza. Zewsząd dobiegało skrzypienie drzwi i bram, Hôtel d’Arcachon szykował się do balu. Jack słyszał głucho dudnienie beczek przetaczanych po brukowanych dziedzińcach, czuł (dzięki temu, że jego nos znieczulił się na smród nawozu) zapach pieczonego ptactwa i maślanych ciasteczek. W mieszaninie zapachów występowały też inne, mniej przyjemne, ale powonienie Jacka skoncentrowało się na tych sympatycznych.

– Mógłbyś przynajmniej odpowiedzieć na moje pytanie – zauważył Churchill. – Czy wszyscy już wiedzą o częstych kontaktach diuka z Berberią?

– W tym miejscu jakaś drobna przysługa byłaby nie od rzeczy – zasugerował Jack.

– Nie mogę cię wypuścić.

– Miałem na myśli fajkę.

– Zabawne... Ja też.

Churchill podszedł do drzwi, zamachał na stajennego i zażądał *des pipes en terre, du tabac blond* oraz *du feu*.

– Czy na balu u diuka będzie także król Ludwiczek?

– Podobno tak. Ponoć w największej tajemnicy szykuje jakiś specjalny kostium. W Wersalu. Ma być radykalny i szokujący, tak mówią. Niewyobrażalnie śmiały. Wszystkie Francuzki sikają po nogach.

– Przecież i bez tego sikają.

– Skąd ja miałbym to wiedzieć? Wziąłem sobie rozsądną, niektórzy powiedzieliby, że surową, angielską żonę. Ma na imię Sarah.

– Za kogo się przebierze? Za zakonnice?

– Wróciła do Londynu. Jestem tu w misji dyplomatycznej. Tajnej.

– Stajesz przede mną w takim stroju i wygadujesz takie bzdury?

Churchill parsknął śmiechem.

– Masz mnie za idiotę? – ciągnął Jack.

Świerzbienie w nodze doprowadzało go do szału. Oganiając się od much, nabawił się skurczu w szyi, a żelazna obroża boleśnie otarła mu skórę.

– Żyjesz tylko dlatego, że całkiem niedawno zrobiłeś z siebie idiotę, Jack. *L'Emmerdeur* ma tu opinię szczwanego lisa, a ponieważ ty zachowałeś się jak ostatni dureń, nikt się nawet nie domyśla, kim naprawdę jesteś.

– No dobrze... Jaką karę uważa się we Francji za stosowną dla imbecyla, który zrobi coś głupiego?

– To zrozumiałe, że chcieli cię zabić. Udało mi się ich jednak przekonać, że ponieważ nie jesteś zwyczajnym półgłówkiem, lecz półgłówkiem angielskim, cała sprawa przedstawia się dosyć zabawnie.

– Zabawnie? Nie wydaje mi się.

– Diuk de Bourbon wydał kolację. Zaprosił na nią pewnego znanego pisarza. Pisarz go zdenerwował, więc diuk dla żartu wsypał mu do kieliszka z winem całą zawartość swojej tabakiery. Pisarz, nie wiedząc o tym, wypił wino i zmarł. Ale był ubaw!

– Trzeba być kretynem, żeby wypić wino zmieszane z tabaką.

– Nie o to chodzi. Chciałem ci po prostu pokazać, co bawi francuską arystokrację. I wyjaśnić, w jaki sposób ocaliłem ci życie. Więc lepiej mnie słuchaj.

– Jak tego dokonałeś, wodzu, interesuje mnie znacznie mniej niż to, po co to zrobiłeś.

– Człowiek rozrywany szczypcami może wygadać różne rzeczy.

– No tak.

– Kiedy się ostatnio widzieliśmy, byłeś zwykłym wagabundzkim ścierwem. Nawet gdyby wyszło na jaw, że w przeszłości coś nas łączyło, nie miałyby to żadnego znaczenia. Z czasem jednak stałeś się legendarnym wagabundzkim ścierwem, prawdziwym *picaró*; głośno o tobie na salonach. I gdyby teraz nasz związek został ujawniony, byłoby mi to nie na rękę.

– Zamiast mnie bronić, mogłeś przecież pozwolić, żeby tamten gość mnie zadźgał.

– Może trzeba było tak zrobić – przyznał smętnym tonem Churchill. – Ale wtedy się nie zastanawiałem. Właściwie to dziwne. Widziałem, jak się na ciebie rzuca. Gdybym się nie wtrącał, sprawy potoczyłyby się naturalnym torem i zginąłbyś. Ale jakiś impuls kazał mi...

– Może duch przekory?

– Twój stary druh? Może faktycznie zeskoczył z twojego ramienia i usadowił się na moim. I jak skończony frajer uratowałem ci życie.

– Jak na skończonego frajera, jesteś bardzo szlachetny i elegancki. Chcesz mnie zabić?

– Nie bezpośrednio. Jesteś teraz *galérien*. Jutro z samego rana wasz oddział wyruszy do Marsylii. To kawał drogi.

– Wiem.

Churchill usadowił się na ławce, zżuł najpierw jeden but, potem drugi, i wyjął ze środka dwa ozdobne, tureckie pantofle. Włożył je na nogi, a buty rzucił Jackowi. Plasnęły w gnój, na chwilę płosząc muchy. Zaraz potem zjawił się stajenny z nabitymi fajkami i świecą, i wkrótce Jack i jego gość mogli spokojnie oddać się pykaniu.

– O znajomościach diuka wśród Berberów dowiedziałem się od zbiegłego niewolnika, który strzeże tej wiedzy jak oka w głowie – wyjaśnił w końcu Jack.

– Dziękuję ci bardzo. Jak twoja noga?

– Czuję się tak, jakby ktoś przeszył mi ją rapierem... Poza tym w porządku.

– Przyda ci się jakaś podpórka. – Churchill wyszedł ze stajni i po chwili wrócił z kulą Jacka. Zważył ją w ręce. – Ciężka, zwłaszcza z tej strony. To jakiś egzotyczny model, prawda?

– Niezwykle egzotyczny.

– Turecki?

– Nie drocz się ze mną.

Churchill obrócił kulę i cisnął nią jak włócznią. Wbiła się w gnój.

– Nie wiem, co planujesz, ale załatw to szybko i zmiataj z Francji. Idąc do Marsylii, za dzień lub dwa trafisz do *pays* hrabiego Joigny.

– Kto to jest hrabia Joigny?

– Gość, którego zrzuciłeś z konia. Mimo moich wcześniejszych podnoszących na duchu zapewnień muszę przyznać, że on nie był rozbawiony, więc jeśli wkroczysz na jego ziemie...

– Szczypce.

– No właśnie. Zadbalem o zabezpieczenie. Mój dobry przyjaciel mieszka w gospodzie na północ od Joigny. Kazałem mu mieć oko na marsylski trakt. Jeżeli cię na nim wypatrzy, ma dopilnować, żebyś żywy nie minął gospody.

– A jak mnie rozpozna?

– Zanim tam dojdiesz, będziesz całkiem goły. I odsłonisz swój znak szczególny.

– Ty naprawdę się martwisz, że mógłbym ci napytać biedy.

– Mówiłem, że przybyłem tu z misją dyplomatyczną. To nie żarty.

– Próbujesz wysondować, w jaki sposób Leroy i papież podzielią się Anglią?

Churchill pyknął kilka razy z fajki, niezgorzej, acz nie całkiem przekonująco udając obojętność, po czym odparł:

– Wiedziałem, Jack, że nasza rozmowa zbczy w końcu na takie tory; spodziewałem się, że zarzucisz mi zdradę kraju i wiary. Byłem na to przygotowany, więc teraz nie obetnę ci głowy.

Jack się roześmiał. Noga swędziała go i bolała jak diabli.

– Od lat jestem członkiem dworu Jego Królewskiej Mości, choć przystąpiłem do niego nie z własnej woli – zaczął Churchill. Zdezorientowany Jack dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że „Jego Królewska Mość” nie oznacza już Karola II, lecz Jakuba II, dawnego księcia Yorku. Churchill mówił tymczasem dalej: – Mógłbym ci się chyba zwierzyć z tego, co czuję jako protestant w niewoli katolickiego króla i miłośnika Francji, ale życie jest krótkie, a ja nie zamierzam go trwonić na siedzenie w ciemnych stajniach i tłumaczenie się przed ubabranymi głównym wagabundami. Dlatego będę się streszczał: dla Anglii będzie lepiej, jeżeli to właśnie ja wypełnię tę misję.

– Przypuśćmy, że uda mi się uciec, zanim dojdziemy do Joigny... Co wtedy powstrzyma mnie od rozpowszechnienia wiedzy o długoletnich związkach Shaftoe’ów i Churchillów?

– Żaden przyzwoity człowiek ci nie uwierzy, Jack... Chyba że wyznasz coś na torturach. Dopiero rozciągany na łożu sprawiedliwości, należącym do jakiejś ważnej osoby, mógłbyś być niebezpieczny. Poza tym nie powinieneś zapominać o spadku dla małych Shaftoe’ów.

Churchill zadzwonił pieniędzmi w małej sakiewce.

– Zauważyłem, że zabrałeś mi konia, nie płacąc. To bardzo brzydko.

– Pieniądze, które tu mam, to uczciwa zapłata za niego. Nawet więcej niż uczciwa – odparł Churchill i schował sakiewkę do kieszeni.

– No dajże spokój...

– Nagi galernik nie powinien mieć przy sobie sakiewki, a te francuskie monety są tak duże, że nawet ty nie wepchniesz ich sobie w tyłek. Ale gdy tylko wrócę do Anglii, dopilnuję, żeby twoje potomstwo miało pożytek z tych pieniędzy.

– Dopilnujesz, żeby miało z nich pożytek? Czy po prostu mu je oddasz? Przyznam, że niejednoznaczność twoich słów trochę mnie niepokoi.

Churchill znów się roześmiał, tym razem tak szczerze i niewymuszenie, że Jack miał szczerą ochotę go udusić. Wstał, wyjął pustą już fajkę z ust Jacka, po czym – ponieważ stajnie słyneły z łatwopalności, on zaś nie chciał odpowiadać za spalenie majątku diuka – podszedł do paleniska, przy którym wykuwano podkowy (było wygaszone, ciemne i zimne), i wytrząsnął popiół z obu fajek.

– Skup się, Jack. Jesteś galernikiem przykutym za szyję do słupa w paryskiej stajni. To powinno być twoim głównym zmartwieniem. *Bon voyage*, Jack.

Churchill wyszedł.

Jack miał ochotę odradzić mu chodzenie do łóżka z Francuzkami i poinformować go o tureckim wynalazku z owczych jelit, ale nie było na to czasu. Poza tym, kimże on był, żeby doradzać Johnowi Churchillowi w kwestii chędożenia?

Zaopatrzone w buty, szablę, oraz – gdyby tylko udało mu się tej szabli dosięgnąć i usiec paru stajennych – konia, Jack zaczął się zastanawiać, jak pozbyć się tego przekłętą łańcucha. Na szyi miał standardową niewolniczą obrozę: dwa żelazne półpierszenie, z jednej strony złączone zawiasami, z drugiej zakończone uchami, które po zamknięciu obroży przylegały do siebie. Po przewleczeniu przez nie łańcucha obroża nie dawała się otworzyć. Dzięki takiemu rozwiązaniu jednym kawałkiem łańcucha można było skuć niemal dowolną liczbę obroży i, co za tym idzie, niewolników, bez konieczności polegania na drogich i niepewnych kłódkach. Pozwalało to zminimalizować wydatki na artykuły żelazne, a system działał tak sprawnie, że w każdym francuskim *château* czy niemieckim *Schlossie* trzymano w zanadrzu parę obrózek i kawał łańcucha zawieszony na kołku, na wypadek gdyby trzeba było kogoś zniewolić.

Łańcuch, który przeciągnięto przez ucha obroży Jacka, kończył się dużym żelaznym kółkiem. Owinięto go wokół kamiennej kolumny, przewleczono cieńszy koniec przez owo kółko, następnie przez obrozę więźnia, a na zakończenie jeden z kowali diuka rozgrzał końcówkę łańcucha w stajennej kuźni i wbił w nią starą podkowę, żeby nie dało się jej wyciągnąć z powrotem. Typowa francuska ekstrawagancja! Diuk miał jednak nieskończone zasoby niewolników i służących, było to więc rozwiązanie tanie i skuteczne. A Jack nie miał szans się uwolnić.

Popiół z fajek, usypany w miniaturowy kopczyk na środku wygasłego paleniska, wciąż leciutko się tlił. Jack wygramolił się z gnoju, podkuśtykał bliżej i dmuchnął w żar.

Zazwyczaj w okolicy roіło się od stajennych, ale przez najbliższą godzinę lub dwie wszyscy mieli być całkowicie pochłonięci przygotowaniami do balu – musieli odbierać konie od gości i prowadzić je do boksów w lepszych stajniach. Gdyby więc w palenisku zapłonął ogień, niepożądaną uwagę mogła zwrócić tylko smużka dymu z komina, a w chłodny marcowy wieczór w siedemnastowiecznym Paryżu nie był to widok szczególnie niezwykły.

Tutaj jednak Jack się trochę zagalopował – na razie zamiast ognia miał grudkę tłętego się popiołu. Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby ujść za hubkę. Najlepsza byłaby

słoma, ale stajenni pilnowali się, żeby w pobliżu paleniska nie walało się nic łatwopalnego, i cała słoma leżała na stercie w drugim końcu stajni, dokąd łańcuch nie sięgał. Jack napiął go, położył się na ziemi i próbował nagarnąć słomę trzymaną w wyciągniętej ręce kulą, ale i tak zabrakło mu dobrego jarda. Cofnął się i rozdmuchał żar; wiedział, że nie na długo mu go wystarczy.

Ale przypomniał sobie o kuli, która była przecież oplątana najtańszym, postrzępionym, suchym szpagatem. Idealnym na rozpałkę. Musiałby jednak spalić go całkiem sporo, a wtedy nie miałby już czym obwiązać kuli i nie udałoby mu się ukryć szabli. Gdyby próba ucieczki tej nocy mu się nie powiodła, byłby zgubiony. Z tego względu bezpieczniej byłoby więc poczekać do rana, aż go rozkują – ale przecież mieli go rozkuć najprawdopodobniej tylko po to, żeby zaraz połączyć go łańcuchem z całym rzędkiem innych *galériens*, głównie, jak się domyślał, starych, roztrzęsionych hugenotów.

Odwinął więc sznurek z kuli, rozplótł jego końcówki, przytknął je do dogorywających resztek żaru, i zaczął dmuchać. Iskierka prawie zgasła, zanim pojedyncze włókienko skurczyło się, przywiedło, prychnęło smużką dymu lub pary i zmieniło w pomarańczowy punkcik światła, maciupęńki, ale w oczach Jacka olbrzymi jak buchające ogniem drzewa w górach Harzu.

Po dłuższej chwili dmuchania i manipulowania sznurkiem udało mu się rozpałić w palenisku maleńkie, żółto płonące ognisko. Jedną ręką podsyczał je strzępkami szpagatu, drugą zaś na oślep macał w poszukiwaniu drewna na rozpałkę, które musiało być przecież zgromadzone gdzieś w pobliżu. Znalazłszy zaledwie kilka mizernych gałązek, był zmuszony wyjąć szablę i nastругać drzazg z kuli. Nie na długo wystarczyły, więc chwilę później dorzucał już do ognia wióry z podpór i dźwigarów, a następnie zaczął rąbać ławki i taborety. Udało mu się wreszcie uzyskać płomień, od którego zapalił się węgiel – a węgla było w stajni pod dostatkiem. Jedną ręką całymi garściami dorzucał go do ognia, a drugą obsługiwał miech. Z początku węgiel po prostu leżał w palenisku jak zwykle, czarne kamienie, ale po chwili w całej stajni ostro zapachniało siarką, znad paleniska uniósł się biały dym, węglowy żar pochłonął resztki drewna, a ognisko upodobniło się do uwięzionego meteorytu – Jack owinął je bowiem pętlą ułożoną na ziemi z nadmiaru łańcucha. Żelazo zatruwało płomień, wysysało z niego tlen, ale Jack nie ustawał w wysiłkach – sypał węgiel i dmuchał miechem, aż ogniwa łańcucha przybrały kasztanową barwę, mieniając się gdzieś tam odcieniami ciemnej czerwieni. Żar osuszył pokrywający ciało Jacka gnój, który wkrótce zaczął płatami odchodzić ze spoconej skóry.

Drzwi stajni otworzyły się.

– *Où est le maréchal-ferrant?*

Drzwi otworzyły się szerzej, tak że zmieściłby się w nich koń – i faktycznie koń wszedł do środka, prowadzony za uzdę przez Szkota w wysokiej peruce... A może nie przez Szkota? Mężczyzna miał na biodrach coś w rodzaju kiltu, lecz uszytego z czerwonego aksamitu, a

przez ramię przerzucił jakiś zupełnie niedorzeczny wynalazek: świńską skórę, zeszytą w worek i wypchaną słomą, przez co wyglądała jak nadęta powietrzem, opatrzoną mnóstwem zwieszających się z niej trąbek, fujarek i piszczałek. Była to karykatura dud. Twarz mężczyzny pokrywała warstwa niebieskiej farбки. Na szczycie peruki tkwił przypięty do niej szkocki beret z pomponem, mierzący dobre trzy stopy średnicy, a za pasem, gdzie prawdziwy dżentelmen trzymałby rapier, mężczyzna miał zatknięty młot kowalski. Obok przypiął sobie kilka butelek na whisky.

Koń był piękny i żwawy, ale było widać, że krzywo stąpa. Musiał zgubić podkowę.

– *Maréchal-ferrant?* – ponownie spytał „Szkot”, mrużąc oczy.

Jack domyślał się, że od drzwi widać tylko jego sylwetkę na tle płomieni, toteż obroza i łańcuch pewnie nie rzucają się w oczy. Przytknął otwartą dłoń do ucha – kowale często bywali przygłusi – i w ten sposób chyba udzielił oczekiwanej odpowiedzi, ponieważ „Szkot” podprowadził konia bliżej paleniska, gderając *o fer à cheval* i ostentacyjnie zerkając na wyjęty z kieszeni zegarek.

Jack się zirytował. *Fer* oznaczało żelazo, *fer à cheval* zaś, o czym doskonale wiedział, podkowę. W tej chwili doznał jednak olśnienia, bo dotarło do niego, że jedno z angielskich określeń kowala, *farrier*, musi pochodzić właśnie od francuskiego *fer*, chociaż *horseshoe*, czyli podkowa, nie ma z nim nic wspólnego. Mgliście zdawał sobie sprawę – najpierw obejrzał ileś tam przedstawień historycznych w teatrze, a potem jeździł po *la France* i słuchał, co ludzie gadają – że Francuzi przynajmniej raz w przeszłości podbili Anglię, zanieczyszczając następnie angielszczyznę takimi językowymi wynalazkami jak *farrier* czy *mutton*, czyli baranina, których pospółstwo używało do dziś, nie wiedząc nawet o tym, że wysławia się w mowie wroga. Tymczasem ci przekłeci Francuzi mieli schludny, uporządkowany język, w którym określenie człowieka zajmującego się podkuwaniem koni wiązało się w oczywisty sposób ze słowem oznaczającym podkowę. Krew go zalała. Zwłaszcza gdy przypomniał sobie, że teraz to Jakub jest królem.

– *Quelle heure est-il?* – zapytał.

„Szkot”, nie zastanawiając się nawet nad tym, po co *maréchal-ferrantowi* informacja o godzinie, powołał całą ceremonię: wyjął zegarek, podniósł wieczko koperty i sprawdził ułożenie wskazówek. Musiał w tym celu odwrócić się w stronę ognia i nachylić nad cyferblatem. Jack wyczekał cierpliwie na tę chwilę i gdy „Szkot” zaczął seplenić w odpowiedzi coś z *sept* w środku, zarzucił mu na szyję wyszarpięty z ogniska łańcuch.

Czas na małe duszenie! Niestety, wokół szyi „Szkota” owinął się rozgrzany do czerwoności fragment łańcucha i Jack nie bardzo miał go jak zacisnąć, dopóki ze skrzynki z narzędziami nie wygrzebał pary szczypiec. Ale wyglądało na to, że i bez tego łańcuch wyrządził intruzowi wystarczającą szkodę, żeby ten nie mógł wołać o pomoc.

Gorzej przedstawiała się sprawa z koniem, który rżąc cofnął się od ognia i mógł w każdej chwili stanąć dęba. Jack rozumiał powagę sytuacji, ale musiał rozwiązywać problemy po

kolei. Załatwił więc sprawę szczypiec i zamordował „Szkota”, dusząc go w obłokach dymu unoszącego się ze skwierczącej ludzkiej karkówki, która – o czym był przekonany – gdzieś we Francji z pewnością uchodziła za przysmak. Zdarł gorący łańcuch z szyi ofiary (razem z kawałkami skóry i mięsa) i z powrotem cisnął go w ogień. Rozprawiwszy się z człowiekiem, swoją uwagę poświęcił bez reszty – choć i bez szczególnego entuzjazmu – wierzchowcowi. Bał się, że spłoszony koń wybiegnie ze stajni i zwróci na siebie uwagę na dziedzińcu, ale – o dziwo – okazało się, że wrota są przymknięte, a w dodatku młody, niezbyt elegancko ubrany człowiek właśnie zamyka je na zasuwę. Wcześniej już zdążył złapać konia za uzdę, przywiązać go do palika, oraz – wykazując się ogromną przytomnością umysłu – zarzucić mu na głowę worek po ziarnie, żeby oszczędzić zwierzęciu niepokojących widoków, których w stajni nie brakowało.

Zatroszczywszy się o konia, Cygan – bo z pewnością był to Cygan – odwrócił się do Jacka i z powagą mu się uklonił. Był bosy. Najprawdopodobniej przedostał się w pobliże stajni po dachach.

– Jack Półkuśka, prawda? – spytał w żargonie wagabundów, bez cienia kpiny w głosie.

– Kim jesteś?

– To nieważne. Przysłał mnie święty Jerzy.

Chłopak podszedł bliżej, wymijając żarzące się węgle, rozrzucone na klepisku po tym, jak Jack wyciągnął łańcuch z ognia. Stał przy miechu i zaczął dać w płomień.

– Co ci powiedział? – zapytał Jack, dorzucając węgla.

– Kazał sprawdzić, czy podczas przedstawienia nie będziesz potrzebował pomocy.

– Jakiego przedstawienia?

– Nie wszystko mi powiedział.

– Czemu tak się o mnie martwi?

– Jest na ciebie zły. Mówi, że wykazałeś się brakiem ogłady.

– Co mu powiesz?

Cygan pierwszy raz się uśmiechnął.

– *Ze l'Emmerdeur* nie potrzebuje jego pomocy.

– Zgadza się.

Jack złapał za miech, a chłopak obrócił się na pięcie, przebiegł na drugi koniec stajni i zniknął w otworze pod okapem, o którego istnieniu Jack nie miał pojęcia.

Czekając, aż łańcuch się rozgrzeje, zabawiał się przeszukiwaniem ubrania zabitego i zgadywaniem, ile złotych monet zawiera jego sakiewka. Po kilku minutach (sądząc ze wskazań zegarka, który z otwartą kopertą leżał na podłodze) sięgnął szczypcami do ognia i wyciągnął fragment świeżącego na żółto łańcucha. Nie czekając, aż ostygnie, położył go na kowadle, uderzył ciężkim młotem o szpiczastej głowicy – i właściwie stał się wolnym człowiekiem, jeśli nie liczyć metrowej długości rozżarzonego łańcucha, którego nie mógł przewlec przez ucha w obroży, jeśli nie chciał się poparzyć. Zanurzył go w korycie z wodą,

ale okazało się, że przecinając go, zmiążdżył i rozklepał ostatnie ogniwo, które teraz nie mieściło się w uchach. Ponieważ nie chciał tracić czasu na ponowne rozgrzewanie łańcucha, musiał się chwilowo pogodzić z obrozą i wiszącym u niej metrowym kawałkiem żelastwa. Nie miało to wielkiego znaczenia – na dworze było ciemno, więc i tak będzie widoczny tylko zarys jego postaci, i należało się skupić na tym, żeby ów zarys prezentował się szacownie i nie prowokował do strzelania na oślep. Zdarł z głowy martwego „Szkota” perukę (osmaloną i przypaloną, ale jednak perukę) i odrzucił nieporęczny beret. Wzwał podarowane mu przez Johna Churchilla buty i zarzucił na ramiona długi płaszcz „Szkota”. Kierując się starym impulsem, zabrał mu również rękawiczki, aby zakryć wypalone na kciuku V. Na koniec zdjął siodło z grzbietu konia – było naprawdę doskonałe – i wyszedł przed stajnię.

Widok domniemanej Ważnej Osoby własnoręcznie niosącej siodło sam w sobie był niezwykle; zresztą nawet gdyby nie był, to widok Jacka z szablą w garści, powłóczącego nogą i przeklinającego pod nosem po angielsku musiał budzić wątpliwości co do jego statusu francuskiego arystokraty. Jednak zgodnie z przewidywaniami większość stajennych zebrała się na głównym dziedzińcu, bo gości przybywało z każdą chwilą.

Jack wparował do sąsiedniej stajni, mizernie oświetlonej dwiema latarniami, i stanął twarzą w twarz ze stajennym, który w okamgnieniu stał się najbardziej speszonego człowiekiem, jakiego w życiu widział.

– Turek! – zawołał Jack.

Z boks w głębi stajni odpowiedziało mu rzenie. Jack podszedł do stajennego i upuścił siodło. Chłopak złapał je odruchowo; chyba mu ulżyło, że dostał konkretne zadanie. Jack, używając szabli jako wskaźnika, pokazał mu drogę do boks zajmowanego przez Turka.

Kiedy stajenny zrozumiał, że za chwilę stanie się współnikiem w kradzieży, stanął jak wryty i zeszywniał w sposób niemal erotyczny. Trzeba było niezliczonych szturchnięć ostrzem, żeby wreszcie zarzucił siodło na grzbiet Turka. Potem Jack wyrznął go rękojeścią broni w podbródek, ale nie zdołał pozbawić przytomności. Skończyło się na tym, że musiał zawlec chłopaka do kąta przy drzwiach, powalić na ziemię i krok po kroku wyłożyć mu, co to znaczy dać się zaskoczyć i ogłuszyć angielskiemu rozbójnikowi.

Po tej lekcji wrócił do Turka, który chyba ucieszył się na jego widok. Kiedy dociągnął popręg i poprawił uprząż, mięśnie i ścięgna rumaka napięły się jak struny nastrojonej lutni. Jack obejrzał kopyta Turka i stwierdził, że Churchill kazał go podkuć prawdziwemu fachowcowi.

– Obu nas podkuł – stwierdził i poklepał się po cholewce, chwając się butami.

Włożył jedną stopę w strzemień, wybił się, przerzucił drugą nogę nad grzbietem wierzchowca i wypadł pędem ze stajni, nie zdążywszy się nawet dobrze usadowić w siodle; Turek miał tak samo dość tego miejsca jak on. Jack zamierzał poszukać tylnych drzwi, ale koń nie chciał nawet o tym słyszeć, wyjechali więc tą samą drogą, którą Churchill sprowadził

go do stajni – na wprost, przez bramę prowadzącą na, jak się domyślał Jack, główny podwórzec Hôtel d'Arcachon.

Wyczuł obecność całkiem okazałej liczby ludzi, ale nikogo właściwie nie widział, oślepiiony i oszołomiony feerią świateł; na dziedzińcu płonęły olbrzymie pochodnie, niczym ogniska rozpalone na czubkach pik, i zawieszane na kolorowych sznurach latarnie, a tysiące świec i lamp stały w dwudziestostopowych oknach, zajmujących większość frontowej ściany olbrzymiego pałacu, który wyrósł przed nosem Jacka. Chyba ze sto kaszalotów musiało poświęcić swoje zapasy spermacetu, aby umożliwić taką iluminację. Jeśli zaś chodzi o świece, to mimo wszechobecnych woni pieczystego, modnych perfum, dymu i końskiego łajna Jack wyraźnie wyczuwał bijący od nich miodowy aromat mauretańskiego wosku. Cała ta słodko pachnąca powódź blasku odbijała się w wodach ogromnej fontanny, ustawionej pośrodku dziedzińca i przedstawiającej różnych Neptunów, najady, morskie potwory i delfiny splecione w artystycznym uścisku i podtrzymujące upstrzoną niezliczonymi liliami fregatę. Wszędzie dookoła spoczywały wyrzucone na brzeg szczątki holenderskich i angielskich okrętów, pełniąc rolę ławek, na których Francuzi mogli sadzić swoje grube tyłki.

Oślepiające światła i odruchowe ściągnięcie wodzy przez Jacka nieco wyhamowały impet Turka, ale stało się to zbyt późno; koń – a wraz z nim, siłą rzeczy, Jack – wparował na podwórze galopem, a potem na kilka sekund znieruchomiał, jakby dopraszając się o uwagę. I można powiedzieć, że mu się udało – wszyscy purytanie, wróżki, Persowie i Indianie zwrócili nań swoje spojrzenia. Jack szturchnął go zachęcająco obcasami, trzymając mocno wodze, żeby się nie spłoszył.

Ruszyli zwirową ścieżką pomiędzy rabatami. Jack miał nadzieję, że w ten sposób uda im się objechać fontannę i znaleźć w okolicy, z której będzie przynajmniej widać drogę na zewnątrz posiadłości. Na razie jednak jechali wprost ku kałuży blasku z rozświetlonych okien. Za oknami Jack zobaczył olbrzymią salę balową o białych, zdobionych złoceniami ścianach i marmurowej posadzce, na której poprzebierani arystokraci tańczyli w rytm muzyki wygrywanej przez wciśnięty w kąt zespół.

W końcu – jak każdy, kto za chwilę ma się znaleźć w szacownym towarzystwie – Jack przyjrzał się sobie. Uciekając, liczył na to, że będzie ciemno, ale teraz, zbłądziwszy w zasięg światła, był wstrząśnięty, widząc, jak bardzo obroża na szyi i ubabrane gnojem łachmany rzucają się w oczy.

W jednym z tańczących rozpoznał członka orszaku diuka, który był obecny przy spotkaniu przed Place Royale. W obawie przed rozpoznaniem postawił kołnierz i naciągnął go w taki sposób, żeby zasłonić dolną część twarzy.

Na trawniku między fontanną i frontem pałacu zgromadziło się kilka grupek rozgadanych gości. Teraz rozmowy umilkły i wszyscy, co do jednego, gapili się na Jacka, ale nikt nie wszczywał alarmu. Przyglądali mu się długo i z niezwykłą uwagą, jakby był nowym, bardzo drogim posągiem, który dopiero przed chwilą został odsłonięty. Potem przez tłumek przebiegł

zaraźliwy dreszcz, przypominający nieco *frisson*, jakie wywołał, galopując przez targ rybny w Les Halles. Rozległ się dziwny klekot i dopiero po dłuższej chwili Jack rozpoznał w nim oklaski. Jedna ze służących, podkasawszy suknię, pobiegła z nowiną do sali balowej. Muzycy przestali grać, wszystkie twarze zwróciły się do okien, zebrani na trawniku goście zacieśnili krąg wokół Jacka, choć nadal zachowywali pełen szacunku dystans, kobiety dygały przed nim, a mężczyźni kłaniali się uniżenie. Dwóch lokajów omal nie przewróciło się o własne nogi, pędząc ku drzwiom, żeby otworzyć je przed Jackiem. W progu stał pulchny mężczyzna z trójzębem. Na jego widok Jack skulił się odruchowo i wcisnął twarz głębiej w kołnierz – był to sam diuk d’Arcachon przebrany za Neptuna. Obawy Jacka na szczęście okazały się płonne: zamiast dźgać go trójzębem, diuk obrócił broń w poprzek i podał mu ją w wyprostowanych rękach, po czym zgięty wpół w ukłonie cofnął się w głąb domu i gestem zaprosił gościa do środka. Tancerze ustawili się w dwóch rzędach, co Jack zidentyfikował bezbłędnie – będzie musiał przejść środkiem, a oni wychłosczą mu grzbiet... Ale po chwili dotarło do niego, że to szpaler powitalny. Na jego cześć!

Wyglądało na to, że czekają, aż wjedzie do sali konno, co nie mieściło mu się w głowie. Ponieważ jednak – jak mu się wydawało – nabrał wprawy w odróżnianiu rzeczywistości od snów na jawie, które ostatnimi czasy tak często go nawiedzały, doszedł do wniosku, że ma do czynienia ze zjawiskiem drugiego rodzaju, i postanowił się nim cieszyć do woli. Ścisnął więc Turka (któremu wcale się to nie podobało) kolanami, wyminął diuka i znalazł się w sali balowej. Tutaj już wszyscy ukłonili się przed nim w pas, pozwalając mu zajrzeć głęboko w upudrowane biusty. Trębacz zagrał coś w rodzaju fanfary. Jeden z biustów, szczególnie przepaścisty, groził Jackowi, że pochłonie go całego i trzeba będzie go wyciągać na linie. Dama, która przyciągnęła jego uwagę, uznała chyba, że – przynajmniej częściowo – zainteresował go sznur pereł na jej szyi. W głowie kobiety nastąpił jakiś złożony proces, po którym zarumieniła się, ukryła w dłoniach poznaczoną czarnymi cętkami twarz, zapiszczała i powiedziała coś w rodzaju:

– Nie, błagam, tylko nie biżuterię... Emmerdeur.

Zdjęła naszyjnik, spięła w pętlę i zarzuciła na szablę Jacka, jak wiejska dziewczyna bawiąca się w rzucanie kółkiem na jarmarku, po czym z wprawą zemdląła i osunęła się w ramiona swojego towarzysza – satyra z czerwonym, długim na dwie stopy skórzanym penisem.

Inna kobieta wrzasnęła przeraźliwie. Jack odruchowo zamierzył się szablą, na wypadek gdyby się okazało, że musi ją zabić, ale zobaczył kolejną mademoiselle odstawiającą podobny teatrzyk: podbiegła do niego i przypięła mu do skraj płaszcza wysadzaną kamieniami broszę. Szepnęła „*pour les Invalides*”, dygnęła i wróciła na miejsce, zanim Jack zdążył powiedzieć na głos to, co właśnie przyszło mu do głowy, czyli: „Jeśli chodzi ci po głowie dobroczynność, panienko, to trafiłaś na niewłaściwego faceta”.

A potem wszystkie panie poszły w ślady pierwszych odważnych – wokół Jacka zapanował harmider, kobiety dosłownie rozpychały się łokciami, walcząc o prawo ozdobienia klejnotami jego płaszcza, broni lub chociaż końskiej uzdy. Tylko jedna osoba w całym towarzystwie niezbyt dobrze się bawiła – młody, przystojny berberyjski pirat, czerwony jak piwonია, wpatrywał się w Jacka świdrującymi oczami, które niczym szczypce...

Nagle w sali zaległa cisza, przypominająca powiew lodowatego, zimowego powietrza wpadającego przez otwarte drzwi. Wszyscy zwrócili się w stronę wejścia. Kobiety odsuwały się od Jacka, który zasłaniał im widok. Jack wyprostował się w siodle i odwrócił Turka – sam chciał zobaczyć, co przykuło uwagę gości, a poza tym przeczuwał, że niedługo przyjdzie pora się zmywać.

Do sali wjechał konno następny mężczyzna. Jack wziął go z początku za wagabundę, który niedawno uciekł z – zasłużonej zapewne – niewoli. Oczywiście okazało się, że jest to arystokrata przebrany za wagabundę, w związku z czym ma o wiele lepszy kostium niż Jack. Zarówno zwisający mu z szyi łańcuch, jak i pęknięte okowy na rękach i nogach wyglądały na wykute z litego złota. Miał jarmarcznie ozdobny bułat i elegancki, wysadzany diamentami, ale przy tym komicznie maleńki saczek. Za plecami przebranego wagabundy, na dziedzińcu, tłoczył się cały jego orszak: Cyganie, ubrani i obwieszani biżuterią zgodnie z jakimś niezwykle romantycznym wyobrażeniem cygańskiego życia i gustu, Maurowie ozdobieni strusimi piórami, oraz damy z socjety przebrane za sprośne wagabundzkie dziewczki.

Jack opuścił zasłaniający mu twarz rąbek płaszcza.

Panowała najdłuższa cisza, jakiej w życiu doświadczył; swobodnie zdążyłby uwięzić Turka do kandelabru i zdrzemnąć się pod klawikordem. Albo, zamiast drzemać, mógłby przez ten czas dojechać do Lyonu z wiadomością (i, patrząc z perspektywy czasu, chyba powinien był to zrobić). On jednak siedział na koniu, czekał, co się wydarzy, i chłonał rozgrywającą się przed nim scenę.

W tej nagłej ciszy zdał sobie sprawę, że nawet kiedy wszystkie Ważne Persony stoją jak skamieniałe, pałac tętni życiem – słychać było, na przykład, zwyczajny, nieco przytłumiony szcęk naczyń w kuchni. Ale i tak jego uwagę przykuł przede wszystkim sufit, który (1) wyglądał naprawdę niesamowicie, oraz (2) nieprzeciętnie hałasował. Jack pomyślał, że na dworze rozpętała się chyba ulewa – potwierdzałyby to zarówno dobiegające z góry chrobotania i stukoty, jak i woda, w wielu miejscach kapiąca ze sklepienia. Sufit ozdobiono gipsowymi rzeźbami, które następnie pomalowano, tak że gdyby komuś przyszło teraz go głowy położyć się na plecach na podłodze i spojrzeć do góry, miałby przed oczyma rozległą morską panoramę. Czterej bogowie wiatrów zajęli miejsca w narożnikach i wydawszy wargi, przepychali po sklepieniu stiukowe chmury. Z boków ku środkowi napierali Wrogowie Francji, czyli pchane północnym sztormem angielskie i holenderskie fregaty, płynące od południa hiszpańskie i portugalskie galeony, okręty z Berberii, Malty i Turcji, oraz, tu i ówdzie, wijące się wśród fal morskie potwory. Nie trzeba chyba dodawać, że środek plafonu

zajmował obszerny, trójwymiarowy stiuk przedstawiający zjeżone armatami francuskie okręty. Na pokładzie rufówki największej jednostki, w otoczeniu obnoszących się z lunetami admirałów, stał Leroy we własnej osobie, z wieńcem laurowym na głowie. Jedną rękę opierał na lufie działa, drugą bawił się astrolabium. Jak gdyby dla dodania całej scenie realizmu, sufit przeciekał na potęgę, tak jakby nad głowami gości naprawdę znajdował się ocean, który za wszelką cenę próbuje przebić strop i złożyć hołd obecnemu teraz w sali królowi z krwi i kości. Zarówno obfitość przecieku, jak i nasilające się chroboty zdawały się potwierdzać przypuszczenia Jacka, że na zewnątrz rozpętała się burza. Kiedy jednak wyrzwał przez okno, nie dostrzegł ani kropli deszczu. Poza tym (co uświadomił sobie z niejakim zakłopotaniem) Hôtel d’Arcachon nie był pierwszą lepszą wiejską chałupą, w której sufit jest po prostu spodnią stroną dachu. Mając za sobą kilka włamań do pałaców, Jack z doświadczenia wiedział, że strop sali stanowi cienka warstwa tynku, narzucona na poziomy podkład z drewnianych łąt. Między nią i spodem dachu było zapewne dość miejsca, żeby człowiek mógł się tam wczołgać. Znajdowały się tam również takie nieciekawe obiekty, jak zaczepy żyrandoli i, być może, zbiorniki z wodą.

Właśnie, na poddaszu Hôtel d’Arcachon musiała znajdować się cysterna pełna deszczówki, która teraz pękła; zapewne nie uczyniła tego z własnej inicjatywy, lecz została sprowokowana przez świętego Jerzego lub kogoś z jego przyjaciół, aby wywołać użyteczne dla Jacka zamieszanie. Woda rozlała się po podkładzie, wniknęła między łąty i zaczęła przesiąkać przez tynk, na którym ciemniały już olbrzymie, nieregularne plamy, niczym burzowe chmury oblegające francuską flotę. Morze zmieniało kolor z jasnoblękitnego na bardziej realistyczny stalowoszary. Cały sufit szarzał, tracił dawną gładkość i wybrzuszał się niebezpiecznie w dół. W paru miejscach brudna woda coraz szybciej skapywała na posadzkę. Służący przynieśli kubły i ścierki, ale żaden nie odważył się zmacić panującej w sali ciszy.

Turek zarżał cicho i Jack, spuściwszy wzrok, zobaczył satyra z długim, kolczastym penisem z czerwonej skóry, stojącego przy nim i trzymającego konia za uzdę.

– To fatalny pomysł – ostrzegł go Jack po angielsku (wśród tych ludzi nie było sensu próbować nędznej francuszczyzny), *sotto voce*, aby oficjalnie nie przerywać milczenia.

Większość ludzi rzeczywiście nie usłyszała jego słów, zagłuszonych chrzęstem desek i dobiegającym z góry skrzypieniem – źródłem tego drugiego mogły być, na przykład, gwoździe, wychodzące z suchych dźwigarów pod ciężarem namakającego gipsu. W każdym razie dobrze się stało, że spojrział w dół, ponieważ przy tej okazji zwrócił uwagę na Johna Churchilla, który przemykając po obrzeżu tłumu, sprawdzał właśnie zamek swojego pistoletu i wyglądał jak doświadczony morderca, nie mogący się doczekać chwili, gdy pociągnie za cyngiel. Jack miał tylko szablę, w dodatku w tej chwili gęsto obwieszoną biżuterią. Czubkiem ostrza przeciął aksamitną podszewkę płaszcza i zsunął klejnoty w utworzony w ten sposób otwór.

Satyr odpowiedział w całkiem przyzwoitej angielszczyźnie, jakiej Jack nigdy by się po nim nie spodziewał:

– Jestem przerażony faktem, że się na to ośmieliłem. Życia by mi nie wystarczyło, by wyrazić mą skruchę. Staralem się wszakże wprowadzić nieco ładu w tę niezręczną...

Przerwał mu jednak Ludwik XIV, król Francji, rzucając jakąś dowcipną uwagę. Nie musiał podnosić głosu. Było to zaledwie jedno zdanie, może nawet fraza, ale jego słowa niosły więcej treści niż trzygodzinne kazanie wielkanocne niejednego biskupa. Jack nie słyszał go zbyt wyraźnie (zresztą i tak by nic nie zrozumiał), ale wychwyciwszy słowo *noblesse* wywnioskował, że padła jakaś głęboka uwaga natury filozoficznej. Nie wygłoszono jej jednak w oschły, wyniosły sposób; w głosie króla dźwięczała mądrość światowca, odrobina ironii i szczypta prawdziwego humoru, błazeńskiego, lecz w żadnym razie nie pospolitego. Leroy mógł być ubawiony, ale w życiu nie zniżyłby się do tego, żeby roześmiać się na głos – to było dobre dla dworaków, którzy wspięli się na palce, by nie uronić ani słóweczka z królewskiego żartu. Gdyby nie fakt, że John Churchill, człowiek absolutnie pozbawiony poczucia humoru, brał go właśnie na muszkę, Jack był prawie gotów uwierzyć (przynajmniej przez chwilę), że wszystkie winy będą mu odpuszczone, a król pozwoli mu zostać, napić się wina i potańczyć z paniami.

Nie mógł jednak uciec Churchillowi, dopóki satyr zaciskał dłoń na uździe Turka.

– Zmuszasz mnie, żebym ją odciął – ostrzegł.

– Przyznaję, że nie zasługuję na nic lepszego – odparł satyr. – Powiem więcej, czuję się tak zhańbiony, że zrobię to sam, aby zmasać plamę na honorze własnym i mojego ojca.

Wyjął zza pasa sztylet, wbił go w czerwoną, skórzaną rękawiczkę na własnej dłoni i zaczął zawzięcie piłować ostrzem w tę i z powrotem, czyli, inaczej mówiąc, usiłował prawą ręką odciąć sobie lewą. Kto wie, czy nie uratował w ten sposób życia Jackowi, gdyż na widok tego widowiska – mężczyzna uparcie próbował oderznąć sobie dłoń, a krew wzbierała w rękawicy i ściekała na śnieżnobiałą posadzkę – Churchill stanął jak wryty, nie dalej niż sążeń od całej sceny. Pierwszy raz Jack zobaczył, żeby Churchill się zawahał.

W rogu sali rozległ się donośny trzask i szum wody. Wschodni Wiatr pękł na dwoje, a spomiędzy opadających krawędzi szczeliny trysnęła fala brudnej, niosącej masę śmiecia wody. Kawał sufitu o szerokości dobrych dwóch jardów zaczął odłazić od rusztowania niczym zdzierane z wręg poszycie statku. W końcu sięgnął plafonu z francuską flotą, czyli ważącym pół tony blokiem gipsu, który w całości oddzielił się od sufitu i na ułamek sekundy zawisł w powietrzu, zanim ruchem przyspieszonym zaczął poruszać się ku ziemi. Goście się rozpierschli. Stuk eksplodował, strzelając na wszystkie strony grudami rozmięklej brei. Z góry posypały się małe, szare bryłki, które po zderzeniu z posadzką otrząsały się i zaczynały uciekać.

Jack spojrzął na Churchilla w samą porę, żeby zobaczyć, jak kurek pistoletu obraca się wokół poziomej osi, krzemień tryska skrami i z panewki bucha kłębek dymu. W tej samej

chwili w sprawę wmixszała się pewna dama, uciekająca na oślep przed szczurami, które niespodziewanie – i w niewiadomej ilości (Jack na pierwszy rzut oka doliczył się trzech, ale ponieważ z poddasza cały czas sypały się następne, nie umiałby się upierać przy żadnej konkretnej liczbie) – znalazły się w jej peruce. Wpadła na Churchilla i szturchnęła go w rękę. Pistolet plunął długim jak męskie ramię jęzorem ognia, osmalając Turkowi pysk, chociaż sama kula najwyraźniej go chybiła. Układny satyr cudem przeżył – pocisk musiał dosłownie o cal minąć jego głowę.

Turek na ułamek sekundy zamarł w bezruchu, ale chwilę później tuż obok eksplodowała berberyjska galera, zmyta z sufitu strugą wody. Część wody – jak również część szczurów – chlapnęła na kark konia, który nagle ożył. Próbował stanąć dęba, ale nie dał rady, powstrzymany zakrwawioną, lecz nadal mocną lewicą satyra. Zmienił zatem zamiar (Jack, na szczęście, przewidział, co się święci), napiął mięśnie i z impetem wierzgnął. Gdyby ktoś w tym momencie stał za nim, kopnięcie urwałoby mu głowę, lecz środkiem sali balowej niepodzielnie zawładnęły szczury. Po dwóch, trzech takich wierzgnięciach Jack wyleciałby z siodła, a tymczasem chodziło przede wszystkim o to, żeby Turek ruszył z miejsca. Churchill próbował właśnie obejść satyra od tyłu i złapać uzdę z drugiej strony.

– Psiakrew! – zaklął Jack, kręcąc młynka szablą. – To najgorsze przyjęcie, na jakim w życiu byłem!

– Proszę o wybaczenie, szlachetny panie, ale...

Układny satyr nie zdążył się wytłumaczyć, gdyż Jack ciął go w przedramię. Ostrze weszło w ciało jak w masło. Odcięta dłoń zacisnęła się na uprząży w pięść, a jednoręki już satyr zatoczył się do tyłu, wprost na Churchilla. Turek zwęszył wolność i wspiał się na tylne nogi. Jack spojrzał z góry na Churchilla.

– Jeśli jeszcze kiedyś zamarzy ci się mój koń, zapłać mi za niego z góry, łajdaku!

Turek usiłował ruszyć z kopyta ku frontowym drzwiom, ale nie mógł się rozpędzić, ponieważ twarde *fers à cheval* ślizgały się i rozjeżdżały na marmurze. Morski potwór spadł z sufitu i zatarasował mu drogę; setki szczurów wyprysnęły ze strzaskanych wnętrzności bestii. Turek obrócił się w miejscu i niezdamnym krokiem ruszył w stronę grupy pań, które – podejrzewając, że szczury wdrapują się im po halkach pod spódnice – były zajęte czymś w rodzaju tarantelli. Kiedy Jack był już święcie przekonany, że Turek stratuje damy, koń musiał chyba kątem oka dostrzec drogę ucieczki, bo skręcił tak gwałtownie, że omal nie wyjechały spod niego nogi, i skierował się ku drzwiom w głębi sali. Niskim drzwiom.

Jack miał niewiele czasu na reakcję. Widząc zbliżające się nieuchronnie nadproże, ozdobione umieszczonym centralnie gipsowym herbem d'Arcachonów²⁵, i nie chcąc nosić na twarzy jego wiecznego odcisku, odchylił się w tył i wyciągnął na wznak. I spadł z konia.

²⁵ Stanowiącym połączenie elementów tradycyjnych (lilii, oznaczających odwieczne pokrewieństwo z rodem królewskim) i nowoczesnych (głów Negrów w żelaznych obrożach).

Zdołał wyplątać ze strzemiesienia tylko jedną nogę, prawą, więc Turek powlókł go przez ciągnący się za drzwiami korytarz (o posadzce w miarę równej, choć nie dość gładkiej z punktu widzenia Jacka). Wisząc niemal do góry nogami, Jack rozpaczliwie próbował wolną ręką (czyli tą, w której nie trzymał szabli) uczepić się podłogi i odepchnąć na bok, żeby nie wpaść pod kopyta. Co chwila wierzchem dłoni roztrącał szczury, które chyba wszystkie uwzięły się, żeby biec akurat tym korytarzem; być może przyciągał je jakiś obiecujący zapach. Turek, naturalnie, wyprzedził je z łatwością i samodzielnie wybierał trasę. Jack miał świadomość, że przemierzają liczne pomieszczenia, wszystkie progi bowiem odbijały się sińcami na jego biodrach i żebrach, a od czasu do czasu migają mu w przelocie spodnie i spódnice służących.

Nagle znaleźli się sami w jakimś mrocznym wnętrzu. Turek się zatrzymał, chociaż bynajmniej nie przestał się wiercić i niepokoić. Jack ostrożnie poruszył lewą stopą. Koń spłoszył się, potem opanował i zerknął na niego z ukosa.

– Zaskoczony? Nie odstępowałem cię na krok. Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

Jack wyplątał się ze strzemiesienia i wstał. Nie mieli jednak czasu na dalsze przekomarzenie się. Znajdowali się w spiżarni, a narastające piski zwiastowały rychłe przybycie szczurzej armii. Za piskami podążał odgłos kroków, a gdzie był ów odgłos, tam należało się spodziewać i szabli. W ścianie naprzeciwko wejścia znajdowały się zamknięte drzwi. Turek właśnie ostrożnie je obwąchiwał.

Gdyby nie dało się przez nie wyjść, Jack byłby trupem. Podeszedł więc i zastukał w nie głowicą szabli, zerkając znacząco na Turka. Drzwi były solidne i, o dziwo, uszczelnione pakułami, jak szpary w poszyciu statku. Szczeliny przy futrynie utkano szmatami.

Turek odwrócił się do nich tyłem, a Jack uskoczył w bok. Rumak dźwignął potężny zad, przeniósł ciężar ciała na przednie nogi, a kopytami tylnych uderzył w deski z impetem podwójnego armatniego wystrzału. Drzwi pękły, zakłęśły się i zerwały z górnego zawiasu. Po paru następnych kopnięciach nie pozostał po nich żaden ślad.

Jack tymczasem osunął się na kolana i owinąwszy brudnym od gipsu rękawem nos i usta, usilnie starał się nie zwymiotować – smród, jaki buchnął zza drzwi po pierwszym kopniaku Turka, omal nie pozbawił go zmysłów. Niewiele brakowało, żeby spłoszył i konia; Jack zachował jednak resztki przytomności umysłu i zatrzasnął drzwi wejściowe, zanim Turek zdołał się wyrwać na swobodę.

Wziął do ręki świecę – jedyne źródło światła w spiżarni – i przeszedł przez próg wyłamanych drzwi, spodziewając się, że wkracza do grobu pełnego gnijących ciał. Tymczasem znalazł się w małej kuchni, czystej i schludnej jak mało która z tych, które zdarzyło mu się widywać.

Na środku kuchni stał rzeźnicki pieńek, a na nim leżała ryba – tak przegniła, że jej szczątki dosłownie aż się ruszały.

Naprzeciwko znajdowały się następne drzwi. Jack otworzył je i stwierdził, że wychodzą na typowy ciemny paryski zaułek. Przed oczami stanęła mu chwila sprzed paru minut, kiedy jadąc konno i trzymając w ręce obnażoną szablę, mijał diuka d'Arcachon. Wystarczyłby jeden ruch nadgarstka, by zgładzić mężczyznę, który (czego teraz Jack już był pewien) zniewolił Elizę i jej matkę. Mógł jeszcze cofnąć się w głąb domu i spróbować załatwić tę sprawę, ale wiedział, że najlepszy moment minął bezpowrotnie.

Koń szturchnął go łbem w plecy i wypchnął do zaułka, spragniony względnie świeżego paryskiego powietrza, przesiąkniętego wonią gnijących odpadków i ludzkich odchodów. Ze środka dobiegł łomot – to pogoń dobijała się do drzwi spizarni.

Turek zerknął na Jacka pytająco. Pan pozwoli?

Kiedy Jack wskoczył na siodło, nie musiał go nawet poganiać, bo Turek sam puścił się galopem. Tymczasem podniesiono już alarm. Gdy z łoskotem wypadli na Place Royale – koń w bryzgach iskier spod nowiuteńkich kopyt i jeździec w rozwianym płaszczu, czyli przedstawiając sobą dokładnie taki widok, jaki wcześniej sobie wymarzył – Jack odwrócił się w siodle i wskazując szablą w głąb zaułka zawołał:

– *Les Vagabonds! Les Vagabonds anglaises!*

Na widok murów Bastylji, wznoszących się nad dachami i oświetlonych blaskiem księżycowego sierpa, postanowił udawać, że jedzie tam po posiłki. A że przy okazji znajdowała się w nich brama prowadząca poza miasto...

Skierował Turka w tę właśnie stronę i popuścił mu wodzy.

Amsterdam

1685

*Mówisz, że pilne cię zajęcie wzywa?
O, to miłości jest defekt przeklęty:
Łotra, kpa, łgarza zniesie miłość tkliwa –
Nie tego, kto czymś innym jest zajęty.
Być zajęтым i kochać – grzech to tak olbrzymi,
Jak gdy człowiek żonaty goni za innymi.*

John Donne, *Świt*²⁶

– Kim jest ten barczysty, wysoki, brodaty, kiepsko ubrany, źle wychowany, uzbrojony w harpun...?

²⁶ Przeł. S. Barańczak (przyp. tłum.).

Elizie zabrakło przymiotników. Wyglądała przez okno „Dziewicy” na włączącego się bez celu nemroda, którego obszerne, zszyte ze skrawków futro chwilami przesłaniało słońce. Kierownictwo kawiarni wahało się nawet, czy wpuścić Jacka do środka, ale stanowczy opór stawiało dopiero na widok dzikusa z harpunem.

– Kto? – spytał Jack z miną niewiniątka, jakby więcej niż jedna osoba pasowała do opisu Elizy. – A, ten? Jewgienij. Raskolnik.

– Kto to jest raskolnik?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że tacy jak on wieją z Rosji, aż się kurzy.

– No dobrze... A skąd go znasz?

– Nie wiem. Budzę się kiedyś w „Bombie i kotwiczce”, a on leży obok, wtulony we mnie. Jego broda otulała moją szyję jak jakiś szalik.

Eliza się wzdrygnęła.

– Ale przecież „Bomba i kotwiczka” jest w Dunkierce...

– Zgadza się. Co z tego?

– Jak dotarłeś z Paryża do Dunkierki? Nie miałeś po drodze żadnych przygód? Obeszło się bez pościgów, pojedynków...

– Tak przypuszczam. Ale głowy nie dam.

– A co z raną uda?

– Udało mi się nakłonić do współpracy zgraną sforę wiecznie głodnych larw. Regularnie czyściły mi ranę, dzięki czemu ładnie się zagoiła.

– Jak to możliwe, że tydzień podróży wyleciał ci z pamięci?

– Tak teraz funkcjonuje mój umysł. Trochę jak w sztuce teatralnej, kiedy widzom pokazuje się tylko najbardziej dramatyczne sceny, zakładając przy tym, że nudniejsze wydarzenia toczą się mimochodem za kulisami. Dlatego wygląda to tak: opuszczam galopem Place Royale. Kurtyna. Antrakt. Następny akt: jestem w Dunkierce, w przybytku pana Foota, „Pod bombą i kotwiczką”, w najlepszej sypialni na piętrze, obok śpi Jewgienij, a dookoła na podłodze leżą porzucane jego skórki, futra i bursztyn.

– Czyli Jewgienij jest kupcem, tak?

– Nie bądź taka złośliwa, kotku.

– Nie jestem. Próbuję tylko zrozumieć, skąd się wziął w tym twoim teatrze.

– Nie mam zielonego pojęcia. Nie mówi ani słowa w żadnym ludzkim języku. Zszedłem na dół i zadałem panu Footowi podobne pytanie, jak ty mi teraz. A pan Foot, trzeba ci wiedzieć, jest człowiekiem bywałym w świecie, dawnym korsarzem...

– Opowiadałeś mi o Panu Focie. Wielokrotnie.

– Odparł, że jakiś tydzień, może dwa tygodnie wcześniej Jewgienij przywiosłował do zatoczki, nad którą stoi „Bomba i kotwiczka”.

– To znaczy przypłynął szalupą ze statku, który rzucił kotwicę nieopodal Dunkierki.

– Nie. Przyplłynął łodzią wiosłową zza horyzontu. Korzystając z przypllywu, dobił do plaży, wyciągnął łódź na piach najdalej jak się dało, wyczłapał na brzeg i zwałił się bez zmysłów na progu najbliższego domu, którym przez zupełny przypadek była gospoda pana Foota. Pan Foot cierpi ostatnio na chroniczny brak klientów, zamiast więc wyrzucić Jewgienija z powrotem do morza jak jakąś rybę i wzbogacić się na przywiezionym łodzią ładunku arktycznych skarbów, co zapewne zrobiłby w tłustych latach „Bomby”, wniósł rzeczy rozbitka do gospody, a jego samego załadował do sieci towarowej i przez okno wciągnął na pięterko. Spodziewał się, że kiedy Jewgienij się obudzi, powie mu, skąd wziąć więcej takich towarów.

– Doskonale rozumiem jego strategię handlową.

– Jesteś niepoprawna. Gdybyś dała mi skończyć, nie oceniałabyś pana Foota tak surowo. Za cenę wielu godzin mozolnej pracy zapewnił chrześcijański pochówek szczątkom...

– Słucham? Nie było mowy o żadnych szczątkach.

– Czyżbym zapomniał wspomnieć o tym, że Jewgienij dzielił łódź z kilkoma towarzyszami, którzy ulegli potędze żywiołów...

– Lub potędze Jewgienija.

– Też mi to przyszło do głowy. Później jednak, ponieważ dobry Pan dał mi więcej rozumu niż co poniektórym, a przy tym w porównaniu z nimi poskapił mi żółci, doszedłem do wniosku, że gdyby istotnie tak było, raskolnik wyrzuciłby ofiary za burtę. Zwłaszcza że z czasem przybrały makabryczną postać. Pan Foot twierdzi, a ja powtarzam ci jego słowa tylko dlatego, by przywrócić Jewgienijowi należny mu szacunek, że co bardziej mięsiste części zwłok zostały objedzone do kości przez wygłodniałe mewy.

– Albo przez wygłodniałego Jewgienija.

Eliza podniosła do ust filiżankę z herbatą, aby zamaskować triumfalny uśmiech, i spojrzała na zakutanego w futro Rosjanina, który dla zabicia czasu pykał z topornie wykonanej fajki i kieszonkową osełką szlifował zadziory na ostrzu harpuna.

– Trudno ci będzie docenić mojego przyjaciela, chociaż ma naprawdę złote serce, dopóki siedzisz tu, schludna modnisiu, i podziwiasz tylko jego z grubsza ciosaną powierzchowność. Ale przejdźmy dalej. Potem ja zjawiłem się u pana Foota, cały obwieszony francuskimi błyskotkami i nie mniej zdrożony od Jewgienija. Przyjął mnie i zaopiekował się mną tak samo jak nim. A później przybył pewien francuski dżentelmen – co dowodzi, że wszystkie ważne wydarzenia chodzą trójkami – i oznajmił, że chciałby kupić „Bombę i kotwiczkę”.

– Zdumiewasz mnie. Co takiego łączy te trzy fakty, że jesteś skłonny traktować je jak spójną trójkę?

– Mnie i Jewgienija, obu chwilowo dość zamożnych, los rzucił w progi gospody pana Foota, który z kolei został wyrzucony z domu i zmuszony do tułaczki... Próbuję dokonać tu porównania...

– Zauważyłam. Zawsze robisz taką minę, kiedy silisz się na porównanie.

– Dunkierka bardzo się zmieniła, odkąd Leroy odkupił ją od króla Lolka. Jest tam teraz ogromna *bose navale*. Angielscy – i inni – korsarze, którzy mieszkali, pili, grali i łajdaczyli się w „Bombie i kotwiczce”, musieli albo przystać do monsieur Jeana Barta, albo wyprowadzić się na Jamajkę, do Port Royal. Jednakże mimo tych przeciwności losu pan Foot zachował coś, co wciąż miało konkretną wartość: „Bombę i kotwiczkę”. W umyśle pana Foota zaczęła się krystalizować pewna idea, tak jak w teatrze formuje się z chmury dymu duch.

– I podobnie jak w mojej duszy nabiera w tej chwili kształtów pewne złe przecucie.

– Miałem w Paryżu wizję, Elizo. Bardzo złożoną, okraszoną śpiewem i tańcem, obfitującą w sceny rubaszne przeplatane makabrycznymi.

– Znam cię dobrze, Jack, więc natura twoich wizji specjalnie mnie nie dziwi.

– Oszczędzę ci szczegółów, które dla tak dobrze urodzonej i wychowanej damy i tak byłyby nietaktowne. Najważniejsze jest to, że pod wpływem tego boskiego objawienia, a także innych znaków i omenów, takich jak Trzy Podobne Zdarzenia w „Bombie i kotwiczce”, postanowiłem porzucić żywot wagabundy i zostać współnikiem Jewgienija i pana Foota w interesach.

Eliza sapnęła i oklapła nagle, jakby pękł podtrzymujący ją od środka gruby dźwigar. Lub coś w tym rodzaju.

– Ciekawe... Dlaczego tak jest, że kiedy proszę, żebyśtrzymała mnie za czakrę, robisz to bez zmrżenia oka, a kiedy z moich ust pada słowo „interesy”, robisz się pedantyczna i ostrożna jak cnotliwa dziewica, której rubaszny lord złożył właśnie nieprzystojną propozycję?

– Przepraszam. Nic się nie stało – odparła Eliza wypranym z emocji głosem. – Mów dalej, z łaski swojej.

Jack jednak nie potrafił tego spokojnie znieść. Zboczył w dygresję:

– Miałem nadzieję, że zastanę w Dunkierce Boba, który zwykle podróżował w orszaku Johna Churchilla. Pan Foot przyznał, że istotnie, był niedawno w mieście, i o mnie wypytywał. Ale później w Dunkierce zjawił się książę Monmouth. Przybył incognito, czym wszystkich zaskoczył. Spotkał się z pewnym zgorzkniałym Anglikiem, po czym w pośpiechu udał się w głąb kontynentu, do Brukseli. Jeden z oficerów Churchilla wysłał w ślad za nim Boba, który zna tamte okolice jak własną kieszeń, i kazał mu się informować o poczynaniach Monmoutha.

Na dźwięk nazwiska księcia Eliza znów spojrzała Jackowi w oczy, z czego wywnioskował, że coś jest na rzeczy – albo miała ochotę na romans z (mocno już wątpliwym) pretendentem do tronu, albo od niedawna zaczęły ją pociągać intrygi polityczne. Kiedy zaskoczył ją odwiedzinami w „Dziwicy”, prawą ręką pisała właśnie list, lewą zaś dokonywała binarnych obliczeń arytmetycznych zgodnie z podsuniętą jej przez doktora metodą.

Ale to chwilowo nie było najważniejsze; Jack postanowił wykorzystać fakt, że Eliza go słucha, i przejść do ataku.

– Wtedy to pan Foot uświadomił mi istnienie pewnej sposobności.

Twarz Elizy zmartwiała – tak jakby podczas wizyty u lekarza usłyszała „Proszę usiąść...”.

– Pan Foot ma rozległe koneksje wśród żeglarzy...

– Mówisz o przemytnikach.

– Transport morski często niczym nie różni się od przemytu – zauważył Jack, robiąc uczoną minę. – Pana Foota odwiedził niejaki pan Vliet, Holender, który szukał solidnego statku średniej wielkości, zdolnego pokonać Atlantyk z ładunkiem ważącym tyle i tyle ton. Pan Foot niezwłocznie polecił mu *Boże Rany*, zaprawiony w morskich bojach bryg z podwójnymi topłami...

– Wiesz w ogóle, co to znaczy?

– *Boże Rany* mają i osprzęt rejoyowy, i gafłowy, dzięki czemu dobrze sobie radzą zarówno z pasatami, jak i z kapryśnymi bryzami bliżej wybrzeży. Załoga jest trochę niewydarzona, ale solidna...

– Trzeba było tylko uzupełnić zaopatrzenie i osprzęt, tak?

– Na co, rzecz jasna, brakowało funduszy.

– Więc pan Vliet pojechał do Amsterdamu i...

– Pojechał do Dunkierki, nie do Amsterdamu, i wyjaśnił naturę swojej propozycji handlowej panu Footowi, który z kolei wyłożył rzecz całą mnie i, w miarę możliwości, Jewgienijowi; transakcja była banalnie prosta, a przy tym gwarantowała absolutnie pewny zysk. Zgodziliśmy się połączyć siły. Na szczęście w Dunkierce większość towarów można sprzedać na pniu. Uplłyniłem biżuterię, Jewgienij sprzedał futra, tran i piękne bursztyny, a pan Foot pozbył się „Bomby i kotwiczki” na rzecz francuskiego koncernu.

– Pan Vliet wybrał sobie dość skomplikowany sposób zbierania funduszy – zauważyła Eliza. – Zwłaszcza że tu, w Amsterdamie, istnieje duży i bardzo prężny rynek kapitałowy.

W ten sposób Eliza dała mu do zrozumienia (czego Jack domyślił się znacznie później, gdy miał mnóstwo czasu na rozmyślanie), że uważa pana Vlieta za kanalię, propozycję rejsu za nedorzeczną, a osoby, które by w nią zainwestowały, za niespełna rozumu. Przebywała w Amsterdamie od tak dawna, że wyraziła swoje wątpliwości w bankierskim żargonie.

– Mogłeś przecież po prostu sprzedać biżuterię i oddać pieniądze synom – zasugerowała.

– Na razie nie potrzebują pieniędzy. Woląłem je zainwestować i za parę lat oddać cztery razy więcej.

– Cztery razy więcej?

– Takich zysków się spodziewaliśmy.

Eliza zrobiła taką minę, jakby kazano jej przełknąć orzech włoski w całości.

– Skoro już jesteśmy przy pieniądzach... – mruknęła. – Co się stało z koniem i strusimi piórami?

– Szlachetny rumak czeka w Dunkierce na powrót Johna Churchilla, który wyraził chęć odkupienia go ode mnie, a pióra są bezpieczne w rękach moich pośredników w Paryżu – odparł Jack i chwycił się oburącz stołu, oczekując solidnego przesłuchania.

Eliza jednak nie drażyła tematu, jakby nie chciała zanadto zbliżyć się do prawdy. Jack zdał sobie sprawę, że nie spodziewała się już ujrzeć ani jego, ani pieniędzy; że dawno już wycofała się ze spółki, którą zawiązali w podziemiach cesarskiego pałacu w Wiedniu.

Nie patrzyła mu w oczy, nie śmiała się z jego żartów, nie rumieniła się, kiedy ją prowokował... Doszedł do wniosku, że to zimny Amsterdam zmroził jej duszę, ściał płynący w żyłach *humor* namiętności. Po długich namowach udało mu się ją przekonać, żeby wyszli razem na zewnątrz. Kiedy przy wyjściu właściciel kawiarni podał jej płaszcz, wyglądała prześlicznie. Jack miał zamiar pogratulować jej kunsztu krawieckiego, kiedy zauważył złote pierścionki na jej palcach i ozdobny naszyjnik. Nagle zrozumiał, że od chwili przybycia do Amsterdamu nie miała chyba igły z nitką w rękach.

– *Windhandel*? Czy prezenty od zalotników?

– Nie po to odzyskałam wolność, żeby zostać dziwką. Ty, budząc się w łóżku z Jewgienijem, możesz sobie z tego żartować. Mnie nie byłoby do śmiechu.

Jewgienij, zupełnie nieświadomy faktu, że to o nim mowa, szedł za Jackiem i Elizą po starannie uprzątniętych ulicach, postukując drzewcem harpuna o bruk. Po niedługim czasie dotarli do południowej dzielnicy, nie tak czystej jak poprzednia, zamieszkaną przez hugenotów i żydów sefardyjskich i, co za tym idzie, rozbrzmiewającej dźwiękami francuskiego i ladino. Trafiło się nawet paru raskolników, którzy zaczepiali Jewgienija, żeby wymienić się ploteczkami i opowieściami z ojczyzny. Domy były tu splekane i koślawe; zagłębiały się w błocie z taką szybkością, że prawie widziało się gołym okiem, jak toną. Kanały zwężyły się i zarosły brudem, tak jakby rzadko służyły handlowi.

Przy jednej z takich ulic znaleźli magazyn, z którego ciężkie worki przenoszono do ładowni słupa.

– Oto i on, nasz towar – oznajmił Jack. – Nie gorszy od złota. A w niektórych częściach świata nawet lepszy.

– Czyli co, orzechy laskowe? – zainteresowała się Eliza. – Kawa?

Jack nie miał żadnych konkretnych powodów, aby utrzymywać ją w niewiedzy, ale ponieważ pierwszy raz przejawiała choć cień zainteresowania jego interesami, chciał to zainteresowanie przedłużyć.

Ładownia była już pełna i kiedy Eliza, Jack i Jewgienij podeszli do nabrzeża, słup rzucił cumy, postawił żagle i zaczął dryfować, popychany leciutką bryzą w stronę odległego o kilka minut drogi portu wewnętrznego. Poszli za nim pieszo.

– Jesteście ubezpieczeni? – spytała Eliza.

– Zabawne, że pytasz... – odparł Jack. Eliza wywróciła oczami, westchnęła ciężko i zgarbiła się jak jeden z tonących w bagnie domów. – Pan Foot twierdzi, że zapowiada się wspaniała przygoda, ale...

– Chodzi mu o to, że udzieliliście panu Vlietowi pożyczki *à la grosse aventure*. To najpowszechniejszy sposób finansowania takich rejsów handlowych. Ale sponsorzy tych wypraw zawsze wykupują ubezpieczenie, jeśli tylko znajdą kogoś, kto zgodzi się im je sprzedać. Mogłabym zaprowadzić was do kawiarni, które się w tym specjalizują, ale...

– Ile to kosztuje?

– To zależy, Jack. Zależy od wszystkiego. Nie ma jakiejś jednej ustalonej ceny. Czyżbyś chciał mi powiedzieć, że nie stać was na ubezpieczenie?

Jack nie odpowiedział.

– Bo jeśli tak jest, to powinniście się natychmiast wycofać.

– Za późno. Zapasy zostały opłacone i przeniesione do ładowni *Bożych Ran*. Ale może znalazłoby się miejsce dla jeszcze jednego inwestora.

– Co cię napadło? – zachnęła się Eliza. – Jesteś doskonałym wagabundą, świetnie sprawdzasz się w tej roli, ale inwestowanie pieniędzy to naprawdę nie twoje *métier*.

– Szkoda, że wcześniej mi tego nie powiedziałaś. Bo od momentu, gdy pan Foot zaproponował mi spółkę, widziałem w tej inwestycji swoją szansę na to, żebyś mnie wreszcie doceniła.

Po tych słowach Jack omal nie wpadł do kanału; nierozważne powiedzenie prawdy przyprawiło go o zawroty głowy. Eliza zaś sprawiała takie wrażenie, jakby Jewgienij szturchnął ją harpunem w pupę – stanęła jak wryta, na szeroko rozstawionych stopach, i objęła się rękami w pasie, jak gdyby nagle rozboleł ją brzuch. Przez chwilę patrzyła szklistymi oczyma w górę kanału, pociągając nosem.

Jack powinien być rozanielony, ale zamiast zachwyty poczuł tylko tępe przygnębienie. Nie wspomniał Elizie o zgniłej rybie i różanoookich koniach; z całą pewnością pominął milczeniem fakt, że mógł zabić – ale, jak ostatni dureń, oszczędził – złoczyńcę, który wziął ją do niewoli. Wiedział jednak, że prędzej czy później ona się o tym dowie, a wtedy wołałby, żeby nie było go w Europie.

– Pokaż mi ten statek – powiedziała w końcu.

Za zakrętem powitała ich jedna z niezwykłych, zaskakujących amsterdamskich panoram – widok wzdłuż kanału na usłane statkami Ijsselmeer. Na brzegu Ij stała Wieża Śledziowa, zaokrąglony ceglany silos, wznoszący się nad pochyłym, silnie pachnącym nabrzeżem, przy którym cumowały trzy statki: dwa małe promy dowożące zaopatrzenie dla większych jednostek cumujących w porcie zewnętrznym, oraz *Boże Rany*, które sprawiała wrażenie, jakby rozkładano je na części. Zdjęto pokrywy wszystkich luków, a odsłonięta konstrukcja ładowni wyglądała dosyć niepewnie, zwłaszcza kiedy wypełniały ją tajemnicze worki z magazyynu i wrzucane właśnie do środka olbrzymie, ociekające wodą beczki śledzi.

Zanim jednak Jack zaczął się rozwodzić nad kwestią dzielności morskiej *Bożych Ran*, Eliza – poruszając się z determinacją, na jaką on już nie umiał się zdobyć – wyszła na nabrzeże, zgarniając przy tym w fałdy spódnicy tony śmiecia, którego z pewnością wolałaby nie przynosić do domu. Jeden z worków pękł; jego zawartość rozsypała się po pomoście, trzeszcząc i pękając pod butami. Eliza schyliła się i niczym niewierny Tomasz włożyła rękę w rozdarcie. Garść towaru przesypała się jej przez palce jak barwny, dźwięczący delikatnie deszcz.

– Kauri – stwierdziła z roztargnieniem.

W pierwszej chwili Jack uznał, że oszołomiła ją genialność planu, ale przyjrząwszy się jej uważnie, stwierdził, że wykazuje wszystkie znajome oznaki zamyślenia.

– Dla ciebie to zwykle muszelki – powiedział. – Ale w Afryce to są pieniądze!

– Już niedługo.

– Jak to? Pieniądz to pieniądz. Pan Vliet od dwudziestu lat ciulał ten skarb, czekając na spadek cen.

– Kilka tygodni temu do Amsterdamu dotarła wiadomość, że Holendrzy weszli w posiadanie dwóch archipelagów nieopodal Indii: Malediwów i Lakkadiwów. Znaleźli tam ponoć ogromne ilości kauri. Od tamtej pory muszelki są nic niewarte.

Po tych słowach Jack potrzebował dłuższej chwili, żeby ochłonąć.

Miał szablę. Pan Vliet, pulchniutki i jasnowłosy, stał dosłownie o rzut kamieniem od niego, przeglądając z intendentem jakieś papiery. Jack bez trudu wyobraził sobie, jak podbiega do niego, opiera czubek szabli między jego dwoma podbródkami i mocno pcha. Bał się tylko, że w ten sposób udowodni prawdziwość twierdzenia Elizy, że nie nadaje się na kupca, a nie chciał dawać jej tej satysfakcji. Skoro sam miał nie zaznać satysfakcji, o której marzył od pół roku, dlaczego ona miałaby mieć jakąś przyjemność z ich spotkania? Kiedy tak rozmyślał, dla zabicia czasu pomagał przetaczać beczki po trapie na pokład statku.

– Właśnie odkryłem nowe znaczenie słowa *Windhandel* – wykrztusił. Nic mądrzejszego nie był w stanie wymyślić. – To jest prawdziwe. – Poklepał dno beczki. – Te deski również. – Tupnął w pokład *Bożych Ran*. – Podobnie jak te muszelki. – Nabrał dwie garści kauri. – Są tak samo prawdziwe jak były przed chwilą, dziesięć minut temu. Albo przed dotarciem tych plotek z Malediwów i Lakkadiwów...

– Wiadomość przysłała lądem. To szybsza droga, bo statki muszą opłynąć Przylądek Dobrej Nadziei. Może więc zdążycie dotrzeć do Afryki przed wyładowanymi kauri statkami, które pewnie już płyną z Malediwów.

– Pan Vliet tak to pewnie zaplanował.

– Co kupicie za kauri w Afryce, Jack?

– Materiały.

– Materiały?!

– Zabierzemy je na zachód. Podobno w Indiach Zachodnich jest ogromny popyt na afrykańskie tkaniny.

– Afrykanie nie wysyłają materiałów za morze, Jack. Sami je importują.

– Mylisz się. Pan Vliet wszystko nam wyłożył: płyniemy do Afryki, tam wymieniamy kauri na „indyjskie sztuki”, czyli, o czym z pewnością wiesz, bele indyjskich tkanin, które wieziemy następnie na drugą stronę Atlantyku...

– „Indyjska sztuka” to wyrażenie oznaczające afrykańskiego niewolnika w wieku od piętnastu do czterdziestu lat. Tkaniny z Indii, podobnie jak kauri, są w Afryce normalnym środkiem płatniczym, Jack. Jedni Afrykanie sprzedają za nie innych.

Zapadła cisza niemal równie długa jak milczenie na przyjęciu u diuka d’Arcachon. Jack stał na kołyszącym się leniwie pokładzie *Bożych Ran*, Eliza naprzeciwko niego, na nabrzeżu.

– Inwestujesz w handel niewolnikami – stwierdziła głuchym tonem.

– No... Do tej pory nie miałem o tym pojęcia.

– Wierzę ci. Ale teraz musisz zejść na ląd i zapomnieć o tym statku.

Pomysł był wyśmienity i jakaś część Jacka aż zaświergotała z radości. Jednakże duch przekory zwyciężył i Jack postanowił potraktować słowa Elizy z goryczą i niechęcią.

– Mam stracić całą inwestycję?

– Albo stracisz ją, albo swoją nieśmiertelną duszę. Wiem, że porzuciłeś konia i pióra, Jack. Dlaczego teraz nie postąpisz podobnie?

– Bo teraz mam znacznie więcej do stracenia.

– Z obozu wielkiego wezyra zrabowałeś coś jeszcze, Jack. Pamiętasz?

– Szablę?

Eliza pokręciła głową. Patrzyła mu w oczy i czekała w milczeniu.

– Pamiętam – przytaknął w końcu.

– Ją też spiszesz na straty?

– Jest znacznie cenniejsza, przyznaję...

– Warta znacznie większych pieniędzy – wtrąciła przebiegle Eliza.

– Nie sugerujesz chyba, że sprzedasz się za...

Eliza wybuchnęła dziwnym amalgamatem płaczu i śmiechu.

– Ja zarobiłam już znacznie więcej, niż są warte koń, pióra i szabla, a wkrótce zdobędę prawdziwą fortunę. Jeżeli chodzi ci o pieniądze, porzuć *Boże Rany* i zostań ze mną w Amsterdamie, a wkrótce zapomnisz o istnieniu tego stateczku.

– To nie wypada, żeby kobieta utrzymywała mężczyznę.

– A od kiedy to tak ci zależy na szacunku ze strony innych ludzi?

– Odkąd ci inni zaczęli szanować mnie.

– Oferuję ci bezpieczeństwo, szczęście, majątek i mój szacunek, Jack.

– Nie na długo. Pozwól mi popłynąć w ten jeden rejs i odzyskać pieniądze, a wtedy...

– Dla was to będzie jeden rejs. Dla Afrykanów, których kupicie, wieczna niedola. Dla nich i dla ich potomków.

– Tak czy inaczej, ja już straciłem moją Elizę. – Jack wzruszył ramionami. – Mam zatem prawo uważać się za specjalistę od wiecznej niedoli.

– Nie dbasz o własne życie?

– Takie jak teraz? Nieszczególnie.

– Zejdź na ląd, jeśli w ogóle chcesz jeszcze żyć.

Eliza zauważyła coś, co uszło uwagi Jacka – *Boże Rany* skończyły załadunek. Pokrywy luków znalazły się na swoich miejscach, intendent zapłacił za śledzie (srebrem, nie muszelkami), marynarze przygotowywali się do rzucenia cum. Na nabrzeżu pozostali jeszcze tylko pan Vliet i Jewgienij – pierwszy targował się z aptekarzem o skrzynię z medykamentami, drugi zaś przyjmował właśnie błogosławieństwo z rąk egzotycznego raskolnikowskiego kapłana w wysokiej czapie. Scena ta była tak niezwykła, że na chwilę całkiem pochłoneła uwagę Jacka – dopóki z zadumy nie wyrwały go pokrzykiwania żeglarzy. Przeniósł wzrok na nich, oni jednak śledzili wzrokiem jakiś – najwyraźniej przerażający – spektakl rozgrywający się na nabrzeżu. Wystraszył się, że bandyci – albo ktoś im podobny – napadli Elizę.

Kiedy się odwrócił, Eliza trzymała w dłoni harpun, który Jewgienij oparł o stos skrzyń piętrzący się na pomoście, i wzięwszy zamach, celowała nim w Jacka. Nie była wprawdzie zawodową harpunniczką, ale miała kobiecy dar trafiania prosto w serce, dzięki czemu ciśnięta przez nią broń pomknęła ku ofierze niechybnie jak najszczęsza prawda. Jack, wspomniawszy resztki wojskowej wiedzy z czasów aktywnej służby, zdążył odwrócić się bokiem, żeby stanowić węższy cel, ale stracił przy tym równowagę, zatoczył się pod grotmaszt i musiał się go chwycić lewą ręką, żeby nie upaść. Szerokie zadziory harpuna cięły go przez pierś, ostrze zrykoszetowało na żebrze (chyba), weszło mu w przedramię, prześliznęło się na płask wąską przerwą między kością promieniową i łokciową i wbiło w drewno, przyszpilając go do masztu.

Jack najpierw to wszystko poczuł, a dopiero potem zobaczył, bo przez cały czas śledził wzrokiem Elizę. Ona jednak odwróciła się już do niego plecami i odeszła. Nie interesowało jej nawet, czy trafiła.

Amsterdam

Czerwiec 1685

D’Avaux w towarzystwie dwóch służących o niezwykle zawziętych twarzach odprowadził ją na skraj kanału, który przechodził niedaleko Damplatu i biegł na zachód, w

stronę Haarlemu. Stał tam stateczek zabierający na pokład pasażerów. Z daleka wydał się Elizie malutki, ponieważ wyglądem przypominał nieco zabawkę – zarówno rufę, jak i dziób miał wysoko zadarte, przez co kojarzył się z grubaskiem, który niezdarnie skoczył do wody i spadł płasko na brzuch. Podszedłszy bliżej, musiała jednak przyznać, że ma przed sobą statek całkiem spory, choć lekkiej konstrukcji – miał dobre dwadzieścia jardów długości i był znacznie węższy, niż się spodziewała, przez co przypominał sierp księżycy.

– Nie chciałbym zanudzać pani nieciekawymi szczegółami; tym zajmą się obecni tu Jacques i Jean-Baptiste...

– To oni płyną ze mną?!

– W drodze do Paryża wszystkim grozi niebezpieczeństwo, mademoiselle – zauważył z przekąsem d’Avaux. – Nawet tym słabym i niewinnym.

Odwrócił się i przeniósł wzrok na dymiące zgliszcza należących do pana Sluysa domów, stojących nad tym samym kanałem w odległości zaledwie jednego strzału z muszketu.

– Pan, monsieur, chyba nie uważa mnie ani za słabą, ani za niewinną – prychnęła Eliza.

– Zwyczaj ciskania harpunem w marynarzy odarłby nawet najbardziej naiwnych ze złudzeń co do pani prawdziwej natury...

– Słyszał pan już o tym?

– To cud, że pani nie aresztowano, mademoiselle. W tym mieście nawet pocałowanie mężczyzny jest uważane za uchybienie dobrym obyczajom.

– Kazał mnie pan śledzić, monsieur?

Eliza z niechęcią spojrzała na Jacquesa i Jeana-Baptiste’a, którzy – udając chwilowo ślepych i głuchych – zajęli się rozładunkiem bardzo porządnie wyglądających kufrów. Eliza pierwszy raz widziała je na oczy, ale d’Avaux nie raz i nie dwa dał jej do zrozumienia, że zarówno one same, jak i ich zawartość są teraz jej własnością.

– Mężczyźni zawsze będą za panią chodzić, mademoiselle. Proszę się z tym pogodzić. Ale nawet pomijając incydent z harpunem, nie brakuje w tym mieście wścibskich, wrednych i złośliwych cancaniers, którzy twierdzą, że była pani zamieszana w doprowadzenie pana Sluysa do zapaści finansowej. A także że ma pani coś wspólnego z niedawnym wypłynięciem do Anglii floty inwazyjnej pod banderą księcia Monmouth oraz z wylegnięciem na ulice złowrogiej orańskiej tłuszczy, która, jak głosi plotka, spaliła domostwo pana Sluysa. Ja, rzecz jasna, mimo że nie daję wiary tym bzdurom, i tak się o panią martwię...

– Troskliwy wujaszek. Jakie to słodkie!

– No właśnie. Statek zabierze panią, wraz z eskortą...

– Przez Haarlemmermeer do Lejdy, stamtąd do Den Briel. Po drodze zahaczymy o Hagę.

– Skąd pani wie?

Eliza wskazała na statek wyciągniętą ręką.

– Na rufie, pod relingiem, oprócz herbu Amsterdamu jest wyrzeźbiony herb miasta Den Briel.

D’Avaux odwrócił się i podążył wzrokiem za jej ramieniem. Jacques i Jean-Baptiste zrobili to samo, Eliza zaś usłyszała dobiegający zza jej pleców dziwny, świszczący odgłos, jaki mogłyby wydać dudy, z których ktoś na siłę wyciska powietrze. Szturchnął ją jakiś *boer*, holenderski wieśniak, idący w stronę trapu. Kiedy wgramolił się na pokład, uwagę Elizy zwróciła jego dziwnie znajoma, zgarbiona sylwetka. Serce żywiej jej zabiło. D’Avaux spojrział na nią. Doszła do wniosku, że byłby to zły moment na wszczynanie zamieszania.

– Ma więcej żagli niż zwykła barka do żeglugi po kanałach – wypaliła. – Stąd podejrzenie, że zapuszcza się na Haarlemmermeer. Smukły kadłub sugeruje, że zmieści się w wąskiej śluzie między Lejdą i Hagą, ale jest przy tym zbyt delikatny, żeby walczyć z pływami i prądami morskimi u wybrzeży Zelandii. Nikt by go nie chciał ubezpieczyć.

– Słusznie – przytaknął d’Avaux. – W Den Briel przesiądzie się pani na bardziej ubezpieczalną jednostkę, która zawiezie panią do Brukseli. – Posłał Elizie dziwnie podejrzliwe spojrzenie. *Boer* zniknął tymczasem wśród pasażerów i tobołków na pokładzie. – Z Brukseli uda się pani drogą lądową do Paryża. W lecie nie jest to droga najwygodniejsza, ale najbezpieczniejsza, jeżeli wziąć pod uwagę, że trwa właśnie zbrojny bunt przeciwko królowi Anglii.

Eliza westchnęła ciężko, usiłując nie tracić sprzed oczu wizji miliona uwalnianych niewolników. Była to jednak iluzja krucha i zwiewna, rozdzierana na strzępy przez ciepłe słońce amsterdamskiego lata, ostre zarysy domów i białe okna.

– Moje drogie książątko... – mruknęła. – Jakież on porywczy.

– Étienne d’Arcachon, który, nawiasem mówiąc, wypytuje o panią w każdym liście, ma podobną wadę. Tyle że w jego wypadku równoważą ją wychowanie i intelekt. A mimo to z jej powodu zdarzyło mu się stracić dłoń w starciu z wagabundą!

– Och, te okrutne wagabundy!

– Podobno szybko dochodzi do siebie.

– Kiedy dotrę do Paryża, prześlę panu nowiny o jego stanie zdrowia.

– Proszę mi przesyłać wszelkie nowiny, zwłaszcza takie, które na nowiny nie wyglądają – odparł natarczywym tonem d’Avaux. – Jeżeli nauczy się pani czytać z kart Wersalu z taką samą łatwością i wprawą, z jaką rozpoznaje pani herby na statkach i rozszyfrowuje politykę ubezpieczeniową holenderskich armatorów, w mgnieniu oka zawładnie pani całą Francją.

Eliza ucałowała go w oba policzki, on ją również. Jacques i Jean-Baptiste odprowadzili ją po trapie na pokład, po czym, kiedy stateczek zaczął dryfować w dół kanału, zajęli się rozmieszczaniem jej bagażu w małej kajucie, którą wynajął dla niej hrabia. Ona zaś stanęła w tłumie pasażerów przy relingu i podziwiała widok amsterdamskich nabrzeży. W tym mieście, dopóki człowiek przebywał na stałym lądzie, nie mógł ani na chwilę zwolnić kroku, musiał stale być w ruchu – tym bardziej niezwykle było więc uczucie spokoju, jakie w tej chwili ją ogarnęło. Była tak blisko Amsterdamu, a zarazem mogła się zupełnie odprężyć i po prostu patrzeć, niczym szybujący nisko nad miastem anioł, który podgląda ludzi.

Fakt, że w ogóle miała ująć z Amsterdamu cało po tym, co się tu ostatnio wydarzyło, zakrawał na cud. D'Avaux słusznie się dziwił, że nie aresztowano jej za awanturę z harpunem. Oddaliła się z nabrzeża pod Wieżą Śledziową, idąc jak ociemniała, wściekła na Jacka i zalana łzami. Wkrótce jednak miejsce gniewu zajął strach, gdy zorientowała się, że ktoś ją śledzi, nie kryje się z tym i w dodatku nie jest sam. Oglądanie się za siebie nie na wiele by się zdało, więc szła dalej i przez Damplatz trafiła na teren giełdy, doskonale miejsce, by zgubić prześladowców – albo przynajmniej uświadomić im, że mogliby znacznie pożyteczniejsze spędzać czas. Skończyło się na tym, że poszła do „Dziewicy” i kilka godzin przesiedziała przy oknie. Mimo to niewiele zobaczyła: dwóch wysokich próżniaków, których teraz przedstawiono jej jako Jacquesa i Jeana-Baptiste'a, oraz kaszlącego dychawicznie wagabundę-żebraka z garbem na plecach.

Idący brzegiem kanału zaprzęg konny holował statek w stronę Haarlemu, na pokładzie zaś trwały przygotowania do rozłożenia przemyślnie składanego masztu, na którym można by rozpiąć żagiel albo dwa. Konie zwolniły kroku, znalazłszy się na skraju spękanego i poczerniałego odcinka bruku, pociętego zastygłymi strugami ołowiu. Ołów stopił się w pożarze, wypłynął z domu pana Sluysa i rozżarzonymi strumieniami, które po drodze na przemian łączyły się i rozdzielały, popłynął ku nabrzeżu. Na końcu przelał się przez kamienną krawędź kanału i wpadł do wody, która buchnęła takim słupem pary, że kłęb dymu z płonących zabudowań zupełnie przy nim zginął. Do tego czasu ci, którzy podłożyli ogień, dawno się już ulotnili. Teraz należało przesłuchać nielicznych świadków i wyjaśnić, czy winę za podpalenie rzeczywiście ponoszą rozwścieczeni orańczycy, którzy zemścili się na Sluysie za poparcie udzielone Francuzom, czy też podpalaczy opłacił sam właściciel domów i magazynu. Sluys poniósł tak ogromne straty przy okazji niedawnego załamania kursu V.O.C.²⁷, że jedynym sposobem na odzyskanie płynności finansowej było spalenie wszystkiego, co posiadał, i upomnienie się o odszkodowanie od tych, którzy okazali się na tyle lekkomyślni, żeby go ubezpieczyć. Tego ranka – trzy dni po pożarze – opłaceni przez ubezpieczycieli ludzie wydobywali z kanału za pomocą łomów i ręcznych wind ołowiane placki i pręty.

Znów usłyszała świszczący oddech; przez chwilę narastał gwałtownie, jakby na dziurawe dudy najechał wóz i przez basowe puszczalki wypchnął resztki powietrza, a potem przeszedł w chrapliwy, astmatyczny śmiech. Garbaty wieśniak, który znalazł sobie miejsce przy relingu niedaleko Elizy, też śledził poczynania łowców złomu.

– Dzięki buntowi księcia Monmouth ołów znów jest w cenie – zauważył (Eliza знаła niderlandzki na tyle, żeby z trudem go zrozumieć). – Jak złoto.

– Proszę mi wybaczyć, meinheer, ale mimo że wartość ołowiu rzeczywiście wzrosła, daleko mu jeszcze do złota. Czy nawet do srebra – odparła, zacinając się lekko.

Sapiący *boer* zaskoczył ją, przechodząc na całkiem znośny angielski:

²⁷ Kiedy rozeszła się wieść o rebelii Monmoutha, wartość udziałów w Kompanii spadła z 572 do 250.

– To zależy. Otoczona przez wrogów armia, której kończy się amunicja, ceni ołów na wagę złota.

Eliza nie wątpiła w rację mężczyzny, ale jego punkt widzenia wydał jej się dziwnie ponury, toteż nie podjęła dyskusji. Statek pokonał służę w zachodnim murze Amsterdamu i wypłynął na płaską holenderską wieś, pociętą kanałami odwadniającymi w szachownicę jaskrawozielonych pól, które ciągnęły się wzdłuż brzegu jak wystawione na sprzedaż trawiaste cegły. Inni pasażerowie również omijali *boera* szerokim łukiem, nie chcąc zarazić się od niego paskudną (najwyraźniej) chorobą płuc, ale przede wszystkim, jako zamożni kupcy i rolnicy, wieźli z Amsterdamu do domu całe worki srebra i złota i woleli nie zbliżać się do człowieka, który całkiem serio rozważał wymianę złotych florenów na kule do muszkietów. *Boer* najwyraźniej doskonale to rozumiał, bo przez pierwsze dwie godziny obserwował ich z ponurą pobłażliwością, graniczącą z pogardą, która we Francji wystarczyłaby za pretekst do pojedynku.

Poza tym nie robił nic ciekawego aż do późnego popołudnia, kiedy to zgoła nieoczekiwanie zamordował Jacquesa i Jeana-Baptiste’a.

A było to tak. Statek przybił do brzegu w Haarlemie, gdzie zabrał kilkoro nowych pasażerów, po czym rozwinął więcej żagli i wypuścił się na Haarlemmermeer, całkiem spore jezioro owiewane rześką morską bryzą. Świeże powietrze miało zbawienny wpływ na *boera*. Budzące żalność poświstywanie i rżenie ustąpiły jak ręką odjął, oddech stał się mniej wysiłony, a mężczyzna przestał się garbić i nagle okazało się, że jest człowiekiem przeciętnego wzrostu, w dodatku o dobre dziesięć lub nawet dwadzieścia lat młodszym, niżby się mogło wydawać – wyglądał teraz na trzydzieści kilka lat. Zgubił gdzieś swoją skwaszoną minę i zamiast, stojąc na rufie, zerkać spode łba na ludzi, rozpromienił się i zaczął się wśród nich przechadzać. Kiedy zrobił kilka kółek po pokładzie, pasażerowie oswoili się z jego widokiem i przestali zwracać na niego uwagę – do tego stopnia, że bez większych przeszkód podkraść się od tyłu do Jacquesa, chwycił go za kostki i wyrzucił za burtę.

Załatwił to tak szybko i dyskretnie, że można by pomyśleć, że nic się nie stało. Jean-Baptiste był jednak innego zdania i rzucił się na niego z obnażonym rapierem. *Boer* nie miał broni, ale stojący w pobliżu antwerpski kupiec owszem, więc niedawny garbus wyciągnął mu ją z pochwy i z wprawą przyjął postawę obronną.

Jean-Baptiste zawahał się i zastanowił, co chyba niewiele mu pomogło, a z pewnością bardzo zaszkodziło. Gdy mimo wszystko postanowił zaatakować, kołysanie statku zepsuło mu całą szarżę, a kiedy wreszcie udało mu się skrzyżować ostrze z rapierem *boera*, stało się oczywiste, że jest gorszym szermierzem. Znacznie gorszym. Zresztą nawet gdyby dzieliła ich mniejsza różnica umiejętności, *boer* musiałby wygrać, ponieważ mordowanie ludzi było dla niego równie naturalne, jak dla piekarza wyrabianie chleba. A Jean-Baptiste uważał, że zabicie człowieka to poważna sprawa, która wymaga oficjalnej oprawy. Ciemne sylwetki wiatraków, stojących w kręgu na brzegach Haarlemmermeer, obserwowały pojedynek jak

ponurzy holenderscy dostojnicy, młócąc skrzydłami powietrze. Nie trzeba było wiele czasu, aby z pleców Jeana-Baptiste'a wyszedł długi na dwie stopy zakrwawiony kawał stali. Wysadzana klejnotami rękojeść sterczała mu z piersi niczym jakaś niezbyt gustowna brosza.

Niczego więcej Eliza nie zdążyła zobaczyć, ponieważ zarzucono jej na głowę jutowy worek i zaciśnięto go – lekko – na wysokości szyi. Ktoś chwycił ją pod kolana i dźwignął z pokładu, ktoś inny złapał pod pachy. Przez chwilę bała się, że czeka ją taki sam los, jaki spotkał Jacquesa (a także, sądząc po donośnym plusku wody, Jeana-Baptiste'a), ale zniesiono ją pod pokład. Po drodze usłyszała jeszcze jakąś krótką niderlandzką frazę, a potem przez statek przebiegło dudnienie i fala szelestów – pasażerowie pospiesznie klękali i zamiatali pokład kapeluszami.

Kiedy zdjęto jej worek z głowy, znajdowała się w swojej kajucie w towarzystwie dwóch mężczyzn: prostaka i anioła. Prostak był krępy wieśniakiem, obsługiwał worek i dźwigał większą część jej ciężaru. Anioł, który natychmiast go odprawił, był blondynem, Holendrem, a przy tym człowiekiem tak niezwyklej urody, że budził w Elizie bardziej zazdrość niż pożądanie.

– Arnold Joost van Keppel – przedstawił się krótko. – Giermek księcia Oranu.

Obserwował Elizę tak samo beznamiętnym wzrokiem, jakim ona mu się przyglądała – było oczywiste, że kobiety nieszczególnie go interesują. Ale przecież mówiło się, że Wilhelm ma angielską utrzymankę... Może po prostu ksiązę należał do ludzi zdolnych pokochać każdego.

Wilhelm, ksiązę orański, stadhouder, admirał, generał Zjednoczonych Prowincji, burgrabia Besançon, ksiązę, hrabia i baron licznych innych skrawków Europy²⁸ wszedł do kajuty chwilę później. Był nieogolony, twarz miał zaczerwienioną i zbryzganą kropelkami krwi i w ogóle nie wyglądał na Holendra. Niemordowany d'Avaux przy każdej okazji wypominał mu, że jest europejskim kundlem, którego przodkowie pochodzili ze wszystkich zakątków kontynentu. W przebraniu grubiańskiego *boera* czuł się równie swobodnie jak Monmouth w tureckich jedwabiach. W tej chwili był zbyt podekscytowany i zadowolony z siebie, żeby usiąść; zresztą próba zajęcia miejsca siedzącego musiałaby doprowadzić do protokolarnego impasu, gdyż jedyne krzesło zajmowała Eliza, która nie miała zamiaru wstawać. Wilhelm przegonił więc Arnolda Joosta van Keppela w inne miejsce, stanął wygodnie i oparł się o zakrzywioną belkę stropu.

– Na Boga, przecież to jeszcze dziecko... Nie masz pewnie nawet dwudziestu lat, co? I bardzo dobrze, to tłumaczy twoją głupotę i pozwala żywić nadzieję na poprawę.

Eliza była tak wściekła za potraktowanie jej workiem, że nie odezwała się ani słowem. W ogóle nie dała po sobie poznać, że słyszała słowa księcia.

– Proszę nie zwlekać z napisaniem dziękczynnego listu do doktora – dodał Wilhelm. – Gdyby nie on, znalazłaby się pani na pokładzie stateczku płynącego pomalutku do Nagasaki.

²⁸ Np. Nassau, Katsenellenbogen, Dietz, Vianden, Meurs.

– Zna pan doktora Leibniza?

– Poznaliśmy się pięć lat temu w Hanowerze. Byłem także w Berlinie...

– Gdzie?

– W Berlinie. To taka mało ważna miejscina w Brandenburgii, ciekawa tylko z tego względu, że elektor ma tam swój pałac. Wśród tamtejszych książąt i elektorów mam całkiem sporo krewnych. Odwiedzałem ich wtedy, próbując skrzyknąć sojusz przeciwko Francji.

– Chyba się panu nie udało?

– Oni chcieli się do mnie przyłączyć. Podobnie jak większość Holendrów. Ale Amsterdam stanął okoniem. Powiem więcej, amsterdamscy regenci spiskowali z pani dobrym znajomym, hrabią d'Avaux, i chcieli przystąpić do Francuzów, żeby Ludwik mógł użyć ich floty przeciw Anglii.

– Ten zamiar również się nie powiódł. Inaczej byłoby coś o nim słyhać.

– Śmiem chętnie się tym, że moje zabiegi w północnych Niemczech, w których dzielnie pomagał mi pani przyjaciel, doktor Leibniz, i działania podjęte przez d'Avaux tutaj, w Holandii, doprowadziły do sytuacji patowej. Ja cieszyłem się, że poszło mi tak dobrze, Ludwik się wściekł, że wskórał tak niewiele.

– Czy to dlatego zgwałcił Oran?

To pytanie bardzo rozzłościło Wilhelma Orańskiego, co Eliza uznała za godną odpłatę za worek na głowie. Opanował się jednak i odparł zwięźle:

– Postaraj się mnie dobrze zrozumieć, Ludwik jest inny niż my. Nie zawraca sobie głowy takimi drobiazgami, jak przyczyny. Sam jest przyczyną. Dlatego należy go zniszczyć.

– I twoją ambicją, książę, jest być jego niszczycielem?

– Bądź tak miła, dziewczyno, i zamiast o „ambicji” mów o „przeznaczeniu”.

– Przecież nawet nie rządysz u siebie w domu, panie! Ludwik trzyma Oran w garści, a ty, mości książę, ukrywasz się w Holandii, w dodatku w przebraniu, ze strachu przed francuskimi dragonami...

– Nie zamierzam tego wałkować. – Wilhelm już się całkiem uspokoił. – Masz rację. Nie umiem też tańczyć, pisać wierszy ani zabawiać towarzystwa przy kolacji. Nędzny ze mnie generał, chociaż moi zwolennicy twierdzą co innego. Wiem tylko, że cokolwiek mi się oprze, długo nie przetrwa.

– Francji się udało.

– Pokrzyżuję Francji plany, a ty mi w tym pomożesz. Na swój ograniczony sposób.

– Niby dlaczego?

– Powinnaś chyba zapytać: jak?

– W przeciwieństwie do *le Roi* interesuję się przyczynami.

Myśl o tym, że Eliza może potrzebować motywacji, rozbawiła Wilhelma Orańskiego, ale po zabiciu dwóch francuskich dragonów był w dobrym nastroju.

– Doktor mówił mi, że nienawidzisz niewolnictwa. A Ludwik chce zniewolić cały świat chrześcijański.

– Forty niewolnicze w Afryce są własnością Anglików i Holendrów.

– Tylko dlatego że flota diuka d’Arcachon ciągle jeszcze jest za słaba, żeby je nam odebrać. Czasem trzeba dążyć do celu małymi krokami. Wagabundzka dziewczynka, której marzy się zniesienie ogólnoswiatowej instytucji niewolnictwa, powinna zdawać sobie z tego sprawę.

– To niezwykle, że księżę wdziewa strój wieśniaka i wybiera na przejażdżkę statkiem tylko po to, żeby edukować wagabundzką dziewczynkę.

– Nie pochlebiaj sobie. Po pierwsze, jak słusznie zauważyłaś, w Amsterdamie zawsze występuję incognito, ponieważ d’Avaux wszędzie ma swoich zbirów. Po drugie, tak czy inaczej muszę wracać do Hagi, gdyż przedsięwzięta przez twojego kochanka inwazja Anglii nakłada na mnie pewne obowiązki. Po trzecie, pozbyłem się twoich opiekunów i sprowadziłem cię tutaj, do tej kajuty, nie po to, żeby cię edukować, ale by przechwycić listy, które d’Avaux ukrył w twoim bagażu.

Eliza poczuła, że się rumieni. Wilhelm przez moment przyglądał się jej w zadumie, ale chyba uznał, że nie będzie nadużywał swojej przewagi.

– Arnold! – zawołał.

Otworzyły się drzwi do kajuty. Za nimi leżały rozwleczone na deskach fatalaszki Elizy, umazane smołą, wymoczone w wodzie z zęzy, a co bardziej skomplikowane także porozdzierane na kawałki. Bagaż, który dostała od d’Avaux, został podzielony na części składowe, które teraz systematycznie darto na strzępy.

– Na razie znaleźliśmy dwa – powiedział Arnold. Wszedł do kabiny, skłonił się lekko i wręczył księciu mały plik zapisanych kartek.

– Oba zaszyfrowane – zauważył Wilhelm. – A że hrabia nie jest w ciemni bity, od zeszłego roku na pewno zmienił szyfr.

Tak jak trafiony armatnią kulą gład rozpada się na kawałki, tak umysł Elizy uległ nagle rozszczepieniu na kilka niezależnych części. Do jednej z nich dotarło, że istnienie tych listów czyni ją – w świetle holenderskiego prawa – francuskim szpiegiem i, zapewne, pozwala Wilhelmowi wymierzyć jej dowolnie wymyśloną karę. Inna gorączkowo usiłowała rozgryźć plan d’Avaux (bo przecież nikt nie stosowałby aż tak wyrafinowanej sztuczki, żeby wysłać listy! a może jednak?). Jeszcze inna kontynuowała uprzejmą konwersację, wcale o niej nie myśląc (co chyba nie było najlepszym pomysłem, ale...).

– A co się wydarzyło w zeszłym roku? – spytała Eliza.

– Kazałem aresztować poprzedniego naiwniaka w służbie hrabiego. Moi kryptolodzy rozszyfrowali wiadomości przemycane przezeń do Wersalu. Dotyczyły spraw, którymi Sluys i niektórzy amsterdamscy regenci zajmowali się na zlecenie Ludwika.

Te słowa skierowały myśli Elizy na inne tory niż czekający ją Sąd Ostateczny.

– Kilka tygodni temu Étienne d’Arcachon spotkał się ze Sluyssem, ale najwyraźniej nie rozmawiali o interesach...

– Poruszyła się... Trzepocze powiekami... Jeszcze chwila i się obudzi – zakpił Arnold Joost van Keppel.

– Czy mógłbyś wyprosić tego człowieka z mojej kajuty, mości książę? – spytała Eliza tak spokojnie, że zdumiała tym wszystkich obecnych.

Wilhelm wykonał jakiś ledwie dostrzegalny gest i van Keppel zniknął. Drzwi się za nim zamknęły, za to odgłosy darcia i trzeszczenia szwów wyraźnie się nasiliły.

– Zostanie mi w ogóle jakieś ubranie?

– Tylko to, które masz teraz na sobie – odparł po chwili namysłu Wilhelm. – Ten list wszyjesz sobie w gorset, kiedy Arnold już go skopiuje. W Paryżu, dokąd dotrzesz wyczerpana, rozchelstana, bez opieki i bagażu, będziesz mogła opowiedzieć wspaniałą historię o tym, jak to serowarzy naprzykrzali ci się, zabili ci towarzyszy podróży i przetrząsnęły twoje rzeczy. I jak cudem udało ci się zachować jeden list, sprytnie zaszyty w bieliźnie.

– Romantyczna historia.

– W Wersalu zrobisz furorę. I to w znacznie korzystniejszym stylu, niż gdybyś zjawiała się tam wypoczęta i modnie ubrana. Księżne i hrabiny zlitują się nad tobą, zamiast się ciebie wystraszyć, i przygarną cię pod swoje opiekuńcze skrzydła. To doskonały plan. Aż się dziwię, że d’Avaux sam na niego nie wpadł.

– Może nie chciał, żebyś znalazła sobie miejsce na francuskim dworze. Może miałam tylko przewieźć listy, a potem by się mnie pozbył.

W zamyśle Elizy ta uwaga miała być żalostną skargą, której Wilhelm powinien się z zapalem sprzeciwić. Ale książę potraktował ją najzupełniej poważnie, co bynajmniej nie ukoilo starganych nerwów dziewczyny.

– Przedstawił cię komuś? – zapytał.

– Étienne’owi d’Arcachon.

– W takim razie wiąże z tobą pewne nadzieje. Domyślam się jakie.

– Bardzo jesteś z siebie zadowolony, mości książę. Niewątpliwie czytałeś w myślach hrabiego z równą łatwością jak w jego listach. Ponieważ jednak mój los znalazł się teraz w twoich rękach, bardziej od zamiarów hrabiego interesują mnie twoje. Co ze mną zrobisz?

– Doktor Leibniz nauczył cię szyfrów, przy których te francuskie to dziecinada. – Wilhelm zamachał trzymanym w ręce listem, aż zafurkotał papier. – Teraz je wykorzystasz.

– Mam być twoim szpiegiem w Wersalu, książę.

– Nie tylko moim. Także Zofii i innych wrogów Ludwika. Na razie właśnie tak cię wykorzystam. Później może wymyślę coś innego.

– W tej chwili jestem zdana na twą łaskę, książę. Kiedy jednak dotrę do Francji i wszystkie te księżne zaczną mi nadskakiwać, będzie mnie chronić armia i flota *le Roi*...

– Pytasz, drogie dziecko, dlaczego mam ci zaufać, że nie wygadasz Francuzom wszystkiego i nie zostaniesz podwójną agentką?

– Właśnie.

– Nie wystarczy ci, że Ludwik jest odpychający, a ja jestem gwarantem wolności?

– Być może... Byłbyś jednak głupcem, księżę, gdybyś tak po prostu uwierzył, że zachowam się w zgodzie z tym przekonaniem. A ja nie chcę szpiegować dla głupca.

– Czyżby? Dla Monmoutha szpiegowałaś...

Elizę zamurowało.

– Ależ sir...

– Nie stawaj w szranki, dziecko, jeśli boisz się, że przeciwnik wysadzi cię z siodła.

– Zgoda, żaden z Monmoutha mędrzec, lecz... To dobry żołnierz.

– Przyzwoity. Ale daleko mu do Johna Churchilla. Nie wierzysz chyba, że uda mu się obalić króla Jakuba, co?

– Nie podjudzałabym go do tego, gdybym w to nie wierzyła.

Wilhelm zaśmiał się ponuro.

– Obiecał ci, że zostaniesz księżną?

– Dlaczego wszyscy mnie o to pytają?

– Zamącił ci w głowie. Monmouth nie ma żadnych szans. Zgodnie z zapisami traktatu angielsko-holenderskiego, w Hadze stacjonuje sześć wiernych mi angielskich i szkockich regimentów. Gdy tylko się tam znajdę, wyślę je na drugą stronę kanału i każę im stłumić rebelię Monmoutha.

– Jak to?! Przecież Jakub jest w zasadzie wasalem Ludwika! Powinieneś wesprzeć Monmoutha, panie!

– Posłuchaj, Elizo, czy Monmouth przemykał po Amsterdamie incognito?

– Nie. Udzielał się towarzysko na prawo i lewo.

– Czy żył w wiecznym lęku przed francuskimi zamachowcami?

– Nie. Był beztroski jak skowronek.

– Czy w jego powozie znajdowano bomby z zapalonym lontem?

– Bomby nie... Co najwyżej bombonierki.

– Czy d'Avaux jest człowiekiem inteligentnym?

– Ależ naturalnie!

– Skoro plany Monmoutha były tak oczywiste, musiał o nich wiedzieć. Dlaczego nie próbował go zabić?

Biedna Eliza nie miała nic do powiedzenia.

– A Monmouth wybrał sobie najgorsze możliwe miejsce do lądowania: w Dorset. Na ojczystej ziemi Johna Churchilla. Churchill właśnie wyrusza z Londynu, żeby się z nim rozprawić. To będzie koniec inwazji Monmoutha. Moje oddziały się spóźnią... Wysyłam je tylko dla zachowania pozorów.

– Nie chciałbyś, panie, by na angielskim tronie zasiadł protestancki król?

– Ależ chciałbym! Brytania jest mi potrzebna, jeśli mam pokonać Ludwika.

– W twoich ustach brzmi to tak niedbale...

– Stwierdzam tylko prosty fakt. – Wilhelm wzruszył ramionami. Zmarszczył brwi w zadumie. – Lubię takie proste fakty. Arnold!

Arnold ponownie wszedł do kabiny. Znalazł następne dwa listy.

– Mój panie?

– Potrzebny mi będzie świadek.

– Świadek czego, mój panie?

– Ta dziewczyna twierdzi, że byłbym głupcem, obdarzając ją zaufaniem. Jest Qwghlmianką... Zatem uczynię ją księżną Qwghlm.

– Ale... Qwghlm wchodzi w skład dominium króla Anglii, mój panie.

– I o to chodzi. Będzie księżną potajemną i wyłącznie tytułową, dopóki nie zasiądę na angielskim tronie. Wtedy stanie się księżną faktyczną. Do tego zaś czasu ja będę mógł jej zaufać, a ona nie weźmie mnie za durnia.

– Jaki mam wybór? – spytała Eliza. – Albo tytuł, albo wolny statek do Nagasaki?

– Nie taki znowu wolny – wtrącił Arnold. – Po przybyciu na miejsce miałabyś pewnie jeszcze ze dwa zęby.

Eliza udała, że go nie słyszy. Wpatrywała się w księcia.

– Na kolana! – rozkazał jej.

Eliza podkasła spódnice – jedyne, jakie jej zostały – wstała i uklękła przed księciem orańskim, który mówił dalej:

– Nadanie szlachectwa wiąże się z ceremonią, w której wasal okazuje swą lojalność suwerenowi. Ta tradycja obowiązuje od czasów antycznych.

Arnold wyjął z pochwy krótki miecz i oburącz podał go księciu. Przy okazji zaliczył kilka zderzeń z podporami, ścianami i meblami, objając się o nie łokciem, rękojęścią broni, jej ostrzem, *et caetera*, jako że kabina była mała i ciasna. Wilhelm obserwował jego starania z wyrazem pobłażliwego rozbawienia na twarzy.

– Czasem senior uderza wasala mieczem po ramieniu – przyznał. – Tu jednak nie ma dość miejsca, by bezpiecznie się taką bronią posłużyć. Poza tym pasuję tę damę na księżną, nie na rycerza.

– Wolisz sztylet, mój panie? – spytał Arnold.

– Owszem. Ale niech cię o to głowa nie boli. Oręż mam zawsze pod ręką.

Jednym ruchem ręki rozpiął pas i zsunął spodnie. Ukryta dotąd broń wy dostała się na wolność. Znalazła się tak blisko twarzy klęczącej, że ta poczuła bijące od niej ciepło. Jej klinga nie była ani szczególnie długa, ani nazbyt krótka, za to Eliza z przyjemnością stwierdziła, że jest czysta – czystość to wielka cnota Holendrów – i dobrze utrzymana. Drżała w rytm bicia książęcego serca.

– Jeżeli chcesz mnie nim uderzyć w ramię, książę, musisz podejść nieco bliżej – uprzedziła. – Jest wspaniały, ale jednak nie tak długi jak miecz.

– To ty zbliżysz się do mnie. Poza tym, jak dobrze wiesz, nie będę mierzył w twój bark, ani w lewy, ani w prawy, lecz w miększe, znacznie miłsze rejony, znajdujące się dokładnie pośrodku. Nie udawaj, że nie wiesz, co mam na myśli. Znam twoją historię i wiem, że w sułtańskim *harimie* poznałaś tę i wiele innych sztuczek.

– Wtedy byłam niewolnicą. Czy jeżeli zrobię to teraz, zostanę księżną?

– Tak było u Monmoutha, tak będzie we Francji, niech i teraz tak się stanie – odparł łaskawie Wilhelm. Położył jej dłoń na głowie i złapał garścią za włosy. – Może Arnold czegoś się od ciebie nauczy? Arnoldzie, uważaj.

Wilhelm przyciągnął Elizę do siebie. Zamknęła oczy. To, co miało się za chwilę wydarzyć, nie było samo w sobie najgorsze, ale nie mogła znieść myśli, że ten drugi mężczyzna będzie się jej przyglądał.

– No już, już... – odezwał się książę. – Nie myśl o nim. Otwórz oczy i spójrz na mnie, z godnością, jak na księżną przystało.

Wybrzeża Europy i północnej Afryki

1685

*Midasowe hiszpańskich wojaży radości,
Czego tkniemy, jest złotem, lecz musi człek pościć.
W tym klimacie upalnym okrutne pasaty
W popiół zmieniają me ciało przed starczymi laty.
Na statku mnie zamykać, to jakby do lochu
Wtrącić więziennego, co wali się po trochu,
Lub do klasztoru. Lecz kto złączy się z zakonem,
Cichą przystań znajduje, nie piekło wzburzone.
Długie rejsy jak wieczne i srogie suchoty,
Statki – wozy, co łotrów wiozą na szafoty.
Śmierć niosą. Wszak różnica to chyba znikoma
Ku innym światom zdążać – lub w tym świecie skonać?*

John Donne, *Miłosna wojna*

Jack zaszlochał pierwszy raz od czasów, gdy jako dzieciak wyciągnął z Tamizy sztywnego, zbielełego Dicka.

Załoga nawet niespecjalnie się zdziwiła rozwojem wydarzeń. Odbijaniu statku od brzegu często towarzyszyło ostentacyjne okazywanie uczuć, zwłaszcza gdy upust swym emocjom dawały pozostające w porcie młode kobiety. Pan Vliet, obawiając się, że incydent może prowadzić do jakichś prawnych tarapatów, uciekł po trapie na statek. Wkrótce potem podążył za nim należycie wybłogosławiony i opatrzony wszelkimi możliwymi sakramentami Jewgienij. *Boże Rany* bez zbędnych ceregieli odbiły od brzegu i wymknęły się z portu na Ijsselmeer, gdzie postawiły żagle i zaczęły się przebijać przez wzburzone, strzępiaste morze. Jewgienij zaparł się obutą w futrzany kamasz stopą o maszt i wyszarpnął harpun z drewna i ręki Jacka, mamrocząc coś, co brzmiało jak przeprosiny. Jeden z marynarzy, mający ponoć pewne felczerskie doświadczenie, rozgrzał w palenisku w kambuzie jakieś żelastwa: biorąc pod uwagę, że Jack miał głęboką ranę ciętą piersi i przebitą na wylot rękę, szykowało się solidne przyżeganie. Co najmniej połowa załogi musiała usiąść na Jacku, żeby się nie wyrwał, kiedy felczer na przemian przypalał go żelazem i je rozgrzewał, przypalał i rozgrzewał – i tak chyba przez całe Ijsselmeer. Na początku tego piętnowania Jack błagał o zmiłowanie. Niektórzy z siedzących na nim byli zde gustowani, inni rozbawieni, ale żaden nie wyglądał na litościwego, co właściwie nie powinno Jacka dziwić, skoro znalazł się wśród handlarzy niewolników. Potem więc zamiast o coś błagać, po prostu krzyczał – do czasu, aż całkiem zdał sobie gardło i było słychać już tylko skwierczenie przypiekanego ciała. Kiedy było po wszystkim, usiadł przy bukszprycie niczym przedstawiający udęczonego wagabundę galion, zawiął się w koc i zapalił przyniesioną przez Jewgienija fajkę. O dziwo, zupełnie nie czuł bólu. Nic nie czuł.

Większe statki handlowe, wpasowane w ogromne, wypełnione powietrzem zbiorniki wypornościowe, które zmniejszały ich zanurzenie, były holowane przez lżejsze jednostki ponad przybrzeżnymi mieliznami, na których gęsto zalegały stare, poszczerbione wraki. W rytmie morza zaszła subtelna zmiana, jak na początku opery, gdy egzaltowana uwertura zostaje zagłuszona grzmiotem bębnow i rykiem trąb zwiastującym początek właściwego dramatu. Ściemniło się i zrobiło wyraźnie chłodniej. Uwolnione od zbiorników statki zaczęły rozwijać płótna, niczym kupcy bławatni prezentujący towar poważnemu kontrahentowi. A niechętny wiatr przyjmował ich ofertę – żagle się wypełniały, wygładzały i napinały, statki nabierały rozpędu. Kiedy mijali Texel, wszyscy marynarze na chwilę oderwali się od zajęć, aby podziwiać okręty liniowe holenderskiej marynarki wojennej gnające po olbrzymich falach Morza Północnego. Bandery i proporce kłębiły się wokół masztów jak obłoki kolorowego dymu, a groźnie zjeżone potrójne pokłady działowe spoglądały wilkiem w stronę Anglii.

W końcu *Boże Rany* też znalazły się na morzu, co przyniosło pewną pociechę Jackowi, który miał wrażenie, że na każdym skrawku suchego lądu będzie po wsze czasy przekłęty. Zawinęli na krótko do Dunkierki, gdzie zwerbowali paru nowych marynarzy. Bob odwiedził Jacka, bo on sam nie miał dość siły, żeby zejść na ląd. Wymienili się opowieściami; Jack

natychmiast zapomniał te, które usłyszał od Boba. To ostatnie spotkanie z bratem bardziej przypominało mu sen, zlepek przypadkowych strzępków rzeczywistości. Usłyszał jeszcze, jak ktoś tłumaczy Bobowi, że jego brat postradał rozum.

I dalej, na południe. Nieopodal St.-Malo zostali doścignięci przez francuskich korsarzy, którzy po dokonaniu abordażu i obejrzeniu bezwartościowego ładunku wybuchnęli śmiechem i puścili ich wolno, dokonawszy zaledwie symbolicznego rabunku. I tylko jeden z Francuzów tuż przed zejściem z *Bożych Ran* podszedł do pana Vlieta, który odruchowo skulił się na jego widok. Bardziej w reakcji na to skulenie niż z innych powodów korsarz uderzył pana Vlieta w twarz z taką siłą, że ten runął jak długi na pokład.

Mimo że jego mózg szwankował na kilka sposobów jednocześnie, Jack zdawał sobie sprawę, że to wydarzenie może zaszkodzić jego inwestycji znacznie poważniej niż ewentualna oddana z małej odległości salwa burtowa, która podziurawiłaby kadłub *Bożych Ran* jak rzeszoto. Marynarze stali się od tej pory bardziej gburowaci niż zwykle, a pan Vliet zaczął spędzać większość czasu zamknięty w swojej kajucie. Tylko postawa pana Foota – i obecność Jewgienija w roli jego ochroniarza – zapobiegły wybuchowi permanentnego buntu. Pan Foot gładko wszedł w rolę kapitana statku, zupełnie jakby nigdy nie spędził dwudziestu lat za barem w „Bombie i kotwiczce”.

Żeglując wzdłuż wybrzeża, opłynęli kilka bretońskich przylądków, po czym południowo-zachodnim kursem puścili się w poprzek Zatoki Biskajskiej i po kilku nerwowych dniach ujrzeli na horyzoncie wybrzeża Galicji. Jack właściwie nie podzielał ogólnego zdenerwowania, ponieważ w rany wdała mu się infekcja. Dręczony napadami gorączki i regularnie przeprowadzanym przez felczera leczniczym puszczeniem krwi, nie tylko nie miał pojęcia, dokąd płyną, ale chwilami zapominał w ogóle, że znajduje się na statku. Pan Vliet odmawiał opuszczenia najlepszej kabiny, co było z jego strony nader rozważnym posunięciem, wśród załogi narastała bowiem chęć wyrzucenia go za burtę. Niestety, był jedyną osobą na pokładzie, która miała jakieś pojęcie o nawigacji. Jack wylądował więc w hamaku pod pokładem i dzień w dzień mógł podziwiać błękitne igielki światła, przeciskające się między deskami pokładu. Słyszał głównie melodyjny brzęk kauri, przesypanych się rażno przy każdym wstrząsie miotanego falami słupa.

Kiedy wydobrzył na tyle, żeby wyjść na pokład, było gorąco, a słońce stało na niebie tak wysoko, jak nigdy wcześniej w życiu Jacka. Dowiedział się, że po drodze zawinęli jeszcze do portu w Lizbonie. Żałował, że przegapił ten postój, ponieważ pod miastem miał się znajdować ogromny obóz włóczęgów, i gdyby udało mu się niepostrzeżenie wymknąć ze statku, znów znalazłby się na lądzie – i znów byłby królem wagabundów. Ale było to tylko nedorzeczne bredzenie skazańca przykutego za szyję do ściany, więc Jack czym prędzej o nim zapomniał.

Według pana Vlieta, całymi godzinami dokonującego pomiarów kwadrantem, prowadzącego żmudne obliczenia i sprawdzającego ich wyniki w tablicach, minęli już

szerokość geograficzną, na której leżał Gibraltar, a zatem ląd, który od czasu do czasu majaczył na bakburcie, musiał być Afryką. Twierdził jednak, że Wybrzeże Niewolnicze leży o wiele, wiele dalej na południe i czekają ich jeszcze długie tygodnie żeglugi.

W tej drugiej kwestii się mylił. Pod wieczór obserwator na bocianim gnieździe podniósł rwetes. Wyszędłszy na pokład, Jack mógł wraz z resztą marynarzy obserwować dwa zbliżające się od rufy statki. Sprawiały wrażenie, że pełzną po wodzie na niezliczonych pajęczych odnóżach – były to galery, typowe okręty wojenne berberyjskich piratów. Pan Vliet przez jakiś czas przyglądał im się przez lunetę, dokonując szybkich rachunków i kreśląc rysikiem na tabliczce jakieś geometryczne figury. Potem go zemdlilo i wrócił do kabiny. Pan Foot wyłamał zamki w paru skrzyniach znajdujących się w ładowni i zaczął rozdawać zardzewiałe kordelasy i garłacze.

– O co mamy walczyć? O kauri? – zapytał jeden z angielskich żeglarzy. – Jak je zobaczą, potraktują nas tak samo jak ci Francuzi pod St.-Malo.

– Nie interesuje ich, co mamy w ładowni – odparł pan Foot. – Naprawdę myślicie, że wolni ludzie wiosłowaliby z takim zapalem?

Jack nie był ani pierwszym, ani ostatnim członkiem załogi *Bożych Ran* gotowym zakwestionować sens przybicia bandery do masztu, ale kiedy zrozumiał, że Berberowie zamierzają uczynić z nich galerników, zmienił zdanie. Tak jak kiedy morska bryza przeciera zasnuty dymem wystrzałów widnokrąg, tak teraz Jack z niezwykłą wprost klarownością rozumiał, że nadszedł dzień jego śmierci. Doszedł też do wniosku, że przybycie Berberów jest w gruncie rzeczy szczęśliwym zbiegiem okoliczności – i tak nie zostało mu wiele życia, a lepiej przecież zginąć, walcząc o własną wolność, niż planując zniewolenie innego człowieka.

Zszedł więc pod pokład, z przydzielonej mu skrzyni wyjął swoją janczarską szablę w paradnej pochwie i wrócił na górę. Załoga zbiła się w kilka wyraźnie oddzielonych grup, stanowiących zapewne zarzewia buntu. Jack wspiął się na dziób szalupy, która obwiązana linami tkwiła na pokładzie, stamtąd wskoczył na dach znajdującej się tuż za fokmasztem nadbudówki dla pilota. Obrzuciwszy spojrzeniem całe *Boże Rany*, stwierdził (nie pierwszy raz zresztą), że kadłub jest wręcz niewiarygodnie wąski, a mimo to słup, podobnie jak wszystkie europejskie statki towarowe, przypominał tarzającą się w błocie maciorę, kiedy zestawilo się go z galerami piratów, śmigającymi po wodzie jak holenderscy łyżwiarze po zamrzniętych kanałach. Oprócz wiosel były zaopatrzone w olbrzymie trójkątne żagle. Zbliżały się gęsiego, dokładnie w osi słupa, żeby *Boże Rany* nie mogły ich razić salwą ze swoich paru mizernych armat. Na rufie znajdował się wprawdzie jeden umocowany obrotowo falkonet, który mógłby posłać pierwszej galerze jedną, może dwie kule wielkości mandarynki, ale jego obsługa kłóciła się właśnie między sobą, zamiast go ładować.

– Co za świat! – zawołał Jack.

Prawie wszyscy spojrzeli w jego stronę.

– Siedzi człowiek latami w domu, rąbie drzewo, nosi wodę ze studni i chodzi do kościoła. Nic się nie dzieje. Z rutyny wyrывa go tylko czasem jakieś gradobicie albo kłeska głodu. Ale wystarczy, żeby wsiadł na statek i parę dni popływał, i co go spotyka? Napad berberyjskich piratów u wybrzeży Maroka! Wszyscy wiemy, że pan Vliet nie gustuje w przygodach. Ale jeśli chodzi o mnie, wolę krzyżować szable z korsarzami, niż wiosłować na ich galerze. Dlatego mówię: walczmy! – Jack dobył szabli, która w zestawieniu z poszczerbionymi zabytkami rozdawanymi przez pana Foota wyglądała, jakby płonęła w promieniach afrykańskiego słońca. Odrzucił pochwę, a ta z miękkim *fup-fup-fup* odbiła się kilka razy od pokładu, na ułamek sekundy zawisała w powietrzu i pionowo zanurkowała w wodzie. – Tylko tyle dostaną od Jacka Półkuśki!

Odpowiedziały mu nieśmiałe wiwaty mniej więcej połowy marynarzy, gotowych walczyć i bez jego zachęty. Druga połowa wyglądała na zażenowaną jego wystąpieniem.

– Łatwo ci tak gadać – zauważył jeden z nich, niejaki Henry Flatt, który do tej pory całkiem dobrze się z Jackiem dogadywał. – Wszyscy wiedzą, że i tak jesteś trzy ćwierci do śmierci.

– Ciebie na pewno przeżyję.

Jack zeskoczył z dachu nadbudówki i ruszył w stronę Flatta. Marynarz z początku tylko tępo mu się przyglądał, jakby nie zdawał sobie sprawy, że otaczający go przed chwilą kompani rozbiegli się już po całym pokładzie. Kiedy Jack znalazł się przy nim, stanął bokiem, ugiął kolana i zasalutował mu płazem szabli, Flatt na sekundę stanął *en garde*, a potem nagle oprzytomniał – najpierw cofnął się o kilka kroków, później odwrócił się i uciekł. Jack usłyszał śmiech marynarzy, z początku miły dla ucha, lecz po chwili namysłu irytujący. To była poważna sprawa, a nie zabawa w teatrzyk; zanosilo się na to, że będzie musiał kogoś zabić, żeby uświadomić tym półgłówkom powagę sytuacji. Zapędził więc Flatta w kozi róg na dziobie i zepchnął go aż na bukszpryt, lawirując między sztakslem, kliwrem i bomkliwrem, które łopotwały głośno na wietrze, bo nie było nikogo, kto zadbałby o naciągnięcie szotów. W końcu nieszczęsny Flatt znalazł się prawie na samym czubku bukszprytu, chwytając się ostatniej liny w zasięgu ręki²⁹, żeby nie spaść z rozkołysanego statku. W drugiej ręce trzymał kordelas i niezbyt przekonująco groził nim Jackowi.

– Wszystko mi jedno, czy zginę teraz z ręki chrześcijanina, czy za dziesięć minut od pogańskiej szabli. Ale jeśli ty wolisz być niewolnikiem, twoje życie jest nic niewarte i zaraz zrzucę cię do oceanu jak zwykle gówno – zapowiedział Jack.

– Będę walczył – ostrzegł Flatt.

Jack nie miał wątpliwości, że Flatt kłamie, ale wszyscy im się teraz przyglądali – nie tylko załoga *Bożych Ran*, lecz także niewiarygodna wręcz liczba uzbrojonych piratów, którzy wylegli na pokład obu galer – i musiał zachować odpowiednie formy. Odwrócił się więc demonstracyjnie plecami do Henry’ego Flatta i zaczął schodzić z bukszprytu, zamierzając

²⁹ Kontrafału bomkliwra.

obrócić się na pięcie i ciąć drania na odlew, gdy ten ruszy za nim. Prawdę mówiąc, już miał to zrobić, gdy zobaczył, jak pan Foot tnie kordelasem napiętą linę, umocowaną do kołka na dziobie – był to szot wszyty w rozwarty kąt bomkliwra i przenoszący energię żagla na kadłub. Trzepoczący Jackowi nad głową bomkliwer zwiotczał. Jack schylił się i złapał jakąś linę. Usłyszał ogłuszający dźwięk (coś w rodzaju metalicznego pierdnięcia), rozedrgane płótno owinęło się wokół Flatta niczym całun, przytrzymało go przez chwilę i zepchnęło do oceanu, gdzie natychmiast dostał się pod prący do przodu kadłub.

Mało brakowało, żeby Jack też wpadł do wody; zawisł na linie na jednej ręce, w drugiej trzymając szablę, ale Jewgienij złapał go swoim potężnym łapskiem pod łokieć i wciągnął na pokład. Jack był bezpieczny.

O ile znalezienie się na *Bożych Ranach* w takiej chwili miało coś wspólnego z bezpieczeństwem. Galery, które do niedawna płynęły niespiesznie jedna za drugą, podczas zamieszania z Flattem rozdzieliły się, żeby zająć *Boże Rany* jednocześnie z obu burt. Już od jakiegoś czasu było słyhać dobiegającą z ich pokładów muzykę, niezwykłą pieśń śpiewaną przez wiele głosów na piskliwą, jakby irlandzką nutę. Angielskie uszy Jacka, budząc jego zdumienie, poinformowały, że to nie jest melodia z tych stron. Chociaż, jakby się nad tym zastanowić, może jednak właśnie stąd pochodziła... Mniejsza z tym, pieśń była dziwna, obca, śpiewana w jakimś barbarzyńskim języku. I jeszcze do niedawna utrzymana w powolnym rytmie, wyznaczanym przez chlupot wiosel.

Teraz jednak, gdy galery wyszły na kurs równoległy do *Bożych Ran*, pióra wiosel zanurzały się w wodzie przy wtórze głośnego i ostrego dźwięku, który do złudzenia przypominał kanonadę z jakiejś egzotycznej broni. Śpiew stał się głośniejszy. Jack rozróżniał już pojedyncze pogańskie sylaby:

Havah nagilah, Havah nagilah, Havah nagilah, v'nism'chah!

Havah nagilah, Havah nagilah, Havah nagilah, v'nism'chah!

– Brzmi to jak szkockie dudy – stwierdził. – Szkoci zawsze tak hałasują przed bitwą, żeby nie było słyhać, jak im kolana stukają o siebie.

Może ze dwóch ludzi zaśmiało się z dowcipu, ale i oni zostali szybko uciszeni przez pozostałych, wsłuchanych w piracką pieśń. Ta zaś, zamiast po bożemu trzymać się raz ustalonego rytmu, zdawała się przyspieszać:

Uru, uru achim

Uru achim b'lev sa me ach!

Uru achim b'lev sa me ach!

Uru achim b'lev sa me ach!

Uru achim b'lev sa me ach!

Havah nagilah...

Tak, z całą pewnością przyspieszała. A ponieważ wiosła uderzały o wodę w rytmie melodii, piraci musieli nie tylko szybciej śpiewać, ale i szybciej wiosłować! I rzeczywiście, dystans między dziobem bliższej galery i rufą *Bożych Ran* gwałtownie się zmniejszał.

Uru, uru achim

Uru achim b'lev sa me ach!

Uru achim b'lev sa me ach!

Uru achim b'lev sa me ach!

Uru achim b'lev sa me ach!

Havah nagilah.

Havah nagilah, Havah nagilah, Havah nagilah, v'nism'chah!

Havah nagilah, Havah nagilah, Havah nagilah, v'nism'chah!

Piraci śpiewali i wiosłowali żywiołowo i z zapałem. Galery podchodziły do *Bożych Ran* z obu stron, zachowując tylko taki odstęp, żeby między burtami zmieściły się szarpiące fale wiosła. Nawet bez niewidocznych w tej chwili niewolników liczba ludzi na ich pokładach była wręcz absurdalna, jakby całe pirackie miasto stłoczyło się na dwóch okrętach.

Szybsza była galera pochodząca od bakburty. Zwinęła żagiel i sklarowała takielunek, szykując się do ataku. Przy relingu i na pokładzie rufówki stłoczyła się masa ludzi – część wywijała przywiązany do lin kotwiczki, część szykowała się do rzucenia drabin abordażowych, opatrzonych paskudnie zakrzywionymi hakami. Wszyscy pasażerowie *Bożych Ran*, nie wyłączając Jacka, w jednej chwili zobaczyli i uświadomili sobie dwie rzeczy – zobaczyli, że wśród piratów jedynymi Arabami są wykrzykujący rozkazy *agha*, a ich poddani są głównie biali lub czarnoskórzy (było też paru Hindusów). Uświadomili sobie natomiast, że mają przed sobą odpowiednik janczarów, czyli nie-Turków, którzy na wojnie odwalają za Turków całą czarną robotę.

Zrozumiawszy to, błyskawicznie doszli do wniosku, że w ich przypadku zawód berberyjskiego korsarza nie byłby wcale takim najgorszym pomysłem. Jack, z natury ciut bystrzejszy od przeciętnej morskiej szumowiny, zrozumiał to nieco szybciej od pozostałych i postanowił wypowiedzieć tę myśl na głos, żeby później wszyscy myśleli, że to był jego pomysł. Wyjął ze skrzyni na broń pałętającą się po dnie linę z kotwiczką, wrócił na swoje dawne stanowisko na dachu nadbudówki i ryknął:

– No, panowie! Kto chce się zaciągnąć do Turków?!

Odpowiedzią załogi były okrzyki triumfu, pożądlive i – na dobrą sprawę – jednomyślne, jeśli nie liczyć Jewgienija, bo ten jak zwykle nie miał pojęcia, o czym mowa. Kiedy żeglarze zaczęli ścisnąć sobie ręce i składać gratulacje, Jack wziął szablę w zęby, zarzucił zwój liny na

ramię, po czym zaczął się wdrapywać po olinowaniu – po tak zwanych fokwantach – które zbiegały się pod fokmarsem, platformą obserwacyjną w połowie wysokości fokmasztu. Wspiąwszy się na fokmars, wbił szablę w deski platformy i spojrzął z góry na galery. Śpiew przybrał zupełnie opętańczy rytm i wiosła zaczęły o siebie zahaczać – niewolnicy nie nadążali z wiosłowaniem.

Uru, uru achim

Uru achim b'lev sa me ach!

Uru achim b'lev sa me ach!

Uru achim b'lev sa me ach!

Uru achim b'lev sa me ach!

Havah nagilah...

Uru achim b'lev sa me ach!

Uru achim b'lev sa me ach!

Uru achim b'lev sa me ach!

Uru achim b'lev sa me ach!

Obie pirackie jednostki wyprzedzały już *Boże Rany* o pół długości. Na sygnał dany przez jednego z *agha* nagle wciągnęły wiosła, zaczęły zwalniać i weszły na kurs kolizyjny ze słupem. Niewolnicy padli bez tchu na ławki; nie pospadali z nich tylko dlatego, że byli zbyt ciasno upakowani w kadłubie.

– Z dołu widzicie tylko turbany, klejnoty i błyszczącą broń janczarów! – zawołał Jack. – Ale ja widzę także wiosłujących niewolników. Te galery są jak trumny wyładowane półżywymymi nieszczęśnikami. Słyszeliście niedawno takie głośnie trzaski? To nie były wystrzały, tylko plask biczów, którymi nadzorcy smagają ich grzbiety! Widzę setkę ludzi, skulonych nad wiosłami i oćwiczonych do krwi. Za pół godziny podzielimy ich los, chyba że pokażemy *agha*, że umiemy walczyć i zasługujemy na to, żeby zostać janczarami!

Mówiąc, Jack klarował linę na fokmarsie, żeby później gładko się rozwijała. Kotwiczka rzucona z galery po lewej omal nie trafiła go w głowę. Uchylił się przed nią i wruszył ramionami, ona zaś wbiła się w deski fokmarsu tuż przy jego stopach. Deski jęknęły i zaczęły pękać z trzaskiem, gdy janczar obciążył linę. Jack wyrwał wbitą w drewno szablę i przeciął sznur, posyłając pirata w zwiężającą się czeluść między kadłubami.

Cała scena, dotąd rozgrywająca się w niewiarygodnej – można by wręcz powiedzieć: sielankowej – ciszy, nagle rozbrzmiała kakofonią grzmotów, gdy napastnicy oddali salwę z muszkietów. A potem znów zrobiło się cicho, ponieważ nikt nie miał czasu drugi raz ładować broni. Dym przesłonił Jackowi widok na dole, za to niemal dokładnie na poziomie wzroku miał top masztu lewej galery, gdzie znajdowało się wężutkie bocianie gniazdo. Aż się

prosiło, żeby zahaczyć je kotwiczka, co też Jack niezwłocznie uczynił i trafił za pierwszym razem. Napiął linę i omal nie wyleciał z fokmarsu jak z procy, gdy kołyszące się statki bujnęły się nagle w przeciwne strony i odległość między masztami gwałtownie się powiększyła. Uznał jednak, że to może być dla niego szansa, i kilkakrotnie owinał sobie linę wokół lewego przedramienia. Następne szarpnięcie wyrwało Jacka z fokmarsu, wbiło mu w brzuch milion drzazg i wyrzuciło go w powietrze. Lina wyhamowała impet, chociaż mało mu przy tym nie wyrwała ręki z barku. Śmignął nad pokładem galery, który zarejestrował jako rozmazaną plamę czerwieni i szafranu, i znalazł się nad błękitnym oceanem. Zaczął zwalniać lot. Obejrzawszy się na drogę, którą właśnie przebył i którą za chwilę miał przebyć ponownie, ujrzał kilku nieuzbrojonych janczarów (w tym jednego z nadzorców niewolników) przyglądających mu się z zaciekawieniem. Kiedy po raz drugi wahadłowym ruchem przelatywał nad pokładem galery, wyciągnął rękę z szablą i rozciął głowę nadzorca na dwoje. Impet uderzenia wprowadził go jednak w ruch obrotowy, nad którym nie miał żadnej kontroli. Przeleciał nad pokład *Bożych Ran* i wyrznął w kolumnę fokmasztu z taką siłą, że aż go zatkało. Puścił linę. Osunął się na deski, mając przed oczami las męskich nóg – męskich, ale obcych. Na statku roilo się od janczarów. Jack był jedynym walczącym pasażerem *Bożych Ran*.

Może z wyjątkiem Jewgienija, który zrozumiał ogólny sens pierwszej przemowy Jacka, nie pojął jednak ni w ząb drugiej, tej bardziej pragmatycznej. Dlatego też cisnął harpunem i trafił *raisa*, czyli kapitana prawej galery, prosto w krtań.

Ten i inne fakty natury statystycznej opisujące przebieg bitwy przedstawił Jackowi pan Foot, już znacznie później, kiedy ograbiono ich doszczętnie i przetransportowano na pokład galery, gdzie kowal napalił w kuźni i szykował się do zakucia co węższych części ich ciał w łańcuchy.

Przeczesańie ładowni *Bożych Ran* zajęło rabusiom najwyżej kwadrans. Kauri specjalnie ich nie zachwyciły. Tylko jeden pasażer nie trafił do razu na galere: był nim pan Vliet, który próbował się ukryć w zęcie. Wyprowadzono go na pokład, rozebrano do naga, położono na beczce i przywiązano. W tej chwili właśnie rznął go jeden z Murzynów.

– Co to za głupoty wykrzykiwałeś z fokmarsu? – spytał pan Foot. – Nie rozumieliśmy cię ni w ząb. Patrzyliśmy tylko po sobie... – Pan Foot demonstracyjnie wzruszył ramionami.

– Że macie pokazać, jakimi jesteście dobrymi żołnierzami – streścił swoją przemowę Jack. – Bo inaczej od razu was skuja.

– Mhm... – Pan Foot dyplomatycznie przemilczał fakt, że Jackowi brawura też nieszczególnie pomogła.

Chociaż... Dyskretne perskie oka, puszczone przez spalonych słońcem biedaków, sugerowały, że dzięki częściowej dekapitacji nadzorca może się jeszcze w przyszłości cieszyć wśród niewolników podobnym mirem jak niegdyś wśród wagabundów.

– Co cię to właściwie obchodziło? – spytał pan Foot po dłuższej chwili. Nie zanosilo się na to, żeby gwałt analny na jego dawnym współniku dobiegł w najbliższym czasie końca. Beczka, do której przywiązany był pan Vliet, przesuwala się powoli po pokładzie *Bożych Ran*, aż zaklinowała się przy relingu. Dudniła teraz jak bęben. – I tak już długo nie pożyjesz.

– Jeżeli zdarzy ci się kiedyś trafić do Paryża, możesz zadać to pytanie świętemu Jerzemu, *mort-aux-rats*. On mnie nauczył, co to są konwenanse. Mam przecież swoją reputację...

– Podobno.

– Miałem nadzieję, że albo ty, albo może któryś z młodszych marynarzy wykażecie się walecznością, zostaniecie janczarami, a pewnego dnia wrócić do chrześcijańskiego świata i opowiecie o moich wyczynach w walce z Berberami. Żeby wszyscy się dowiedzieli, jak skończyłem. I że byłem dzielny do końca. To wszystko.

– No cóż... Następnym razem staraj się mówić wyraźniej, ponieważ nie zrozumieliśmy ani jednego słowa.

– Dobrze już, dobrze! – burknął Jack. Miał nadzieję, że nie zostanie przykuty do tego samego wiosła, co pan Foot. Westchnął ciężko. – Ależ cudowny dupaniec! Jak jakaś scena z Biblii.

Pan Foot aż się zatrzęsł z oburzenia.

– W Dobrej Księdze nie ma mowy o żadnych dupańcach!

– Skąd niby miałbym o tym wiedzieć? Ale nie kłóćmy się. Niedługo i tak znajdę się w miejscu, gdzie wszyscy na okrągło czytają Biblię.

– W niebie?

– A przypomina ci to niebo?

– Wygląda na to, Jack, że zabierają mnie do innego wiosła. – I rzeczywiście, od jednego z wiosel przy rufie odcięto właśnie trupa i nadzorca skinął na pana Foota. – Jeśli mielibyśmy nigdy więcej się nie spotkać, co wydaje się bardzo prawdopodobne... Szczęśliwej drogi, Jack.

– Szczęśliwej drogi? Szczęśliwej drogi?! Kurwa twoja mać! To mają być życzenia dla galernika?!

To były ostatnie słowa skierowane przez Jacka do pana Foota. W każdym razie wszystko na to wskazywało.

Dwóch janczarów wyrzuciło pana Vlieta za burtę. Jack usłyszał plusk, kiedy siadał na umazanej odchodami ławce, na której miał wiosłować aż do śmierci.